

Margaret Atwood

ŻYCIE PRZED MEŃCZYZNĄ

Dla G.

Zamiast części organizmu zwierzęcego, skamieniałość może stanowić jakiś dowód jego obecności, takiej jak skamieniały trakt czy nora... Dzięki tym skamieniałościom mamy jedyną szansę, by zobaczyć wymarłe zwierzęta w działaniu i by studiować ich zachowanie, chociaż ostateczna identyfikacja jest możliwa tylko wtedy, gdy zwierzę padło martwe na swojej drodze i skamieniało na miejscu.

Björn Kurten, Wiek dinozaurów

Popatrz, uśmiecham się do ciebie, uśmiecham się w tobie, uśmiecham się poprzez ciebie. Jak mogę być martwy, jeżeli oddycham w każdym drgnieniu twojej ręki.

Abram Tertz (Andre Siniawski), Sople lodu

Podziękowania

Chciałabym podziękować następującym osobom, które dostarczyły mi informacji, wsparcia i innego rodzaju pomocy. Są to: Carl Atwood, Lenore Mendelson Atwood, Ruth Atwood, Peter Boehm, Liz Calder, J.A. Donnan, Kate Godfrey Gibson, Jennifer Glossop, Beverley Hunter, Matla Kavin, Marie Kwas, Jay Macpherson, Marie Thompson, Fred J. Roberts, Rick Salutin, J.B. Salsberg, Savella Stchishin, Zenia Stchishin, Nan Talese, pani Walpert, Jean Wachna, pani Werblinsky.

Chciałabym również podziękować Donyi Peroff, mojej niestrudzonej od lat badaczce; Phoebe Larmore, mojej agentce; i wielu pracownikom Royal Ontario Museum i planetarium, którzy poświęcili mi swój czas, a zwłaszcza Joanne Lindsay z paleontologii kręgowców, która pewną ręką oprowadzała mnie po galerii Górnej Kredy.

Uwaga: Imię Lesje należy wymawiać „Lashia”.

CZĘŚĆ PIERWSZA

ELIZABETH

Piątek, 29 października 1976

Nie wiem, jak powinnam żyć. Nie wiem, jak ktokolwiek powinien żyć. Wiem tylko, jak ja żyję. Żyję jak ślimak bez muszli. A w ten sposób nie zarabia się pieniędzy.

Chcę mieć z powrotem muszlę. Długo trwało, nim ją sobie stworzyłam. Ma się ją, gdziekolwiek się jest. Umiałam ją usuwać. Chcę mieć muszlę jak sukienkę z cekinami, uszytą ze srebrnych pięcio- i dziesięciocentówek, jak z łusek pancernika. Opancerzony penis. Nieprzemakalny; jak francuski płaszcz przeciwdeszczowy.

Żałuję, że muszę myśleć o tobie. Chciałeś zrobić na mnie wrażenie; no cóż, nie jestem pod wrażeniem, odczuwam wstręt. To było wstrętne zrobić coś takiego, dziecinne, głupie. W napadzie złego humoru można roztrzaskać lalkę, ale ty roztrzaskałeś swoją głowę, swoje ciało. Chciałeś być pewien, że już nigdy, gdy obrócę się w łóżku, nie poczuję ciała leżącego obok mnie, namacalnie, jak odciętej nogi. Odszedłeś, ale to miejsce wciąż boli. Chciałeś, abym płakała, lamentowała, siedziała na bujającym się fotelu z chusteczką obszytą czarną lamówką, z krwawiącymi oczami. Ale ja nie płaczę, jestem wściekła. Jestem tak wściekła, że mogłabym cię zabić. Gdybyś ty sam tego już nie zrobił.

Elizabeth leży na plecach w ubraniu, wyczyszczone pantofle stoją przy łóżku, na plecionym dywaniku, kupionym u Nicka Knacka przed czterema laty, gdy interesowała się jeszcze umeblowaniem domu, typowym splecionym z gałganków dywaniku babci. Ręce wyciągnięte po bokach, nogi razem, oczy otwarte. Widzi jedynie część sufitu, to wszystko. Mała rysa biegnie w polu jej widzenia, a z niej odgałęzia się mniejsza. Nic się nie wydarzy, nic się nie otworzy, rysa się nie poszerzy i nie pęknie, i nic się nie przedostanie. Oznacza to tylko, że sufit trzeba odmalować, nie

w tym roku, ale w następnym. Elizabeth próbuje się skoncentrować na słowach „w następnym”, ale nie może.

Po lewej stronie widnieje plama światła; jeżeli odwróci głowę, to zobaczy okno oplecione pnącymi roślinami, z chińską bambusową roletą, zwiniętą do połowy. Po lunchu zadzwoniła do biura, aby powiedzieć, że nie przyjdzie. Za często to się zdarza; potrzebuje przecież tej pracy.

Nie ma jej. Jest gdzieś pomiędzy swoim ciałem, gdy tak leży na łóżku, na hinduskiej narzucie w tygrysy i kwiaty; mając na sobie czarny golf, prostą czarną spódnicę, fioletowe figi, beżowy stanik zapinany z przodu, w rajstopach, które dostaje się w plastikowych jaskach, a sufit ma rysy jak pałeczki. Ona tam się widzi, w tym zgrubieniu powietrza przypominającym albuminę. Kiedy gotujesz jajko i pęka skorupka, tak właśnie wyłazi białko. Wie, co oznacza próżnia po drugiej stronie sufitu, która nie jest tym samym co próżnia na trzecim piętrze, gdzie mieszkają lokatorzy. W pewnej odległości jakby dochodził lekki grzmot, to ich dziecko bawi się marmurowymi kulkami na podłodze. Czarna próżnia wsysa powietrze z łagodnym, ledwo słyszalnym gwizdem. Ona mogłaby być tam wchłonięta jak dym papierosowy.

Nie może poruszać palcami. Myśli o swoich rękach, leżących po bokach, jak w gumowych rękawiczkach: myśli o tym, by nadać kościom i mięsu kształt rąk, palec za palcem, jakby były z ciasta.

Przez drzwi, które zawsze zostawia na cal otwarte, jakby czekając na wezwanie, jak podczas ostrego dyżuru w szpitalu, nasłuchując nawet teraz jakichś trzasków, odgłosów złamań, krzyków, rozchodzi się zapach spalonej dyni.

To jej dzieci zapaliły światełka w wydrążonej dyni, chociaż Halloween będzie dopiero za dwa dni. I jeszcze nie jest ciemno, chociaż światło po stronie jej głowy blednie. Dzieci tak bardzo lubią się przebierać, nakładać maski i

kostiumy, biegać wśród zeschniętych liści, pukać do drzwi nieznanym, trzymając papierowe torebki. Ile w tym nadziei. Kiedyś wzruszało ją to podniecenie, ta dzika radość, to układanie planów trwające tygodniami za zamkniętymi drzwiami ich pokoju. Te uczucia coś w niej poruszały, jakiś klucz. W tym roku wszystko jest dalekie. Bezgłośna szklana ściana w szpitalnym żłobku, gdzie stała w szlafroku kolejno dla każdego z dzieci, obserwując, jak otwierają i zamykają swe różowe usta, jak wykrzywają twarze.

Ona może je widzieć, one mogą ją widzieć. One wiedzą, że coś jest nie tak. Ich grzeczność, ich wymykanie się tchną chłodem, ponieważ tak dobrze to odgrywiają.

One mnie obserwują. One obserwują nas od lat. Dlaczego nie wiedzą, jak to robić? Zachowują się tak, jakby wszystko było normalne, i może dla nich jest normalne. Niedługo zechcą zjeść kolację i ja im ugotuję. Wstanę z łóżka i zrobię wieczorny posiłek, a jutro zawiozę je do szkoły i sama pójdę do biura. Taki jest właściwy porządek rzeczy.

Elizabeth bardzo dobrze gotowała. Było to wtedy, gdy interesowały ją dywaniki. Wciąż gotuje, obiera jedne produkty i podgrzewa inne. Niektóre stają się twarde, inne mięknią; biel zmienia się w brąz. I tak to idzie. Ale kiedy ona myśli o jedzeniu, nie widzi jasnych kolorów, czerwieni, zieleni, oranżu pokazanych w książce kucharskiej dla smakoszy. Widzi natomiast ilustracje żywności w magazynach, które pokazują, ile tłuszczu zawiera twoje śniadanie. Białe jajka, białe wstążki bekonu, białe masło. Kurczaki, pieczenie i steki modelowane z mdłej słoniny. Tak smakuje jej teraz jedzenie. Mimo to je, przejada się.

Słysząc ciche pukanie do drzwi, krok. Elizabeth rusza oczami. W owalnym lustrze w dębowej oprawie nad toaletką widzi, jak otwierają się drzwi, ciemność holu, twarz Nate'a przypominającą blady balon. On wchodzi do pokoju, zrywając

niewidoczną nić, którą zwykle rozpościera na progu, aby nie mógł tu się znaleźć, i ona może odwrócić głowę. Uśmiecha się do niego.

- Jak się czujesz, kochanie - mówi. - Przyniosłem ci herbatę.

NATE

Piątek, 29 października 1976

On już nie wie, co oznacza „miłość” między nimi, chociaż zawsze mówią do siebie „kochanie”. Przez wzgląd na dzieci. Nie pamięta, kiedy zaczął pukać do jej drzwi albo kiedy przestał uważać je za swoje. Chyba wtedy, kiedy dzieci przenieśli do jednego pokoju i on zajął puste łóżko. Tak ona wtedy mówiła o tym łóżku. Teraz mówi o dodatkowym łóżku.

Stawia filiżankę herbaty na stoliku nocnym, obok budzika, który budzi ją co rano z wesołą wiadomością o śniadaniu. Jest tu popielniczka bez niedopałków; dlaczego miałyby być? Ona nie pali. Ale Chris palił.

Kiedy Nate spał w tym pokoju, był tu popiół papierosowy, zapalki, szklanki, centy z jego kieszeni. Zwykle wkładali je do słoika po maśle orzechowym i kupowali sobie za nie małe prezenty. Szalone pieniądze, mówiła o nich. Teraz nadal opróżnia kieszenie z centów każdego wieczora; gromadzą się jak mysie odchody na biurku w jego pokoju, jego własnym pokoju. Twój własny pokój, ona mówi, jakby chciała go tam zatrzymać.

Ona patrzy na niego z twarzą bezbarwną, podkrążonymi oczami, bladym uśmiechem. Nie musi tego robić; zawsze to robi.

- Dziękuję, kochanie - mówi. - Za chwilę wstanę.

- Jeżeli chcesz, przygotuję dzisiaj kolację - mówi Nate, chcąc być pomocny, i Elizabeth zgadza się z obojętnością. Jej obojętność, jej brak zachęty wścieka go, ale nic nie mówi, odwraca się, cicho zamyka drzwi. On zrobił gest, a ona zareagowała, jakby to nic nie znaczyło.

Nate idzie do kuchni, otwiera lodówkę i grzebie w środku. To tak jak szperanie w szufladzie ze zmiętą odzieżą. Słoiki z resztkami jedzenia, zepsuta fasola, szpinak w plastikowej torebce rozsiewa woń rozkładu. Nie ma co liczyć, że Elizabeth

zrobi porządek. Zwykle tak czyniła. Teraz czyści inne rzeczy, ale nie lodówkę. On sam to zrobi, jutro albo pojutrze, kiedy się do tego weźmie.

Tymczasem musi coś zaimprovizować na kolację. Nie jest to wielka próba, często pomagał przy gotowaniu, ale w dawnych czasach - myśli o nich jak o odległych dniach, jak o minionej romantycznej erze, jak w disneyowskich filmach o rycerstwie - wtedy zawsze były produkty. Teraz on zajmuje się zakupami żywności, wozi w koszyku na rowerze jedną lub dwie torby, ale zapomina o wielu rzeczach i dziś nie ma jajek, papieru toaletowego. Wtedy musi posłać dzieci do sklepu na rogu, gdzie wszystko jest dużo droższe. Zanim, zanim sprzedał wóz, to nie był taki problem. Zabierał Elizabeth raz w tygodniu, w sobotę, i pomagał jej ustawiać puszki, i wkładać mrożonki po powrocie do domu.

Nate bierze kapiący szpinak z przegródki na warzywa i zanosz do śmieci; sączy się z niego zielony płyn. Liczy jajka, nie wystarczy na omlet. Będzie musiał znów przygotować makaron z serem, nie ma to znaczenia, bo dzieci to lubią. Elizabeth nie będzie zadowolona, ale zje, zje łapczywie, nieobecna, jakby o tym w ogóle nie myślała, uśmiechając się jak męczennik powoli palony na stosie, wpatrując się w ścianę za nim.

Nate krząta się i uciera ser, krząta się i uciera ser. Popiół z papierosa spada obok garnka. To nie jego wina, że Chris rozwalił sobie głowę z dubeltówki. Strzał z dubeltówki: to podsumowuje jego ekstrawagancję, histerię, których nigdy nie znosił u Chrisa. On sam użyłby pistoletu. Gdyby zdecydował się na taki czyn. Co najbardziej drażni go, to jej spojrzenie, kiedy oznajmiono tę wiadomość. „Przynajmniej miał odwagę. Przynajmniej był poważny”. Ona oczywiście nigdy tego nie powiedziała, ale on jest pewien, że porównuje go z nim, ocenia go negatywnie, gdyż on żyje. Tchórz. Bez jaj.

A jednocześnie on wie, choć nigdy nie rzekła ani słowa, że wini go za tę całą sprawę. Gdybyś tylko był taki albo taki, gdybyś zrobił to albo to - on nie wie co - to by się nie wydarzyło. Nie byłabym zmuszona, zobowiązana... to jej przekonanie, że ją zawiódł, i ten jego niezdefiniowany błąd przemienił ją w trzęsącą się masę bezbronno go ciała, gotowego przyssać się do pierwszego zwariowanego faceta, który by powiedział: „Masz ładne cycuszki”. Albo cokolwiek innego, co jej powiedział Chris, aby otworzyła miłosny zatrask w swym staniku. A może powiedział coś więcej: „Masz ładny biuścik”. Szachiści są tacy. Nate wie: sam był taki. Nate do dzisiaj nie może zrozumieć, dlaczego kobiety uważają, że gra w szachy jest seksowna. Niektóre kobiety.

I tak już od tygodnia, od tamtej nocy, ona leży popołudniami na łóżku, które kiedyś było jego, do połowy jego, i on przynosi jej filiżankę herbaty, jedną każdego popołudnia. Ona przyjmuje ją ze spojrzeniem umierającego łabędzia, spojrzeniem, którego on nie może znieść i któremu nie może się oprzeć. Ty jesteś winien, kochanie, ale możesz mi przynosić herbatę. I aspirynę z łazienki, i szklankę wody. Dziękuję. A teraz idź sobie i czuj się winny.

Ale to on, nie Elizabeth, musiał pójść zidentyfikować ciało. Jak mówiły jej przerażone oczy, po niej nie można było tego oczekiwać. A więc posłusznie poszedł. Gdy stał w tym mieszkaniu - w którym był tylko dwa razy, a gdzie ona bywała przynajmniej raz w tygodniu od dwóch lat - gdy walczył z mdłościami i denerwował się widokiem, czuł, że ona tam jest z nimi, krzywizna w przestrzeni, obserwatorka. Bardziej niż Chris. Nic nie zostało z głowy. Jeździec bez głowy. Ale rozpoznawalny. Ta ciężka płaska twarz zawsze była bez wyrazu; nie tak jak u większości ludzi. To ciało miało wyraz. Głowa była siedliskiem niepokojów i chyba dlatego Chris

postanowił w nią strzelić, a nie w jakąś inną część swojej osoby. Nie chciał okaleczyć swego ciała.

Podłoga, stół, szachownica przy łóżku, łóżku z korpusem i kończynami na nim. Inne ciało Nate'a połączone z nim tą cienką więzią, tą dziurą w przestrzeni kontrolowaną przez Elizabeth. Chris włożył ubranie i krawat, i białą koszulę. Nate myśląc o tej ceremonii - tych grubych dłoniach wiążących krawat, poprawiających go przed lustrem, Boże, i nawet wyczyszczonych butach - miał ochotę płakać. Włożył ręce do kieszeni marynarki; zacisnął na centach, na kluczu do domu.

- Z jakiego powodu zostawił państwa numer telefonu na stole? - zapytał policjant.

- Nie wiem. Byliśmy jego przyjaciółmi - odparł.

- Oboje? - zapytał policjant.

- Tak - rzekł Nate.

Janet wchodzi do kuchni, gdy on wstawia naczynie do pieca.

- Co jest na kolację? - pyta, dodając słowo „tatusiu”, jakby przypominając mu, kim jest.

Nate uważa to pytanie za tak smutne, że przez chwilę nie wie, co odpowiedzieć. Jest to pytanie z dawnych czasów, z dawnych dni. Mruga oczami. Chce upuścić naczynie na podłogę i podnieść córkę do góry, i przytulić, ale zamiast tego zamyka delikatnie drzwiczki piecyka.

- Makaron z serem - odpowiada.

- Dobrze. - Janet mówi głosem dalekim, ostrożnym, delikatnie imitując radość. - Z sosem pomidorowym?

- Nie, nie było żadnego.

Janet przesuwając kciukiem po stole kuchennym; słysząc pisk drewna. Robi tak dwa razy.

- Czy mama odpoczywa? - pyta.

- Tak. - Potem głupio dodaje: - Zaniósłem jej filiżankę herbaty. - Kładzie rękę za sobą na kuchennym kredensie. Oboje wiedzą, czego unikać.

- No cóż - mówi Janet głosem małej dorosłej - niedługo się zobaczymy. - Odwraca się i wychodzi.

Nate chce coś zrobić, wykonać coś, rozwalić rękę w kuchennym oknie. Ale po drugiej stronie szyby jest ekran. To by zneutralizowało skaleczenie. Cokolwiek teraz uczyni, będzie absurdalne. Cóż znaczy roztrzaskanie okna W porównaniu z rozwaleniem głowy? Gdyby ona to zaplanowała, nie mogłaby zrobić lepiej.

LESJE

Piątek, 29 października 1976

Lesje wędruje po prehistorii. Pod niewiarygodnie pomarańczowym słońcem, w środku bagnistej równiny, zarośniętej wielkimi paprociami, roślinami o grubych łodygach, pasie się grupa kościstych stegozaurów. Na obrzeżach tej grupy, zasłonięte przez nią, ale nie związane z nią, znajduje się kilka wyższych, delikatniejszych kamptozaurów. Ostrożnie, nerwowo, podnoszą od czasu do czasu głowy, opierając się na tylnych kończynach, by powąchać powietrze. Gdyby poczuły niebezpieczeństwo, pierwsze by zaalarmowały. Bliżej Lesje stado średniej wielkości pterozaurów sunie od jednej gigantycznej paproci do drugiej. Lesje przykucnęła wśród liści najwyższego z tych drzew i obserwuje przez lornetkę, bez jakiegokolwiek zaangażowania. Dinozaury nie zwracają na nią najmniejszej uwagi. Gdyby ją wyczuły, nie okazałyby zainteresowania. Jest dla nich kimś tak absolutnie obcym, że nie mogłyby się na niej skupić. Kiedy aborygeni zobaczyli okręty kapitana Cooka, zignorowali je, gdyż wiedzieli, że takie rzeczy nie mogą istnieć. To dobrze być niewidzialnym.

Lesje zdaje sobie sprawę, kiedy o tym myśli, że nie każdy snuje takie spokojne fantazje. Ale takie są jej; zwłaszcza odkąd pozwala sobie w nich bezwstydnie naruszać oficjalną wersję rzeczywistości paleontologicznej, jaką wybrała. Na ogół jest bystra, obiektywna, a dostatecznie doktrynerska podczas godzin pracy, dlatego tym bardziej czuje potrzebę ekstrawagancji tutaj, na bagnach parku jurajskiego. Miesza ery, dodaje barwy: dlaczego metaliczny niebieski stegozaur nie ma mieć czerwonych i żółtych kropek zamiast nudnych szarych i brązowych, postulowanych przez ekspertów? Do których w mniejszym stopniu ona się zalicza. Na bokach kamptozaurów pastelowe barwy pojawiają się i znikają,

czerwony róż, purpura, lekki róż ujawniają emocje jak chromatofory zwężające się i rozszerzające w skórze ośmiornicy. Tylko gdy kamptozaury są martwe, szarzeją.

Zresztą to nie są takie dowolne poczynania; ona zna się na układzie barw niektórych bardziej egzotycznych współczesnych jaszczurek, nie mówiąc już o różnych ssakach takich jak małpy, mandryle. Te dziwaczne tendencje musiały skądś przyjść.

Lesje wie, że nie robi postępów. Cofa się. Zwłaszcza ostatnio. Marzenie z dzieciństwa i wczesnej młodości porzuciła niedawno na rzecz innych spekulacji. Mężczyźni wyparli dinozaury, w jej głowie jak i w czasie geologicznym; ale myślenie o mężczyznach również nic nie daje. W każdym razie ta część jej życia jest już uregulowana. Obecnie myślenie o mężczyznach oznacza Williama. William uważa, że życie ich obojga jest urządzone. Nie widzi powodu, aby cokolwiek zmienić. Tak samo Lesje, gdy się nad tym zastanawia. Tylko że ona nie może dłużej marzyć o Williamie, nawet gdy próbuje; zresztą nie pamięta, jakie były te sny, gdy je miała. Marzenie, sen o Williamie to sprzeczność sama w sobie. Nie przywiązuje wielkiego znaczenia do tego faktu.

W prehistorii nie było mężczyzn ani żadnych istot ludzkich, chyba że pojawił się przypadkowy samotny obserwator jak ona, turysta albo uciekinier, skulony wśród swej prywatnej paproci z lornetką, myśląc tylko o sobie.

Dzwoni telefon i Lesje podskakuje. Oczy się szeroko otwierają, ręka trzymająca kubek z kawą śmiga w powietrzu. Należy do tych osób, które zaskakują nagłe hałasy, tak wyjaśnia przyjaciółom. Sama widzi siebie jako istotę bojaźliwą, trawożerną. Podskakuje, gdy ludzie nagłe pojawiają się za nią, i kiedy konduktor w metrze daje znak gwizdkiem - - nawet kiedy wie, że ludzie tam będą lub że za chwilę

rozlegnie się gwizdek. Niektórzy z jej przyjaciół uważają, że to miły odruch, ale ona zdaje sobie sprawę, że to irytujące.

Ale ona nie chce być irytująca, więc próbuje kontrolować siebie, nawet gdy nikogo z nią nie ma. Stawia kubek z kawą na stole - wytrze plamę później - i podchodzi do telefonu. Nie wie, kto to może być, nie wie, kogo chciałaby usłyszeć. Uświadamia sobie, że to są dwie różne rzeczy.

Kiedy podnosi słuchawkę, już nikogo nie ma. Słyszc tylko szum, szum miasta rozbrzmiewający za szybą, wzmocniony betonowymi ścianami, wśród których żyje. Wśród których mieszka w tej kamienicy.

Lesje trzyma słuchawkę minutę, słuchając szumu, jakby to był głos. Potem ją odkłada. W każdym razie nie był to William. On nigdy nie telefonuje, jeżeli nie ma czegoś do powiedzenia, nie ma jakiegoś pragmatycznego przesłania. Przychodzę. Spotkajmy się w... Nie mogę być o... Chodźmy do... A potem gdy zamieszkali razem, wracam o... A ostatnio, nie wrócę przed... Według Lesje to oznaka dojrzałości ich związku i dlatego jego nieobecność jej nie niepokoi. Ona wie, że William pracuje nad poważnym projektem. O oczyszczaniu ścieków. Szanuje jego pracę. Przecież zawsze obiecywali sobie dużo swobody.

To już trzeci raz. Dwa razy w zeszłym tygodniu i raz w tym. Dziś rano wspomniała o tym, w czasie rozmowy, dziewczynom w pracy, błyskając zębami w szybkim uśmiechu, aby pokazać, że się tym nie martwi, a potem natychmiast zakryła usta ręką. Ma za szerokie zęby do swojej twarzy: dlatego sprawia wrażenie osoby wygłodniałej, szkieletu.

Była tam Elizabeth Schoenhof, w kafeterii, gdzie zawsze chodzą o pół do dziesiątej, jeżeli nie muszą za ciężko pracować. Ona zajmuje się specjalnymi projektami. Lesje widzi ją często, gdyż Skamieniałości są najbardziej

popularnymi eksponatami muzeum, a Elizabeth lubi z nimi pracować. Tym razem podeszła do ich stolika, ponieważ potrzebuje trochę materiału Lesje do cyklu wystaw w gablotkach. Chce umieścić niektóre małe przedmioty z Kanady wraz z innymi z tych samych regionów geograficznych. „Artefakty i środowisko”, tak to nazywa. Mogłaby użyć niektórych wypchanych zwierząt z pionierskimi toporami i kilku skamieniałych kości dla oddania atmosfery.

- To jest stary kraj mówi. - Chcemy, aby ludzie to zobaczyli.

Lesje nie podoba się ten eklektyczny sposób promocji, chociaż rozumie, że jest potrzebny. Publiczności. A jednak uważa to za trywializację i w głębi ducha sprzeciwiła się takiej metodzie, gdy Elizabeth zapytała, w swoim matczynym, kompetentnym stylu, czy Lesje nie mogłaby znaleźć dla niej jakichś naprawdę interesujących skamieniałości. Czyż nie wszystkie skamieniałości są interesujące? Lesje odpowiedziała grzecznie, że zobaczy, co się da zrobić.

Elizabeth doskonale wyczuwa reakcje innych, dlatego Lesje trochę się jej lęka - ona sama nie ma tych zdolności; Elizabeth więc wyjaśnia, że chodzi jej o eksponaty wizualnie interesujące. Naprawdę będzie wdzięczna za tę przysługę.

Lesje, zawsze czuła na uznanie, zmienia nastrój. Jeżeli Elizabeth chce jakieś zewnętrzne człony i czaszkę lub dwie, to je dostanie. Zresztą Elizabeth wygląda okropnie, jest biała jak papier, chociaż wszyscy mówią, że świetnie sobie radzi. Lesje nie może sobie wyobrazić siebie w takiej sytuacji, dlatego nie może przewidzieć, jak ona by się zachowała. Oczywiście wszyscy znają tę historię, pisano o niej w gazetach, i Elizabeth wcale się nie starała ukryć faktów, gdy to się działo.

W obecności Elizabeth wszyscy skrupulatnie unikali wymieniania imienia Chrisa i wszystkiego związanego z nim.

Lesje uświadomiła sobie, że zamrugła, gdy Elizabeth powiedziała, że do tej wystawy potrzebna jest jej strzelba. Ona sama nie użyłaby broni. Ale może tak trzeba, aby móc świetnie sobie radzić?

Aby zmienić temat, Lesje wesolutko zaczęła:

- Wiecie co? Dostaję anonimowe telefony.
- Obsceniczne? - zapytała Marianne.

Lesje zaprzeczyła:

- Ten, kto dzwoni, wyłącza się, gdy podnoszę słuchawkę.
- Zapewne pomyłka - stwierdziła Marianne już bez entuzjazmu.

- Skąd wiesz, że to „on”? - zapytała Trish.

Elizabeth przerwała tę rozmowę.

- Przepraszam - rzekła.

Wstała, chwilę poczekała, po czym odwróciła się i ruszyła jak somnambulik do drzwi.

- To okropne - powiedziała Trish. - Ona musiała strasznie się poczuć.

- Czy powiedziałam coś nie tak? - zapytała Lesje.

- Nie wiedziałaś, że on wydzwaniał do niej w ten sposób? - odezwała się Marianne. - Co noc, w zeszłym miesiącu. Kiedy stąd odszedł. Ona nawet powiedziała o tym Philipowi Burroughsowi; jeszcze zanim to się stało. Można sądzić, że zdawała sobie sprawę, że coś się szykuje.

Lesje zaczerwieniła się i podniosła rękę do twarzy. Zawsze istniały jakieś sprawy, o których nie wiedziała. Teraz Elizabeth pomyśli, że zrobiła to specjalnie, i nie będzie jej lubić. Nie może pojąć, jak ta plotka ją ominęła. One pewnie rozmawiały o tym tutaj przy stoliku, ale ona nie zwróciła na to uwagi.

Lesje wraca do saloniku, siada na fotelu obok rozlanej kawy i zapala papierosa. Kiedy pali, nie wdycha dymu. Prawą rękę trzyma na wprost ust, z papierosem w obu pierwszych

palcach i kciuku przy szczęce. W ten sposób może rozmawiać i śmiać się, mrużąc oczy w dymie. Oczy to jej silny punkt. Rozumie, dlaczego kobiety nosiły woalki, półwoalki w krajach Bliskiego Wschodu. Nie ma to nic wspólnego ze skromnością. Czasem gdy jest sama, zakrywa dolną część twarzy kwiecistą powłóczką, nad mostkiem nosa, ten nos jest trochę za długi, trochę zbyt zagięty jak na ten kraj. Jej oczy, ciemne, prawie czarne, patrzą na nią w lustrze w łazience, zagadkowe nad tymi niebieskimi i purpurowymi kwiatami.

ELIZABETH

Sobota, 30 października 1976

Elizabeth siedzi na szarej sofie w półmroku swego saloniku, z rękami spokojnie złożonymi na brzuchu, jakby czekała na samolot. Tutaj nigdy nie pada bezpośrednio światło, gdyż pokój wychodzi na północ; to światło sprzyja spokojowi. Sofa nie jest naprawdę szara, nie tylko szara; ma delikatne fioletowe nitki, wzór przypominający żyłki: to batik. Wybrała go, bo nie drażni wzroku.

Na dywanie, koloru grzybów, przy jej lewej nodze leży kawałek pomarańczowej bibułki krepowej, skrawek czegoś, czym bawią się dzieci w ich pokoju. Strzępek ognia, który drażni. Ale nie podnosi go. Zwykle pochyliłaby się, podniosła, zmięła. Nie lubi, gdy coś narusza spokój tego saloniku, dzieci lub Nate ze swymi śladami trocin i oleju lnianego. Mogą robić bałagan w swoich pokojach, którymi nie musi się zajmować. Kiedyś myślała o roślinach w tym saloniku, jak również w sypialni, ale zrezygnowała. Nie chce niczym się opiekować.

Zamyka oczy. Chris jest tutaj z nią, ciężki, zdyszany, jak powietrze przed burzą. Duszna, posępna atmosfera. Ale nie dlatego, że nie żyje, zawsze był taki. Przypierał ją do drzwi, z rękami zaciskającymi się wokół niej, z masywnymi ramionami, gdy chciała go odepchnąć, z twarzą spoczywającą ciężko na jej policzkach, uosobienie siły grawitacji. Opierał się o nią. Jeszcze nie pozwolę ci odejść. Ona nienawidzi, kiedy ktoś ma nad nią władzę. Nate nie ma tego rodzaju siły, nigdy nie miał. Poślubiła go z łatwością, jakby mierzyła but.

Jest w pokoju przy Parliament Street, pije wino; z rozlanych szklanek powstały morwowe obwódki na linoleum jego wypożyczonego stołu; ona dostrzega wzór na ceracie, pozbawione gustu wiązanki kwiatów, zielone na żółtym tle. Oni zawsze szepczą w tym pokoju, bez potrzeby. Nate znajduje się daleko, kilka mil stąd i on wie, gdzie ona jest, zostawia

numer telefonu, gdyby zdarzyło się coś ważnego. Ich szepty i jego płonące oczy, jak błysk główek gwoździ. Miedzianych, główek, Centy na oczach. Trzyma jej rękę w poprzek stołu, jakby się bał, że gdy odejdzie, ona ześlizgnie się przy krawędzi stołu, krawędzi jakiegoś klifu i zginie na zawsze. Albo on zginie.

Słucha i patrzy na pomarszczoną powierzchnię stołu, na pękatą świecę, którą kiedyś kupił u ulicznego sprzedawcy, na specjalnie lepkie plastikowe kwiaty i na sowę bez oczu, skradzioną z pracy, to jego makabryczny żart. Wiązanki poruszają się powoli na powierzchni stołu jak na oleistym morzu, płyną. Potem oni wstają, gwałtowność jego rąk, przytrzymujących ją, wszystko przytrzymuje, słone ciało rozpostarte na jej ciele, gęste jak ziemia, na tym łóżku, na którym nigdy nie zostanie, by spać, z prześcieradłami zawsze trochę wilgotnymi, przesiąkniętymi dymem papierosowym; przytrzymuje, aż nic już nie będzie można przytrzymać. Nigdy nie widziała tego pokoju w świetle dziennym. Nie chce sobie wyobrazić, jak teraz wygląda. Nagi materac. Ktoś przyszedł, wyczyścił podłogę.

Otwiera oczy. Musi się skoncentrować na czymś prostym i jasnym. Na kredensie są trzy miseczki, różowofioletowe z porcelany, Kayo, jednego z najlepszych projektantów. Ufa swojemu gustowi, wie dostatecznie dużo, by mu zawierzyć. Kredens jest z sosny, kupiła go, nim sosna stała się modna. Teraz nie mogłaby sobie nań pozwolić. To ładna sztuka i miseczki są ładne. Wszystko, co jest w tym pokoju, musi być w dobrym guście. Jej wzrok prześlizguje się po miseczkach, po ich subtelnym kolorach, ich lekko asymetrycznej krzywiźnie. Nic w nich nie ma. Co można by włożyć do tych miseczek? Ani kwiatów, ani listów. Są przeznaczone do czegoś innego, są przeznaczone na ofiarę. Teraz zawierają własną przestrzeń, swoją pięknie uformowaną nieobecność.

*

To był twój pokój i wszystko inne znajdowało się na zewnątrz, i istniała przegroda pomiędzy nimi. Ty niosłeś ten pokój ze sobą, jak zapach; to był zapach formaldehydu, wewnątrz starych szafek, zapach mysi, tajemniczy jak piżmo, mroczny i mocny. Kiedy tylko byłam z tobą, byłam w tym pokoju, nawet gdy znajdowaliśmy się na zewnątrz, nawet gdy byliśmy tutaj. Jestem w nim teraz, tylko że tym razem zamknąłeś drzwi, brązowe, z łuszczącą się farbą, lakierem, zamkiem koloru mosiądzu i łańcuchem, a obok widać dwie dziury w drzewie po kulach, gdy jak mi powiedziałaś, strzelano w holu przed tygodniem. Nie była to bezpieczna okolica. Zawsze brałam taksówkę i prosiłam kierowcę, aby zaczekał, nim nacisnę domofon i znajdę się bezpieczna w foyer z pełną szpar mozaikową podłogą. „Bezpieczna” to brzmi jak żart. Drzwi są zamknięte nie po raz pierwszy; nie chcesz mnie wypuścić. Zawsze wiedziałaś, że chcę wyjść. Ale jednocześnie byliśmy spiskowcami, wiedzieliśmy o sobie takie rzeczy, których nikt inny nigdy nie będzie znał. W pewien sposób ufam ci bardziej niż komukolwiek innemu.

- Muszę już iść - mówi ona. On bawi się jej włosami, skręca je, odkręca. Palcem wskazującym lewej ręki wodzi pomiędzy jej wargami, po zębach; ona czuje zapach wina i własny pot, swój własny smak, krew z pogryzionej wargi, nie wie czyjej.

- Dlaczego? - pyta on.

- Muszę. - Nie chce powiedzieć, że z powodu „dzieci”, bo to go złości. Ale ona nie chce, aby dzieci, gdy się obudzą, nie wiedziały, gdzie ona jest.

On nie odpowiada. W dalszym ciągu skręca jej włosy, swoimi włosami masując jej szyję, jakby to były pióra; teraz jego palce przesuwają się po jej brodzie i szyi, jakby był głuchy, jakby nie mógł jej słyszeć.

LESJE

Sobota, 30 października 1976

Lesje spaceruje obok Williama, z ręką w jego zimnej dłoni. Nie ma tu dinozaurów; tylko podobni do nich spacerowicze w poszukiwaniu zdobyczy, oczywiście bezcelowej zdobyczy w oświetlonej sieci centralnego miasta. Gdy tak idą, Lesje ogląda wystawy sklepów z odzieżą, magazynów, ocenia trupie manekiny, które stoją z wysuniętymi miednicami, rękami na biodrach, nogami rozstawionymi, zgiętym kolanem. Gdyby te ciała się poruszały, wirowały, można by pomyśleć, że zbliżają się do finałowego orgazmu striptizerek. Ale te manekiny są z gipsu i drutu, a więc są w dobrym guście.

Lesje ostatnio spędziła wiele czasu w tych sklepach w drodze z pracy do domu. Przeglądała półki, szukając czegoś dla siebie, czegoś, co by do niej pasowało. Na ogół nic nie kupuje. Suknie, które mierzy, są długie, z fałdami, z ozdobami, bardzo różne od drelichowej odzieży, od klasycznych ubiorów, w których zwykle chodzi. Niektóre mają obszerne spódnice jak spódnice wieśniaczek. Ależ śmiałyby się jej babcia. Ten dźwięk przypominający skrzypienie drzwi wydobywał się spoza jej małych rąk koloru orzecha włoskiego.

Myślała o tym, by przekłuć sobie uszy. Czasem po obejrzeniu ubrań idzie do stoiska z perfumami i próbuje perfumy różnych firm, skrapiając sobie nadgarstki. William twierdzi, że nie interesują go stroje. Zależy mu tylko na tym, by nie obcięła włosów. To dobrze, gdyż ona wcale nie ma takiego zamiaru. Z niczego nie musi rezygnować.

William pyta ją, czy chciałaby się czegoś napić. Ona ma ochotę na kawę. Nie wyszli z domu po to, by pójść do kawiarni; mieli pójść do kina. Ale zbyt długo ślęczeli nad stronami „Star” dotyczącymi rozrywki, by powziąć decyzję.

Każdy z nich chciał, aby drugie wzięło odpowiedzialność na siebie. Lesje chciała obejrzeć powtórkę King Konga podczas uniwersyteckiego festiwalu filmów. William przyznał się, że zawsze chciał zobaczyć Szczęki. Lesje nie sprzeciwia się, ciekawi ją, jak zrobiono rekina, który stanowi jedną z bardziej prymitywnych, wciąż istniejących form życia. Zapytała Williama, czy wiedział, że rekiny mają pęcherze pławne i gdy zawiesi się je ogonem, następuje paraliż. William o tym nie wiedział. Kiedy przyszli do kina, nie było już biletów na Szczęki, a seans z King Kongiem zaczął się pół godziny wcześniej. A więc poszli na spacer.

Teraz siedzą przy małym białym stoliku na drugim poziomie Kolumnady. William ma galliano, a Lesje kawę wiedeńską. Liże krem z łyżeczki, a William wybaczył jej spóźnienie do kina i wyjaśnia ostatni problem swojej pracy; czy więcej energii się traci, wykorzystując ciepło ze spalania śmieci, by poruszać generatory pary, czy też od razu ze spalania tej materii. William jest inżynierem, specjalizuje się w problemach środowiska, chociaż cichy, ochryply głos dobiegający jakby spoza niej mówi o wykorzystaniu ścieków. Jednak Lesje, słuchająca go pilnie, podziwia jego pracę i zgadza się z nim, że ma ona większe znaczenie dla przetrwania rasy ludzkiej niż jej. To prawda, że wszystkim nam zagraża utopienie się we własnym gównie. William nas ocali. Widzisz to, gdy patrzysz na niego, na jego ufność, jego entuzjazm. William zamawia drugie galliano i rozwija swoje plany generowania metanu z dekompozycji odchodów. Lesje mruczy pochwały. Między innymi to przyczyni się do rozwiązania kryzysu naftowego.

(Ale prawdziwy problem polega na tym, czy ona się przejmuje, czy rasa ludzka przetrwa. Lesje nie wie. Dinozaury nie przetrwały i nie nastąpił koniec świata. W ponurych chwilach, a uświadamia sobie, że taka właśnie jest teraz,

czuje, że rasa ludzka zbliża się do takiego momentu. Natura wymyśli coś innego. Albo i nie).

William mówi o robakach w nawozie. On jest dobrym człowiekiem; dlaczego ona tak mało go ceni? Kiedyś te robaki interesowały ją. Sposób, w jaki Australia rozwiązała problem pastwisk - warstwy suchych bobków owiec i krowich placków przeszkadzały wzrostowi trawy - masowo importując ogromne afrykańskie robaki żyjące w gnoju; ta metoda przynosiła kiedyś nadzieję. Lesje, tak jak William, uważa, że jest to eleganckie rozwiązanie ekologiczne. Ale słyszała już o tym wielokrotnie, przedtem i przedtem. W końcu optymizm Williama, jego wiara, że każdej katastrofie można zapobiec, znajdując właściwe rozwiązanie, przemawia do niej. Sądzi, że mózg Williama przypomina różowe policzki, bez zarostu. William Wasp (WASP - biały protestant, pochodzenia anglosaskiego. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).), tak o nim mówiła, z czułością, dopóki nie uświadomiła sobie, że on uważa to określenie za zniewagę rasistowską.

- Nie wołam na ciebie Lesje Latvian - powiedział przybity.

- Lesje Litwinka - poprawiła go. William nie orientował się w państwach bałtyckich. - Nie szkodziłoby, abyś się tego nauczył. - Ale kłamała. - Czy mogę cię nazywać William Kanadyjczyk?

Och, Billy, chłopcze, czarujący Billy. Gdzie byłeś cały dzień? Krótco po tej rozmowie posprzeczali się na temat drugiej wojny światowej. Według Williama Brytyjczycy i oczywiście Kanadyjczycy, łącznie z jego ojcem, kapitanem marynarki, przystąpili do wojny z wyższych moralnych zasad, by ocalić Żydów, by nie stali się częsteczkami gazu czy guzikami. Lesje nie zgadzała się z tą opinią. Ocalenie kilku Żydów to była sprawa drugorzędna. Naprawdę chodziło o to, by prowadzić politykę rabunkową. Hitler spaliłby Żydów, ku

swojemu zadowoleniu, gdyby nie zdobył Polski i nie wkroczył do Niderlandów. William neguje taki punkt widzenia. Lesje więc wspomina los swojej ciotki Rachel, której nie ocalono i której złote zęby tkwią na jakimś szwajcarskim koncie. Cóż można odpowiedzieć takiemu wzburzonemu duchowi? William robi unik i idzie do łazienki się ogolić. Lesje czuje się trochę rozczarowana.

(Jej inna babcia, matka jej matki, powiedziała: „Najpierw powitaliśmy Hitlera. Myśleliśmy, że będzie lepszy od Rosjan. A widzisz, co się teraz stało”. To zakrawało na ironię, gdyż jej mąż był właściwie komunistą żyjącym na Ukrainie. Dlatego musieli opuścić kraj - z przyczyn politycznych. On nawet nie chodził do kościoła, jego noga nie przestąpiła przez próg kościoła. „Pluję na kościół”, zwykł mówić. Mimo upływu lat od jego śmierci, babcia Lesje wciąż go oplakuje).

Zauważyła niedawno, że już nie czeka, kiedy William jej się oświadczy. Kiedyś myślała, że to nastąpi samo z siebie. Najpierw żyjesz z kimś razem, aby spróbować, jak to będzie w przyszłości. Potem bierzesz ślub. Tak postępowali jej przyjaciele z uniwersytetu. Ale, teraz to widzi, dla Williama jest osobą niezmiernie egzotyczną. To prawda, że ją kocha w swoisty sposób. Gryzie ją w szyję, gdy się kochają. Lesje nie przypuszcza, że tak by się zachowywał z kobietą podobną do niego. Kochaliby się jak dwa łososie, zachowując dystans, William zapłodniłby srebrne jajeczka z odpowiedniej odległości. Myślałby o swoich dzieciach jako „problemie”. Swoim problemie.

To jest sedno sprawy: William nie chce mieć z nią dziecka, chociaż o tym napomykała; chociaż rzucała się na niego bez przygotowania. Wiesz co, William, mam bułeczkę w piecu. Twoją bułeczkę. No cóż, on powie, wyjmij ją. Bardzo niesprawiedliwie myśli o Williamie. On podziwia jej umysł. Zachęca ją, by używała języka technicznego w

obecności przyjaciół. Zżyma się, gdy mówi o epoce plejstocenijskiej. Mówi jej, że ma śliczne włosy. Patrzy w jej ciemnoniebieskie oczy. Ona jest jego łupem, świadectwem jego szerokich zainteresowań, dlatego jest z niej dumny. Ale co by pomyślała jego rodzina w Ontario?

Lesje wyobraża sobie, że jest to liczna rodzina o różowych policzkach i blond włosach. Jej członkowie spędzają większość czasu, grając w golfa, pomiędzy zaciętą grą w tenisa. A poza tym siedzą na tarasie - widzi ich nawet zimą - i piją koktajle. Są grzeczni wobec obcych, ale wymieniają uwagi za ich plecami w stylu „facet nie wie, kim jest jego dziadek”. Lesje zna życie swoich dziadków; gorzej z pradziadkami.

Wie, że rodzina Williama wcale taka nie jest, ale, jak jej rodzice, dodaje dodatkowe szczeble do drabiny każdemu, kto ma autentycznie brytyjskie nazwisko. Wie, że nie powinna tego czynić. Rodzina Williama prawdopodobnie nie ma więcej pieniędzy niż jej. Ma tylko więcej pretensji.

Kiedyś bała się ich spotkać, bała się ich werdyktu. Teraz bardzo by chciał. Umalowałaby zęby na kolor złoty i grałaby na tamburynie, tupałaby nogami, z głową omotaną szalami. Spełniając ich straszliwe oczekiwanie. Jej babcia klaskałaby swymi maleńkimi rękami, piskliwie się śmiejąc, dodając jej odwagi. „Myśmy rozmawiali z Bogiem, gdy oni rozmawiali ze świniami”. Jakby wiek dla ludzi, jak i dla sera stanowił plus.

- W erze nowego dewonu nie było robaków w gnoju - mówi Lesje.

- Nie nadażam za tobą - stwierdził krótko William.

- Tylko się zastanawiałam. Pomiedzy równoległą ewolucją robaków i gnoju. Na przykład: Co było pierwsze, człowiek czy choroba weneryczna? Chyba gospodarze zawsze muszą wyprzedzać swoje pasożyty, ale czy to prawda? Może

człowieka odkryły wirusy, aby mieć odpowiednie miejsce do życia.

William uważa, że ona żartuje. Śmieje się.

- Nabijasz się ze mnie - mówi. Według niego ona ma niekonwencjonalne poczucie humoru.

Albertozaurus albo - jak woli Lesje - gorgozaurus przepycha się przez północną ścianę Kolumnady i staje tam niepewnie, wachając nieznanego zapachu ludzkiego mięsa, balansując na swoich potężnych tylnych nogach, karłowatych przednich kończynach z ostrymi jak brzytwa pazurami utrzymanymi przy klatce piersiowej. Za chwilę William Wasp i Lesje Litvak staną się dwoma kawałkami chrząstki. Gorgozaurus pragnie, pragnie. To brzuch na nogach, połknąłby świat, gdyby mógł. Lesje, która sprowadziła go tutaj, przygląda się temu z przyjaznym obiektywizmem.

„To już twój problem, William”, myśli Lesje. „Rozwiąż go”.

NATE

Sobota, 30 października 1976

Nie ma na sobie płaszcza przeciwdeszczowego. Krople lekkiej mżawki padają na jego sweter, brodę, zbierają się na czole. Ponieważ nie ma płaszcza, jest mokry i drży, czyż ona może go nie wpuścić?

Stawia rower na podjeździe, przyczepia łańcuchem do krzewu bzu, zatrzaskuje zamek. Jak zwykle; ale dzisiaj nie jest jak zwykle. Nie widział jej miesiąc. Cztery tygodnie. Jej łyzy, jego poczucie winy i wiele sentymentalnej gadaniny obojga: „Tak jest lepiej”. Ona dzwoniła do niego wiele razy, chciała, aby przyszedł, ale on tego unikał. Nie lubi robić tego samego wielokrotnie, nie lubi czegoś, co można z góry przewidzieć. Jednak tym razem on do niej zadzwonił.

Ona mieszka w apartamencie 32A, w jednym ze starych domów na wschód od Sherbourne. Główny numer jest od frontu, wejście A na boku. Gdy zadzwonił, ona otwiera mu drzwi natychmiast. Czekala na niego. Ale włosy nie są świeżo umyte i nie ma na sobie welwetowego szlafrocza; jest w zwykłych dżinsach i wyciągniętym jasnozielonym swetrze. Trzyma pusty do połowy kieliszek. Pływają w nim skórka cytryny i kostka lodu. Na wzmocnienie.

- Hej - mówi. - Mamy szczęśliwą rocznicę.

- Czego?

- Sobota to zawsze był nasz dzień. - Jest trochę pijana, jest zgorzkniała. Nie może jej za to winić. Zresztą Nate z trudem wini kogokolwiek. Może zrozumieć jej rozgoryczenie. Nie potrafi tylko temu zaradzić. - Nie, żeby ona, tego przestrzegala - kontynuuje Martha. - Nagły wypadek tu, nagły wypadek tam.

Tak mi przykro, że przeszkadzam, ale z dzieci odpadła głowa. - Martha się śmieje.

Nate chciałby chwycić ją za ramiona i potrząsnąć nią, rzucić na ścianę. Ale oczywiście nie może tego zrobić. Natomiast stoi, spływa z niego woda na podłogę w holu, i patrzy na nią głupio. Czuje, że jego ciało zwisa na kręgosłupie, ciało ciągnie się jak gorący cukierek toffi na patyku. Nie biegajcie z patykiem w ustach, mówił swoim dzieciom, widząc w myślach, jak się przewracają i jak patyk przebija im podniebienie. Bieganie, klęczenie, podnoszenie, jęk, wyrażony jego głosem. O Boże.

- Możesz nie mieszać do tego dzieci? - mówi.

- Dlaczego? Przecież tkwią w tym, prawda? - Odwraca się od niego i idzie do saloniku.

„Powiniennem teraz wyjść”, myśli Nate. Ale idzie za nią, ślizgając się najpierw w mokrych butach, a potem stąpając po starym dywanie. Długoletnia rutyna.

Tylko jedno światło się pali. Ona to zainscenizowała. Martha siada w cieniu na sofie. Pluszowej sofie, gdzie pierwszy raz ją pocałował. Rozpostarł jej włosy i gładził na jej szerokich ramionach. Szerokie, zdolne ręce. Myślał, że będzie bezpieczny w tych ramionach, pomiędzy tymi kolanami.

- Zawsze miała jakiś pretekst - mówi Martha. Nosi ręcznie robione wełniane ranne pantofle. Elizabeth nigdy by nie nosiła takich.

- To nie jest tak, że ona cię nie lubi - oznajmia Nate. Już przedtem o tym mówili.

- Tak - stwierdza Martha. - Dlaczego ma nie lubić pokojówki? Ja wykonałam brudną robotę dla niej. Powinna była mi zapłacić.

Nate czuje, nie po raz pierwszy, że za dużo mówił tej kobiecie. Źle interpretuje jego słowa, wykorzystuje jego tajemnice przeciwko niemu.

- To nie jest fair - mówi. - Ona cię szanuje. Nigdy nie próbowała się wtrącać. Po co? - Nie odpowiada na wzmiankę

o brudnej robocie. „Czy tak to odczuwasz?“, chciałby zadać to pytanie, ale boi się odpowiedzi: „Obróć wszystko w popiół“. Zwykła rozmowa przy szafkach w szkole średniej. Czuje, że rozsiewa nieprzyjemną woń, mokrych skarpetek, terpentyny na swoich spodniach. Ona zwykle docinała mu, szorując mu plecy, gdy siedzieli w jej wannie: „Twoja żona nie troszczy się o ciebie“. Wiele razy tak mówiła.

- Tak - odzywa się Martha. - Po co? Zawsze chciała mieć ciastko i zjeść je. To ty, Nate. Elizabeth jest ciastkiem. Ty jesteś kawałkiem ciastka.

Nate przypomina sobie, że gdy pierwszy raz ją zobaczył za biurkiem w kancelarii Adams, Prewitt i Stein, ona ukradkiem żuła gumę; zrezygnowała z tego zwyczaju, kiedy on zwrócił jej uwagę, że tego nie lubi.

- Rozumiem, dlaczego jesteś zła - mówi. To jedno z posunięć taktycznych Elizabeth, rozumieć, i on czuje, że ukradł tę metodę. Tak naprawdę to wcale nie rozumie. Elizabeth również, gdy coś jemu wyjaśnia. Ale to zwykle działa.

- Nic mnie nie obchodzi, czy rozumiesz, czy nie - mówi wojowniczo Martha. Patrzy wprost na niego, chociaż jej oczy są w cieniu.

- Nie przyszedłem, aby o tym mówić - oświadcza Nate, nie bardzo wiedząc, o czym właściwie rozmawiają. W takich rozmowach jak ta nigdy się dobrze nie orientuje. Jasne jest tylko to, że według niej on nie zachowuje się właściwie. On ją skrzywdził. On wyrządził jej krzywdę. Ale on próbował być uczciwy od początku, nie kłamał. Ktoś oceniłby to jako chlubny postępek.

- A więc po co przyszedłeś? Dlaczego uciekłeś od mamusi? Chciałeś, aby inna miła pani dała ci ciasteczko do plecaka?

Nate uznał te słowa za brutalne. Nie odpowiada. Tego przecież chciał, ale nie w tej chwili.

Martha ociera ręką usta i nos. Przyćmiła światło, teraz Nate domyśla się, że nie dla romantycznych efektów; bała się, że się rozpłacze, i nie chciała, aby on to zauważył.

- Nie możesz z tym skończyć, i to tak łatwo.

- Myślałem, że możemy porozmawiać.

- Słucham - mówi Martha. - Naprawdę jestem w tym dobra.

Nate nie sądzi, że to prawda. Jest w tym dobra, gdy on mówi o niej. Wtedy jest cała zaszuchana. „Masz najlepsze uda na świecie”. Ona ma przyjemne uda, ale najlepsze na świecie? Skąd on może wiedzieć?

- Chyba słyszałaś, co się stało - odzywa się wreszcie. Nie może powiedzieć, dlaczego wskutek śmierci Chrisa szuka pocieszenia. Zgodnie z ludową mądrością powinien się cieszyć, już nie ma rogów, plamę na jego honorze wywabiła krew.

- Mówisz o Elizabeth. Każdy w tym mieście wie, co się dzieje u kogoś innego. Wszyscy do mnie przychodzili i opowiadali. Uwielbiają to. Lubią patrzeć na mnie, kiedy wymawiają twoje nazwisko. Wasze nazwiska. Kochanek Elizabeth rozwalił sobie głowę. Czasami mówią „mężczyzna” Elizabeth. Co z tego? Co ja mam na to powiedzieć? Mocne cycki? Obsłużył ją dobrze? Ona wreszcie go zdobyła?

Nate nigdy nie wiedział, że może być taka okrutna, nawet podczas ich najbardziej gwałtownych sprzeczek. Na początku lubił w niej jej nieuchwytność, jej brak skupienia, jej migotliwą mglistość. Teraz wydaje się, że spadła z dużej wysokości na chodnik i tam zamarzła.

- Ona nie spotykała się z nim od pewnego czasu - mówi Nate, stojąc po stronie Elizabeth, zmuszony przez Marthę. -

On chciał, aby zostawiła dzieci, lecz ona nie mogła tego zrobić.

- Oczywiście, że nie - mówi Martha. Patrzy na pusty kieliszek, opuszcza go na dywan pomiędzy nogami. - Supermama nigdy nie może zostawić dzieci. - Zaczyna płakać, nie próbując ukryć twarzy. - Przeprowadź się do mnie. Zamieszkać ze mną. Chcę tylko, abyśmy dali sobie szansę.

Nate myśli, że może już mieli, ale stracili. Zaczyna wstawać z fotela. Za chwilę ona rzuci się na niego, ramionami oplecie jego szyję jak wodorosty, wilgotną twarz położy na piersi, macicę oprze na nim, gdy on tak będzie stać i więdnąć.

- Czy wiesz, jak ja się czuję? - mówi Martha. - Jak z romansu z kucharką, romansu na tylnych schodach, tylko że wszyscy o tym wiedzą; ty wracasz do domu na noc do swojej przeklętej żony i twoich przeklętych dzieci, a ja czytam kryminały do rana, by nie zwariować.

Nate zastanawia się nad słowem „kucharka”. Jej metafory go zadziwiają. Kto ma obecnie tylne schody? Pamięta, jak pewnego wieczoru oboje owinięci prześcieradłem, na łóżku, pijąc dzin, oglądali w telewizji Schodami w górę, schodami w dół i śmiali się. Pokojówka w ciąży z synem i dziedzicem wysłuchiwała wymówek jego matki, udzielanych z lodowatą twarzą. Było to na początku, gdy dobrze im było razem. To nie było w sobotę; to było, nim Elizabeth powiedziała: „Bądźmy rozsądni w tej sprawie. Musimy wiedzieć, że w pewnych okolicznościach możemy na siebie liczyć”. Ona brała czwartki, on soboty, gdyż to był weekend i Martha nie musiała wcześniej wstawać następnego dnia. A pewnego wieczoru, gdy Martha powiedziała: „Chyba jestem w ciąży”, pomyślał: „Elizabeth się z tym nie pogodzi”.

Jeżeli będę ją pocieszać, powie, że jestem hipokrytą. Jeżeli tego nie uczynię, powie, że jestem sukinsynem. Trzeba wyjść,

dopóki jest jeszcze czas. To był duży błąd. Wziąć buty z frontowego holu; szkoda, że zamknąłem łańcuch na rowerze.

- Może zjemy kiedyś lunch - mówi przy drzwiach saloniku.

- Lunch? - Jej głos towarzyszy mu aż do holu. - Lunch? - Nie ustępujący jęk.

Pedałuje na rowerze w deszczu, celowo nie omijając kałuż, mocząc sobie nogi. Głupiec. Brakuje mu czegoś, co mają inni ludzie. Nigdy nie potrafi przewidzieć przyszłości, nawet gdy to jest proste. To rodzaj deformacji, jak zbyt duży wzrost. Inni ludzie przechodzą przez drzwi, a on uderza się w głowę. Raz lub dwa, już nawet szczur nauczyłby się pochylać głowę. Ile razy jeszcze to się zdarzy? Jak długo to potrwa?

Po pół godzinie zatrzymuje się na rogu ulic Dupont i Spadina, gdzie jest budka telefoniczna. Opiera rower o budkę i wchodzi tam. Szklana kabina, oświetlona, całkowita widoczność. Niedorozwinięty umysłowo facet wchodzi do budki, zdejmuje ubranie, stoi tam, czekając na supermana, by zabrał jego ciało, a ludzie przyglądają się z mijających samochodów, jakieś starsze panie wzywają policję.

Bierze monetę z kieszeni, trzyma ją. Jego żeton, jego talizman, jego jedyna nadzieja na zbawienie. Na drugim końcu linii szczupła kobieta czeka, jej bladą twarz okalają ciemne włosy, ma podniesioną rękę, z palcami uniesionymi jak przy błogosławieństwie.

Nikt nie odpowiada.

ELIZABETH

Niedziela, 31 października 1976

Elizabeth siedzi w kuchni, czekając na niespodziankę. Zawsze zaskakuje ją ta pora roku; zaskakują ją również jej urodziny, Boże Narodzenie, Dzień Matki. Jej dzieci chcą obchodzić ten dzień, chociaż ona tłumaczy im, że to święto handlowców i one nie muszą. Umie okazywać zaskoczenie, jest w tym dobra. Włożyła w to dużo wysiłku, ma dużo praktyki: tego wieczoru nie popełni gafy, będzie podziwiała, mile się uśmiechać, śmiać się. Oddaliła się od nich, musi wracać z daleka, żeby usłyszeć, co mówią. Chciałaby je dotknąć, objąć, ale nie może. Pocałunki na dobranoc na jej policzku są jak zimne krople rosy: ich usta jak doskonałe różowe kwiaty.

Zapach przypiekanej dyni dobiega z holu: z ich dwóch dyni z zapalonymi świeczkami, tych latarenek zawieszonych przy oknie salonu, w prawowity sposób podczas prawowitej nocy. To już dostatecznie podziwiała. Na rozłożonych gazetach w kuchni leżą białe pestki wydrążone z dyni; w swojej groteskowej formie przypominają chirurgię mózgu. Dwie małe dziewczynki drążą wewnątrz pomarańczowych głów łyżeczkami i oskrobują nożami. Małe szalone lekarki. Pracują z takim przejęciem, zwłaszcza Nancy. Chciała, aby jej dynia miała rogi. W końcu Nate zaproponował, by dodać marchewki, i dynia Nancy ma teraz, prócz nachmurzonej miny, po obu stronach rogi. Dynia Janet ma bardziej dobroduszny wyraz twarzy: widać krzywiznę uśmiechu i oczy jak półksiężycy zwrócone do góry. Maluje się na niej spokój, jeśli spojrzeć na nią pod pewnym kątem; idiotyzm, jeśli spojrzeć pod innym. Twór Nancy emanuje straszliwą energią, demoniczną radością.

Będą się tak palić przez cały wieczór, a potem święto się skończy. Janet, rozsądne dziecko, wyrzuci swoją dynię do

śmietnika, gotowa do innej zabawy. Nancy, jeżeli ostatni rok może o czymś świadczyć, będzie opiekowała się swoją; postawi ją na komodzie, a gdy zacznie gnić, wyrzuci ją niechętnie.

Przez wzgląd na dziewczynki zgasła światło i siedzi w ciemności, tylko z jedną zapaloną świeczką; nie była w stanie wytłumaczyć im, dlaczego nie chce brać w tym udziału. Światło migocze na ścianach, na brudnych naczyniach, czekających, by ktoś je oczyścił i wstawił do zmywarki w myśl napisu, który sama przybiła rok temu na kredensie: „Posprzątaj po sobie”. Rozsądna rada. To wciąż jest rozsądna rada, ale sama kuchnia się zmieniła. Nie jest już przytulna, nie jest już takim miejscem, w którym można realizować rozsądną radę. Na lodówce znajduje się obrazek z lekko podwiniętymi brzegami, dzieło Nancy z zeszłego roku; na nim dziewczynka z czerwonymi, szeroko uśmiechniętymi ustami, słońce świeci żółtymi promieniami; niebo jest niebieskie, wszystko jest takie, jakie powinno być. Jakaś obca kraina.

Jakiś ciemny cień wpada do niej.

- Hej, mamusiu.

- O, kochanie - odzywa się Elizabeth. - Pokaż.

- Czy naprawdę można się mnie bać? - pyta Nancy, zginając palce i pokazując groźnie pazurki.

- Tak, można się ciebie przestraszyć, kochanie - mówi Elizabeth. - Czy to nie cudowne?

Nancy przygotowała inną wersję swojego ulubionego kostiumu. Nazywa go potwór, każdego roku. Tym razem przypięła pomarańczowe łuski do swojego czarnego lamparta; przerobiła starą maskę głowy kota Janet, dodając ze srebrnej cynfolii rogi i cztery czerwone kły, dwa górne i dwa dolne. Jej oczy błyszczą zza maski kota. Jej ogon, dawny ogon kota Janet, ma teraz trzy czerwone tekturowe kolce. Elizabeth sądzi, że coś innego niż gumowe boty byłoby

odpowiedniejsze, ale wie, że nie należy krytykować. Nancy jest tak podniecona, że mogłaby wybuchnąć płaczem.

- Nie krzyczałaś - mówi Nancy z wymówką i Elizabeth uświadamia sobie, że zapomniała. To błąd.

- To dlatego, że zabrakło mi tchu. Za bardzo się bałam, by krzyczeć.

Nancy jest zadowolona z tej odpowiedzi.

- Oni naprawdę będą się bać. Nie będą wiedzieli, kim jestem. Teraz twoja kolej - mówi do siostry i zjawia się Janet. Stara się wypaść przeciętnie; zbyt oryginalny strój budzi śmiech, jak to się czasami zdarza Nancy.

Tego roku nie nałożyła maski. Zrobiła sobie makijaż; czerwone usta, czarne łukowate brwi, róż na policzkach. To nie są kosmetyki Elizabeth, gdyż ona z zasady z nich nie korzysta. Z pewnością nie używa czerwonej szminki. Janet ma na sobie szal zrobiony z jaskrawego obrusu w kwiaty, który ktoś im podarował - matka Nate'a? - i który Elizabeth szybko dała dzieciom do zabawy. Pod szalem sukienka Elizabeth, zebrana w pasie, bo była za długa, i przewiązana czerwoną barwną chustką. Wygląda w tym stroju niezwykle staro, jak kobieta skurczona przez wiek do wymiarów dziesięcioletniego dziecka; albo jak trzydziestoletni karzełek. Niepokojący efekt. Coś z prostytutki.

- Cudownie, kochanie - mówi Elizabeth.

- Mam być Cyganką - wyjaśnia Janet; wie instynktownie, że nie można liczyć na to, że Elizabeth się domyśli, a pragnie oszczędzić jej zakłopotania i zadawania pytań. Kiedy była młodsza, objaśniała w ten sposób swoje rysunki. Natomiast Nancy była urażona, jeżeli się nie rozumiało ich treści.

- Czy wróżysz? - pytają Elizabeth.

- Tak - mówi i dodaje: - Nie naprawdę - uśmiecha się chytrze, wydymając jaskrawoczerwone wargi.

- Skąd wzięłaś moją sukienkę? - wypytuje Elizabeth ostrożnie.

Dzieci powinny zapytać przed pożyczeniem różnych rzeczy, ale nie chce zepsuć wieczoru, robiąc z tego problem.

- Tatuś powiedział, że mogę wziąć - odpowiada grzecznie Janet. - Powiedział, że już jej nie nosisz.

To ciemnoniebieska sukienka; ostatnim razem miała ją na sobie, gdy była z Chrisem. Jego ręce były ostatnimi, które odpięły haftkę na plecach; gdy włożyła sukienkę przed pójściem do domu, nie zapięła jej. To przykre, gdy widzi, że jej córka ją nosi, to zaproszenie, tę flagę seksu. Nate nie ma prawa decydować o jej rzeczach. Chociaż jest prawdą, że ona już w niej nie chodzi.

- Chciałam ci zrobić niespodziankę - mówi Janet, czując, że wywołała konsternację.

- Wszystko w porządku, kochanie - mówi Elizabeth; te wiecznie magiczne słowa. Dla nich większe znaczenie ma sprawienie jej niespodzianki niż Nate'owi. Czasem nawet jego się radzą. - Czy tatuś już to widział?

- Tak - odpowiada Janet.

- Przypiął mi ogon - odzywa się Nancy, skacząc na jednej nodze. - On teraz wychodzi.

Elizabeth idzie do frontowych drzwi, by odprowadzić córki; stoi w oświetlonym prostokacie, gdy one oceniają schodki werandy, by nie zniszczyć maski i ogona Nancy. Mają ze sobą torby na zakupy, największe, jakie znalazły. Elizabeth skończyła już z instrukcjami typu: „Tylko ta przecznica. Zostań z Sarą, bo ona jest starsza. Nie przechodźcie na środku ulicy, tylko na rogu. Nie zamęczajcie ludzi, jeżeli nie chcą otworzyć drzwi. Niektórzy mogą nie rozumieć, ich zwyczaje są inne. O dziewiątej jesteście w domu”.

Dobiegają inne głosy: „Bulcie forse! Bulcie!” „Wiedzmy wyszły na dwór!” To zabawa, z której kiedyś była wyłączona.

Nie wolno im było mieć dyni, przebierać się i wrzeszczeć na ulicy jak inne dzieci. Musiały wcześniej kłaść się spać i leżeć w ciemności, słuchając z daleka śmiechu. Ciocia Muriel nie chciała, by jadły dużo cukierków, a potem musiały chodzić do dentysty.

NATE

Niedziela, 31 października 1976

Najpierw Nate myje starannie ręce mydłem z płatków owsianych, które teraz lubi także Elizabeth. Jest w nim coś przykrego, szkockiego, pokutnego. Kiedyś pobłażała sobie, kupując mydła o zapachu drzewa sandałowego, cynamonu, piżma, z woniami arabskimi. To wtedy kupowała płyny o egzotycznych nazwach i czasami flakonik perfum. Nie smarowała go tymi płynami i nie dla niego perfumowała się za uszami, chociaż mgliście pamięta dni, kiedy mogło tak być. Wie, że mógłby sobie wyraźnie przypomnieć, gdyby chciał, ale nie chce o tym myśleć, o tych zapachach, tym wonnym tańcu émy wykonanym tylko dla niego. Po co się dręczyć? Wszystko minęło, flakoniki są puste, rzeczy się zużywają.

A więc teraz jest mydło z płatków owsianych, dobre na popękana skórę i odmrożenia. Poza tym dla rąk nic bardziej wyszukanego niż gliceryna i woda różana.

Nate smaruje sobie ręce. Na ogół nie używa kosmetyków Elizabeth; tylko wtedy, gdy jak teraz ma szorstkie ręce po oczyszczeniu ich varsolem, by zmyć z nich farbę i poliuretan. Jednak zawsze zostaje brązowa linia, półksiężycowe obwódki przy paznokciach; i nigdy nie może się pozbyć zapachu farby; kiedyś lubił ten zapach. Mówił mu: „Istniejesz”. Z dala od abstrakcji papieru, nakazów sądowych, ponoszonych szkód, zawilości języka tak suchego, że pozbawionego jakichkolwiek wartości uczuciowych. Było tak w dniach, kiedy fizyczne przedmioty miała otaczać aura magii, tajemnicy o większym znaczeniu niż słabnąca siła, powiedzmy, polityki czy prawa. On odszedł w trakcie trzeciego roku praktyki. Zajmij etyczne stanowisko. Rozwijaj się. Zmieniaj się. Realizuj swój potencjał.

Elizabeth aprobowała to posunięcie, gdyż doprowadziłoby to jej ciotkę do wściekłości; jej pobłażliwość świadczyła, że

wcale nie była taka jak ciocia Muriel. Ale wraz z upływem czasu, gdy on nic nie osiągnął, ona coraz mniej aprobowała jego zachowanie. Jedynie popierała go. Ten dom, naprawdę za mały, z lokatorami na drugim piętrze, warsztatem w piwnicy, miał służyć im tylko przez pewien czas, przypominała mu o tym. Potem przestała przypominać.

To częściowo jej wina. Część jej pragnie uczuciowego, zubożalego artysty, a część silnego, rzutkiego prawnika. Ona poślubiła prawnika, potem uznała ten fakt za zbyt konwencjonalny. Co on ma zrobić?

Czasami, chociaż nie często, Nate myśli o sobie jak o bryłce kim, beznadziejnie ugniatanego ciągłymi żądaniami i ostrą dezaprobatą kobiet, z którymi jest związany. Z obowiązku chce, aby były szczęśliwe. Ale ponosi fiasko, nie wskutek wewnętrznej słabości czy braku woli, ale dlatego, że ich pragnienia są tak różne. I jest wiele tych kobiet. Jest ich dużo, roją się.

- Zabawki - powiedziała jego matka. - Czy to jest pożyteczne? - A miało to znaczyć: wszędzie na świecie ludzie są torturowani, więzieni, zabijani, a ty robisz zabawki. Ona chciała, by był radykalnym prawnikiem, bronił niesłusznie oskarżonych. Jak jej powiedzieć, że niezależnie od jałowych pieniężnych transakcji, kontraktów, większość ludzi, z którymi ma do czynienia w firmie Adams, Prewitt i Stein była słusznie oskarżona? Powiedziałyby, że to tylko trening, terminowanie, które musi przejść, by być gotowym na wielką krucjatę.

Biuletyn „Amnesty International” wciąż przychodzi każdego miesiąca, egzemplarz jego matki, z zaznaczonymi odsyłaczami, by wskazać mu, gdzie wysłać grzeczne listy protestacyjne. Dzieci torturowane w obecności matek. Synowie znikający i pojawiający się po miesiącach bez paznokci, z odartą, wypaloną skórą, ze zmiażdżonymi

czaszkami, rozrzuconymi na poboczu. Starzy ludzie w wilgotnych celach umierający na choroby nerek. Naukowcy w sowieckich domach wariatów. Czarni w Afryce Południowej zabijani lub kopani na śmierć podczas „ucieczki”. Jego matka ma przyklejoną do ściany kuchni mapę świata, którą może kontemplować podczas wycierania naczyń. Przykleja małe gwiazdki, czerwone, tak jak nauczyciel zaznacza gorsze oceny drukiem. Te niewinne gwiazdki szkolne oznaczają każdy nowy przypadek tortur czy masowych morderstw; teraz świat jest mgławicą gwiazd, konstelacja na konstelacji.

Mimo to jego matka prowadzi krucjatę, nieustraszona astronomka, zaznacza nowe okrucieństwa, przesyła swoje wiadomości, grzecznie i ładnie napisane na maszynie, całkowicie nieświadoma daremności swych wysiłków. Jeśli chodzi o Nate'a, mogłaby równie dobrze wysyłać te biuletyny na Marsa. Wychowała go tak, aby wierzył, że Bóg jest dobrem tkwiącym w ludziach. Trzeba walczyć dla Boga. Według Nate'a te biuletyny są tak ogromnie bolesne, że nie może ich czytać. Gdy je dostaje, natychmiast wrzuca do kosza, potem idzie do piwnicy, aby walić młotem i cyzelować. Pociesza się myślą, że jego zabawkami bawiłyby się torturowane dzieci, gdyby mogły. Każde dziecko powinno mieć zabawki. Usunięcie wszystkich zabawek, dlatego że niektóre ich nie mają, nie jest właściwym rozwiązaniem. Bez jego zabawek z pewnością nie byłoby o co walczyć. A więc pozwala swojej matce, zacnej kobiecie, układać te listy; on będzie robił zabawki.

Dzisiaj kończy konie na biegunach; pięć z nich; stwierdził, że łatwiej wykonywać je w takiej liczbie. Wczoraj je wyczyścił. Dzisiaj maluje im oczy. Okrągłe, bez wyrazu, oczy istot jeżdżących dla przyjemności innych. Z czarnymi obwódkami jak u dziewcząt z komiksów. On nie chciał, aby konie tak wyglądały: chciał, aby wyrażały radość. Ale ostatnio

coraz częściej mają pusty wyraz oczu, jakby nie mogły go widzieć.

Już teraz nie mówi ludziom, że robi ręcznie drewniane zabawki w piwnicy. Mówi, że pracuje w biznesie zabawek. Nie dlatego, że taką robotę przestano uważać za charyzmatyczną, a nawet ciekawą. On nigdy tak nie myślał; myślał tylko o tym, że to mógłby robić dobrze. Móc zrobić jedną rzecz dobrze, tego chciał. Teraz robi to całkiem nieźle. Bilans się zgadza. Po dostawach i odliczeniach sklepów ma pieniądze, by spłacić połowę procentów kredytu hipotecznego, kupić produkty spożywcze, papierosy, dostatecznie dużo alkoholu. Elizabeth go nie utrzymuje. Ona pracuje dla siebie.

Nate zaczyna się golić. Namydla dolną część twarzy; ma zamiar tylko wyrównać brzegi brody, oczyścić szyję i szczękę z zarostu. Ale brzytwa mknie do góry, okrąża brzegi brody jak kosiarka na trawniku. Zgolił brodę do połowy, nim się zorientował, że zamierza ją zniszczyć. Zza ciemnych szorstkich włosów wyłania się jego twarz, twarz, której nie widział pięć lat, blada z cętkami krwi, przerażona tym widokiem. Jego ręce zdecydowały, że już czas, by stał się kimś innym.

Wyciera twarz. Nie ma płynu po goleniu - tak dawno go nie używał - więc wciera trochę gliceryny Elizabeth i odświeża ogoloną twarz wodą różaną. Twarz, która patrzy na niego z lustra w łazience, jest wrażliwsza, ale również młodsza i groźniejsza; szczęka jest teraz całkiem widoczna, gdy znikł zarost mądrości. Człowiek, który gładzi swoją brodę, to jedno, człowiek, który gładzi swoją szczękę, to drugie.

Przed wyjściem z domu szuka wśród monet na biurku dziesięciocentówek. Potem zmienia skarpetki. Nie przypuszcza, że zdejmie je tego wieczoru; to mało prawdopodobne. A jednak. Jego nogi są białe i chude,

paznokcie szarawożółte; to wpływ życia w piwnicy. Przez chwilę widzi nogi opalone, biegnące, na piasku, na gorącym od słońca kamieniu. Daleko stąd.

LESJE

Niedziela, 31 października 1976

Lesje i William grają w karty. Siedzą przy karcianym stoliku, tym samym, na którym jedzą razem posiłki, obok okna, z którego roztacza się zapierający dech w piersi obraz mieszkania w budynku naprzeciwko. To okno jest oświetlone, ponieważ zapadł mrok; siedzą przy nim dwie osoby i jedzą; według Lesje - spaghetti. Na ulicach w dole mnóstwo się dzieje. Dlatego chciała tu mieszkać, w samym sercu: gdyż tak wiele będzie się działo. „Mnóstwo”, „wiele” - te słowa zachowują swoje pojęcie abstrakcyjne.

Lesje przykleiła papier z dyniami, kupiony u Woolwortha, do wewnętrznej strony ich dużego okna. W zeszłym roku kupiła trochę cukierków, mając nadzieję, że przyjdą przebrane dzieciaki; ale okazuje się, że żadne dziecko nie mogło dostać się na czternaste piętro ich domu. Ludzie, którzy tutaj mieszkają, a których widzi tylko w windzie, są młodzi i albo żyją samotnie, albo nie mają dzieci.

Lesje chciałyby wyjść na dwór, włóczyć się po ulicach, obserwować. Ale William zaproponował grę w karty, gdyż to go relaksuje.

- Pięćdziesiąt dwa, pięćdziesiąt cztery, pięćdziesiąt sześć i para ósemek - mówi William. Rusza plastikową wykałaczką. Lesje ma tylko pięćdziesiąt dwa, parę asów sama wyklada. Ona tasuje, William rozdaje. Bierze swoje karty. Marszczy czoło, zastanawiając się, które odłożyć dla siebie.

Jej zestaw kart jest tak zły, że nie ma wielkiego wyboru. Pozwala sobie na spacer przy księżycu ścieżką stratowaną przez gigantyczne roślinożerne iguanodony; widzi trójpalczaste ślady ich tylnych kończyn na błocie. Idzie ich śladem, aż jest coraz mniej drzew i w dali srebrzy się jezioro. Jest tak uprzywilejowana. Jak przekona innych o tym, co widziała?

(To jezioro, to oczywiście jezioro Gladys, wyraźnie zaznaczone na mapie na dwieście drugiej stronie Zaginionego świata, książki napisanej przez sir Arthura Conan Doyle'a. Lesje przeczytała ją, gdy miała dziesięć lat. W szkolnej bibliotece znajdowała się w dziale geologii, a ona przygotowywała wypracowanie o skałach. Bardzo interesowała się skałami, jeszcze zanim zajęła się dinozaurami. Jej koleżanki w szkole czytały Trixie Belden, Nancy Drew, Cherry Ames. Lesje nie obchodziły te opowieści. Ona z zasady lubiła historie pełne faktów. Ale Zaginiony świat to było co innego. Oni znaleźli równinę w Ameryce Południowej, gdzie formy życia z epoki jury górnej zachowały się wraz z bardziej współczesnymi formami. Lesje nie pamięta, co przyszło najpierw, jej pasja dla skamieniałości czy dla tej książki. Chyba dla książki. Nie ma znaczenia, że wszystkimi uczestnikami wyprawy byli mężczyźni. Ona zakochała się nie w profesorze Challengerze, głośno mówiącym, apodyktycznym osobniku ani nawet nie w młodym reporterze czy zręcznym strzelcu, angielskim lordzie; zakochała się w szczupłym, sceptycznym profesorze Summerlee. Jak wiele razy stała nad brzegiem tego jeziora, trzymając jego szczupłą rękę w swojej, i razem ujrzeli plezjozaura, i profesor uległ, nawrócił się wreszcie?

Lesje wciąż ma tę książkę. Ona właściwie jej nie ukradła, tylko kilka razy zapomniała ją przynieść i potem stała tak zażenowana, gdy bibliotekarka zarzuciła jej kłamstwo. Wtedy powiedziała, że książka zaginęła. Zaginiony świat zaginał.

Jezioro błyszczy w świetle księżyca. Daleko, na ławicy piasku migoce tajemniczy biały kształt).

William poruszył znów wykałaczką. Ona nie zwracała uwagi na karty, on ma przynajmniej dwadzieścia punktów przewagi.

- Twój ruch - mówi. Satysfakcja zaróżowiła mu policzki.

- Pięćdziesiąt dwa - oznajmia Lesje.

- Twój ruch - mówi William, pocieszając ją, gdyż może sobie na to pozwolić.

Dzwoni telefon. Lesje podskakuje i upuszcza kartę, waleta karo.

- Czy możesz odebrać, William?

Przypuszcza, że to pomyłka; nie jest w nastroju do wysłuchiwania monotonnej serenady.

- To do ciebie - mówi William zakłopotany.

Kiedy ona wraca, pyta:

- Kto to był?

- Mąż Elizabeth - odpowiada Lesje.

- Kto?

- Właśnie. Mąż Elizabeth. Poznałeś go; w zeszłym roku na przyjęciu z okazji Bożego Narodzenia. Pamiętasz Elizabeth, wygląda jak posąg; to jest ta, która...

- Ach tak - mówi William. Widok własnej krwi przyprawia go o mdłości, więc nie bardzo słuchał historii o Chrisie, chociaż Lesje pewnie mu opowiedziała, bo była tak tym przygnębiona.

- Czego on chciał? - pyta William.

- Nie bardzo wiem.

NATE

Niedziela, 31 października 1976

Nate biegnie. Zostawił rower gdzieś w ciemności, oparł o ławkę. Jest chłodno; dziwne uczucie, gdy się ma świeżo ogoloną twarz.

Biega dla przyjemności, bez wysiłku, po usychającej trawie, szarej w świetle ulicznych latarni, po zeschniętych liściach, których barwy prawie nie dostrzega, ale zapewne są pomarańczowe, żółte, brązowe. Ludzie zbierają liście do zielonych toreb na śmieci i odwożą je teraz, ale kiedyś grabili je, ustawiali w stosy i palili na ulicach; z głębi kopców unosił się słodkawy zapach. Nate biegał z innymi, biegał przez te stosy jak przez płotki. To zabronione, ale jeżeli nie udało się przeskoczyć, nie miało to znaczenia, liście się tylko tliły.

Z kim biegał wówczas, dwadzieścia czy dwadzieścia pięć lat temu? Ktoś miał na imię Bobby, był również jakiś Tom. Zniknęli, bez twarzy: myśli o nich z tęsknotą jak o kimś, kto umarł młodo. Ofiary, ale tylko zaniku jego pamięci. Pamięta, że miał skórzane łaty na kolanach spodni, że przekłete wełniane skarpetki zawsze się osuwały, że z nosa mu kapało na górną wargę.

A potem już nie biegał dla zabawy, w szkole średniej biegał na krótkich dystansach, na trzeciej zmianie w sztafecie z pałeczką, która dla niego była dynamitem i którą musiał podać, nim wybuchnie. Był za chudy na piłkę nożną, ale mógł biegać. Jego sztafeta nigdy nie wygrała, chociaż raz zajęła drugie miejsce. W kronice szkoły nazwali go Czyścioszek. Jego matka uznała to za komplement.

Kiedy studiował prawo, przychodził tutaj, na to samo miejsce, do Queen's Park, owalnego jak bieźnia. Pamięta żarty, parki, które naprawdę widział w płaszcach przeciwdeszczowych, wiatrówkach, wywołujące w nim łagodną ciekawość, lekkie zakłopotanie. Wtedy to zaczął

boleć go krzyż i przestał biegać; krótko potem poznał Elizabeth. „Błąd ewolucyjny”, orzekł lekarz, mając na myśli jego wzrost; mężczyźni powinni zatrzymać się przy pięciu stopach. Teraz nie mają równowagi. Powiedział Nate'owi, że jego prawa noga jest krótsza od lewej; to się zdarza u wysokich mężczyzn, powinien mieć jeden obcas wyższy. Ale Nate nic sobie z tego nie robił. Odmówił przyłączenia się do szeregów cynowych drwali, tych ze sztucznymi zębami, szklanymi oczami, gumowymi piersiami i butami ortopedycznymi. Jeszcze nie, jeszcze nie. Jeszcze nie musi.

Biegnie zgodnie z ruchem wskazówek zegara, w poprzek ruchu ulicznego; samochody mijają go, jakby miały oczy sowy, ciemne i lśniące. Za nim są budynki parlamentu, przykucnięte, różowawe serce przykucniętej prowincji. Wnętrze z czerwonego pluszu, miękkie jak poduszka, z pewnością zawiera się tu lukratywne układy, podejmuje decyzje, kto zbuduje co i gdzie, kogo się zniszczy, kto na tym zyska. Przypomina sobie z całkowitą niewiarą, z przykrością, że kiedyś myślał o udziale w polityce. Muncypalnej prawdopodobnie. „Pompatyczna gnida”. Zahamować działalność developerów, ocalić ludzi: od czego, po co? Kiedyś należał do tych, którzy sądzili, że świat powinien być sprawiedliwy i miłosierny, i byli przygotowani, by pomóc osiągnąć ten stan. To wpływ jego matki. Pamięta swój ból, poczucie zdrady, kiedy wreszcie uświadomił sobie, jak bardzo jest to niemożliwe. Rok 1970, prawa obywatelskie obalone, wojna wydana nie najeźdźcom, nie wrogowi, a prasa temu przyklaskiwała. To nie arbitralne aresztowania, nie zastraszanie, łamanie życia przeraziły go; to nie było zaskoczenie. Zawsze wiedział, że takie rzeczy zdarzały się gdzie indziej, i mimo zadowolenia większości, nigdy nie wątpił, że mogą się zdarzyć tutaj. Zaskoczył go poklask prasy. Artykuły wstępne, listy do redakcji. Głos ludu. Jeżeli tylko

tylę mają do powiedzenia, nie będzie ich megafonem; byłby przeklęty.

Jego idealizm i jego rozczarowanie w równej mierze go nudzą. Jego młodość go nudzi. Chodził w ubraniu i słuchał rozmów starszych ludzi o tych mających władzę, licząc, że czegoś się nauczy. Na wspomnienie o tym, kurczy się; to tak jak sznurek koralików, który kiedyś nosił, krótko, kiedy była taka moda.

Przed nim, naprzeciwko, po lewej stronie, jest muzeum, teraz w jaskrawym pomarańczowym świetle reflektorów. Tam, przy drzwiach, po zamknięciu czekał na Elizabeth, mając nadzieję, że ją złapie przy wyjściu. Na początku zachowywała się chłodno, protekcyjnie, jakby był półgłówkiem, lecz starała się być dla niego miła. To go znokautowało; i fakt, że dokładnie wiedziała, co robi. Gdy w sobotnie poranki okrążał Queen's Park, myślał o niej, siedzącej we wnętrzu tych szarych budynków, jak madonna w świątyni, rozsiewając łagodne światło. Chociaż okazało się, że nigdy nie pracowała w soboty. Myślał o sobie, jak biegnie do niej, gdy oddalała się od niego, trzymając lampę w ręce niczym Florence Nightingale. Jest zadowolony, że nigdy nie powiedział jej o tej absurdalnej wizji. Ona nawet wtedy by się śmiała, za jego plecami i później dręczyłaby go tą historią. Przesłodzoną historią, powiedziałyby. Kobieta z lampą. Jezu. Bardziej kobieta z siekierą. Teraz biegnie do innej postaci.

Mija pomnik upamiętniający wojnę na krańcu parku, granitowy cokół bez ozdób, z wyjątkiem motywów gotyckich na górze. Nie ma tu nagich kobiet z kwiatami, nie ma aniołów ani nawet szkieletów. Tylko drogowskaz, znak. Po drugiej stronie widnieje napis: „Afryka Południowa”; widział go zwykle rano, gdy jechał do pracy, zanim sprzedał samochód. Zanim odszedł. O jaką wojnę chodzi? Nigdy dużo o tym nie myślał. Jedyna prawdziwa wojna miała miejsce w Europie;

Churchill powiedział, że będą walczyć na plażach; wtedy pojawiła się guma do zucia i pończochy dla kobiet, jego ojciec rażony piorunem zginął gdzieś we Francji. Ze wstydem przypomina sobie, jak wykorzystał ten fakt. „Dość tego, chłopcy, mój ojciec został zabity podczas wojny”. Takie wykorzystanie patriotyzmu jeszcze uważa za słuszne; i jedyne wykorzystanie śmierci ojca, którego w ogóle nie pamięta.

Biegnie na południe, Victoria College i St. Mike ma po swojej lewej stronie. Prawie zrobił okrążenie. Zwalnia; czuje teraz zmęczenie w łydkach, w piersi, krew uderza mu do głowy. Nie oddychał tak głęboko jak teraz już od dłuższego czasu. Powinien przestać palić, powinien biegać każdego dnia. Powinien wstawać o szóstej rano, biegać pół godziny, ograniczyć palenie do jednej paczki dziennie. I zwracać uwagę na jajka i masło. Jeszcze nie ma czterdziestki, nawet się do niej nie zbliża, prawdopodobnie nie ma nawet trzydziestu pięciu lat. Ma trzydzieści cztery, a może tak było w zeszłym roku? Zawsze miał kłopot z zapamiętaniem dokładnej daty urodzin. Tak samo jak jego matka. Jakby oboje postanowili kiedyś udawać, że on się nie urodził jak każdy. Nathanael: Dar Boga. Jego matka bez wstydu podkreśla, co to znaczy. Wkrótce po jego małżeństwie z Elizabeth zwracała na to uwagę synowej. „Bardzo dziękuję, Bogu”, powiedziała później Elizabeth, genialnie wówczas. I potem mniej genialnie.

Zaczyna znów biec, w stronę cieni, gdzie zostawił rower. Jedno okrążenie. Potrafił zrobić dwa okrążenia, a nawet prawie trzy. Mógłby znów tego dokonać. W słoneczne dni będzie biegał, obserwując swój cień; na prawo cokolwiek pomnika, na lewo, gdy będzie wracał; to zwyczaj, który korzeniami sięga biegów w sztafecie. „Pobij swój cień”, mawiał trener, Szkot, który wykładał angielski w dziewiątej klasie, kiedy nie uczył wychowania fizycznego z podręcznika Johna Buchana

Trzydzieści dziewięć kroków. Jego cień wyprzedzał go; nawet gdy były chmury, czuł, że on tam jest. Teraz też jest z nim, dziwny w świetle ulicznych latarni, bardziej blady niż w słońcu, rozpostarty przed nim, jak mija latarnię, skurczony, bez głowy, potem zwielokrotniony i znów skaczący przed nim.

Nigdy nie biegał wieczorem; nie bardzo to lubi. Powinien teraz przestać i wracać do domu. Dzieci niedługo wrócą, a może już wróciły i czekają, by pokazać mu swoje papierowe torby. Ale biegnie dalej, jakby musiał; jakby było coś, do czego biegnie.

ELIZABETH

Niedziela, 31 października 1976

Elizabeth siedzi na sofie. Dwie dyniowe głowy palą się za nią. Miski są na sosnowym kredensie. Nie jej własne miseczki, nie pozwoliłaby ich użyć dzieciom, ale trzy kuchenne; jedna z żaroodpornego szkła, do pieczenia, druga z białej porcelany, do sałaty i trzecia z nierdzewnej stali.

W dwóch znajdują się paczuszki, które dzieci owinęły po południu, małe zawiniątka w pomiętych pomarańczowych i czarnych papierowych serwetkach. Związane na górze sznurkiem. Chciały wstążką, ale nie miały. W każdej paczuszce są cukierki, miniaturowe pudełeczko rodzynek. Chciały, aby upiekła imbirowe pierniczki, jak to zwykle robiła, ale powiedziała, że w tym roku nie ma czasu. Niezdarna wymówka. Przecież wiedzą, jak wiele czasu spędza, leżąc na łóżku.

Trzecia miska, ta ze stali, jest pełna centów; to na zbiórkę dla UNICEF - u; dzieci obecnie chodzą z puszkami. By uratować inne. Dorośli jak zwykle zmuszają swoje pociechy, by oszczędzały, chociaż im samym nie bardzo to się udaje.

Niedługo usłyszy dzwonek do drzwi. Otworzy je. Przyjdzie wróżka albo batman, albo diabeł, albo jakiś zwierzak, to dzieciaki jej sąsiadów, przyjaciele jej córeczek, przybierający kształty stworów zgodnie ze swoimi pragnieniami lub lękami ich rodziców. Ona się do nich uśmiechnie i będzie je podziwiać, i da im coś z misek, i one sobie pójdą. Potem zamknie drzwi i znów usiądzie, i poczeka na następny dzwonek. Jednocześnie jej dziewczynki krążą tak samo dookoła domów sąsiadów, w górze i w dole frontowych ścieżek, idąc przez trawniki, przy uschniętych krzewach pomidorów i zwiędłych meksykańskich kwiatach kosmosu; w dzielnicy Włochów i Portugalczyków uznanej ostatnio za niezwykłą.

Jej dzieci idą, biegną zwabione pomarańczowymi światłami we frontowych oknach. Potem, tej nocy, ona przejrzy ich łupy, szukając żyłek w jabłkach, zatrutych cukierków. Choć nie podziela ich radości, lęk o nie wciąż daje o sobie znać. Elizabeth nie wierzy w dobre intencje świata wobec nich. Nate śmiał się z jej niepokoju, nazywał to obsesją: lęk o ostre kandy stołu, kiedy uczyły się chodzić, kontakty elektryczne w ścianie, sznury od lamp, potoki, stawy, kałuże (można się utopić w dwóch calach wody), pojazdy w ruchu, żelazne huśtawki, ogrodzenia werandy, schody; a ostatnio dziwni ludzie, samochody, gdy zwalniają, wężowoz. Dopóki wszystko kończy się szczęśliwie, ona się wygłupia. Ale gdyby coś kiedyś się wydarzyło, nie zazna pociechy, że miała rację.

To Nate powinien siedzieć obok niej na tej sofie, czekając na dzwonek do drzwi. Tym razem to on powinien otworzyć, nie wiedząc, kto to może być, i wręczając cukierki. Dawniej był to obowiązek Elizabeth, ale Nate powinien wiedzieć, że w tym roku ona się do tego nie nadaje. Gdyby pomyślał, to by wiedział.

Ale jego nie ma; i nie powiedział tym razem, dokąd idzie.

Chris kiedyś przyszedł tutaj bez zapowiedzi. Stał na ganku, w świetle padającym na niego z góry, z twarzą wyglądającą jak krater na księżycu.

Co ty tu robisz? Była zła: nie powinien był tego robić, to była inwazja, pokój dzieci znajdował się nad ich głowami. Wyciągnął ją na ganek, przyłożył twarz do jej twarzy bez słowa, w świetle. Idź sobie. Zadzwoń do ciebie później, ale, proszę, idź już. Wiesz, że nie mogę tego uczynić. Szept, pocałunek, nadzieja, że nie usłyszą.

Elizabeth chce zgasić światła, unicestwić dynie, zaryglować drzwi. Może udawać, że nie ma jej w domu. Ale jak wyjaśni pełną zawartość misek z cukierkami, nawet gdyby

je wyrzuciła, co odpowiedziałyby na pytania przyjaciół? „Przyszliśmy do ciebie, ale nikogo nie było”. Nic nie można zrobić.

Dzwonek dzwoni, znów dzwoni. Elizabeth pertraktuje przy drzwiach; Łatwiej jest, gdy miski są na dole schodów. Przyszedł Chińczyk, Frankenstein i dziecko przebrane za szczura. Udaje, że ich nie poznaje. Każdemu daje zawiniątko i wrzuca centy do blaszanej puszki. One świergocą wesoło, dziękują, trajkoczą na ganku, nie wiedząc naprawdę, co to za noc albo co w tych kostiumach reprezentują. Święto Wszystkich Świętych. Nie przyjaznych dusz, ale wszystkich. To są dusze, wracają, płaczą przy drzwiach, głodne, opłakujące swoje stracone życie. Ty dajesz im jedzenie, pieniądze, coś, co zastąpi im twoją miłość i krew, spodziewając się, że to wystarczy, by sobie poszły.

CZĘŚĆ DRUGA

ELIZABETH

Piątek, 12 listopada 1976

Elizabeth zmierza na zachód, idzie po północnej stronie ulicy w zimny, ponury dzień przy szarym jak ryba niebie. Nie patrzy na wystawy; wie, jak wygląda, i nie zależy jej, by wyglądać inaczej. Nie interesuje się swoim odbiciem ani opiniami innych ludzi na jej temat lub opiniami o nich samych. Brzoskwiniowa żółć, jabłkowy róż, malina, śliwka, kolory warg, paznokci, to nie dla niej. Ona chodzi w czarnym płaszczu. To twarde i gęste jądro, ten czarny punkt, wokół którego wirują inne barwy. Patrzy przed siebie, ramiona wyprostowane. Maszeruje.

Na klapach, piersiach zbliżających się do niej przechodniów widnieją te pamiątki, płatki z czerwonego materiału krwi tryskającej z czarnej filcowej dziury w piersi, przypięte szpilką w środku. Dzień Pamięci. Mała szpileczka w sercu. Co zbierają dla ludzi upośledzonych umysłowo? Nasiona nadziei. W szkole czcili ten dzień minutą ciszy, a potem ktoś czytał wers z Biblii i śpiewali hymn. Pochylone głowy, starające się wyglądać uroczyście, nie znające przyczyny. Z daleka albo z radia odgłos wystrzałów.

Jeżeli stracisz wiarę w nas, tych którzy giną Nie będziemy spać, chociaż maki rosną Na polach Flandrii.

Jakiś Kanadyjczyk to napisał. My umarliśmy. Chory naród. W szkole musieli uczyć się na pamięć tego wiersza, dwa lata pod rząd, rok za rokiem. Wtedy gdy zapamiętywanie było jeszcze w modzie. Ją wybrano do recytacji, raz. Miała dobrą pamięć; mówiono, że jest dobra w poezji. Była dobra w poezji przed skończeniem szkoły.

Elizabeth kupiła kwiat, mak, ale nie nosiła go. Jest teraz w jej kieszeni, kciukiem dotyka szpilki.

Elizabeth pamięta, kiedy to spacer, każdy spacer w tej części miasta, ją podniecał. Te witryny kuszące obietnicami, w

końcu seksualnymi, zastąpiły poprzednie, oferujące tylko bezpieczeństwo. Tweedy. Kiedy to się stało, to przestawienie na niebezpieczeństwo? W ciągu minionego dziesięciolecia solidne wełniane ubiory i apaszki z Liberty ustąpiły miejsca wyrobom egzotycznym: indyjski import; rozcięte spódnice, satynowa bielizna, srebrne talizmany dyndające pomiędzy piersiami jak ryby na haczyku. Ugryź tu. A potem meble, milieu i akcesoria. Lampy z kolorowymi abażurami, kadzidło, całe sklepy z mydłami i grubymi ręcznikami kąpielowymi, świece, środki kosmetyczne. Tyle pokus. I ona im uległa. Skóra ją paliła, gdy tylko spacerowała tymi ulicami; wystawy wszystko ofiarowały i niczego nie żądały, z pewnością nie pieniędzy. Tylko słowa. Tak.

Towary są prawie takie same teraz, tylko ceny wzrosły i więcej jest sklepów, ale ta pieśczośliwa woń zniknęła. Obecnie to jedynie handel. Płacisz, dostajesz, ale nic więcej niż to, co widzisz. Lampa, butelka. Gdyby mogła wybierać, wybrałaby coś innego, ale cichy, stłumiony głos w niej unieważnia ten wybór, mówiąc: to nie jest prawdziwe.

Staje przed kioskiem z gazetami, pochyla się, by popatrzeć przez kwadratowe okno. Powinna kupić gazetę, by mieć coś do czytania w poczekalni. Chce mieć coś, na czym mogłaby się skoncentrować, bo nie znosi magazynów, jakie mają w takich miejscach. Kolorowe magazyny, jaśniejsze niż życie, piszące o zdrowiu, macierzyństwie, o myciu włosów w majonezie. Jej potrzeba czegoś w czerni i bieli. Ciała spadające z balkonu na dziesiątym piętrze, eksplozje. Chodzi o prawdziwe życie. Ale nie chce również czytać gazet. Są pełne wiadomości o wyborach w Quebecu, które odbędą się za trzy dni i które wcale jej nie interesują, tak jak nie interesuje jej futbol. W obu przypadkach rywalizacja pomiędzy mężczyznami, w czym co najwyżej może być wodzirejem. Kandydaci, zbiory szarych kropek, występujący przeciw sobie

na pierwszych stronach. Nie obchodzi jej, kto wygra, chociaż dla Nate'a to jest ważne; i dla Chrisa też było. Zawsze unosiło się to bezdźwięczne oskarżenie skierowane do niej, jakby to, kim była, sposób, w jaki mówiła, było intruzją. To sprawa języka, mówiono.

Coś się dzieje z moimi uszami. Wydaje mi się, że głuchnę. Od czasu do czasu, nie bez przerwy, nie cały czas słyszę szum, dzwonięcie. Z trudnością dociera do mnie, co inni mówią. Mówię tylko: „Przepraszam?” Nie, nie przeziębiam się.

Powtarza sobie te słowa, a potem powtarza je lekarce i odpowiada na jej pytania, z rękami na brzuchu, z nogami w czarnych pantoflach i torebką przy nogach. Lekarka to okrągłutka kobieta w białym fartuchu, ze światełkiem doczepionym do czoła. Zadaje pytania uprzejmie, notuje egipskimi hieroglifami lekarzy. Potem, gdy wchodzi do drugiego pokoju i Elizabeth siada w czarnym skórzanym fotelu, ona ogląda gardło Elizabeth, potem uszy, jedno za drugim, używając światełka na końcu sondy. Prosi, by wydmuchała nos, by usłyszeć, czy nie wydobywają się pękające dźwięki.

- Nie ma zatoru - wyjaśnia z zadowoleniem lekarka.

Nakłada słuchawki na głowę Elizabeth. Elizabeth patrzy na ścianę, na której wisi obraz w ramce z kolorowego gipsu: jest na nim drzewo i ładne dziecko spoglądające na gałęzie; widnieje również napis:

Myślę, że nigdy nie usłyszę poematu tak pięknego jak drzewo Drzewo, które żarłocznie wysysa słodkie soki z piersi ziemi...

Elizabeth czyta, potem przestaje. Nawet wyidealizowane drzewo w gipsowym prostokącie przypomina kałamarnicę z mackami splecionymi, przyklejonymi do okrągłego

wybrzuszenia ziemi, ssącymi, żarłocznymi. Nancy zaczęła ją gryźć, gdy miała sześć miesięcy, swoim pierwszym zębem.

Lekarka obraca guzikami maszyny podłączonej przewodami do słuchawek Elizabeth. Odzywają się najpierw wysokie dźwięki, potem niskie wibracje, brzęczenie.

- Słyszę - mówi Elizabeth za każdym razem, gdy zmienia się dźwięk.

Wyobraża sobie, jak wygląda salon lekarki. Perkalowe pokrowce na fotelach, lampy z porcelanowymi nimfami u podstawy. Ceramiczne pudle na kominku jak w mieszkaniu matki Nate'a. Popielniczka z biedronkami na brzegach, w naturalnych kolorach. Cały pokój to kapsuła czasu.

Lekarka zdejmuje słuchawki z głowy Elizabeth i prosi, by przeszła do drugiego pokoju. Obie siadają. Lekarka uśmiecha się dobrotliwie, z pobłażaniem, jakby miała za chwilę powiedzieć jej, że ma raka uszu.

- Nie dzieje się absolutnie nic złego z twoim słuchem. Uszy są czyste i zakres słuchu jest normalny. Możliwe, że miałaś lekką infekcję, która czasem powoduje zatkanie uszu. Gdy coś takiego się zdarzy, proszę wydmuchiwać nos, tak jak to się czyni w samolocie. Napór oczyści uszy.

(- Myślę, że głuchnę - powiedziała Elizabeth.

- Może - rzekł Nate - są pewne sprawy, których nie chcesz słyszeć).

Recepcjonistka patrzy na nią dziwnie, tak jej się wydaje, gdy mówi, że nie będzie potrzebna następna wizyta.

- Wszystko w porządku - wyjaśnia Elizabeth.

Zjeżdża na dół windą i przechodzi przez hol z marmuru i mosiądzu. Gdy dociera do drzwi wyjściowych, szum znów wraca, ostry, nieprzerwany jak szum moskitów albo niemelodyjnej dziecięcej piosenki, albo linii elektrycznej zimą. Przypomina sobie opowiadanie, które kiedyś przeczytała w „Reader's Digest”, gdy siedziała w poczekalni u

dentysty; o starszej kobiecie, która zaczęła słyszeć anielskie głosy i myślała, że zwariowała. Po pewnym czasie i licznych badaniach odkryto, że łapała dźwięki lokalnego radia za pomocą swojego metalowego dentystycznego mostka. „Reader's Digest” powtórzył tę historię jako żart.

Już prawie piąta, ściemnia się; chodnik i jezdnia są gładkie wskutek mżawki. Na jezdni wielki ruch. Elizabeth zaczyna iść na ukos, mając przed sobą i za sobą auta. Zielona dostawcza furgonetka hamuje tuż przed nią. Kierowca trąbi i krzyczy: - Ty idiotko, chcesz się zabić?!

Elizabeth idzie dalej, ignorując go, równym krokiem. Czy chce się zabić? Szum w prawym uchu ustępuje jak przerwane połączenie.

Wszystko w porządku z jej uszami. Dźwięk dociera skądinąd. Głosy anielskie.

LESJE

Poniedziałek, 15 listopada 1976

Lesje je lunch z mężem Elizabeth, z mężem należącym do Elizabeth. Dopełniacz albo po łacinie genetiws. Ten facet nie wygląda jak mąż Elizabeth, jak mąż innej kobiety. Zwłaszcza Elizabeth. Elizabeth, na przykład, nigdy by nie wybrała restauracji Varsity. Albo on nie ma pieniędzy, co jest możliwe, biorąc pod uwagę wytarte, wystrzępione miejsca na jego ubiorze, przypominające porost na kamieniu; albo on wierzy, że ona nie wyrobi sobie opinii o nim na podstawie wybranej restauracji. Ta restauracja nie zmieniła się, podczas gdy inne stały się eleganckie; zachowała umeblowanie z lat pięćdziesiątych, kiepskie menu i atmosferę nędznej rezygnacji.

Lesje na ogół nie jada tutaj; częściowo dlatego że przychodziła tu, gdy była studentką, a teraz już nie jest taka młoda. Nie bardzo wie, dlaczego je lunch z mężem Elizabeth; to jego zaproszenie przypominało jakiś wybuch, sposób, w jaki ją poprosił, uniemożliwił odmowę.

Gniew i rozpacz innych, te uczucia zawsze silnie na nią oddziaływały; to jeden z jej słabych punktów. Ona lubi uspokajać i wie o tym. Nawet na studiach, gdy brała udział w zebraniach grup kobiet, głównie dlatego, że jej współlokatorka nakłoniła ją do tego, zachowywała się ostrożnie, bała się, by nie powiedzieć czegoś niewłaściwego; by nie być o coś oskarżoną. Ze wzrastającym przerażeniem przysłuchiwała się wypowiedziom innych, ich rewelacjom, skargom dotyczącym życia seksualnego, gruboskórności ich kochanków, nawet ich małżeństw, gdyż niektóre z nich już zawarły związki małżeńskie. Tego przerażenia nie wywoływała treść wyznań nieznanym kobietom, ale ich oczekiwanie, że Lesje też im coś o sobie powie. Ona nie mogła, nie znała tego języka. Nie byłoby dobrze widziane, gdyby powiedziała, że jest tylko

naukowcem, że jest apolityczna. Według nich wszystko było polityczne.

One przyglądały się jej z wyrachowaniem: jej akceptacja nie wystarczała. Wkrótce musiała stawić im czoło. Przerazona szukała w swej przeszłości jakichś ofiar, ale wszystko, o czym myślała, było tak mało ważne, takie trywialne, że nie spotkałoby się z właściwym przyjęciem. Na przykład: na złotej kopule holu w muzeum widnieje napis: „By każdy Jego dzieła rozważał” (Księga Hioba 37, 7. Cytaty z Pisma Świętego pochodzą z: Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu. Wydawnictwo Pallottmum, Poznań 2002.). To tylko cytat z Biblii, sprawdziła i może je to zainteresuje; dużo mówiły o samolubstwie Boga. Z drugiej strony mogą to kompletnie odrzucić. Daj spokój, Lesje. Opowiedz coś osobistego.

Lesje powiedziała swojej współlokatorce, która studiowała historię społeczną i miała barwione okulary babci, że nie ma czasu na uczestniczenie w grupie, gdyż jej kurs paleontologii okazał się trudniejszy, niż przypuszczała. Żadna z nich w to nie wierzyła i wkrótce Lesje przeprowadziła się do własnego mieszkania. Nie mogła znieść tych ciągłych prób, by zmusić ją do konwersacji, gdy jadła płatki owsiane albo suszyła włosy. Wtedy obchodziły ją niuanse: czuła się znacznie lepiej wśród konkretów. Teraz myśli, że trzeba było słuchać uważniej, może przyniosłoby to pożytek.

Nate jeszcze nie przeraził jej prośbą, by mu coś o sobie opowiedziała, chociaż, odkąd usiedli, cały czas mówił. Lesje zamówiła najtańszą rzecz z karty: kanapkę z serem z grilla i szklankę mleka. Słucha i je małymi kęsami, nie pokazując zębów. Nate jeszcze nie wyznał, po co do niej dzwonił. Przez chwilę pomyślała, że dlatego, iż znała Chrisa i zna Elizabeth. Zapewne chciałby o nich porozmawiać. Mogła to zrozumieć. Ale dotąd o nich nie wspomniał.

Lesje nie rozumie, jak on może prowadzić rozmowę, choćby przez pięć minut, nie wspominając o takim wydarzeniu, które według niej wysunęło się na pierwszy plan. Gdyby to dotyczyło jej życia, ale nie dotyczy. Aż do tego lunchu, do tej kanapki z serem - a co on je? Kanapkę z jasnego pieczywa z indykiem na ciepło - myślała o nim, jeżeli w ogóle, jako o najmniej ciekawej postaci w tym tragicznym trójkącie.

Elizabeth, która kroczy w tej chwili po muzeum, blada, z podkrążonymi oczami - może trochę zbyt pulchna jak na tę sytuację - błędząca niczym osierocona królowa z jakiejś sztuki Szekspira, jest oczywiście najbardziej interesującą postacią. Chris jest interesujący, bo nie żyje. Lesje znała go, ale nie za dobrze. Niektórzy ludzie w pracy uważali go za zimnego, inni za zbyt gwałtownego. Mówiono, że ma dziki temperament, ale Lesje nigdy tego nie zauważyła. Pracowała z nim tylko przy jednym projekcie: „Małe ssaki w erze mezozoicznej”, który jest już gotowy i zainstalowany w szklanej gablocie z guzikami do naciskania, by móc usłyszeć głosy. Lesje zrobiła specyfikację, a Chris zbudował modele, używając futra piżmoszczura i królika oraz świstaka amerykańskiego, by pokryć drewnianą formę. Lesje wpadała do niego, do tego ciemnego pokoju na końcu korytarza, gdzie trzymali wypchane sowy i inne duże ptaki. Okazy, dwa Z każdego rodzaju, w małych metalowych wyciąganych szufladach, jakby to była kostnica zwierząt. Przynosiła kawę dla nich obojga i piła swoją, gdy on pracował, łącząc formy z drewnem i styropianem. Razem zastanawiali się nad niektórymi detalami: oczami, kolorami. To było dziwne, gdy się patrzyło, jak taki masywny mężczyzna koncentruje się na drobiazgach. Chris nie był niezwykle wysoki: nie był nawet zbyt muskularny. Ale sprawiał wrażenie masywnego, jakby ważył więcej niż ktokolwiek inny przy jego wzroście, jakby jego

komórki bardziej do siebie przylegały, przyciągane do wewnątrz nieodpartą siłą grawitacji. Lesje nigdy nie zastanawiała się, czy lubi go, czy nie lubi. Nie myśli się, czy lubi się, czy też nie lubi głazu.

Teraz on nie żyje i dlatego jest bardziej odległy, bardziej tajemniczy. Jego śmierć wprawia ją w zakłopotanie: nie może sobie wyobrazić, by sama mogła coś takiego zrobić, i nie może sobie wyobrazić, by ktoś, kogo zna, mógł to zrobić. Wydawało się, że Chris jest ostatnią osobą zdolną do takiego czynu. W każdym razie według niej. Jednakże nie zna się na ludziach, więc nie może sądzić.

Ale Nate; nie myślała wiele o nim. Nie wygląda jak zdradzony mąż. Właśnie teraz mówi o toczących się w Quebecu wyborach. Gryzie kawałek indyka, żuje; na brodzie pokazuje się kropla sosu. Jego zdaniem powinni wygrać separatyści, gdyż obecny rząd jest zbyt skorumpowany. Również ze względu na powszechne zachowanie rządu federalnego w 1970 roku. Lesje mgliście pamięta, że niektórych ludzi aresztowano po porwaniach. W tym czasie ciężko pracowała na kursie o bezkręgowcach; był to czwarty rok studiów i każda ocena się liczyła.

- Czy uważasz, że to będzie dobre na dłuższą metę? - pyta Lesje.

- Nie o to chodzi - odpowiada Nate. - Ważne jest znaczenie moralne.

Gdyby to powiedział William, Lesje uznałaby tę odpowiedź za pompatyczną. Ale teraz tak nie uważa. Długa twarz Nate'a (z pewnością miał brodę; ona pamięta go z przyjęć i gdy kiedyś przyszedł z dziećmi po Elizabeth po pracy; ale twarz jest ogolona, blada), jego ciało zwisające z ramion jak ubranie na wieszaku, nonszalanckie, robią na niej wrażenie. Jest starszy, musi dużo wiedzieć, to, czego ona się tylko domyśla; pewnie zgromadził mądrość. Jego ciało jest

pewnie pomarszczone, na twarzy widać kości policzkowe. Nie tak jak u Williama. William przytył, odkąd mieszkają razem.

William jest przeciwny partii Quebecu, która chce zatopić tereny przy James Bay i sprzedawać energię elektryczną.

- Ale druga strona również to czyni - mówi Lesje.

- Gdybym tam mieszkał, nie głosowałbym na żadną z nich - wyznaje William.

Lesje nie wie, jak będzie głosować. Sądzi, że raczej się przeprowadzi. Nacjonalizm każdego rodzaju ją niepokoi. W domu jej rodziców to był temat tabu. Jak mogłoby być inaczej, gdy jej obie babcie, czyhając, przepytowały ją oddzielnie, by w razie potrzeby się na nią rzucić. Nigdy się nie spotkały. Obie odmówiły pójścia na ślub jej rodziców, na ślub cywilny. Ale babcie skoncentrowały swoją wściekłość nie na ich grzesznych dzieciach, ale na sobie. Jeśli chodzi o Lesje, to obie ją kochały; i obie ją opłakiwały, jakby już umarła. To wskutek jej uszkodzonych genów. Nieczysta, nieczysta. Każda z nich sądziła, że Lesje powinna pozbyć się połowy swoich chromosomów i tym samym ocalić siebie jakimś cudem. Babcia Ukrainka siedząc w kuchni obok Lesje, gdy ona w fotelu z plastiku i chromu czytała Książką dla młodych ludzi o stalaktytach i stalagmitach, szczotkowała jej włosy i zwracała się do jej matki w języku, którego nie rozumiała. Szczotkowała i cichutko płakała.

- Mamusiu, co ona mówi?

- Ona mówi, że twoje włosy są bardzo czarne.

Babcia Ukrainka pochyliła się, by ją przytulić, pocieszyć z powodu nieszczęścia, które spadło na Lesje, chociaż ona wcale o tym nie wiedziała. Kiedyś babcia Ukrainka dała jej ozdobne jajko leżące na kominku obok fotografii rodzinnych w srebrnych ramkach. Kiedy to zobaczyła żydowska babcia, zmiażdżyła to jajko swoimi małymi butami w ataku furii. "Obie są stare", powiedziała mama Lesje. „Miały ciężkie

życie. Nie można zmienić kogoś po pięćdziesiątce". Lesje płakała nad kawałkami kolorowego jajka, a mała babcia, skruszona, głaskała ją swymi brązowymi łapkami. Kupiła dziewczynce inne jajko, co musiało ją kosztować ogromnie dużo pieniędzy.

Obie babcie mówiły tak, jakby podczas wojny były zagazowane, zgwałcone, zastrzelone, zbombardowane, umierające z głodu, poddane kremacji i jakimś cudem przeżyły; co nie było prawdą. Tylko ciocia Rachel, siostra ojca była tam, starsza o dwadzieścia lat, już zamężna i urządzona, gdy rodzina wyjechała. Ciocia Rachel na fotografii stojącej na kominku babci była pulchną kobietą. Prowadziła wygodne życie i to pokazywało zdjęcie: komfort. Niczego nie przewidywano; to nastąpiło znacznie później. Rodzice Lesje nie mówili o ciotce. Cóż tu było do mówienia? Nikt nie wiedział, co się z nią stało. Lesje chociaż chciałaby, nie może sobie tego wyobrazić.

Lesje nie opowiada o tym Nate'owi, który jej tłumaczy, dlaczego Francuzi są tacy, jacy są. Lesje naprawdę to nie obchodzi. Chce stać z boku.

Nate już prawie skończył swoją kanapkę z indykiem; nie zjadł frytek. Patrzy na lewo od szklanki z wodą i bierze białą bułeczkę. Przed nim widać okruszki bułki. „Trzeba rozpatrywać sprawy w kontekście historycznym”, mówi. Nie zajmuje się bułką i zapala papierosa. Lesje nie chce poprosić o jednego dla siebie - jej się skończyły - a nie byłoby właściwe wstać po nową paczkę - ale po chwili Nate częstuje ją papierosem i nawet daje ogień, wpatrując się w jej nos, co ją denerwuje.

Chce zapytać: „Po co tu jestem? Przecież nie zaprosiłeś mnie na lunch do trzeciorzędnej restauracji, by mówić o przyszłości narodu?” Ale on prosi o rachunek. Gdy czekają na kelnera, on opowiada jej, że ma dwie córeczki. Podaje ich

imiona i wiek, potem powtarza te wiadomości, jakby chciał sprawdzić, czy dobrze zapamiętała. Chciałby je przyprowadzić do muzeum pewnej soboty. One bardzo interesują się dinozaurami. Czy ona mogłaby je oprowadzić?

Lesje zwykle nie pracuje w soboty, ale jak może odmówić? Pozbawić jego dzieci dinozaurów. Powinna być zadowolona, że ma szansę szerzyć wiedzę, zdobyć neofitów, ale nie jest: dinozaury nie są religią dla niej, tylko rezerwatem. Ponadto jest bardzo rozczarowana. Po tej rozmowie telefonicznej, po tym spotkaniu w restauracji, do której, uświadamia to sobie teraz, Elizabeth mogłaby nigdy nie trafić, oczekiwała czegoś więcej.

Nate płaci za lunch, chociaż Lesje proponuje, że zapłaci połowę rachunku. Ona nawet wolałaby zapłacić cały. Wydaje się jej, że on jest bez grosza. A co ważniejsze, jeszcze dalej nie wie, czego się po niej oczekuje za ten dar grillowanej kanapki z serem i szklanki mleka; o co się ją poprosi albo czym będzie musiała się odwzajemnić.

NATE

Poniedziałek, 15 listopada 1976

Nate siedzi w Selby Hotel, pije piwo i ogląda telewizję. „Chwilowy”, „Stały”, to napis przy wejściu wymalowany dużymi literami, jakby te słowa oznaczały to samo. Kiedyś był to bar dla starych ludzi, bar dla biednych starych ludzi. On pije tu z przyzwyczajenia: Martha mieszka niedaleko, tylko trzy przecznice dalej, i on wpadał tu na piwo przed pójściem do niej, albo - jeżeli było jeszcze wcześniej - po wyjściu od niej. Jeszcze nie znalazł sobie nowego baru.

Wkrótce to zrobi: Selby, gdy zaczął tu przychodzić, pełen był anonimowych twarzy, ale teraz zna tu mnóstwo ludzi. Nie są to właściwie jego przyjaciele, on ich zna, gdyż oni tu piją. Gdy Nate zaczął tu bywać regularnie, wielu stałych bywalców przestało przychodzić. Robotnicy z Cabbagetown, nędznie ubrani, cisi na ogół, pomrukujący jakieś ponure zdania. Teraz to miejsce opanowali ludzie, którzy zajęli nowe mieszkania wybudowane tam, gdzie były stajnie, i w bocznych alejach Cabbagetown. Fotograficy i ludzie podający się za pisarzy. Mówią za dużo, są za weseli, zapraszają go do swoich stolików, chociaż on nie ma na to ochoty. Cieszy się pewnym szacunkiem wśród nich, rzeźbiarz w drewnie, pracujący swoimi rękami, rzemieślnik, człowiek z nożem. Nate woli bary, w których jest pierwszy w tej dziedzinie.

Będzie szukał baru statecznego, spokojnego, bez automatów do gry i szaf grających, i pryszczatych osiemnastolatków, którzy piją za dużo i potem wymiotują. Chce znaleźć bar z ludźmi w wiatrówkach z suwakami, w rozpiętych koszulach, spod których widać podkoszulki, z gośćmi pijącymi powoli i solidnie; z poważnymi widzami telewizji jak on. Lubi oglądać wiadomości, a potem poznać wyniki sportowe.

Prawie nie może oglądać telewizji w domu, gdyż Elizabeth już dawno wyrzuciła przenośny odbiornik czarno - biały z salonu, gdzie uznała, że jest nie na miejscu, a potem z kuchni. Powiedziała, że nie mogła znieść wrzasków z telewizora, kiedy gotowała, a on powinien zdecydować, czy chce oglądać, czy jeść; jeżeli wybiera telewizję, to ona pójdzie coś zjeść na mieście i niech on się troszczy o siebie. Tak było w dawnych czasach, nim Nate zaczął z konieczności gotować. Próbował umieścić telewizor w sypialni - widział w myślach, jak leży na łóżku, ogląda ostatni film, trzymając w ręce szklankę whisky z wodą, a Elizabeth skulona, przytulona leży obok niego - ale ta wizja nie trwała nawet nocy.

Odbiornik wylądował w pokoju Janet, gdzie dzieci oglądają w sobotę rano kreskówki. Kiedy on się przeniósł do swojego pokoju, nie miał serca go zabrać. Czasami ogląda telewizję z nimi albo siedzi w ich pokoju sam po południu, gdy jest mecz piłki nożnej. Ale dziewczynki zazwyczaj śpią, gdy zaczynają się wiadomości o jedenastej. Mógłby oglądać u swojej matki, ona nigdy nie opuszcza nocnego programu, ale mieszka za daleko i nigdy nie ma piwa w lodówce. W każdym razie nie będą jej podniecać tego rodzaju sprawy. Trzęsienia ziemi, klęski głodu, to co innego. Zawsze, gdy jest mowa w wiadomościach o głodzie, Nate jest pewien, że jego matka zadzwoni do niego następnego dnia, próbując zmusić go, by zaadoptował sierotę lub w imię pokoju sprzedał cegielki tym, którzy zamawiają u niego zabawki. Gnomy z kolorowej wełny, papierowe ptaszki. „Ozdoby choinkowe nie zbawią świata”, mówi jej. Potem matka pyta, czy dzieci biorą pigułki z tranem co rano. Podejrzewa, że Elizabeth nie dba o witaminy.

Z drugiej strony Elizabeth nie interesują jakiegokolwiek wiadomości. Rzadko nawet czyta gazety. Nate nie zna nikogo

innego, kto by tak zupełnie nie interesował się wiadomościami jak Elizabeth.

Dzisiaj na przykład położyła się do łóżka o siódmej. Nawet nie chciała poczekać na wyniki wyborów. Nate nie może zrozumieć jej obojętności. To jest wydarzenie o narodowym, a może o międzynarodowym znaczeniu, a ona śpi. Specjalna ekipa komentatorów z trudem opanowuje emocje w jedną lub drugą stronę. Zwolennicy partii Quebecu z trudem powstrzymują uśmiech; mają przecież być obiektywni, ale ich twarze wykrzywają się za każdym razem, gdy komputer przekazuje wiadomość o nowym zwycięstwie tej partii. Anglicy z kolei o mało się nie posusiają. René Levesque nie może uwierzyć, sprawia wrażenie, jakby ktoś jednocześnie go całował i kopał w pachwinę.

Kamery pokazują w zbliżeniu komentatorów o cienkich wargach i tłum w biurze partii, gdzie świętuje się zwycięstwo. Ludzie tańczą na ulicach, z radości śpiewają. Nate próbuje sobie przypomnieć podobny rodzaj celebracji po jego stronie granicy, ale jedynie pamięta pierwszy mecz hokeja pomiędzy Rosją a Kanadą, kiedy Paul Henderson zdobył puchar. Ludzie się obejmowali, pijacy krzyczeli. Ale teraz to nie jest mecz hokeja. Obserwując zamieszanie wśród przegranych liberałów, zeszywniałe wargi angielskich dziennikarzy, Nate szczerzy zęby. „Mają za swoje”. To jego osobista zemsta na wszystkich piszących listy do redaktorów w całym kraju. „Represje rodzą rewolucje”, myśli, „wy - maklerzy”. „A więc zjedzcie to gówno” - to tylko cytaty ze słów premiera, z tego, co powiedział starym kobietom, jeżeli, to on pokazał się tam na ekranie.

Mimo to, gdy rozgląda się po barze, czuje się nieswojo. Jego radość jest tylko teoretyczna i może snobistyczna. Nikt tutaj wraz z nim nie interesuje się bardzo teorią. Nie ma tu dzisiaj wielu pisarzy, są głównie faceci w kurtkach z

suwakami i oni nie przyjmują dobrze tych wiadomości; są w złym humorze, są nawet zgryźliwi, jakby oglądali huczne przyjęcie wydane przez ich sąsiadów, na które nie zostali zaproszeni. „Pieprzone żabojady”, mruczy jeden z nich. „Trzeba było ich wyrzucić z kraju już dawno”.

Ktoś inny mówi, że to zwycięstwo oznacza koniec gospodarki: kto zechce inwestować? „Co za gospodarka”, żartuje jego przyjaciel. „Wszystko jest lepsze od stagflacji”. Temat, który podejmują komentatorzy, mówiąc o przyszłości pomiędzy pieśniami i pocałunkami.

Nate odczuwa przypływ radości, biegnący od brzucha, prawie seksualny, aż do palców, którymi trzyma szklankę. Nikt z tych bękartów nic nie wie, nikt z tych bękartów nic nie wie. Ziemia przesuwana się pod ich stopami i oni nawet tego nie czują, wszystko może się zdarzyć.

Ale zamiast pomarszczonej małpiej twarzy René Lévesque'a, który dziękuje swoim zwolennikom na arenie Paula Sauvé tam na ekranie, Nate widzi Lesje, jej oczy, szczupłe ręce otulone dymem papierosowym podczas lunchu. Nie pamięta niczego, co ona powiedziała: czy ona w ogóle się odezwała? Mniejsza z tym, nie obchodzi go to, że ona nigdy nic nie mówi. On chce tylko patrzeć na nią, patrzeć w nią, w te jej czarne oczy, które zapewne są piwne, tego też nie pamięta. Pamięta w nich cień, jak chłodny cień pod drzewem. Dlaczego czekał tak długo, denerwując się w budkach telefonicznych, nie będąc w stanie wypowiedzieć słowa? Podczas lunchu wziął bułeczkę i mówił o polityce, kiedy powinien był wziąć ją w ramiona, tam w restauracji Varsity. Potem by się gdzieś przenieśli. Jak może wiedzieć gdzie, byłoby to przecież nieznane mu miejsce, w którym nigdy nie był. Miejsce całkowicie inne niż kraina Elizabeth, po której kroczy w niebieskim szlafroku albo planeta Marthy, ponura i wilgotna, gdzie wszystko łatwo przewidzieć. Trzymanie Lesje w

ramionach to tak jak trzymanie jakiejś dziwnej rośliny, delikatnej, cienkiej z pomarańczowymi kwiatami. Egzotycznej, jak mówią kwiaciarze. Światło będzie niezwykle, ziemia pod stopami usłana kośćmi. Nad którymi ona będzie sprawowała władzę. Ona będzie stała przed nim, posiadaczka uzdrawiającej mądrości, otulona welonami. A on uklęknie i zniknie.

Nate cofa ten obraz, umieszcza go w czasie: sobotni poranek na filmie She, kiedy miał dwanaście lat i w nocy się onanizował. Jego matka łajała go za te poranki: „Jestem pewna, że nie są dla ciebie dobre”, mówiła. Ci wszyscy kowboje i ta strzelanina. Kobieta w etaminie, wspaniała aktorka, on strzelał do niej papierowymi spinaczami i kulkami śliny i wyśmiewał się z reszty, i marzył o niej tygodniami. Teraz on chce wskoczyć na rower i pedałować jak maniak do budynku, gdzie mieszka Lesje, jak człowiek pajak wspiąć się po murze i wejść przez okno. „Nic nie mów”, powie jej. „Chodź ze mną”.

Co prawda ona mieszka z jakimś facetem, Nate mgliście go pamięta, jak trzymał za łokieć Lesje na ostatnim przyjęciu w muzeum z okazji świąt Bożego Narodzenia, nic nie znacząca różowa plamka. Natychmiast zapomina o nim i wraca myślami do Lesje, jak dawał jej ognia, zapalał jej papierosa. Jeszcze jeden cal i on by jej dotknął. Nate wie, że ona wstaje rano, je śniadanie, idzie do pracy, gdzie zajmuje się jakimiś niezrozumiałymi rzeczami, ale on nie chce wnikać w szczegóły. On nic nie wie o jej obecnym życiu i nie chce nic wiedzieć. Nie za dużo, jeszcze nie.

ELIZABETH

Sobota, 20 listopada 1976

Wchodzą po schodach, mijając sprzedawcę kukurydzy z cukrową watą i balonami oraz plastikowymi wiatraczkami, jaskrawoniebieskimi i czerwonymi, wydającymi dźwięk jak trzepotanie zakonserwowanych ptaków. Rodzina. Kiedy znów wyjdą razem, muszą kupić coś dla dzieci, gdyż tak postępują rodziny.

Elizabeth powiedziała, że z nimi pójdzie, Nate bowiem zauważył, że już nie zachowują się jak rodzina, a to nie jest dobre dla dzieci. Dzieci nie dają się wystrychnąć na dudka. Nie były uszczęśliwione, tylko zaskoczone i trochę lękliwe. „Ale ty nigdy nie idziesz, gdy tata nas zabiera”, stwierdziła Nancy.

Teraz pod kopulastą rotundą, patrząc na sobotni tłum dzieci przechodzących przez kołowrót, nie sądzi, że może to znieść. Przecież ona tu pracuje. Tu również pracował Chris. W ciągu tygodnia Elizabeth musi tu być, ma dużo spraw, którymi musi się zająć; ale po co teraz? Po co chodzić pomiędzy metalowymi gablotkami i kośćmi rozrzuconymi przez ich właścicieli? To dla niej za duży wysiłek.

Ona starała się z nim nie rozmawiać, a nawet unikać go podczas godzin pracy. Nie dlatego, że zależało jej, by nikt nie wiedział, chociaż nie pyszniła się tym, nie potrzebowała; w muzeum dzięki procesowi dyskretnej infiltracji wszyscy ostatecznie wszystko wiedzieli. Ale jej płacono za wykonanie pracy, przez tyle godzin dziennie, i ona traktowała ten obowiązek poważnie. Nie spędzała tych godzin z Chrisem.

Nie od pierwszego razu, kiedy się kochali, mając większość odzieży na sobie, kiedy leżeli na podłodze jego pracowni wśród skrawków futra, wiórków, obok częściowo skończonej kopii afrykańskiej wiewiórki. Szklanych oczu jeszcze nie wstawiono, wystrzępione pokrowce spoglądały na

nich. Całe muzeum wciąż pachnie tym dniem: płynem konserwującym, trocinami i zapachem włosów Chrisa, roztopionym zapachem, bogatym. Palone złoto. Jego zimny suwak przygniatał jej udo od wewnętrznej strony, zęby zgrzytały. Ona pomyślała: „Nigdy nie zgodzę się na coś mniejszego niż to”. Jakby to był jakiś targ, a może był, chociaż nie mogła zobaczyć niewidzialnego kupca.

Dzieci są w sklepie z upominkami; oglądają lalki, pluszowe lwy pochodzące z Singapuru, gliniane bobasy z Meksyku. Nate grzebie w portfelu. To był jego pomysł, więc to on zapłaci, ale ona wie, wiedziała, gdy wychodzili z domu, że nie będzie miał dostatecznie dużo pieniędzy.

- Możesz mi pożyczyć pięć dolarów? - pyta ją Nate. - Zwrócę ci w poniedziałek.

Ona wręcza mu banknot, który ma w ręce. Zawsze chodzi o pięć dolarów. Czasami zwraca; jeżeli tego nie czyni, to dlatego, że zapomina. Ona mu już nie przypomina, jak to było. dawniej, gdy uważała, że wszystko powinno być fair.

- Nie wejdę - mówi Elizabeth. - Spotkamy się na schodkach o czwartej trzydzieści. Możemy zabrać dziewczynki do Murraya na lody z owocami lub na coś innego.

- Dobrze. - Wydaje się zadowolony. - Powiedz dzieciom, żeby się dobrze bawiły.

Elizabeth idzie na południe w stronę parku; przejdzie na drugą stronę ulicy, pospaceruje wśród drzew, może usiądzie na ławce, będzie wdychać zapach opadłych liści. Ostatni zapach liści przed śniegiem. Stoi przy krawężniku, czekając, aż będzie mogła przejść. Kilka zwiędłych wieńców jeszcze leży na pomniku. Z napisem: „Afryka Południowa”.

Zawraca i idzie do muzeum. Pójdzie do planetarium: tak zabije czas. Chociaż pomaga przy plakatach i wystawach, nigdy tam nie była. Gdy odbywają się tu w tygodniu poranki,

ona pracuje, a nie pójdzie tam wieczorem, gdy nie ma zajęć. Ale dzisiaj chce pójść tam, gdzie nigdy nie była.

W holu na ścianie widnieje motto z Dantego: „WOŁA NAS NIEBO I W KRAĞ SIĘ OBRACA, PIĘKNOŚCI WIECZNYCH UKAZUJĄC SIŁĘ, LECZ OKO WASZE KU ZIEMI SIĘ ZWRACA”. (Dante Alighieri, Boska komedia (Czyściec. Pieśń 14), przełożyła Alina Świdorska, Antyk, Kęty 1999.)

A pod spodem tabliczka: Informacja. Przedsprzedaż biletów.

Elizabeth jest zadowolona, że nawet wieczne piękno kosztuje. Wystawa zaczyna się o trzeciej. Idzie do kasy, by kupić bilet, chociaż pewnie mogłaby wejść, okazując legitymację.

- Kosmiczne katastrofy czy Laserium? - pyta kasjerka.

- Co takiego? - dziwi się Elizabeth. Potem uświadamia sobie, że „Kosmiczne katastrofy” to pewnie tytuł obecnej wystawy. Natomiast „Laserium” odnosi się chyba do kolonii trędowatych.

- „Laserium” zaczyna się dopiero piętnaście po czwartej - wyjaśnia kasjerka.

- A więc „Kosmiczne katastrofy” - decyduje się Elizabeth. Laserium jest za późno.

Stoi w holu i ogląda w kiosku okładki książek. Gwiazdy należą do każdego. Wszechświat. Czarne dziury. Nigdy nie pociągały jej gwiazdy.

Audytorium mieści się w kopule: to tak, jakby się było w piersi. Elizabeth wie, że ma przedstawiać niebo. Mimo to czuje się trochę stłamszona. Siedzi oparta na pluszowym fotelu i patrzy w sufit, pusty, ale jarzący się słabym światłem. Dzieci dookoła niej wiercą się i szczebiocą, dopóki światła nie gasną. Wtedy uciszają się.

Jest wschód słońca. Wszędzie dookoła widać sylwetę Toronto, jego kontury i znaki: budynek Park Plaza, niski w porównaniu z Hyatt Regency leżącym obok niego; Britannica na wschód; Sutton Place, budynek meteorologii, Wieża CN. To jest ziemia.

Jakiś głos mówi im, że oglądają sylwetę miasta, jakby stali na dachu planetarium. „Hej, to jest ładne”, mówi chłopiec siedzący przy niej. Bawi się gumą do żucia. Elizabeth czuje go przy sobie; ciepła, uspokajająca obecność. Ma tenisówki na gumowych spodach.

Światło na zachodnim horyzoncie blednie i gwiazdy zaczynają świecić. Głos wymienia nazwy konstelacji: Niedźwiedzice, Kasjopeja, Orion, Plejady. Głos twierdzi, że w starożytności ludzie wierzyli, że po śmierci staną się gwiazdami albo konstelacjami, poetyczna myśl, ale oczywiście nieprawdziwa. Gwiazdy są wspanialsze i bardziej zaskakujące, niż ówcześni ludzie sobie wyobrażali. Wybuchają kulami gazu. Głos przechodzi do rapsodii liczb i odległości, a wtedy Elizabeth wyłącza się.

Gwiazda Polarna: wskazuje ją mała strzałka. Głos oznajmia przyspieszenie czasu i gwiazdy wirują dookoła bieguna. Aby to zobaczyć, trzeba by stać całymi nocami z otwartymi oczami. Ludzie w starożytności myśleli, że gwiazdy naprawdę poruszają się w ten sposób, ale oczywiście to ziemia się rusza.

W starożytności wierzone również w inne rzeczy. Złowieszcza muzyka. „Dzisiaj pokazujemy niezwykle wydarzenia gwiazdne”, mówi głos. Gwiazdy wirują wstecz, do roku 1066. Obraz gobelinów z Bayeux z Wilhelmem Zdobywcą w dobrym humorze. Ludzie w starożytności wierzyli, że komety oznaczają zniszczenia, wojny, epidemie, plagi, narodziny wielkiego bohatera, upadek tronu albo koniec świata. Głos śmieje się. Teraz każdy wie lepiej.

Pokazuje się kometa Halleya na niebie, na początku niewyraźna, potem jaśniejsza i jaśniejsza, ze swym warkoczem płynącym jak nadmuchana chmura. Głos informuje o składnikach tego warkocza. Słowo „kometa” pochodzi od cometes, czyli włochaty. Starożytni myśleli, że komety to gwiazdy z włosami.

Kometa Halleya blednie, potem znika. „Jeszcze powróci”, mówi głos, „w 1985 roku”.

Gwiazdy zaczynają spadać, kilka jednocześnie, a potem coraz więcej. „To nie są naprawdę gwiazdy”, wyjaśnia głos, „to meteory”. Meteory pokazują się rojami. Powstaje deszcz meteorów. Prawdopodobnie powstają z rozpadu eksplodujących gwiazd. Gdy gwiazdy spadają, widać fragmenty obrazów - sceny tłumów, tańce śmierci, palące się budynki - powstaje błysk w kopule i głos recytuje kilka wersów z Szekspira. Potem głos zwraca uwagę na Północne Światła (aurora borealis) i zaczyna omawiać przyczyny ich powstania. Niektórzy twierdzą, że słyszeli ich odgłos, ich szelest, ale nigdy tego dźwięku nie zanotowano, Elizabeth słyszy jakiś cichutki szept przy uchu.

Jest jej zimno. Wie, że w sali jest ciepło, i czuje zapach dzieci, płaszczy, oleju kukurydzianego; ale te Północne Światła wywołują dreszcze. Chce wstać i wyjść z audytorium. Rozgląda się, szuka drzwi, ale ich nie dostrzega. Nie chce iść po omacku w ciemności.

Teraz głos ujawni coś nadzwyczajnego. Wszyscy słyszeli o gwieździe betlejemskiej, prawda? Tak. Może rzeczywiście istniała taka gwiazda. Gwiazdy znów wirują poprzez wieki, dwa tysiące lat. Widzicie?

Dzieci wstrzymują oddech, och. Gwiazda powiększa się, jaśnieje, aż jej światło zapełnia połowę nieba. Potem diminuendo. Jak ognie sztuczne, znikła.

„To była supernowa”, objaśnia głos. „Umierająca gwiazda”. Kiedy gwiazda zbliża się do kresu swojego życia, może eksplodować, spalając resztki energii w spektakularnym wybuchu. Któregoś dnia nasze słońce tego dokona. Ale nie przed bilionami lat.

Następnie, nie mając energii, by zrównoważyć swoje pole grawitacyjne, kurczy się, tworząc neutronową gwiazdę. Albo czarną dziurę. Strzałka wskazuje przestrzeń na niebie, gdzie nie ma nic. „Nikt nie może zobaczyć czarnej dziury”, mówi głos. Ponieważ jednak działa na przedmioty znajdujące się wokół niej, wiemy, że istnieje. Na przykład nie przenika przez nią światło. Nikt nie rozumie jeszcze czarnych dziur, ale przypuszcza się, że to gwiazdy skurczyły się do takiej gęstości, że nie może przebić się przez nie światło. Pochłaniają energię zamiast ją oddawać. Gdybyście wpadli do czarnej dziury, zniknęlibyście na zawsze; chociaż gdyby ktoś to obserwował, wydawałoby się, że zamarзлиście na wieki w czarnej dziurze na horyzoncie.

Czerń rozprzestrzenia się, doskonale okrągła, pozbawiona światła, aż zapełni środek kopuły. Człowiek w srebrnym skafandrze zmierza ku niej, dosięga jej, zatrzymuje.

Człowiek wisi rozpostarty nad czernią, podczas gdy głos wyjaśnia, że on właściwie znikł. To złudzenie optyczne. „To byłaby naprawdę kosmiczna katastrofa”, mówi głos. Co się stanie, gdy ziemia, nie wiedząc o tym, zbliży się do czarnej dziury? Człowiek w srebrnym skafandrze znika i gwiazdy znów mrugają, a głos wyjaśnia, że coś takiego prawdopodobnie się nie zdarzy.

Elizabeth z drzeniem patrzy na niebo, które nie jest naprawdę niebem, ale skomplikowaną maszyną z małymi światełkami ukazującymi się po naciśnięciu guzika. Ludzie nie stają się gwiazdami po śmierci. Komety nie powodują naprawdę epidemii. Naprawdę nikogo nie ma na niebie.

Naprawdę nie ma okrągłej sfery ciemności, czarnego słońca,
zamarzniętego człowieka w srebrnym skafandrze.

LESJE

Sobota, 20 listopada 1976

Lesje czuje się dziwnie, jakby kości jej łokci i kolan nie dotykały się, ale były połączone sznurkiem. Na pewno jej zęby są większe niż zwykle, a piersi bardziej płaskie. Ściąga do tyłu ramiona. Dzieci Nate'a właściwie są miłe, zachowują się powściągliwie, ale kątem oka ją oceniają. Nowa nauczycielka. Powinnaś nam dowieść, po co tu jesteśmy. Według Nate'a interesują je dinozaury, ale ona w to nie wierzy.

Cała trójka patrzy przez szkło na wizerunek paleontologa, jak klęczy w swym kąciku wśród sfingowanych skał. Ma na głowie kapelusz i jest blady jak papier; ma ogoloną twarz i zadbane włosy. Nazwali go Milczący Sam. Zupełnie niepodobny do niego jest profesor Morgan z wąsami i nie uczesanymi włosami; Lesje jedynie raz brała udział w zorganizowanych przez niego wykopaliskach, była tak uprzywilejowana. Profesor trzymał fajkę z tytoniem w prawej kieszeni, a puste fajki w lewej. Kilka razy wzniecił pożar i musiano się z nim rozstać. „Brednie. Facet nie wie, o czym mówi”. Uważał, że praca Lesje to najlepszy dowcip, jaki słyszał. „A więc chcesz być paleontologiem. Lepiej naucz się gotować. To najgorsza kawa, jaką kiedykolwiek piłem”. Lesje kulila się ze strachu, gdyż liczyła się z jego opinią, przeczytała wszystkie jego prace, jakie tylko mogła znaleźć, i jego książkę o mięsożernych dinozaurach na równinach Kanady; starała się ugłaskać go filiżankami lepszej kawy czy herbaty, czy whisky, próbując znaleźć sposób, by go zadowolić, aż odkryła, że to niemożliwe. Na szczęście jej obecny szef, doktor Van Vleet, nie jest taki jak Morgan, chociaż jest od niego pewnie starszy. Z drugiej strony Lesje nie wyobraża sobie, że mógłby zająć się wykopaliskami. On specjalizuje się w klasyfikacji zębów.

Ale człowiek w gablotce to model. Trzyma skamielinę; prawdopodobnie przeżywa ekstazę w związku z dokonaniem odkrycia naukowego, ale jego twarz tego nie odzwierciedla.

- Co on robi? - chce wiedzieć Nancy. Lesje przypuszcza, że tak naprawdę wcale nie chce wiedzieć, ale jest to część pewnej gry, w której dzieci powinny zadawać grzeczne pytania, a Lesje powinna na nie odpowiedzieć.

- Oblepia gipsem kość - wyjaśnia Lesje. - Musi to robić bardzo ostrożnie, bo nie jest to prawdziwa kość, ale skamielina. Bardziej miękkie części kości zostały zniszczone i kształt jej wypełniono minerałami, więc jest jak kamień, ale też bardzo krucha.

- Wiem - mówi Janet. - Tatuś nam powiedział.

- Czy na tym polega twoja praca? - pyta Nancy.

- Częściowo - odpowiada Lesje.

- Co za zabawna praca - stwierdza Nancy.

- Zajmuję się również innymi rzeczami - oznajmia Lesje, zastanawiając się, dlaczego się broni przed dziewięcioletnią dziewczynką. A może ośmioletnią? - Właściwie rzadko uczestniczyłam w wykopaliskach. Zajmowałam się natomiast konserwacją. Niektóre skamieniałości trzeba od razu konserwować, gdyż mogą się rozpaść. Pokrywamy je gelwą. To rodzaj żywicy.

Dziewczynki przyglądają się przez szkło surowemu paleontologowi, który, im dłużej na niego patrzysz, tym bardziej przypomina trupa, ze swoją bladością i utkwionym wzrokiem; tak myśli Lesje. Twarz Janet jest nieprzenikniona, jakby poczuła coś nieprzyjemnego, Nancy jest zaciekawiona, ale zachowuje dystans. Jak Lesje może im wyjaśnić, dlaczego to robi, dlaczego lubi to robić? Dzień, w którym znaleźli albertozaurusa, udo, kręgosłup. Morgan: „Co tutaj mamy?” Był rozczarowany, ponieważ to dobrze znany okaz. Ale Lesje cieszyła się. „Zacznij znów żyć!”, chciała krzyknąć jak jakiś

prorok ze Starego Testamentu, jak Bóg, podnoszący ramiona, pragnący piorunów; i to dziwne ciało będzie znów rosnąć, pokryje Sobą kości, ukwietni jałowe ziemie.

*

Ale to nie może się zdarzyć, więc najlepszą rzeczą są te wystawy z roślinnością z plastiku, wśród której wyraźne i niewyraźne kości stanowią temat gwałtownej sprzeczki, jaką drogą poszły te stworzenia, podnoszące wysoko swoje gigantyczne głowy i przepastne oczodoły nad wyciągniętymi szyjami tych, którzy dzięki łasce przodków wciąż żyją.

W erze mezozoicznej dzieci naciskają guziki, obserwując kolorowe slajdy, przy akompaniamencie głosów płynących z automatów w muzeum. Lesje wie, że już nie jest potrzebna. Nate kroczy obok niej, nieprzytomny, i ona chciałaby nim potrząsnąć.

O co w tym wszystkim chodzi? Dlaczego musiała poświęcić swój wolny czas (mogła pójść na zakupy, mogła czytać, kochać się) dla tego wydarzenia? Czy jest egzaminowana, czy zdała? Jeżeli on chce z nią flirtować - ona nie wie, jakby zareagowała, gdyby tak się stało, nie myślała o tym, choć raz poczuła jego rękę na swoim ciele - dlaczego tego nie robi? (Oczywiście nie tutaj i nie teraz; nie w obecności dzieci, które prawdopodobnie niczego by nie zauważyły).

Ale chyba nie o to chodzi.

NATE

Sobota, 20 listopada 1976

Trójka przed nim, niewyraźna w przepastnej ciemności. Potwory wynurzają się przed nimi, gady, szkielety w różnych pozach jak w gargantuicznym tunelu horrorów. Nate czuje, że jego kości erodują, kamień zapełnia jamy. Znalazł się w pułapce. Biegnij, Nancy, biegnij, Janet, bo czas może was dogonić; wy też zostaniecie schwytane i zamrożone. Ale Nancy, pewna, że on jej nie widzi, dłubie w nosie.

Sylwetka Lesje pochyla się ku dzieciom. Wydłużona. „Nasza pani od kości”. „»Wymarły« oznacza, że nie ma ich na świecie”, wyjaśnia Lesje. Nate ma nadzieję, że nie uważa jego dzieci za głupie. Na pewno objaśniał im wiele razy, co znaczy słowo „wymarły”. I przecież bywały w tej galerii dość często, chociaż Nancy woli egipskie mumie, a Janet dział zbroi, lordów i dam. Czy one przypochlebiają się Lesje, aby mu pomóc; zadają pytania, by udawać zainteresowanie, czy już są takie spostrzegawcze i chytre? Czy wszystko jest takie jasne?

- Dlaczego? Dlaczego one wszystkie wymarły? - pyta Janet.

- Nikt tego naprawdę nie wie - odpowiada Lesje. - Świat się zmienił i nowe warunki nie były dla nich odpowiednie. - Chwilę milczy. - Znaleźliśmy kilka jaj z zarodkami dinozaurów. U kresu swych dni nawet się nie wylęgły.

- Było za zimno, głuptasie - odzywa się Nancy. - Była to epoka lodowcowa.

- Hm, niedokładnie - zaczyna Lesje, ale sądzi, że lepiej tego tematu nie kontynuować. Odwraca się do niego, z wahaniem, czekając.

Nancy biegnie, szarpie go za rękę, by się pochylił. „Chcę zobaczyć teraz mumie”, szepcze. Janet, wrażliwa istota, będzie protestować; trzeba zawrzeć kompromis, czas minie, wkrótce wszyscy będą o dzień starsi.

Jak mógłby je opuścić? Czy mógłby wytrzymać te przygotowane sobotnie wycieczki? Widzieć je tylko raz w tygodniu, bo taka byłaby cena. Jak się macie, dzieciaki? Wspaniale, tatusiu. Koniec z bajkami przed spaniem, zaimprovizowanymi gonitwami w holu, głosami przy drzwiach do piwnicy. To niesprawiedliwe. Ale tak będzie albo powstanie jakaś inna niesprawiedliwość; Lesje, jak dotąd nietknięta, płacząca w drzwiach sypialni kiedyś w przyszłości. Jeśli chodzi o niego, z drzazgami w swych morderczych rękach, siedzi w barze hotelu Selby i duma o etycznym życiu. Czy będzie mu się lepiej powodziło niż teraz? Będzie oglądał hokej z innymi pijącymi, powtarzał ich ochryple okrzyki. Życie etyczne. Nauczono go, że to jedyny pożądaný cel. Teraz, kiedy już dłużej nie wierzy, iż można go osiągnąć, dlaczego jednak próbuje?

Kuśtyka, wracając ze szkoły do domu, czerwony i okaleczony, gdyż jego matka zabroniła mu się bić. „Nawet, kiedy oni pierwsi mnie napadną?” Nawet, kiedy oni pierwsi cię napadną. „Oni biją małego chłopca”. Niewystarczający powód. „Trzech na jednego”. Jeszcze niewystarczający powód. „Nazwali go tchórzem”. I to podziałało. Ogniem zapłonęły jej oczy. W imię tolerancji, zabij. Mój promienny chłopiec. Nate, hipokryta w wieku sześciu lat i o dwa cale wyższy od swoich oprawców, walczył z zacieklą radością, wymyślając nowe niesprawiedliwości, by wytłumaczyć swoje triumfujące czarne sińce. „Czyny nie słowa”, jak mówili unitarianie.

Może powtórzyć wszystkie przyczyny, by nie działać w tej czy innej sytuacji; jednak zna swoją przeszłość na tyle dobrze, by obawiać się, że z dziwnych powodów zacznie działać. Mimo swoich skrupułów i bardziej rozpaczliwie, bardziej nierozumnie wskutek ich. Wskutek swojego egoizmu, jak ktoś to oceni. Chociaż nie Elizabeth. Ona twierdzi, że nie obchodzi

jej, co on robi, jakie są jego przyjaciółki, byleby tylko nie mieszał do tego dzieci. Oczywiście myśli o swoich dzieciach. Nate jest pewny, że wmówiła sobie, iż powiła je drogą partenogenezy, i wygodnie zapomniała, o nocy, w łazience i innej nocy, i wielu innych nocach. Lenistwo i zwyczaj. Jeśli chodzi o niego, wolałby myśleć, że jego dzieci, już całkowicie ukształtowane, wyskoczyły z jego czoła. Wtedy byłyby tylko jego.

Ale jest, jak jest, Nate wie, kto dostanie dzieci. Chociaż nigdy nie rozmawiali o separacji. Nawet w najgorszych czasach ona nigdy mu nie powiedziała, aby odszedł, i on nigdy nie groził odejściem. Ale ten temat podświadomie jest obecny w każdej ich rozmowie; to tajna broń, ostateczne rozwiązanie, niewymówiona sprawa. On przypuszcza, że oboje stale o tym myślą: rozważają, odrzucają.

Lepiej teraz zakończyć to spotkanie. Zamiast zabrać Lesje z działu ewolucji kręgowców i biec po schodach z nią do ustronia ssaków i insektów, on jej podziękuje, uściśnie dłoń, dotykając tylko raz jej długich zimnych palców swoją ręką. Potem obejrzy mumie i zbroje i będzie się starał nie widzieć tych artefaktów jako swoich wizerunków. Na zewnątrz pocieszy się popcornem i papierosem zamiast podwójnej whisky, której wtedy naprawdę będzie potrzebował. Będą czekali na kamiennych stopniach muzeum, rodzina, opierając się o napis po prawej stronie drzwi, „Sztuka człowieka poprzez wieki”, aż zmaterializuje się Elizabeth z otchłani, gdzie wędrowała; krępa figurka w czarnym płaszczu wyłoni się na spotkanie z nimi w oznaczonym czasie.

ELIZABETH

Poniedziałek, 29 listopada 1976

Elizabeth siedzi w wannie. Kiedyś kąpała się dla przyjemności; teraz bierze kąpiel z tej samej przyczyny, co je. Dbą o swoje ciało, tak jak się dba o samochód, by było czyste, jego poruszające się części w dobrym stanie, gotowe w chwili, gdy będzie mogła go znów użyć, zamieszkać w nim. Dla przyjemności. Je za dużo, wie o tym, ale lepiej za dużo niż za mało. Za mało to niebezpieczne. Straciła zdolność oceny, ponieważ nigdy nie jest naprawdę głodna. Bez wątpienia również za wiele się kąpie.

Pilnuje, by woda nie była za gorąca, gdyż boi się, że może zasnąć w wannie. Można utonąć w dwóch calach wody. Podobno gdy woda ma tę samą temperaturę, co twoja krew, akcja serca może się zatrzymać, ale tylko gdy ma się z nim jakieś kłopoty. Ale, o ile wie, z jej sercem jest wszystko w porządku.

Przyniosła do domu pracę z biura. Często to robi, gdyż nie może się tam skoncentrować. Również w domu nie potrafi się skupić, ale tu przynajmniej nikt nie wchodzi do niej i nie widzi, jak gapi się w sufit. Zawsze na ogół sama pisała na maszynie; jest świetną maszynistką, przecież od lat tym się zajmowała, nie lubi komuś zlecać pracy. Osiągnęła swoją obecną pozycję, gdyż dobrze rozmawia przez telefon i zawsze lepiej zna szczegóły swej pracy niż inni, dlatego nie ufa sekretarkom. Jednak teraz gromadzą się papiery. Będzie musiała coś z tym zrobić.

Marszczy czoło, starając się skupić na książce przed nią, trzymaną suchą ręką.

Ale jest nam trudno ogarnąć zmiany. Jest nam trudno wyobrazić sobie, jak żyli ludzie w dawnych Chinach (jak miliony wciąż żyją w Trzecim Świecie), ciężko pracując na płachetkach ziemi, oddając prawie wszystko, co

wyprodukowali, panom feudalnym, zdani na łaskę powodzi i klęski głodu - którzy po długiej wojnie wypędzili swego pana.

Elizabeth zamyka oczy. To katalog wystawy objazdowej. Chłopskie obrazy. Znajduje się teraz w Anglii i do muzeum może dotrzeć za kilka lat, jeżeli będzie chciało ją u siebie gościć. Ona ma przejrzeć katalog i przygotować informację. Ma napisać notatkę, czy według niej ta wystawa byłaby interesująca dla publiczności kanadyjskiej. Ale nie może, nie obchodzi jej. Nie obchodzi kanadyjska publiczność, a jeszcze mniej ten katalog napisany przez jakiegoś marksistę w Anglii. Z jego punktu widzenia ona jest feudałem. Zastanawia się nad swoimi lokatorami, z ich ziemistymi twarzami i ich nienormalnie cichym dzieckiem, ubranym zwykle zbyt czysto, trochę zbyt dobrze. Są cudzoziemcami. Chyba z Europy. Wschodniej, uciekinierami. Są dyskretni i płacą czynsz nerwowo, zawsze na dzień przed terminem. Te obrazy pochodzą z miejsca tak jej obcego, że mogłyby pochodzić z księżycy.

Opuszcza wstęp, przegląda obrazy. „Nowa wieś. Nowy duch. Dalszy postęp. Nowa chlewnia”. To krzykliwa propaganda i obrazy są brzydkie. W ostrych kolorach i z narysowanymi uśmiechniętymi postaciami przypominają szkółkę niedzielną, której tak nienawidziła w dzieciństwie. „Jezus kocha mnie”. Nigdy w to nie wierzyła, ani przez sekundę. Jezus był Bogiem i Bóg kochał ciotkę Muriel; ciotka Muriel była całkowicie tego pewna. Jeżeli chodzi o Elizabeth, Bóg nie mógł kochać jednocześnie jej i ciotki Muriel.

Nigdy nie chodziły do kościoła przed przeprowadzką do ciotki Muriel. O czym ciotka powinna była wiedzieć. Elizabeth dostała nagrodę za recytację wersów z Pisma Świętego. Natomiast Caroline zrobiła z siebie przedstawienie. Była Wielkanoc; miały nowe niebieskie kapelusze z gumką, która wżynała się w podbródek Elizabeth, i harmonizujące z

nimi płaszcze. Numer dziesięć i numer siedem, ale identyczne: ciocia Muriel lubiła je ubierać jak bliźniaczki. Ambona była ozdobiona narcyzami, ale pastor nie mówił o rezurekcji. Wolał mówić o Sądzie Ostatecznym. „Słońce zmieni się w ciemność, a księżyc w krew, gdy przyjdzie dzień Pański, dzień wielki i straszny” (Księga Joela 3, 4.).

Elizabeth składała i rozkładała swój obrazek Chrystusa, wyłaniającego się z jaskini w skale, z twarzą przezroczystą, z dwiema niebieskimi kobietami klęczącymi przed nim. Elizabeth złożyła Jego głowę, potem szarpnęła papierem tak, że wyskoczył jak z pudełka ze sprężyną. Kościół pachniał perfumami, zbyt mocnymi, falami pudru ciotki Muriel siedzącej obok niej. Ona chciała zdjąć płaszcz. „Patrz, patrz”, zawołała Caroline, wstając. Wskazywała na środkowy witraż, na którym Chrystus w purpurze pukał do drzwi. Kucnęła, potem spróbowała przedrzeć się przez ławkę z przodu, nie zważając na futrzaną czapkę pani Symon. Elizabeth siedziała spokojnie, ale ciotka Muriel pociągnęła Caroline za płaszcz. Pastor przybrał srogą minę i Caroline zaczęła krzyczeć. Ciotka Muriel złapała ją za ramię, ale nie udało się i dziewczynka wybiegła z nawy. Powinni byli wiedzieć. Coś złego się z nią działo. Powiedziała potem, że czuła, iż oblała ją purpura, ale ciotka opowiadała wszystkim, że Caroline miała niedyspozycję żołądka. „Pobudliwość”, stwierdzili; tak często bywa z małymi dziewczynkami. Nie trzeba było jej zabierać na główne nabożeństwo.

Ciotka Muriel doszła do wniosku, że to wina pastora i że trzeba się go pozbyć. Nie muszą słuchać takich rzeczy. Mówił raczej jak baptysta. Po latach przeczytały w gazetach, że dokonał egzorcyzmu na dziewczynce, która miała naprawdę guz w mózgu i umarła. „Widzicie?”, powiedziała ciotka Muriel. Szalony jak Kapelusznik.

Natomiast Caroline, gdy siedem lat później ten krzyk przybrał ostateczny kształt, wyjaśniła całkowicie, fatalnie jasno, co wtedy próbowała powiedzieć; był to sąd. Albo brak siły woli, w zależności od tego, jak ciotka Muriel wtedy się czuła.

W szpitalu i potem w domu opieki Caroline nic nie mówiła, a nawet się nie ruszała. Nie jadła sama i trzeba było zmieniać jej pieluszki jak malutkiemu dziecku. Leżała na boku z podkurczonymi do piersi kolanami, z zamkniętymi oczami i zaciśniętymi pięściami. Elizabeth siedziała przy niej, wdychając mdły zapach bezwładnego ciała. „Caroline”, szeptała. „Wiem, że tam jesteś”.

Trzy lata później, gdy Caroline miała prawie siedemnaście lat, wywołano z łazienki pielęgniarza, gdy ona była w wannie. „Nagły wypadek”, mówili. A nie wolno było nigdy zostawiać pacjentów samych, bez opieki; takie były przepisy. Właściwie nie powinni byli w ogóle zezwolić Caroline na kąpiel, ale ktoś zdecydował, że kąpiel ją odpręży, będzie mogła rozkurczyć nogi; tak powiedziano w czasie śledztwa. Niestety Caroline ześlizgnęła się. Utopiła się, a gdyby uczyniła mały gest, odwróciła głowę, żyłaby.

Czasami Elizabeth zastanawiała się, czy Caroline nie uczyniła tego specjalnie, czy w tym zaplombowanym ciele tliła się świadomość i czekała na swoją szansę. Myślała dlaczego. Niekiedy jednak i ona sama zastanawiała się, dlaczego tego nie zrobiła. W tych czasach Caroline jest jasna, logiczna, czysta; marmurowa w przeciwieństwie do jej własnego powoli usychającego ciała, tchnienia jej zniszczonych płuc i gąbczastego serca.

W pokoju ktoś śpiewa. Nie śpiewa, ale nuci; Elizabeth zdaje sobie sprawę, że słyszy to od pewnego czasu. Otwiera oczy, aby zlokalizować dźwięk; muszą to być rury, vibracje dalekiej wody. Tapeta jest za jaskrawa, powój pnący, i ona

wie, że powinna być ostrożna. Żadnych wstępnych wywodów. Nie uważała tych ludzi z lat sześćdziesiątych, którzy rozrywali swoje koty i skakali z okna, gdyż sądzili, że są ptakami, za fascynujących; uważała, że są głupi. Każdy, kto kiedykolwiek słyszał te głosy przedtem albo widział, jakie spustoszenia mogą uczynić, wiedziałby, co oznaczają. „Zamknijcie się”, mówi Elizabeth. Nawet to oświadczenie jest złe. Próbuje skoncentrować się na tekście. „Krytykując Lin Piao i Konfucjusza, przed szczątkami dawnych rydwanów wojny należących do właściciela niewolników”, czyta. Woźnice rydwanów zostali pochowani żywcem. Elizabeth zerka na obrazek, próbując ich zobaczyć, ale dostrzega tylko szkielety koni. Oburzeni chłopcy krążą dokoła grobów.

Trzyma książkę, ciało odrywa się w wodzie, otoczone białą porcelaną. Na półce z daleka, tak daleko, że na pewno nie może ich dosięgnąć, leżą zabawki dzieci, które wciąż chcą, chociaż już są duże, by towarzyszyły im w kąpieli: pomarańczowa kaczuszka, czerwono - biała łódka z kołem łopatkowym, niebieski pingwin. Jej piersi i brzuch spłaszczają się siłą ciężenia. Sylwetka jak z klepsydry. Książeczka zagadek Nancy:

Mam dwa ciała
choć skupione są w jednym
im spokojniej stoję
tym szybciej biegnę.

Na następnej stronie była zagadka o trumnie. „Nie bardzo odpowiednia dla dzieci”, powiedziała tego Bożego Narodzenia. Nate kupił ją w małym pudełku.

Jej nogi wyłaniają się z niebieskiej wody jak góry; chmury kąpieli bąbelkowej płyną dokoła nich. Kupiła ten płyn dla Chrisa, dla nich obojga w jakimś sybaryckim śnie; nim dowiedziała się, że on nie lubi patrzeć na jej ciało z bliska; tylko z odległości pół cala. Nie lubił, gdy stała do niego tyłem,

chciał, by czuła go, ale nie widziała. „Znajdę cię tam, gdzie mieszkasz”, powiedział znacznie później, znacznie za późno. Gdzie ona żyje?

Piasek przesuwa się przez jej szklane ciało, od głowy do stóp. Kiedy się skończy, ona umrze. Zakopana żywcem. Po co czekać?

LESJE

Wtorek, 7 grudnia 1976

Lesje wyszła na lunch z Marianne. Właśnie zjadły kanapkę u Murraya, gdzie jest blisko i tanio; teraz idą do Yorkville i Cumberland, aby oglądać wystawy. „Tu już nie można kupować”, stwierdza Marianne, którą Lesje uważa za autorytet w tej dziedzinie; za wysokie ceny. Teraz lepszym miejscem jest Queen Street West. Ale Queen Street West jest za daleko.

Marianne zwykle jada lunch z Trish, która dziś zachorowała na grypę. Obie zapraszały już przedtem Lesje na te ekspedycje, ale zwykle odmawiała. „Mam zaległości”, mówiła, „zjem coś na dole”. Oczywiście nie mają jej wiele do zaoferowania, prócz plotek, którymi dzielą się przy porannej kawie. Marianne otwarcie wyznaje - albo to jest żart? - że poszła na biologię, aby spotkać studentów medycyny i poślubić doktora. Lesje nie aprobuje takiej frywolności.

Teraz jednak chce usłyszeć plotki. Łaknie plotek, chce wiedzieć, wszystko, co Marianne może jej powiedzieć o Elizabeth, a zwłaszcza o mężu Elizabeth, który nie dzwonił, nie pisał, nie pokazał się od chwili, gdy uścisnął jej rękę przy wyjściu z galerii dinozaurów. Ona tak naprawdę nie jest nim zainteresowana, ale skonfundowana. Chce wiedzieć, czy często postępuje w ten sposób, tak dziwnie się zachowuje. Jednak nie bardzo wie, jak zdobyć tę informację od Marianne, nie mówiąc jej, co się dotąd wydarzyło; ale tego nie chce zrobić. A właściwie dlaczego nie? Przecież nic się nie wydarzyło.

Zatrzymały się na rogu Bay i Yorkville, aby obejrzeć niebieski welwetowy kostium ze złotą lamówką i bluzkę ze zmarszczonymi mankietami i kołnierzem Piotrusia Pana.

„Zbyt gejowskie”, oznajmia Marianne; to jej określenie ekstrawanckiego gustu. Chociaż ma niebieskie oczy i blond

włosy, i imię z madrygału, Marianne jest Żydówką; według Lesje całkowitą Żydówką, a nie jak ona w połowie. Stosunek Marianne do Lesje jest skomplikowany. Czasem zalicza ją do Żydów; nie powiedziałaaby „zbyt gojowskie”, gdyby nie uważała jej za przesadną gojkę. Chociaż jak jedna z ciotek Lesje wyjaśniła, słodko i złośliwie, gdy miała dziewięć lat, Lesje tak naprawdę nie jest Żydówką. Można by ją uznać za Żydówkę, gdyby Żydówką była jej matka, a nie ojciec. Widocznie ten gen odziedzicza kobieta, jak hemofilię.

Czasem jednak Marianne koncentruje się na ukraińskim imieniu Lesje. Nie obchodzi to jej w takim stopniu, jak prawdopodobnie obchodziłoby jej rodziców; ale uważa je za intrygujące, choć trochę śmieszne.

- Dlaczego tym się martwisz? Sprawy etniczne to ostatnio bardzo ważny temat. Zmień swoje ostatnie imię i dostaniesz multikulturalny grant.

Lesje śmieje się z tych dowcipów, chociaż słabo. Jest multikulturalna, ale nie w taki sposób, jaki odpowiadałby tym, którzy dają granty. A ojciec jej rodziny już zmienił nazwisko, przynajmniej raz, chociaż nie po to, by dostać grant. Zrobili to w końcu lat trzydziestych: kto mógł wiedzieć, że Hitler rozpocznie inwazję, a nawet gdyby tego nie dokonał, już było dosyć antysemitów w kraju. W owych dniach, jak mówiły jej ciotki, nie otwierało się drzwi, jeżeli nie wiedziałeś, kto puka. I dlatego nazwisko Lesje brzmiało Green, Lesje Green; chociaż musi przyznać, że Lesje Etlin byłoby równie dziwne. Kiedy chodziła do szkoły, przez dwa lata mówiła nauczycielom, że ma na imię Alice. „Lesje znaczy Alice”, powiedziała jej matka, i było to bardzo dobre imię, imię sławnej poetki ukraińskiej. Ale jej poematów Lesje nigdy nie będzie umiała przeczytać.

Jednak powróciła do dawnego imienia z następującego powodu. Jeżeli odkryje jakiś kraj, dotąd nie odkryty (a ona

zamierzała kiedyś tego dokonać), oczywiście nazwie go swoim imieniem. Grenlandia już istnieje, chociaż nie o takim miejscu myślała.

Grenlandia jest jałowa, lodowata, pozbawiona życia, a Lesje zamierza odkryć kraj tropikalny, bogaty, pełen cudownych form życia, albo archaicznych i uznawanych za wymarłe, albo całkowicie nieznanymi, nawet w spisach skamieniałości. Lesje zrobiła staranne rysunki w swoim albumie i oznaczyła florę i faunę.

Nie mogła przecież nazwać tego kraju Aliceland; nie byłoby to właściwe. Jedno z jej zastrzeżeń do Zaginionego świata dotyczyło cech topograficznych. Na przykład jezioro Gladys brzmiało „zbyt gojowsko”. A cały płaskowyż nazwano Mapie White Land; tę nazwę zawdzięczano artyście, którego szkice pterodaktyłów znaleziono w jego skurczonej ręce, a całe ciało w stanie śmiertelnego obłędu. To on przyczynił się do wyboru tego traktu przez profesora Challengeera. Lesje była pewna, chociaż nie było wzmianki o tym w książce, że Mapie White musiał być Kanadyjczykiem, najbardziej zimnym osobnikiem. Z takim nazwiskiem, kim innym mógłby być?

Lesjeland jednak brzmiałoby jak nazwa afrykańska. Mogłaby zaznaczyć tę krainę na mapie: widziana w ten sposób nie byłaby wcale śmieszna.

Raz, kiedy dorosła, poszła na festyn. Zwykle unikała takich okazji. Nie miała zaufania do oficjalnie organizowanych imprez, w kostiumach, w których już nikt nie chodził. Naprawdę tacy Polacy byli tylko w polskim pawilonie, Indianie w indiańskim, jodłujący Niemcy w niemieckim. Właściwie nie wie, dlaczego tym razem tam poszła; może chciała znaleźć swoje korzenie. Jadła potrawy, które pamięta słabo z domu swojej babci, i nigdy nie знаła nazwy angielskiej dla „pierogów”, obserwowała wysokich chłopców i dziewczyny z kasztanowymi warkoczami w

czerwonych butach, jak skakali na scenie ozdobionej papierowymi słonecznikami, jak śpiewali piosenki, jej nie znane, i tańczyli tańce, których nigdy jej nie uczono. Według programu, niektórzy tancerze mieli na imię Doris, Joan i Bob, chociaż inni mieli imiona podobne do jej: Natalia, Halina, Wład. W końcu, kpiąc, odnalazła również coś w imieniu Marianne, kiedy to powiedziała „schwartz”, powołując się na opinię jej matki na temat czystości kobiet; śpiewali piosenkę z ukraińskiego obozu letniego:

Nie jestem Rosjanką, nie jestem Polką, Nie jestem Rumunką,

Pocałuj mnie raz, pocałuj mnie dwa razy, Pocałuj mnie, jestem Ukrainką.

Lesje podziwiała kolorowe kostiumy, zwinność, muzykę; ale była outsiderem, obserwatorem. Czowała się wyłączona z tego, jakby była otoczona kręgiem swoich kuzynów. Po obu stronach. „Pocałuj mnie, jestem multikulturalna”.

Nie wysyłano jej na ukraińskie obozy letnie ani na żydowskie. Nie wolno jej było chodzić do kościoła, ze złotą kopułą jak z bajki, ani do synagogi. Jej rodzice byliby zadowoleni, gdyby mogli ją posłać do obu świątyń dla spokoju w rodzinie, ale jej babcie na to nie pozwalały.

Czasami Lesje myśli, że to nie rodzice wydali ją na świat, ale że zjawiała się na tej ziemi w drodze jakiejś nieznaney kopulacji dwóch starych kobiet, które nigdy się nie spotkały. One istniały w jakiejś dziwnej parodii małżeństwa, nienawidząc się wzajemnie bardziej, niż każda z nich nienawidziła Niemców, mając obsesję na swoim punkcie. Nawet umarły w odstępie roku jak oddane małżeństwo. Na zmianę trapiły dom jej rodziców, walczyły o nią, jakby ona była przedmiotem na sprzedaż. Jeżeli jednego dnia jedna z nich opiekowała się Lesje, to drugiego dnia wnuczką musiała zająć się druga; inaczej powstawały dramaty: płacze babci

Smylski, wściekłość babci Etlin (która zachowała swoje nazwisko, odmówiła postępowania reszty rodziny). Żadna z nich nie nauczyła się nigdy dobrze angielskiego, chociaż babcia Etlin chwyciła w lot skatologiczne przekleństwa od dzieci sąsiadów, kręcących się dokoła jej sklepu. Przekręcała słowa na swój sposób. Stawała na frontowych schodkach w czarnych butach i krzyczała: „Psie nasienie, mam nadzieję, że zdechniesz!” Wiedziała, że najlepiej wrzeszczeć na schodkach; rodzice Lesje starali się za wszelką cenę zabrać ją do środka, z dala od ulicy. Wiadomo, Anglicy. W ich wyobraźni nie występowały babcie w czarnych butach, które krzyczały: „Oby ci odpadł tyłek” lub coś podobnego. Lesje teraz o tym wie.

Dziwne było to, jak obie babcie były do siebie podobne. Domy ich obu były małe i ciemne. Pachniało w nich politurą i naftaliną. Obie owdowiały. Obie miały lokatorów, kawalerów o smutnych oczach, którzy mieszkali na górze. We frontowych pokojach u obu pełno było zdjęć rodzinnych w srebrnych ramkach; obie miały wykwinną porcelanę i piły herbatę w szklankach.

Nim Lesje była dostatecznie duża, by chodzić do szkoły, spędzała pół tygodnia u każdej babci, gdyż jej matka musiała pracować. Siedziała na podłodze w kuchni i wycinała obrazki z magazynów i folderów małej agencji turystycznej, gdzie pracowała jej matka. Potem gromadziła je w stosiki, osobno mężczyźni, osobno kobiety, w jednym psy, w drugim domy - a jej babcie piły herbatę i rozmawiały z ciotkami (siostrą jej ojca, z żonami braci matki) w języku, którego nie rozumiała i w którym jej rodzice nigdy nie mówili w domu. Byłaby wtedy trójjęzyczna. Tymczasem uznano, że nie zna dobrze angielskiego, ma złą ortografię i brak jej wyobraźni. W piątej klasie miała napisać wypracowanie pt. „Moje letnie wakacje” i opisała swoją kolekcję kamieni, z technicznymi szczegółami.

Dostała ocenę dostateczną i nauczycielka powiedziała: „Miałaś napisać o osobistych przeżyciach, coś o swoim życiu. A ty przepisałaś materiał z encyklopedii. Chyba się czymś innym zajmowałaś podczas wakacji”.

Lesje nie rozumiała. Nic innego nie robiła latem, a kolekcja kamieni to było coś osobistego z jej życia. Ale nie umiała wytłumaczyć, dlaczego jej odkrycie, że każdy kamień jest inny i ma inną nazwę, jest takie ważne. Te nazwy to język; niewiele osób je zna, ale jeżeli się znajdzie kogoś, kto w tym się orientuje, to ma się temat do rozmowy. Tylko o kamieniach i skałach. Schodziła i wchodziła na schody, mrużąc te nazwy, zastanawiając się, czy wymawia je poprawnie. „Łupek, magma, malachit, piryt, lignit, wulkan”. Nazwy dinozaurów, kiedy je poznała, dawały nawet większe zadowolenie, miały więcej sylab, wywierały kojący, łagodzący wpływ. Chociaż nie umiała napisać bez błędu „otrzymać” czy „skonfundować”, czy „kariera”, pisała poprawnie: „Diplodok”, „archopteryks”.

Rodzice uznali, że za wiele czasu poświęca tym zagadnieniom i próbowali zapisać ją na lekcje tańca, aby stała się bardziej towarzyska. W ciszy Oczywiście winili babcie Etlin, która pierwsza zabrała ją do muzeum, nie dlatego, że interesowała się tymi okazami, ale dlatego, że wstęp był tani i można się było schronić przed deszczem. Ponieważ babcia Smylski dyżurowała i w poniedziałki, wtorki i środy, babcia Etlin też domagała się opieki nad Lesje w pozostałe kolejne dni tygodnia, chociaż oznaczało to pogwałcenie sabatu; ale tym babcia Etlin nie bardzo się przejmowała. Przestrzegła kuchni koszernej z przyzwyczajenia, ale pod innymi względami nie zachowywała się zgodnie z tradycją. Kiedy Lesje zaczęła chodzić do szkoły, w soboty zamiast do synagogi, szły do muzeum, które na początku było dla niej niczym kościół czy świątynia, jakby trzeba było tam klęczeć.

Panował tam spokój, a w powietrzu unosiła się jakaś tajemnicza woń, płynąca ze sztuki sakralnej: kwarcu, ametystu, bazaltu.

(Kiedy babcia umarła, Lesje uważała, że powinno się ją wstawić do gablotki w muzeum, jak egipskie mumie z tabliczką objaśniającą. Pomysł nie do zrealizowania; taka była jej forma żałoby. Ona wiedziała lepiej, co należy zrobić, gdy tak siedziała w kącie ogromnego salonu, różowego i białego jej ciotki, a wszyscy jedli tort kawowy. W końcu pozwolono jej pójść do synagogi, ale tam wcale nie było tajemniczo. Ani jasna, czysta synagoga ani różowy salon nie przypominały zupełnie babci. Oszklona szafka w ciemnym kącie z jej butami i kilkoma sztukami złotej biżuterii i sznurkami bursztynu).

„Wyjaśnij mi”, prosiła babcia, trzymając ją mocno za rękę, dla ochrony, jak zrozumiała później Lesje; i Lesje czytała tabliczki z objaśnieniami. Babcia nic nie rozumiała, ale mądrze potakiwała i uśmiechała się; nie z powodu skał, robiących takie wrażenie, jak kiedyś myślała Lesje, ale dlatego, że jej wnuczka umiała z łatwością poruszać się w tym świecie, tak dla niej niezrozumiałym.

W ostatnim roku życia babci, kiedy Lesje miała dwanaście lat i kiedy obie uznały, że już są trochę za stare na te poranne wycieczki do muzeum, zobaczyły w muzeum coś, co przygnębiło babcię. Ona już dawno przyzwyczała się do widoku mumii w dziale egipskim i już nie mówiła „Gevalt” za każdym razem, gdy wchodziły do działu dinozaurów, który wtedy nie tonął w ciemnościach i w którym nie było zainstalowanego głosu. Teraz chodziło o coś innego. Zobaczyły kobietę z Indii w pięknym czerwonym sari, obszytym złotą wstążką. W górnej części sari widniał biały laboratoryjny fartuch; z kobietą były dwie małe dziewczynki, zapewne jej córki, w szkockich kiltach. I wszystkie zniknęły w

drzwiach z napisem: „Tylko dla personelu”. „Gevalt”, zawołała babcia i zmarszczyła brwi, ale nie ze strachu.

Lesje popatrzyła na nie w zachwycie. To była przecież jej narodowość.

- W tym będzie ci dobrze - orzekła Marianne. Ona czasami radzi Lesje, jak powinna się ubierać, ale Lesje nie traktuje tych wskazówek poważnie. Marianne, która musi uważać na to, co je, twierdzi, że Lesje powinna wyglądać nobliwie. Wyglądałaby tak, gdyby tak nie pędziła. Oglądały długą wełnianą sukienkę w kolorze śliwki, niesłuchanie drogą.

- Nigdy tego nie włożę - powiedziała Lesje, myśląc o tym, że William jej nigdy nie zabiera tam, gdzie mogłaby w tym chodzić.

- A może to - Marianne przeszła do innej wystawy. - Oto standardowa mała czarna Elizabeth Schoenhof.

- Zbyt gojowska? - zapytała Lesje, sądząc, że Marianne szydzi i udaje zachwyconą.

- Och, nie. Popatrz na krój. Elizabeth Schoenhof nie jest gojką, ona jest znamienitą protestantką pochodzenia anglosaksońskiego, jest WASP - em.

Lesje zapytała, co to za różnica.

- Gdy należy się do znamienitych WASP - ów, to można gwizdać na wszystko. Możesz mieć dywan, który wygląda okropnie, ale kosztuje milion dolarów i tylko kilka osób o tym wie. Pamiętaj, kiedy królowa bierze do ręki kostkę kurczaka, publikuje się to we wszystkich gazetach, nagle ktoś to zrobił. To określa WASP - a.

Lesje czuje, że nigdy nie pozna tych niuansów. A choćby William z jego opowieściami o winie: potrafi mówić o różnych bukietach. Dla Lesje to wszystko jedno, każde wino smakuje jak wino. Może Nate Schoenhof jest też znamienitym WASP - em, chociaż nie wydaje się. Za wiele w nim wahań, za wiele mówi, rozgląda się po pokoju w nieodpowiednich

chwilach. Prawdopodobnie nie wie, kto to jest znamienity WASP.

Może i Elizabeth nie wie. Może na tym to polega: nie musisz wiedzieć, że jesteś WASP - em.

- A co z Chrisem? - pyta Lesje. Z pewnością Chrisa nie dotyczy to określenie.

- Chris? - mówi Marianne. - Chris był szoferem.

ELIZABETH

Czwartek, 23 grudnia 1976

Tak, wiem, że przeżyłam okropny szok. Zdaję sobie z tego sprawę, jeszcze czuję fale tego wstrząsu. Uświadamiam sobie, że był to czyn ostentacyjnie wymierzony we mnie, chociaż nie dosłownie; może zaważyły ślady dzieciństwa, chociaż nie znam niczego, co by mogło oddziaływać na jego psychikę. Miał złe dzieciństwo, ale kto nie miał? Rozumiem również, że moje reakcje są normalne w zaistniałych okolicznościach i że on chciał, abym poczuła się winna, ale ja nie czuję się za to odpowiedzialna. Właściwie nie wiem, czy ciąży na mnie wina. Jestem zła, od czasu do czasu; poza tym czuję się czegoś pozbawiona. Czuję, jakby energia stale ze mnie wyciekała, jakby uchodziła ze mnie elektryczność. Wiem, że nie jestem odpowiedzialna za to, co się stało; niewiele mogłam zrobić, przecież on mógł zabić mnie czy Nate'a, czy dzieci zamiast siebie. Wiedziałam o tym już przedtem, ale nie, nie dzwoniłam na policję ani do władz od higieny psychicznej. Nie uwierzyliby mi. Znam te sprawy.

Wiem, że muszę żyć dalej i nie mam zamiaru działać inaczej. Nie musicie się o to martwić. Jeżeli miałabym zamiar wziąć nóż i - przeciąć sobie żyły w nadgarstku czy też skoczyć do wody z wiaduktu Bloor Street, zrobiłabym to przedtem. Jestem matką, jeżeli już nie żoną, i traktuję te obowiązki poważnie. Nigdy bym nie zostawiła takiego wspomnienia moim dzieciom. Mogłabym to zrobić ze względu na siebie, ale to mi nie odpowiada.

Nie, nie chcę mówić o mojej matce, moim ojcu, ciotce Muriel czy o mojej siostrze. Chociaż wiele o nich wiem. Byłam już na tej żółtej wybrukowanej drodze wiele razy i stwierdziłam, że nie ma tam Czarnoksiężnika Z Oz. Moja matka, mój ojciec, moja ciotka i moja siostra nie odeszli. Chris też nie odszedł.

Jestem dorosła i nie sędzę, że jestem tylko sumą mojej przeszłości. Mogę wybierać i ponosić konsekwencje, chociaż nie zawsze są takie, jakie przewidziałam. Ale to nie oznacza, że mam je lubić.

Nie, dziękuję. Nie chcę zażywać tabletek, aby mi pomogły. Nie chcę zmieniać nastroju. Mogę opisać ci ten nastrój szczegółowo, ale nie jestem pewna, czy to pomoże tobie albo mnie.

Elizabeth siedzi na szarej ławce na stacji metra Ossington, ręce w czarnych rękawiczkach skrzyżowane na kolanach, nogi w butach ładnie ustawione. Jej ton, wie o tym, jest trochę wojowniczy i nie bardzo rozumie dlaczego. Pierwszy raz, gdy prowadziła tę rozmowę ze sobą rankiem w swoim biurze, była całkiem spokojna. Gdy doszła do wniosku, że psychiatra polecony przez Nate'a nic jej nie pomoże ani nic jej nie powie, zatelefonowała i odwołała wizytę.

Korzysta z wolnego czasu, by wrócić do domu wcześniej. Opakuje prezenty gwiazdkowe i schowa paczuszki pod łóżkiem, zanim przyjdą dzieci. Już wie, że szelest papieru, żywe barwy wstążek to więcej, niż może znieść; te gwiazdy, niebieskie, czerwone i białe palą jej oczy, jakby nie było atmosfery. To nadzieja, a właśnie fałszywej obietnicy nadziei nie może tolerować. Wszystko jest gorsze podczas Bożego Narodzenia; zawsze było. Ale przebrnie przez to, Nate jej w tym pomoże, może na nim polegać.

Może taki wybrali kurs: koleżeństwo, wyciągnięte cienkie ramię, na którym można się oprzeć, dwoje starszych ludzi ostrożnie schodzi z frontowej werandy, po zamarznętym schodku. Będzie pilnowała, by on brał swoje pigułki na żołądek i będzie kontrolowała jego spożycie alkoholu, on poprosi ją, by włączyła jego aparat słuchowy i będzie jej czytał zabawne anegdoty z prasy codziennej. Wojskowe zamachy stanu, masakry, tego rodzaju sprawy. Wieczorami w

weekendy będą oglądali amerykańskie seriale w telewizji. Będą mieli albumy z fotografiami i kiedy dzieci przyjdą w niedzielę ze swymi pociechami, wyciągnie się te albumy i wszyscy, śmiejąc się, będą oglądali zdjęcia; a gdy zobaczy swoje zdjęcie, jak wygląda dzisiaj, w tej chwili, siedząc na stacji metra Ossington, czekając na autobus, gdy światło przesącza się przez spopielały film na płaskim szkłe okien, poczuje znów tę przepastną pustkę w sobie. Potem zjedzą lunch, grzanekę z pastą łososiową, z utartym jajkiem na górze, danie odpowiednie na ich niski budżet. Nate będzie się bawił z wnukami, a ona zmyje naczynia w małej kuchence, czując oddech Chrisa, jak zwykle, na karku.

Może lepiej myśleć o sobie żyjącej samotnie w małym mieszkanku ze swymi miseczkami i roślinami. Nie, to by było gorsze. Gdyby Nate był z nią, przynajmniej panowałby tu ruch. „Trzeba się ruszać”, mówią do tych, co prawie zamarli, do tych, co wzięli za dużo tabletek, tych w szoku. Przygoda w ruszaniu się. Chcę się ruszać. Rusz mnie. „Jesteśmy odrętwiali. / Przed wieloma laty / Zrobiliśmy to czy tamto. A teraz siedzimy”.

Wczoraj wieczorem ona zapukała do pokoju Nate'a, trzymając parę skarpetek, które zostawił w salonie, prawdopodobnie dlatego, że były mokre. Kiedy otworzył drzwi, był bez koszuli. Nagle ona, która nie chciała od dwóch lat, by jej dotykał, która uważała jego długie, chude ciało za odrażające, która wybrała jędrne, bogato pożyłkowane ciało Chrisa, która tak zorganizowała czas i przestrzeń, by nigdy nie musiała stawać twarzą w twarz z tym torsem, zamknęła go w przestrzeni jasno oddzielonej od niej - nagle chciała, by ją objął, przytulił, pocieszył i ukołysał. Chciała powiedzieć: „Czy można jeszcze coś uratować?”, myśląc o ruinach ich małżeństwa. Ale on się cofnął, ledwie dała mu skarpetki, bez słów, jak zwykle.

Kiedyś zawsze umiała powiedzieć, czy jest w domu, gdy go słyszała lub nie słyszała. Teraz nie potrafi. Częściej go nie ma, a gdy jest, jego obecność przypomina jakby światło gwiazdy, która poruszała się w ciągu tysięcy lat świetlnych przedtem: jest duchem. Już, na przykład, nie przynosi jej filiżanki herbaty. Wciąż jednak dają sobie prezenty na Gwiazdkę. Dzieci zaniepokoiłyby się, gdyby pominięto ten rytuał. Ona w końcu kupiła coś dla niego. Srebrną papierošnicę. Myśli perwersyjnie o kontraście: srebrna papierošnica wystająca z kieszeni wystrzępionego swetra. Kiedyś dawał jej koszule nocne, zawsze za duże, jakby sądził, że ma większe piersi. Teraz daje jej książki. Na neutralny temat, który powinien ją zainteresować: antyki, szkło, kilty.

- Przygotowana do świąt?

Jakiś facet siedzi obok Elizabeth. Siedzi już od kilku minut; widziała go jako brązową plamę po lewej stronie, zarejestrowała, jak się przesuwają, krzyżuje nogi. Ruch jak szelest w żywopłocie, ukradkowy, prawie nie istniejący. Odwraca na chwilę głowę, by na niego spojrzeć. Jest w brązowym płaszczu, trochę dla niego za małym - pewnie pije go pod pachami - i w brązowym kapeluszu. Oczy mu błyszczą, gdy patrzy na nią, są również brązowe i małe jak rodzyнки. Ręce bez rękawiczek, z ciemnymi włosami na knykciach, leżą na grubej walizce, którą trzyma na kolanach.

Ona się uśmiecha. Już dawno nauczyła się z łatwością uśmiechać, z wdziękiem, bez wysiłku.

- Niezupełnie. Nigdy się nie jest całkiem przygotowanym, prawda?

Mężczyzna przysuwa się do niej, ona czuje lekki napór z boku.

- Wyglądasz, jakbyś na kogoś czekała - mówi.

- Nie. Czekam tylko na autobus - odpowiada Elizabeth.

- Chyba jesteśmy sąsiadami. Jestem pewien, że widziałem cię na ulicy.

- Nie przypuszczam.

- Jestem tego pewien. Nie zapomniabym. - Ścisza głos.

- Takiej kobiety jak ty się nie zapomina.

Elizabeth odsuwa się, by nie czuć parcia na udo. Drugie udo opiera się teraz o poręcz ławki. Zawsze może wstać. Ale on natychmiast zaczyna mówić o wartości nieruchomości. To nieszkodliwa rozmowa i Elizabeth wciągnął ten temat. Oni oboje kupili swój dom prawie w tym samym czasie, oboje doświadczyli tortur remontu, chociaż on wyłożył podłogę w salonie korkodębem, czego Elizabeth nie pochwała. On opowiada o swoim przedsiębiorcy budowlanym, jego kłamstwach, wadliwych kablach. Elizabeth odpoczywa, oparta o ławkę. Jest zwyczajnym facetem, ale to ulga móc rozmawiać z kimś praktycznym, z kimś, kto potrafi coś zrobić. Kompetentnym, stąpającym mocno po ziemi.

On ma dzieci, opowiada, trójkę, i żonę. Rozmawiają o lokalnej szkole. On lubi czytać, ale nie powieści. Książki historyczne, o słynnych zbrodniach, wojnach światowych. Pyta ją, co sądzi o wyniku wyborów w Quebecu.

- Nigdy im się nie uda - twierdzi. - Za dużo długów.

- Prawdopodobnie - przyznaje Elizabeth. Ale myśli o czymś innym.

- Moglibyśmy kiedyś wypić razem drinka - mówi nagle.

- Nie sądzę...

- Nie będziesz żałować. - Błysk w oku. Pochyla się do niej konfidencjonalnie. Czuć zapach brandy z jego ust. - Wiem, czego chcesz. Może ty o tym nie wiesz, ale ja wiem.

- Teraz niczego nie chcę - oznajmia Elizabeth, wyczuwając natychmiast, że to nieprawda. Ona przecież czegoś chce.

- Dobrze - mówi mężczyzna. - Jeżeli zmienisz zdanie, daj mi znać. - Wręcza jej wizytówkę, którą ona trzyma w ręce okrytej rękawiczką, nawet na nią nie patrząc. - To telefon do biura.

- Zrobię to - mówi z uśmiechem Elizabeth, obracając słowa w żart. Czuje brandy w jego ustach, niebieski płomyk nad jego językiem. Patrzy na wizytówkę. Jest tam nazwisko i dwie liczby. Nic więcej.

- Czym się zajmujesz?

- Zobacz - mówi, otwierając zamki walizki. - Skorzystaj z okazji. Weź sobie coś na pamiątkę. - Podnosi wieko. Walizka jest pełna kobiecych majteczek, próbek: czerwonych, czarnych, białych, różowych, fioletowych, ozdobionych lamówką, haftowanych, niektórych ze szczeliną w kroczu. - Dużo podróżuję - wyjaśnia. - Dużo przebywam na lotniskach. To dobrzy klienci, podróżni. Klientela lotnisk. - Podnosi parę czarnych fig ze słowem „stop”, wyhaftowanym na sześciokątnym kawałku czerwonej satyny. - Bardzo popularne. - Jego głos zmienia się w przymilny baryton sprzedawcy. Wkłada palec przez pękniętą szczelinę krocza i porusza nim. Elizabeth wstaje.

- Oto mój autobus - mówi. Jego palec w czarnym nylonie, odziany jak marionetka, w jakimś pustym kobiecym kroczu wygląda tak absurdalnie, że wreszcie, wreszcie ją podnieca.

Tylko przez chwilę. Mężczyzna prawie natychmiast matowieje, szarzeje.

- Dziękuję za pogawędkę - mówi Elizabeth, czując, że powinna mu za coś podziękować.

On cofa rękę i patrzy smutno.

- Myślisz, że bym się tym zajmował, gdybym nie musiał?

NATE

Czwartek, 23 grudnia 1976

Kiedy Nate się kąpie, namydła swoją długą nogę, Elizabeth otwiera drzwi i wchodzi bez pukania. Zamyka klapę sedesu i siada, garbiąc się, z łokciami na kolanach zakrytych ciemną spódnicą. Chce mu pokazać coś, co kupiła dla Nancy na Gwiazdkę. To mały teatralny zestaw do makijażu; dostała go u Malabara, specjalnie tam pojechała. Jest w nim szminka, trochę sztucznej krwi, para wąsów i para brwi. „Nancy będzie zachwycona”, mówi Elizabeth i Nate wie, że to prawda. Elizabeth zawsze potrafi znaleźć dobre prezenty dla dzieci. On musi je pytać, czego chcą.

Elizabeth siedząca na sedesie po jego lewej stronie denerwuje go. Musi odwrócić głowę, by ją widzieć, natomiast ona widzi go prawie całego - nagiego, eksponowanego - bez wysiłku. On zdaje sobie sprawę z grudek mydła, szarych cząsteczek, drobin jego skóry, które zaśmiecają wodę. Z zapalem szoruje ramiona ostrą gąbką, działającą na skórę jak język tygrysa. To jego gąbka; kupuje gąbki w małym sklepie w Bathurst, który sprzedaje tylko naturalne gąbki; nie w tych kąpielowych butikach, ale w ponurym sklepie, nie ozdobionym, gdzie wydaje się, że obraca się wśród produktów naturalnych. To mały importer. Nate lubi tam chodzić, wybierać nową gąbkę ze stosów leżących na malutkiej ladzie. On sam w morzu, z nożem w zębach, tnie surowe gąbki z raf koralowych, zabiera je na powierzchnię, łapiąc z trudem oddech, i wrzuca do zakotwiczonej łodzi. Oko w oko z gigantyczną kałamarnicą, jedna macka odcięta, potem druga, walka stoczona. Myśli się tylko o tym, by być wolnym. Kłęby farby zaciemniają - wodę, okrągłe pręgi na jego nogach. Wgłębia nóż prosto w jej oczy. Tak pracuje jego wyobraźnia.

Elizabeth nie lubi jego gąbek. Dlatego że on ich nie płucze i nie suszy pomiędzy kąpielami, i pleśnieją. To prawda,

pleśniej. Ale ona nie rozumie, że gdyby jedna gąbka starczała na całe życie, nie miałby okazji pójścia do małego sklepu po nową.

Kiedy Elizabeth otworzyła drzwi, powstał przeciąg. Nate wyciąga zatyczkę i wychodzi z wanny, z ręcznikiem wokół bioder.

Teraz gdy tak stoi w tym pomieszczeniu, jest ono za małe dla nich dwojga; ma nadzieję, że ona wyjdzie. Ale ona przesuwa kolana w stronę ściany i pyta:

- Dokąd idziesz?

- Skąd wiesz, że gdzieś idę?

Ona się uśmiecha. W swoim stylu, w starym stylu; a ten styl, jak i jego, też się starzeje.

- Kąpiesz się. - Opiera podbródek na splecionych palcach i patrzy na niego. Przybiera nimfatyczną pozę. On wyciera brzuch, zawijając ręcznik.

- Idę na przyjęcie. Z okazji Bożego Narodzenia.

- Do Marthy?

- Skąd wiesz? - Nie chciał jej powiedzieć; nie dlatego, że ma coś do ukrycia. Elizabeth stale go zadziwia; potrafi śledzić jego poczynania nawet bez udawanego zainteresowania.

- Ona mnie zaprosiła.

- Och. - Mógł się domyślić, że Martha zechce zaprosić Elizabeth, uzna to za właściwe. Składa ręce na klatce piersiowej; zwykle użyłby dezodorantu Elizabeth, ale nie może tego zrobić, gdy ona jest w łazience. Czuje, że wydłuża mu się twarz.

- Nie miej takiej smutnej miny. Ja nie idę.

- Jak wiesz, z nią wszystko skończone - mówi Nate, chociaż nie ma żadnego moralnego obowiązku, by jej to mówić, by cokolwiek jej mówić.

- Wiem. Sporo o tym słyszałam, Ona telefonuje do mnie do biura.

Tego Nate zawsze nie znosił: one rozmawiają ze sobą o nim, za jego plecami. To Elizabeth zaczęła. Na początku zaprosiła Marthę na lunch; aby wszystko wyjaśnić. Martha najpierw się mu poskarżyła, ale poszła.

- Dlaczego nie zachowywać się przyjaźnie? - spytała Elizabeth. - Nie jestem zazdrosną żoną. Właściwie nie mam prawa nią być. - Wybuchła gwałtownie śmiechem, który kiedyś go oczarował. - Przecież możemy się zachowywać jak dorośli.

- O czym rozmawiałyście? - zapytał później Marthę.

- O tobie.

- Ale o czym konkretnie?

- O tym, kto ma do ciebie prawo - odparła Martha. - Doszliśmy do wniosku, że Elizabeth, ale ja mam pieprzony przywilej do spędzania z tobą jednej nocy w tygodniu.

- Nie wierzę, że Elizabeth powiedziała coś takiego - powiedział Nate.

- Masz rację. Ona jest taka cholernie dyskretna. Powiedzmy, że dała mi to do zrozumienia. Mogła tak pomyśleć, ale to ja mam niewyparzony język.

Nate chciał powiedzieć Marcie, by się nie poniżała, ale wiedział, że tak naprawdę nie czuła się poniżona. Uważała, że zawsze mówi to, co myśli. Jest realistką i osobą uczciwą, podczas gdy Nate i Elizabeth to hipokryci, którzy omijają sprawy zasadnicze. Ale to wszystko powiedziała Nate'owi, nigdy Elizabeth.

Teraz już Nate nie chce wiedzieć, o czym one rozmawiają, gdy telefonują do siebie w biurze. Nie chce również iść na to przyjęcie do Marthy, ale czuje, że powinien. Jego obecność ma rzekomo podkreślić fakt, że wciąż mogą być przyjaciółmi. To mu powiedziała Martha przez telefon. On wcale tak bardzo nie chce się z nią przyjaźnić, ale sądzi, że powinien. Chce być

miły i szlachetny w miarę możliwości. Nie zabawi tam długo, tylko się pokaże, zrobi gest, rzuci cień na ścianę.

- Wydawało mi się, że wszystko z nią w porządku - mówi Nate zbyt defensywnie. - Gdy mnie zapraszała.

- Nie wygłupiaj się - mówi Elizabeth. To jeden z jej aksjomów, że Nate zawsze się wygłupia. Kładzie ręce za sobą i odchyła się do tyłu; w ten sposób podnosi się jej biust i opada. Czy to zaproszenie, czy to możliwe? Nate nie może w to uwierzyć. Szybko odwraca głowę i patrzy na siebie groźnie w lustrze.

- Wrócę około dziesiątej.

- Mam nadzieję - mówi Elizabeth. - W tej dzielnicy nie jesteś zbyt popularny, wiesz o tym.

„Wiesz o tym”. Zawsze daje do zrozumienia, że nie wie. Obie to czynią: stałe aluzje, że są sprawy, o których nie wie, ważne sprawy, o których zapomniał, i że one ze swą lepszą percepcją mogą się do nich zabrać w każdej chwili.

Elizabeth wstaje, dotyka go w przelocie, bierze jego gąbkę leżącą tam, gdzie ją zostawił, w wannie, wyżyma ją.

- Uważaj na siebie - mówi. Wychodzi z łazienki z pudełkiem sztucznych wąsów.

Martha przygotowała dużą wazę ajerkoniaku. Stoi na stole w jadalni obok butelek whisky i naczynia z lodem. Dzwonek czerwonego papierowego akordeonu zwisa nad stołem. Nate uderza o niego, gdy się prostuje ze szklaneczką szkockiej. Gdyby miał ochotę na jajka, ugotowałby je. Zawsze lubi dokładnie wiedzieć, co pije.

Martha jest w długiej sukni z jakiegoś syntetycznego materiału, czerwonej, by harmonizować z dzwonkiem. Dekolt jest za szeroki; dlatego jej ramiona wydają się szersze niż w rzeczywistości. Nate nie widział przedtem tej sukni. Swoim nagim ramieniem uczepiła się ramienia mężczyzny stojącego obok niej. Ona patrzy na niego, rozmawiając, uśmiechając się.

Jak dotąd ignoruje Nate'a, tylko się z nim przywitała. Ten nowy facet jest jasnym blondynem, niższym od Nate'a, z małym brzuszkiem biznesmena zarysowującym się pod marynarką jego trzyczęściowego ubrania.

Nate zna kilka osób ze swego dawnego życia. Kilka recepcjonistek i sekretarek, dwóch albo trzech mężczyzn, którzy przyszli do firmy w tym samym czasie, co on. Ktoś klepie go po ramieniu.

- Nate. Jak się masz? - Paul Callaghan, kiedyś jego rywal, teraz protekcjonalny. - Wciąż strugasza zabawki?

- Całkiem dobrze się mam.

- Jesteś prawdopodobnie mądrzejszy od nas wszystkich - mówi Paul. - Nie przejmujesz się. Żadnych zawałów w wieku czterdziestu lat. - Przechodzi obok Nate'a, już uśmiechając się do kogoś innego.

Nate rozmawia z jakąś dziewczyną w białej sukni. Nigdy jej przedtem nie widział, chociaż ona uważa, że spotkali się na jednym z przyjęć Marthy, dwa lata temu. Opowiada Nate'owi o swojej pracy. Robi plastyczne modele holsteińskich krów, które sprzedaje się hodowcom i dealerom. Krowy trzeba wykonywać dokładnie w skali i ze wszystkimi szczegółami. Ma nadzieję, że zrobi malowane portrety każdej krowy, za co dostanie więcej pieniędzy. Pyta Nate'a, jaki jest jego znak.

Nate wie, że powinien już iść. Spełnił swój obowiązek. Ale dziewczyna chwyta go za rękę i ogląda jego linię życia. Gdy się pochyla, widzi wąską przestrzeń pomiędzy piersiami. Obserwuje ten pejzaż leniwie. Nie interesują go takie przypadkowe spotkania.

Zjawia się Martha, tuż przy nim. Chce zamienić z nim słowo. Bierze jego drugą rękę, a on pozwala się prowadzić z jadalni do hola i do sypialni. Na łóżku leżą stosy płaszczy.

- Jesteś wstrętny - mówi Martha. - Mam ochotę wymiotować.

Nate mruży oczy i pochyla głowę w jej stronę, jakby ten ruch pomógł mu coś zrozumieć. Martha uderza go w twarz, a potem zaczyna kopać w golenie. Przeszkadza jej w tym długa suknia, więc okłada go rękami, mierzy w brzuch, ale rzuca się na klatkę piersiową. Nate chwytą ją za ręce i przytrzymuje. Teraz ona krzyczy. Mógłby ją rzucić na łóżko, zawinąć w płaszcze, by ją uciszyć, a potem zobaczyć, co uczynił.

- Co takiego zrobiłem? - pyta Nate.

- Podrywasz ją na moim przyjęciu, w mojej obecności. Zawsze chcesz mnie upokorzyć - wyrzuca z siebie Martha. - Wiesz co? Udało ci się.

- Wcale nie - odzywa się Nate. - Rozmawialiśmy o plastikowych krowach.

- Ty nie wiesz, co się czuje, gdy ktoś cię porzucił. - Nate puszcza ją. Martha robi krok do tyłu, bierze chusteczkę ze stolika nocnego i wyciera twarz. - Dlaczego dla odmiany nie zaczniesz coś odczuwać?

Jakiś nowy facet zerka przez drzwi, cofa się i znów się pojawia.

- Czy w czymś przeszkadzam?

- Tak - mówi ostro Martha.

- Właśnie wychodzę - mówi Nate. I szuka swojej zielonej kurtki wśród płaszczy, futer i tweedów.

- Jest w szafie w holu - wyjaśnia Martha. - Chyba wiesz, gdzie to jest.

Ponieważ pada śnieg, Nate nie wziął roweru. Ma pięć przecznic do stacji metra, ale jest zadowolony, że może się przejść. Prawa brew, w którą uderzyła go Martha, zaczyna dokuczać. Czy go skaleczyła? Miała pierścionek. Niepokoi go nie ból, ale mądre spojrzenie, którym obrzuci go Elizabeth, gdy go zobaczy. Przeszedł tylko kilka kroków, gdy słyszy głos Marthy:

- Nate, zatrzymaj się.

Nate odwraca się. Martha biegnie do niego w swoich złotych pantoflach, w czerwonej długiej sukni, bez płaszcza. Uśmiechnięta, rozradowana, z błyskiem w oku.

- Właśnie wzięłam wszystkie tabletki z łazienki. Sześćdziesiąt dwie aspiryny z kodeiną, dwadzieścia cztery valium - mówi. - Myślałam, że zechcesz się pożegnać.

- To głupie - stwierdza Nate. - Naprawdę wzięłaś?

- Poczekaj, a zobaczysz - mówi ze śmiechem Martha. - Poczekaj do piątej nad ranem, by zobaczyć moje ciało. Do diabła, możesz mnie zawieźć do twojej piwnicy. Możesz mnie powlec szelakiem. Już więcej nie będę cię zanudzać moimi żądaniami.

Facet w trzyczęściowym garniturze idzie śladami Marthy.

- Martha - woła trochę zirytowany, jakby wołał zaginionego kota.

- Martha twierdzi, że zażyła wszystkie tabletki z łazienki - mówi mu Nate.

- Dopiero tam była. Po co to zrobiła? - pyta nieznajomy.

- Przestańcie mówić o mnie, jakbym była rzeczą - oświadcza Martha. Trochę się śłania. Nate zdejmuje zieloną kurtkę i jej podaje. - Proszę.

- Nie jest mi potrzebna. - I zaczyna płakać.

- Musimy ją zawieźć do szpitala - mówi Nate.

On zna tę procedurę, przeżywał to z dziećmi. Kulki na mole, aspiryna dla dzieci, tabletki antykoncepcyjne Elizabeth.

- Ja nie jadę - zalewa się łzami Martha. - Chcę umrzeć.

- Możemy wziąć mój wóz - oznajmia nieznajomy. - Jest na parkingu.

Nate chwyta Marthę za ramiona. Ona zaczyna utykać. Nate ciągnie ją do auta; jest to nowe, granatowe torino. Spada jej z nóg pantofel i facet podnosi go, trzyma jak trofeum i idzie za nimi; przypomina to jakąś sportową paradę albo religijną procesję.

- Daj mi ten cholerny but - mówi Martha, kiedy są już w samochodzie. Zapina but na sprzączkę, potem przegląda się w tylnym lusterku. Facet prowadzi; Nate siedzi z Martha w tyle, aby „czegoś nie zrobiła”, jak się wyraził ten jej nowy przyjaciel. Gdy dojeżdżają do szpitala, Martha wydaje się wesolutka.

- Nie wejść tam - mówi Martha do Nate'a.

- Wejdiesz albo cię zaciągniemy. Naprawdę wzięłaś te tabletki?

- Zgadnij. Tak dobrze znasz kobiecą psychikę. Wyobraź sobie. - Ale idzie wśród nich, nie protestując.

Pozwala im powiedzieć pielęgniarce o tabletkach. Nate wyjaśnia, że nie wiedzą, czy to zrobiła.

- Sprawdziliście buteleczki? - pyta pielęgniarka. - Czy były puste?

- Nie przyszło nam na myśl, by sprawdzić butelki - mówi Nate. - Za bardzo się spieszyliśmy.

- To wszystko żart - wyznaje Martha. - Oni pili. Przecież są święta. Pomyśleli, że byłoby zabawnie zawieźć mnie do szpitala na płukanie żołądka.

Pielęgniarka waha się, patrząc poważnie raz na Nate'a, raz na nowego faceta.

- Przecież bije od nich woń alkoholu. Nie zachowują się tak, gdy nie są pijani - mówi Martha. - Widzisz, bili się.

Pielęgniarka patrzy na opuchnięte oko Nate'a.

- To prawda? - pyta.

- Użyli siły. Widać ślady palców na moich ramionach - wyjaśnia Martha. - Czy wyglądam na kogoś, kto właśnie połknął butelkę tabletek? - Pokazuje gołe ramiona. - Czy mam przejść po prostej linii?

LESJE

Wtorek, 28 grudnia 1976

Lesje stoi w kolejce do kasy w sklepie alkoholowym. Minał czas, gdy prosili o jej metrykę, ale wciąż czuje się nieswojo. Kiedy tylko musi okazać dokument świadczący o tym, kim jest, nie ma wątpliwości, że oni znajdą coś, co nie jest w porządku albo że figuruje tam jakieś inne nazwisko. Najgorsze jest zawsze to, że przekręcają jej imię i ich wzrok mówi jej, myśleliśmy, że jesteś jedną z nas, ale teraz wiemy, że tak nie jest.

Kupuje wino, by uczcić powrót Williama, co nastąpi dziś wieczór. William jest w Londynie, w Ontario, spędza święta z rodziną. Niemożliwe było, oczywiście (Oczywiście! Ona zgadza się!), by pojechała z nim. W zeszłym roku ta separacja małżeńska przypominała spisek i oboje podśmiewali się z purytanizmu, ksenofobii i ogólnego ograniczenia ich rodzin. W tym roku wydaje się, że to zdrada.

Nie dlatego, że nie mogła pojechać z nim, nawet gdyby ją zaproszono. Rodzice Lesje oczekiwali jej na świątecznym obiedzie i ona posłusznie pojechała jak co roku. Jak może ich pozbawić widoku ich jedynej córki, jedyne dziecko, ich, którzy pozbawili się szwadronu sióstr, braci, ciotek, wujków, kuzynów, wszystko naturalnie ze względu na nią.

Dom rodziców nie leży daleko na północ jak domy ciotek, aby zrobić wrażenie, ani daleko na południe, aby być osobliwym jak domy babć. Bracia matki zajmują się z powodzeniem sprzedażą nieruchomości, a siostra ojca poślubiła właściciela sklepu z ceramiką. Jej rodzice rozpoczęli wędrówkę na północ, ale zatrzymali się w połowie drogi na nieokreślonej ulicy na południe od St. Clair. Jakby wszystkie ich pragnienia transformacji i zmiany wypaliły się w jednym akcie ich małżeństwa. Nic nie pozostało na dwusamochodowy garaż.

Jej ojciec nie ma tego dzikiego instynktu do interesów czy też przetrwania, rzekomo cechującego Żydów; który zmuszał jej dziadka do chodzenia od drzwi do drzwi, by skupować używane ubrania; i dlatego kiedyś jej babcia miała sześć szwów na głowie po obronie swego sklepu z różnymi towarami przed młodym człowiekiem z żelazną sztabą. „Odwróć się, okradają cię. Nie te chińskie dzieciaki. Ich nie musisz pilnować”. Ojciec Lesje zdobył swoje obecne, skromne stanowisko w telewizji kolorowej i został właścicielem używanego chevroleta dzięki handlowi futrami, gumą do żucia i twardymi cukierkami, dwa za centa, i dzięki centom troskliwie oszczędzanym. Ale czy był wdzięczny? Nie. Ożenił się z „sikszą” i to najgorszego rodzaju. (Jak Lesje).

Został właścicielem, co prawda, interesu odzieżowego, ale niechętnie: jego matka prawie zmusiła go do tego po śmierci jego ojca. Firma teraz nazywa się „Ubiory Małej Nell”; kiedyś nazywała się „Dzwoneczek”. Dziadek miał wspólnika, który czerpał nazwy z przeczytanych książek. Te ubiory są dla małych dziewczynek; Lesje dorastała w pikowanych i koronkowych kołnierzykach sukienek Małej Nell, których nie cierpiała. Dla niej nie były luksusem; luksusem były dzinsy i podkoszulki, w których chodziły inne dziewczynki.

Mała Nell ani się nie rozwinęła, ani nie splajtowała; już nawet nie produkuje tych strojów; są szyte w Montrealu. Ta firma tylko je rozprowadza. Po prostu egzystuje jak jej ojciec; i Lesje nie orientuje się w metodach jej egzystencji.

Siedziała przy stole nakrytym dobrym lnianym obrusem matki, obserwowała swego ojca ze smutkiem, jak połyka indyka z sosem żurawinowym, je tłuczone kartofle, babeczkę na deser, wszystkie potrawy według tradycji religijnej, której by nie przestrzegał w normalnym biegu wydarzeń, a którą jej matka przestrzegałaby czternaście dni później. Podczas świąt Bożego Narodzenia zawsze jedli kanadyjskie dania. Ten indyk

to kapitulacja; albo może jeszcze jedno ustępstwo na rzecz zachowania neutralności. Każdego roku przeżywali ten obiad, dowodząc czegoś innego. Gdzie indziej jedna grupa kuzynów odpoczywała po święcie Chanuki, a inna grupa przygotowywała się do śpiewania pieśni i tańców, których nauczyli się na obozie letnim, na Ukrainie. Matka Lesje w kuchni oblewała sosem leguminę i oddychała ze stoickim spokojem. To też miało miejsce co roku.

Ona nigdy nie mogła zaprosić Williama na ten posiłek ani nawet do swojego domu rodzinnego. „Nie denerwuj twojego ojca”, powiedziała matka. „Wiem, że młodzi ludzie teraz są inni, ale on wciąż myśli o tobie jako o małej dziewczynce. Sądzi, że on nie wie, że z kimś mieszkasz? On wie. On tylko nie chce wiedzieć”.

- Jak tam twoje kości? - zapytał ojciec; był to jego zwykły żart, sposób, by pogodzić się z jej wyborem pracy.

- Naprawdę świetnie - odparła Lesje. On nie widział nic atrakcyjnego w jej zajęciach. Nie mógł pojąć, że ładna dziewczyna grzebie w ziemi, szukając zakopanych kości jak pies. Po pierwszym roku studiów na uniwersytecie, zapytał ją, kim ma zamiar zostać. Może nauczycielem?

- Paleontologiem - oznajmiła.

- To z czego będziesz żyła?

Jej ukraińska babcia chciała, by została stewardesą. Jej żydowska babcia chciała, by była prawniczką i poślubiła prawnika, jeżeli to możliwe. Ojciec chciał, by jak najlepiej wykorzystywała swoje życie. A matka, aby była szczęśliwa.

Lesje nie jest pewna, czy kupiła dobre wino, William bowiem uważa się za konesera. Zachowuje się protekcyjnie. Raz w restauracji zwrócił butelkę i według Lesje długo czekał na taką szansę, by się popisać. W przeddzień jego wyjazdu pili wino, potem ona z kosza do śmieci wyciągnęła butelkę, z której pili, i spisała z etykiety

nazwę. Jeżeli będzie kręcił nosem, ona mu powie. Ale ta myśl wcale jej nie rozwesela.

Na przedzie kolejki widzi Nate'a Schoenhofa. Oddycha szybciej, znów budzi się w niej ciekawość. Przez półtora miesiąca nigdzie się nie pokazywał, nawet nie widziała, by czekał na Elizabeth w muzeum. Przez pewien czas poczuła się nie odrzucona, ale rozczarowana, jakby oglądała film i zepsuł się projektor. Teraz wydaje się jej, że musi go o coś zapytać. Wymawia jego imię, ale on nie słyszy, a ona nie może opuścić kolejki, by dotknąć jego ramienia. Jej starania zauważa jednak jakiś facet za nim i szturcha go.

Nate czeka na nią przy drzwiach.

- Odprowadzę cię - mówi.

Ruszają z butelkami w rękach. Już się ściemniło i nadal pada śnieg, mokre płatki spadają na ziemię, powietrze jest wilgotne, a chodnik w papkowatej brei. Nie jest zimno. Nate skręca w boczną ulicę, a Lesje idzie za nim, chociaż wie, że nie jest jej po drodze; on idzie na wschód, a ona powinna iść na południe. Może zapomniał, gdzie ona mieszka.

Lesje pyta go, czy przyjemnie spędził święta. „Okropnie”, odpowiada i zadaje jej to samo pytanie.

- Też fatalnie. - Trochę razem się śmieją. Trudno jej wyznać, jak było źle albo dlaczego było źle. - Nienawidzę świąt - mówi. - Zawsze nienawidziłam.

- Kiedy byłem dzieckiem, myślałem, że coś magicznego się wydarzy, coś, czego się nie spodziewałem.

- I co, wydarzyło się?

- Nie. - Myśli chwilę. - Raz naprawdę chciałem mieć karabin maszynowy. Moja matka kategorycznie odmówiła. Według niej to niemoralna zabawka; dlaczego chcę się bawić w zabijanie ludzi, dosyć jest okrucieństwa na tym świecie itp. Ale rano w Boże Narodzenie znalazłem go pod drzewkiem.

- Czyż nie była to magia?

- Nie. Wtedy już nie chciałem go mieć.

- A twoje dzieciaki lubią takie zabawki?

Nate myśli, że tak. Lubią je bardziej, kiedy były za małe, by wiedzieć, jakie to są prezenty, kiedy grzebały w papierach.

Lesje zauważa, że ma opuchnięte i posiniaczone oko i skaleczoną brew. Nie chce zapytać, co się stało - wydaje się to zbyt osobiste - ale jednak pyta.

On prawdopodobnie patrzy na nią smutno.

- Ktoś mnie uderzył.

- Myślałam że powiesz, iż wpadłeś na ścianę. Brałeś udział w bójce?

- Ja nie. Kobieta mnie uderzyła.

Lesje nie wie, co powiedzieć, więc milczy. Dlaczego ktoś chciałby uderzyć takiego człowieka?

- Ale nie Elizabeth. Ona nigdy nie uderzyła nikogo fizycznie. To ktoś inny. Chyba musiała.

Wprowadza ją w jakieś sprawy, pozwala jej o nich słuchać. Lesje jednak nie wie, czy tego chce. Mimo to wyciąga rękę i dotyka tajemniczej rany, dotyka jego czoła. Czuje, że się czerwieni, i widzi swoją rękawiczkę na jego skórze.

On przystaje, patrzy na nią, mruży oczy, jakby nie mógł uwierzyć w to, co ona zrobiła. Czy jest bliski płaczu? Nie. W milczeniu się jej ofiaruje, jakby był prezentem. Oto jestem. Możesz uczynić ze mną wszystko. Ona uświadamia sobie, że tego po nim oczekiwała, odkąd po raz pierwszy do niej zatelefonował.

- To nie jest fair - mówi Nate.

Lesje nie rozumie, o czym on mówi. Rozkłada ramiona. On jedną ręką ją obejmuje; w drugiej trzyma butelkę wina. Jej butelka pada na chodnik, śnieg tłumi dźwięk. Gdy idą dalej, przypomina sobie o tym i zawraca; przypuszcza, że butelka rozbiła się i śnieg w tym miejscu będzie czerwony; już jest za

późno, by kupić drugą. Butelka jednak jest cała i nagle Lesje jest bardzo szczęśliwa.

CZĘŚĆ TRZECIA

ELIZABETH

Poniedziałek, 3 stycznia 1977

Jest trzeci stycznia. Elizabeth siedzi na różowej sofie w salonie ciotki Muriel, który naprawdę jest salonem, a nie bawialnią. Jest salonem z powodu pająka i muchy. Nie jest to bawialnia, bo nie można powiedzieć, by ciocia Muriel tu przebywała.

Ciocia Muriel była zarówno pająkiem, jak i muchą; wysysała soki życia i była łupinką. Kiedyś była tylko pająkiem, a wujek Teddy muchą, ale po jego śmierci gra obie role. Elizabeth nawet nie jest całkiem pewna, czy wujek Teddy umarł. Ciocia Muriel pewnie trzyma go gdzieś na strychu w kufrze omotanym starymi, koronkowymi obrusami ecru, sparaliżowanego, ale wciąż żywego. Ona od czasu do czasu idzie tam na górę po mały łyżeczek alkoholu. Ciocia Muriel, tak oczywiście nie ciocia. Nie ma w tym nic dla niej poniżającego.

Elizabeth wie, że jej opinia o cioci jest przesadna i nieżyczliwa. Takie potwory nie istnieją. Mimo to ciocia Muriel siedzi naprzeciwko niej, wielka jak życie, solidna masa jej torsu zamknięta w elastyczny pas z plastikowymi fiszbinami, pięknie uszyta niebieska dżersejowa suknia przykrywa jej uda gracza futbolowego; oczami jak dwa kamienie, zimnymi, bezwzględными wpatruje się w Elizabeth, wyszukując każdy zły szczegół w jej wyglądzie; o tym Elizabeth wie. Włosy (za długie, nie ułożone), sweter (powinna być sukienka), twarz nieumalowana, nieupudrowana, wszystko jest złe. Ciocię zadowala ten fakt.

Jest po prostu starą nieżyczliwą kobietą, jak sądzi Elizabeth, próbując to sobie wytłumaczyć. Ale dlaczego? Dlaczego jest nieżyczliwa? Elizabeth wie, jaki powinien być jej tok rozumowania. Czytała książki i magazyny, teksty dotyczące trudnego dzieciństwa. W młodości ciocia doznała

niepowodzeń. Miała dominującego ojca, który hamował ją i nie pozwolił jej pójść do college'u, bo college jest dla chłopców. Zmuszono ją, by haftowała (haftować tymi karłowatymi palcami), tortury, które później narzuciła Elizabeth; jej jednak szło dużo lepiej i obrus do herbaty z różowymi francuskimi frędzlami wciąż leży złożony w kufrze, w szafie Elizabeth, dowód jej zręczności. Ciocia Muriel miała silną osobowość i bystry umysł; nie była ładna i patriarchalne społeczeństwo ukarało ją. To wszystko prawda.

Mimo to Elizabeth może wybaczyć cioci tylko w teorii. Dlaczego swoje cierpienia ciocia przerzucała, gdy tylko to było możliwe, na innych? Elizabeth wciąż pamięta, jak mając dwanaście lat, skręcała się z bólu na łóżku z powodu skurczów pierwszej menstruacji i było jej niedobrze, a ciocia Muriel stała obok niej z buteleczką aspiryny. „To kara boska”. Nigdy nie powiedziała za co. Według Elizabeth nawet kariera nie zaspokoiłaby cioci żądzy masakry. Trzeba było ją wysłać do wojska. Tylko w czołgu, w hełmie na głowie, z bronią skierowaną na jakiś cel byłaby szczęśliwa.

A więc dlaczego Elizabeth jest tutaj? A co więcej, dlaczego przyprowadziła tutaj swoje dzieci? Wystawiając je na złośliwości. Siedzą obok niej, ujarzmione, w białych podkolanówkach, w sukienkach od Mary Janes, których nie włożyłyby przy innej okazji; małe usta mają zamknięte, włosy przytrzymywane mocnymi wsuwkami zaczesane do tyłu, ręce trzymają na kolanach i wytrzeszczają oczy na ciocię Muriel, jakby była mamutem czy mastodontem, jak te, które widziały w muzeum, właśnie odkopane na górze lodowej.

W rzeczywistości dzieci lubią przychodzić do cioci. Lubią jej duży dom, ciszę, błyszczące drewno, perskie dywany. Lubią małe, bez skórki, kanapki cioci, chociaż biorą tylko jedną; i wielkie pianino, chociaż nie wolno im go dotykać. Kiedy żył wujek Teddy, zwykle dawał im dwadzieścia pięć

centów. Ciocia tego nie robi. Kiedy matka Elizabeth spaliła się w tym ostatnim małym pokoiku przy Shuter Street, zaproszyła ogień papierosem, a była zbyt pijana, by uświadomić sobie, że materac się pali, a wraz z nim ona, ciocia Muriel Sporządziła po pogrzebie listę szkód. Zawierała wszystkie przedmioty, które kiedyś pożyczyła, dała lub darowała. Jedna żarówka 60 - watowa nad umywalką, niebieska plastikowa zasłona przy prysznicu, cukiernica od Wedgwooda. Ciocia chciała zwrotu tych nędznych podarunków i rupieci.

Poczuli dym i wyważyli drzwi; wyciągnęli ją stamtąd, ale ona już miała oparzenia trzeciego stopnia na połowie ciała. Przeżyła w szpitalu tydzień, leżąc na materacu przepojonym lekami bezskutecznie broniącymi jej organizmu, gdy białe komórki przeciekały do prześcieradeł. Kto wie, co pamiętała? Czy chociaż wiedziała, kim jestem? Nie widziała mnie przez dziesięć lat, ale pewnie choć trochę zdawała sobie sprawę, że miała córki. Pozwoliła się trzymać za rękę, lewą, która nie była oparzona, a ja myślałam: „Ona wygląda jak księżyc, jak połowa księżyca”. Jedna strona wciąż świeciła.

Elizabeth zawsze uważała, że ciocia jest odpowiedzialna za tę śmierć. Jak i za inne, na przykład jej siostry. Mimo to jest tutaj. Częściowo dlatego, że jest snobką, przyznaje się do tego. Chce, aby dzieci widziały, że dorastała w domu, gdzie był gong do obiadu, w domu, który miał osiem sypialni; niepodobnym do małego domu (choć czarującego), w którym teraz mieszkają. Ponadto ciocia Muriel jest ich jedyną bliską krewną, która żyje. Elizabeth przypuszcza, że to dlatego, iż ciocia albo zabiła, albo przepędziła wszystkich innych, ale mniejsza z tym. Ona stanowi ich korzenie, ich korzeń, ich skręcony, chory, stary korzeń. Inni ludzie jak ci z Buffalo, sądzą, że Toronto się zmieniło, odrzuciło swoje purytańskie obyczaje, stało się szykowne i liberalne, ale

Elizabeth wie, że tak nie jest. W swoim rdzeniu, tam gdzie powinno być serce, jest tylko ciocia Muriel

Wykreśliła ciocię z udziału w świętach Bożego Narodzenia, powiedziała wreszcie nie, przed czterema laty; nie do ciemnego stołu z sześcioma liśćmi, symetrycznie ustawionymi kryształowymi miseczkami z piklami i sosem żurawinowym, nie do lnianego obrusu i srebrnym kółkom do serwetek. Nate odmówił pójścia z nią, dlatego. Powiedział, że chce cieszyć się dziećmi i obiadem, a nie ma sensu chodzić do cioci Muriel, jeżeli Elizabeth po powrocie do domu pada na łóżko z migreną. Kiedyś, w 1971 roku, zwymiotowała na śniegu indyka i sos żurawinowy, cioci wybrane przysmaki.

Najpierw oburzał ją sprzeciw Nate'a, który według niej nie chciał jej pomóc. Ale on miał rację, on ma rację. Ona nie powinna tu być.

Ciocia Muriel kontynuuje swój monolog, skierowany ostentacyjnie do dzieci, ale właściwie do Elizabeth: „Nigdy nie powinniście zapomnieć, że wasz dziadek posiadał połowę Galtu”. „Prapradziadek miał Guelph”, myśli Elizabeth. Może ciocię wreszcie dopadła skleroza; albo może ta mitologia rodzinna jest tylko mitologią i jak każdy przekaz ustny przechodzi zmiany. Jednak ciocia nie poprawia siebie. Ona nigdy nie poprawiała siebie. Teraz mówi, że Toronto nie jest tym miastem, co było, i jeśli o to chodzi, to cały kraj nie jest taki. Pakistańczycy opanowują śródmieście, a Francuzi rząd. Ekspedientka (w myśli: cudzoziemka, czarnoskóra albo wszystko naraz) zachowała się wobec niej grubiańsko w Creeds, w ostatnią środę. A jeśli chodzi o Creeds, to zeszło na psy. Kiedyś pokazywali na wystawach futra, a teraz tancerki z gołymi brzuchami. Ona przypuszcza, że Elizabeth ze swą postawą (w domyśle: zdegenerowaną) uważa, że wszystko jest w porządku, ale ona sama nigdy się do tego nie przyzwyczai. Ona jest stara, pamięta coś lepszego.

Elizabeth nie wie, co jest gorsze, ta rozmowa, czy zesłoroczna, gdy ciocia Muriel poddała dzieci próbom i cierpieniom, których sama doświadczyła, by zgromadzić całą rodzinę na cmentarzu Mount Pleasant. W swej historii nie przeprowadziła podziału między umarłymi i żyjącymi; odniosła się do swojego losu, jakby ona była tam od zawsze, a inni byli gośćmi na jej pikniku. Wujaszek Teddy już znajdował się na odpowiednim miejscu, oczywiście, ale matka i siostry Elizabeth powinny być przeniesione z St. James, a jej dziadek ze starej nekropolii. Natomiast o ojcu Elizabeth nie było w ogóle mowy.

Elizabeth mogłaby włączyć się do tych działań, gdyby Chciała, ale nie miała siły. Wiedziała, jak zareaguje ciocia Muriel, gdy się jej przerwie monolog. Jeżeli ciocia chciała grać w szachy ze swymi zmarłymi krewnymi, niech gra. Na szczęście wszyscy byli w urnach, a nie w trumnach. Oni nie mieli pojęcia, jak bezczelni mogą być pewni prawnicy i zarządcy cmentarni. Oczywiście obecnie wielu z nich ma cudzoziemski akcent. Potem opisała zawile negocjacje przy sprzedaży nieruchomości; dotyczyło to zdaje się sprzedaży jednej działki w zamian za drugą. Jej ostateczny plan polegał na tym, by nabyć dużo akcji, a potem je wymienić, by móc zbudować mauzoleum. Elizabeth wstrzymała się z pytaniem, czy zarezerwowała dla niej miejsce.

Kiedy wracały do domu taksówką, Nancy powiedziała:

- Ona jest zabawna.

Taka opinia o cioci Muriel nigdy nie przyszła Elizabeth na myśl. „Zabawna. W jaki sposób?”, chciała wiedzieć.

- Opowiada zabawne rzeczy.

I Elizabeth rozumie, że u dziewczynek ciocia wywołuje ciekawość. Lubią ją oglądać tak samo, jak lubią chodzić do muzeum. Ona nie może ich dotknąć czy wyrządzić im szkody, są poza jej zasięgiem. Ona może urazić, sprawić przykrość

tylko Elizabeth. Ponieważ ciocia sprawowała kiedyś nad nią władzę, zawsze w pewnym stopniu będzie ją miała. Elizabeth jest dorosła, ale kiedy jest razem z ciocią, jest nadal częściowo dzieckiem. Częściowo więźniarką, częściowo sierotą, częściowo inwalidką, częściowo wariatką; ciocia Muriel nieubłagana strażniczka więzienna.

Ona odwiedza ją z przekory. Popatrz, jak urosłam. Chodzę na dwóch nogach, może trochę chwiejnie, ale nie masz mnie w jednej z tych urn, jeszcze nie. Żyję swoim życiem mimo ciebie i będę żyć. I widzisz, to są moje dzieci. Popatrz, jakie ładne, jakie inteligentne, jakie normalne. Ty nigdy nie miałaś dzieci. Nie skrzywdzisz moich. Nigdy ci na to nie pozwolę.

LESJE

Sobota, 15 stycznia 1977

Lesje robi coś głupiego. Gdyby ktoś z jej przyjaciół, na przykład Marianne, opowiedziała jej o czymś takim, pomyślałaby, że to głupie. Albo nawet pospolite. Bardzo głupio jest mieć romans z żonatym mężczyzną, żonatym mężczyzną z dwojgiem dzieci. Żonaci mężczyźni z dziećmi są na ogół pospolici, ze swoimi smutnymi historiami, potajemnymi żądzami i małostkowymi wymówkami. Jeszcze banalniej jest kochać się w hotelu, z konieczności w tanim hotelu, gdyż Nate, jak wyznał, jest bez grosza. Lesje nie zaproponowała zapłacenia rachunku za hotel. Kiedyś, dawno temu, jej koleżanki szydziłyby z jej oporu.

Lesje nie czuje się pospolicie. Nie wie, czy Nate tak to odczuwa, czy nie. On siedzi w jednym z foteli (są dwa, oba tandetne, nowoczesne, duńskie, podniszczone na rogach; mają harmonizować z niebieską, postrzępioną narzutą, jeszcze nietkniętą) i mówi, jak okropnie się czuje, że muszą być w tym hotelu, a nie gdzie indziej. I to gdzie indziej nie oznacza innego, bardziej przyzwoitego hotelu. Ale gdzieś na polu, na pustej gorącej plaży, na zadrzewionym wzgórzu.

Lesje nie przeszkadza hotel, chociaż szum wentylatora zaczyna ją męczyć. Urządzenie wydmuchuje z siebie gęste, gorące powietrze pachnące tapicerką, dymem papierosowym, a oni nie mogli znaleźć kontaktu, by go wyłączyć. Ten hotel to konieczność, a nie ich wybór. Nie mogą pójść do mieszkania Lesje z powodu Williama; nie było go, gdy wyszła, ale może się zjawić w każdej chwili i znaleźć jej karteczkę pozostawioną na stoliku do gry w karty: „Wracam o szóstej”. Nie mogą pójść do Nate'a, chyba że Lesje zwolniłaby się z pracy w ciągu tygodnia. Ona pracuje w tych samych godzinach co Elizabeth, chociaż pewnie Elizabeth ma większą swobodę. Ale dzisiaj jest sobota i Elizabeth jest w domu. Nie

mówiąc już o dzieciach. Nate nie wspomniał o dzieciach, ale i tak dał Lesje do zrozumienia, że chociaż ją szanuje, podziwia i pragnie, dla jego dzieci uosabia zło, przed którym musi je strzec.

Stąd ten popołudniowy hotel. Przyjechali tu metrem, gdyż nikt z nich nie ma auta. Ten fakt wyklucza także przytulanie się na bocznych ulicach, co powinni robić, według Lesje, w tej wstępnej fazie. W istocie obejmowali się na bocznych ulicach, ale było to niewygodne: nogi marzły w brei, mijające auta opryskiwały ich brązową mazią, wtulali się wzajemnie w swoje zimowe płaszcze. Nie było pieszczot na przednim siedzeniu w aucie.

Lesje uważa pieszczoty na przednim fotelu prawie za coś najważniejszego. Jej inne romanse to z Williamem, który jest czempionem w obmacywaniu, i przed nim z pewnym geologiem, na czwartym roku studiów, który nawet wtedy, w 1970 roku, miał krótko ostrzyżone włosy. Żaden z tych romansów nie był właściwie romantyczny; w pewnym stopniu oba opierały się na wspólnych interesach. Lesje było trudno znaleźć mężczyzn, którzy byliby równie monomaniakalni w swych zainteresowaniach jak ona. Istnieli, ale ich uwaga była zwrócona na dziewczęta zajmujące się gospodarstwem domowym. Po dniu wypełnionym rozważaniami o liczbach niewymiernych, chcieli trochę się rozluźnić, zjeść tartą marchewkę i sałatki. Nie chcieli mówić o piszczelach megalozaurusów ani o tym, czy pterozaurusy mają trzy albo cztery komory serca; a o tym ona wtedy miała ochotę rozmawiać. Geolog był dobry, mogli dojść do porozumienia przy warstwach skał. Jechali na wycieczki z małymi oskardami i plecakami i odłupywali próbki skał; potem jedli kanapki z dżemem i kochali się za kępami krzewów i ostów. Było to przyjemne, ale nie za bardzo. Jeszcze wciąż ma kolekcję odłamków skalnych po ich związku; patrząc wstecz,

nie czuje goryczy. On był miłym chłopcem, ale go nie kochała. Ona nie jest właściwie paradygmatem modnej elegancji, ale nie mogłaby się zakochać w facecie, który mówi „ekstra”.

Jeśli chodzi o Williama, to łączy ich sprawa wymierania gatunków. Ona zawęza to do dinozaurów. William odnosi do wszystkiego. Z wyjątkiem karaluchów; karalucha znaleziono w nuklearnym reaktorze. Według Williama następny wiek będzie wiekiem insektów. Na ogół ten fakt go nie martwi.

Lesje nie jest pewna, co rozumie przez określenie „być zakochaną”. Kiedyś myślała, że jest zakochana w Williamie, i dlatego smuciła się, że jej się nie oświadczył. Ale ostatnio zaczęła wątpić w swoje uczucie. Na początku cieszyła ją względna prostota ich związku, nawet ubóstwo ich wspólnego życia. Oboje byli oddani swej pracy i z łatwością, tak się wydaje, spełniali swoje oczekiwania i rzadko pojawiały się małe konflikty. Ale Nate to zmienił, zmienił Williama. To, co kiedyś było całkowicie pozbawione komplikacji, teraz jest kłopotliwym brakiem komplikacji.

Siedzą po obu stronach dużego łóżka, które wynurza się jak fatum ze środka pokoju, każde z papierosem, i piją z hotelowych szklanek szkocką przyniesioną przez Nate'a, zmieszaną z wodą z kranu. Patrzą na siebie poprzez łóżko, jakby było bezdenną przepaścią, podczas gdy Nate przeprasza, a Lesje słucha, osłaniając twarz i mrużąc oczy z powodu dymu papierosowego. Nate mówi, że nie chce tego romansu. Lesje wzrusza to wyznanie; ale nie ma zamiaru pytać, czego on chce. William nigdy, z takim trudem, się nie tłumaczył.

Lesje czuje, że zaraz wydarzy się coś ważnego. Jej życie się zmieni: sprawy przybiorą inny obrót. Ściany hotelu, wytapetowane w zielonkawie romby, rozstępują się, ona porusza się w powietrzu, już bez śniegu i spalin, w czystym i pełnym słońca powietrzu; na horyzoncie widzi błysk wody.

Dlaczego więc Nate nie gasi papierosa, nie wstaje i nie bierze jej w ramiona? Teraz gdy jest z nią w tej tandetnej sypialni.

On jednak nalewa sobie znów drinka i w dalszym ciągu wyjaśnia. Chce, aby od początku wszystko było jasne. Nie chce, aby Lesje myślała, że rozbija małżeństwo. Jak ona bez wątpienia wie, Elizabeth miała innych kochanków, a ostatnim był Chris. Zresztą nigdy nie czyniła z tego tajemnicy. Ona myśli o Nacie jak o ojcu jej dzieci, ale nie jak o mężu. Nie żyją ze sobą, to znaczy nie śpią ze sobą od kilku lat, Nate nawet nie wie od ilu. Mieszkają w tym samym domu ze względu na dzieci. Żadne z nich nie może sobie wyobrazić życia bez dzieci. A więc Elizabeth nie będzie miała żadnych obiekcji, by zrobić szybko to, czego pragnie Lesje.

Wzmianka o Elizabeth zaskakuje Lesje, która wcale o niej nie myślała. A powinna. Nie wchodzi się tak po prostu w życie innej kobiety i zabiera się jej męża. Jej koleżanki zgadzają się, przynajmniej w teorii, że takie postępowanie jest naganne, chociaż również przyznają, że małżonkowie nie powinni się traktować wzajemnie jak własność, ale jak żyjące i wciąż rozwijające się istoty. Rzecz sprowadza się do tego, że nie kradnie się męża, ale osobisty rozwój jest godny polecenia. Trzeba zajmować słuszne stanowisko i być uczciwą wobec samej siebie. To komplikacje zniechęciły Lesje; nie rozumiała, dlaczego tak wiele czasu im się poświęca. Ale dotąd nigdy nie była w takiej sytuacji, a teraz jest.

Z pewnością nie chce odgrywać roli tej drugiej w konwencjonalnym, nudnym trójkącie. Nie czuje się jak ta druga; nie jest zalotna czy przebiegła, nie chodzi w neglizu ani nie maluje paznokci u nóg. William może myśleć, że jest egzotyczna, ale to nieprawda; jest bezpośrednia, jest naukowcem o wąskiej specjalizacji, bez upiększeń; nie omotała nikogo, nie jest ekspertem w zastawianiu pułapek na mężów. Ale Nate nie jest już właściwie mężem Elizabeth;

teraz jest kawalerem, wolnym strzelcem. A Elizabeth tym samym nie jest żoną Nate'a, w ogóle nie jest żoną. Jest wdową, wdową po Chrisie, jeśli nie po kimś innym, która idzie sama, przygnębiona, jesienną aleją, a liście spadają z drzew na jej lekko rozwichrzone włosy. Lesje wślaczają do takiego smutnego romantycznego obrazka, obramowuje ją i o niej zapomina.

Z Williamem to inna sprawa. Williamowi nie będzie to obojętne; z pewnością na to zareaguje w ten lub inny sposób. Ale Lesje nie zamierza mu o tym powiedzieć, jeszcze nie. Nate dał jej do zrozumienia, że chociaż Elizabeth zaaprobuje jej postępowanie i może nawet być zadowolona ze względu na niego, gdyż są dobrymi przyjaciółmi, teraz nie jest odpowiedni czas, by jej o tym powiedzieć. Elizabeth przystosuje się, nie tak szybko, jakby on chciał, ale jednak przystosuje. Nate chce, aby upłynęło trochę czasu, nim on jej powie o czymś nowym, wymagającym nowego przystosowania. Ma to związek z dziećmi.

A więc, jeżeli Nate ma chronić Elizabeth i dzieci przed Lesje, ona ma prawo chronić Williama przed Nate'em. Na samą myśl o potrzebie chronienia Williama, ogarnia ją czułość dla niego. Nigdy przedtem nie potrzebował ochrony. Przypomina sobie jego kark, wrażliwe miejsce przy wgłębieniu obojczyka, jego żyły tak niebezpiecznie widoczne pod skórą, fakt, że nie może się opalać, gdyż doznaje oparzeń, wosk w uszach, którego nie widzi, jego dziecięcą pompatyczność. Tak, nie chce zranić Williama.

Nate stawia szklanę, gasi papierosa w hotelowej popielniczce. Skończył rozważania o etyce. Patrzy na niebieskie łóżko, idzie w stronę Lesje, klęka przed nią, przed nowoczesnym, duńskim fotelem, w którym siedzi. Bierze jej rękę i całuje. Nikt nigdy nie dotykał jej tak delikatnie. Nate się

nie spieszy. Są tutaj dwie godziny, a ona wciąż ma na sobie ubranie.

Podnosi ją, kładzie na łóżku i sam kładzie się obok niej. Znow ją całuje, niezobowiązująco, z tęsknotą. Potem pyta, która jest godzina. On nie ma zegarka. Lesje mówi, że jest pół do szóstej. Nate siada. Lesje wydaje się, że nie jest dość atrakcyjna. Czy jej zęby są za duże?

- Muszę zatelefonować do domu - mówi. - Mam zabrać dzieci na kolację do mojej mamy.

Podnosi słuchawkę i wykręca numer; aparat stoi na stoliku. Sznur ciągnie się po jej klatce piersiowej.

- Halo, kochanie - i Lesje wie, że to Elizabeth - tylko się melduję. Zabiorę je o szóstej, dobrze?

Słowa „dom”, „kochanie” i „mama” zbulwersowały Lesje. Powiększa się pustka wokół jej serca; to tak, jakby ona nie istniała. Kiedy Nate odkłada słuchawkę, ona zaczyna płakać. On bierze ją w ramiona, uspokaja, głaszcze po włosach.

- Mamy mnóstwo czasu, kochanie - mówi. - Następnym razem będzie lepiej.

Chciałaby powiedzieć: „Nie mów tak do mnie”. Siada na łóżku, nogi zwisają na brzegu, ręce dyndają, a Nate bierze płaszcze, wkłada swój i podaje jej. Ona chciałaby pójść z nim na kolację. Do jego matki. Nie chce zostać tutaj na tym niebieskim łóżku sama albo wyjść stąd sama, albo wrócić do swojego mieszkania, gdzie również będzie sama niezależnie od tego, czy William jest, czy też go nie ma. Chce, aby Nate znow znalazł się z nią na łóżku. Nie wierzy, że mają mnóstwo czasu. Nie ma czasu, z pewnością nigdy go już więcej nie zobaczy. Nie rozumie, dlaczego jej serce bije z takim bólem, dlaczego pragnie tlenu w tej ciemności zewnętrznej przestrzeni. On coś jej zabiera. Jeżeli ją kocha, to dlaczego ją zostawił?

NATE

Sobota, 15 stycznia 1977

„Osioł”, szepce Nate. Fujara. Oszust. Czyta wstępniak w „The Globe and Mail” i zwykle tak wyraża swoje opinie, ale teraz ma na myśli siebie. „Idiota”. Widzi siebie, jak siedzi zgarbiony na krześle hotelowym, wściekając się, że ma tyle skrupułów, a Lesje siedzi naprzeciwko, nieosiągalna, i świeci jak sierp księżyca. On nie wie, dlaczego nie chciał, nie mógł. Bał się. Nie chce jej skrzywdzić, dlatego. Ale już ją skrzywdził. Dlaczego płakała?

Nadal drżą mu ręce. Na szczęście zostało trochę alkoholu w płaskiej butelce. Wyciąga ją spod swetra, szybko łyka, potem zapala papierosa, by ukryć zapach. Jego matka, cnotliwa kobieta nie pije. Również nie pali, ale Nate wie, co znajduje się na niższym stopniu jej skali moralnych przewinień. Czasami kupuje mu piwo, ale przekreśla alkohol. Zatrzuwa organizm.

Dzieci są w malutkiej kuchni z nią, siedzą na kredensie i obserwują, jak ona uciera kartofle. Robi to ręcznie; nie ma elektrycznego miksera. Ubija ręcznie jajka, śmietanę. Jedno z jego najwcześniejszych wspomnień o matce to jej wirujący łokieć przypominający wiatrak. Jej telewizor jest czarno - biały i nawet bardzo prymitywny niż jego. Chodzi w fartuszkach, z wzorem śliniaczków.

Z piwnicy powraca patos dzieciństwa i pochłania go: tam na dole są bejsbolowa rękawica z popękaną skórą, trzy pary butów do biegania, z których już wyrósł, łyżwy, ochraniacze bramkarza, troskliwie zabalsamowane w kufrze. Chociaż jego matka prawie wszystko oddaje, te przedmioty trzyma, jakby były relikwiami, jakby on już umarł. Jednak Nate musi przyznać, że gdyby ona ich nie przechowywała, to sam by to zrobił. W każdym razie ochraniacze bramkarza.

Przeczytał, że bramkarze chorują na wrzody żołądka. Nie był dostatecznie ciężki, by grać w coś innego, nie miał odpowiedniej wagi, by trzymać w szachu. Pamięta niepokój, jak wszyscy spodziewali się, że rzuci się do przodu, by schwycić gumowy pocisk poruszający się z szybkością światła; pamięta rozpacz, gdy chybił. Ale kochał to. Była to czysta gra: wygrywasz albo przegrywasz, jasne reguły. Kiedy mówił o tym Elizabeth, ona uznała jego zdanie za dziecinadę. Jej poglądy na zwycięstwo lub przegraną są bardziej skomplikowane. Czy dlatego, że jest kobietą? Ale jego dzieci rozumieją to, jak dotąd; w każdym razie Nancy.

Widzi dzieci znad gazety „Globe and Mail”, ich małe główki na tle mapy jego matki, mapy upstrzonej czerwonymi gwiazdkami, punktami, gdzie dokonano na świecie pogwałcenia praw obywatelskich. Obok widnieje nowy plakat z napisem: „Jeden błysk i obracasz się w proch”. Jego matka dodała zakaz energii nuklearnej do swojej długiej listy krucjat. Co dziwne, nie próbuje narzucać swoich opinii dzieciom. Ani nie mówi im, aby zjadły ładnie kolację, gdyż w Europie, Azji czy Indiach dzieci głodują. (On sam z miną winowajcy opychał się skórkami od chleba przy życzliwym spojrzeniu matki). Nie pyta dzieci, czy oszczędzają kieszonkowe na akcje charytatywne. Nie ciągnie ich na nabożeństwa do kościoła unitariańskiego, z jego neutralnym wnętrzem i jego idealistycznymi hymnami o braterstwie ludzi, i ikoną małego czarnego chłopca przy koszu na śmieci tam, gdzie w większości kościołów jest Bóg. Ostatnim razem, gdy jedli kolację u jego matki, omal się nie udławił rzepą, gdy Nancy zaczęła opowiadać nowofundlandzki dowcip. Ale jego matka się śmiała. Pozwala dzieciom opowiadać różne dowcipy: kretyńskie dowcipy w złym guście. „Co to jest: niebieskie i pokryte ciasteczkami i muchami? Harcerka, która nie żyje”.

Nate by powiedział, że nie powinno się żartować z kretynów, wielorybów czy harcerek: wszyscy mają swoją wartość. Znacznie mniejszą Nowofundlandczycy. Dlatego, że Nancy i Janet są dziewczynkami, jego matka nie oczekuje od nich powagi, a przecież poważnego traktowania świata oczekiwała od niego. A może dlatego, że jego matka jest teraz babcią, a to są jej wnuczki?

W każdym razie psuje je. Nawet daje im cukierki. Chociaż Nate kocha ją za to, czuje się urażony. Słyszy, jak matka śmieje się teraz przy ucieraniu kartofli. Szkoda, że nie śmiała się częściej z nim.

Jednak się uśmiechała. Wychowała się wśród kwaków, a kwakrzy, z tego, co widział, raczej się uśmiechają, niż śmieją. Nate nie wie, dlaczego przeniosła się do kościoła unitarian. Słyszał, że jego wyznawcy nazywają odstępcami tych, którzy stają się chrześcijanami. Ale jego matka chyba się niczemu nie sprzeniewierzyła. (A co oznacza przejście do kościoła unitarian? Zastanawia się nad tym; tak jak on to uczynił).

Stara się nie dyskutować z matką na tematy teologiczne. Ona wciąż wierzy, że dobro zwycięży.

Zawsze jako przykład podawała wojnę, cnota zwyciężyła, chociaż zginął jego ojciec. Nie pamięta, kiedy to było, przed czy po śmierci ojca, zaczęła pracować kilka godzin jako pielęgniarka w szpitalu dla weteranów; wciąż tam pracuje; ludzie bez nóg, bez rąk, którzy byli młodzi, gdy ona zaczynała, starzeją się wraz z nią, stają się coraz bardziej rozgoryczeni, umierają jeden po drugim. Powinna rzucić taką przygnębiającą pracę, zająć się czymś weselszym; on jej to radził. Ale ona mówi: „Wszyscy o nich zapomnieli. Dlaczego ja mam również?”, i patrzy na niego z wyrzutem. Z jakiegoś powodu jej bezgraniczne poświęcenie doprowadza go do szału. „A dlaczego nie?”, chciałby odpowiedzieć Nate,

„przecież to ludzkie". Nigdy jednak nie miał tyle siły, by powiedzieć to na głos.

Jego ojciec, człowiek nie po amputacji, ale który zginął, uśmiecha się do niego z fotografii stojącej na kominku. Młoda twarz w mundurze. Chociaż pogwałcił matki idee pacyfistyczne, niemniej jednak bohater. Trwało długo, nim Nate dowiedział się, jak umarł jego ojciec. „Był bohaterem", tylko tyle mówiła mu matka, a on widział w wyobraźni, jak walczy na plaży, jak sam likwiduje gniazdo karabinów maszynowych albo leci jak czarny nietoperz nad jakimś zaciemnionym miastem, ze spadochronem powiewającym za nim jak peleryna.

Wreszcie na swoje szesnaste urodziny znów zapytał matkę i tym razem - przekonana, że już jest gotów przyjąć do wiadomości pewne fakty - powiedziała mu. Jego ojciec umarł w Anglii na żółtaczkę, nie uczestniczył w prawdziwej wojnie.

- Przecież powiedziałaś, że był bohaterem - oznajmił Nate - te zdeglustowane.

- Ależ, Nathanael, on był bohaterem - i oczy jego matki stały się bardziej okrągłe i niebieskie.

Jednak on żałuje, że nie dowiedział się wcześniej; nie żyłby tak w jego cieniu. Trudno rywalizować z kimś, kto zginął, a tym bardziej z bohaterem.

- Kolacja, Nate - woła matka. Wchodzi z kartoflami, dziewczynki idą za nią z nożami i widelcami i wszyscy siadają do małego owalnego stołu w kącie bawialni. Dawniej Nate pytał, czy może w czymś pomóc, ale odkąd się ożenił, jego matka wyrzucała go do jadalni podczas przygotowań posiłków. Nawet mu już nie pozwalała zmyć naczyń.

Talerze są takie same, beżowe z pomarańczowymi nasturcjami; mył je w nieskończoność, pomrukując. Te talerze przygnębiają Elizabeth, dlatego prawie nie uczestniczy w tych wizytach. Według Elizabeth rzeczy jego matki zawsze

wyglądają tak samo, jakby zamawiała je w katalogu znaczków, i w tym jest trochę prawdy. Wszystko w tym domu jest użyteczne i, musi to przyznać, raczej brzydkie. Stolik ma plastikowe wykończenie, krzesła można wycierać, naczynia mają zbyt dużo ozdób, szkło może skakać po podłodze. „Nie mam czasu na fochy”, mówi, „ani nie mam pieniędzy”. Inna sprawa, którą się martwi, to cena drewnianych zabawek wytwarzanych przez Nate'a.

- Tylko bogaci mogą sobie na nie pozwolić, Nate - oświadcza z wyrzutem.

Jedzą hamburgery, usmażone na tłuszczu po boczku, kartofle, buraczki z puszki odgrzane na margarynie, a jego matka pyta dzieci o szkołę i wesoło się śmieje z ich okropnych dowcipów. Nate czuje, że żołądek mu ziębnie; buraki z puszki źle mieszają się ze szkocką pitą ukradkiem. Ta cała trójka jest taka niewinna, niczego nie podejrzewa. Wydaje mu się, jakby patrzył na nią przez oświetlone okno: wewnątrz panuje spokój i błoga swojskość, ten dom, te smaki, te zapachy tak dobrze mu znane. Tak, skromne. A na zewnątrz mrok, burza, on sam potwór przypominający wilka, w postrzępionym ubraniu, z nierównymi paznokciami, z czerwonymi oczami, ze spojrzeniem przyczajonym i zazdrosnym, z pyskiem przyklejonym do szyby. On sam zna mrok ludzkiego serca, tajemnice zła. Kaboom.

- Głupiec - szepcze do siebie.

- Co powiedziałaś, kochanie? - Matka zwraca swoje jasne niebieskie oczy w jego stronę. Starsze teraz, ze zmarszczkami za okularami, ale są to te same oczy, błyszczące, poważne, zawsze na krawędzi jakiejś emocji, której nie może odczytać: rozczarowania, radości. Wieczny reflektor, z którym zawsze żył, sam na scenie, wykonawca, gwiazda.

- Mówiłem do siebie - odpowiada Nate.

- Och - śmieje się jego matka. - Ja to robię cały czas. Pewnie odziedziczyłeś po mnie.

Po deserze, brzoskwiniach z puszki, cała trójka idzie do kuchni zmywać, a Nate znów pozostaje w pokoju sam; może robić to, co mężczyźni powinni robić po kolacji. Nate zastanawia się, czy gdyby żył ojciec, matka przystąpiłaby do ruchu wyzwolenia kobiet. Teraz nie musi. Zajmuje się tym zagadnieniem teoretycznie i bardzo lubi wskazywać na prawie niezliczone sytuacje, gdy są pogwałcane podstawowe prawa kobiet, gdy mężczyźni ograniczają, okaleczają i niszczą te prawa. Ale gdyby on miał ranne pantofle, przyniosłaby mu.

Zadzwoni do Lesje, zobaczy się z nią. Nie, pewnie jej nie zobaczy. Jest osłem, wygłupił się, ona nie zechce się z nim spotkać. Musi ją jednak znów zobaczyć. Kocha się w niej, w tym chłodnym ciele, w tej twarzy jakby uosabiającej kontemplację. Ona siedzi za oświetlonym oknem, otulona miękką białą tkaniną, gra na szpince świecącymi palcami. Nate z pomrukiem wskakuje przez okno.

ELIZABETH

Sobota, 15 stycznia 1977

Elizabeth siedzi przy małym biurczku w swojej sypialni (drewno klonowe z około 1875). Ma do niego dopasowane krzesło, które kupiła na tej samej aukcji. Zadziwia ją fakt, jak damom z tego okresu, z ich pośladkami jak kapusta, udawało się na nich usiąść. Trzeba było usadowić się z wdziękiem, z opadającą spódnicą, fałdami zakrywającą tyłek. Nie widać było żadnego oparcia. Aparycja chmurki.

W tym biurku Elizabeth trzyma książeczkę czekową i unieważnione чеки, rachunki, swój budżet, spis rzeczy w domu wymagających naprawy (jeden spis rzeczy pilnych, drugi mogących trochę poczekać), osobiste listy i dziennik, który zaczęła prowadzić przed czterema laty, ale przestała w nim pisać. Tego biurka nie otworzyła od śmierci Chrisa.

Teraz może pomyśleć: „Śmierć Chrisa”. Nigdy nie myśli o niej jak o samobójstwie. To by znaczyło, że tę śmierć sam sobie zadał; ona myśli inaczej, to śmierć, którą zgotował jej. On nie czuje jej skutków, ale ona wciąż ją przeżywa. Ona nie otwierała biurka aż do dzisiejszego dnia, gdyż w górnej lewej przegródce, związane bandażem elastycznym, leżą listy, które jej przysłał we wrześniu i październiku; wszystkie napisane długopisem na poliniowanym papierze; pismo stawało się większe i bardziej pająkowate, aż w końcu, piętnastego października, tylko dwa słowa zapełniały całą stronę. Nie powinna była trzymać tych listów, wie o tym; powinna wyrzucić je teraz, natychmiast, bez oglądania ich. Ale ona zawsze była kolekcjonerką.

Unika patrzenia na te listy, gdy pochyla się nad książeczką czekową. Teraz nawet odczuwa trochę radości. Z chaosu wyłania się porządek, wszystkie te nie zapłacone rachunki zostają usunięte z drogi; Nate zapłacił za to, co powinno być regulowane na bieżąco - rachunek za telefon, za wodę - ale

wszystkie inne czekały na nią, czasem z dołączonymi dwoma lub trzema oburzającymi listami, żądającymi, domagającymi się. Lubi mieć uregulowane rachunki, nie być nikomu dłużna. Lubi wiedzieć, że ma pieniądze w banku. Zawsze chce mieć dość pieniędzy w razie nagłej sytuacji.

Nie tak jak jej matka, która siedziała, płacząc przez dwa dni na ukwieconym fotelu przy oknie, gdy ojciec Elizabeth nagle umarł. „Co mam zrobić?“, pytała powietrze, jakby tam ktoś ją słyszał i potrafił zaradzić. Jej siostra Caroline włąziła na kolana matki i z nich schodziła jak jakiś oszalały chrząszcz.

Elizabeth ani nie płakała, ani nie pełzała. Kiedy stało się jasne, że ich matka nie ma zamiaru wstać z krzesła i przygotować obiad, policzyła zaoszczędzone ćwierćdolarówki, te, które wsuwał jej do sukienki wuj Teddy, podczas ich rzadkich wizyt w wielkim domu cioci Muriel. Potem zbadała zawartość torebki matki; wyrzuciła wszystko na podłogę: pomadki do ust, zmięte chusteczki, ale nie znalazła nic prócz pogniecionego banknotu dwudolarowego i kilku centów. Poszła do małego sklepu spożywczego, oddalonego o trzy przecznice, i kupiła trochę chleba i sera i pomaszerowała z powrotem, trzymając brązową papierową torbę; w swych gumowych botach ciężko stąpała po schodach, wspinając się do góry. Nie był to wielki wyczyn, podobne rzeczy często robiła już przedtem.

- Zjedz to - zwróciła się do matki, wściekła na nią i na siostrę. - Zjedz to i przestań płakać.

Ale te słowa nie poskutkowały. Matka nie przestała pochlipywać, a Elizabeth siedziała w kuchni, żując chleb z serem doprowadzona do szału. Nie gniewała się na swojego ojca. Zawsze sądziła, że nie można na nim polegać. Gniewała się na matkę, że tego nie wiedziała.

To ciocia Muriel nauczyła ją, jak prowadzić rachunek bankowy, jak dbać o książeczkę czekową, co to jest zysk.

Chociaż ciocia uznawała większość książek za frywolne śmieci i nawet praca w szkole miała dla niej marginalną wartość, poświęciła dużo czasu w tym względzie na edukację Elizabeth. I za to Elizabeth jest jej wdzięczna. „Pieniądze się liczą”, zwykła mówić ciocia - nadal tak mówi, jeżeli ktoś zechce słuchać - i Elizabeth wie, że to prawda. Choćby z tego powodu, że tak mocno realizowała tę lekcję: wspierała Elizabeth, płaciła za jej starannie wykonaną bieliznę i jej niebieskie, tweedowe płaszcze, i jej lekcje gry na pianinie, dlatego wiele jej zawdzięcza.

Stosunek cioci do Elizabeth był dwuznaczny. Matka Elizabeth nie była dobra, a więc prawdopodobnie Elizabeth też taka jest. Ale Elizabeth była siostrzenicą cioci Muriel, więc coś w niej musi być dobrego. Ciocia starała się rozwinąć te cechy Elizabeth, które sama miała, a tłumić i karać inne. Ciocia uważała, że trzeba mieć kręgosłup, to najważniejsza rzecz, i Elizabeth czuje, że teraz ma kręgosłup nosorożca.

Ciocia nie odczuwała dwuznaczności wobec większości spraw. Jej chwile wahań dotyczyły członków jej rodziny. Elizabeth nie wie, jakie zajmują miejsce w wielkim łańcuchu istnień. Jednak wie dobrze, jakie miejsce zajmuje ona. Najpierw jest Bóg. Potem jest ciocia Muriel i królowa, z tym że ciocia ma niewielką nad nią przewagę. Potem występuje pięciu członków Timothy Eaton Memorial Church, kościoła, do którego ciocia chodzi. Teraz następuje duża przerwa. Potem idą biali, Kanadyjczycy nie - Żydzi, Anglicy i biali, Amerykanie nie - Żydzi, w tej kolejności. I znów powstaje duża luka, za nią mieszczą się inne istoty ludzkie na malejącej skali, w zależności od koloru skóry i religii. Potem karaluchy, mole i zarazki, jedyne formy świata zwierzęcego, z którymi ciocia miała kontakt. Potem wszystkie organy seksualne z wyjątkiem kwiatów.

Tak to Elizabeth zabawia innych historiami o cioci Muriel. Na przykład Philipa Burroughsa z działu Grecji i Rzymu; jego ciotka Janie Burroughs obraca się w takim samym maleńkim kręgu jak ciocia Muriel. W przeciwieństwie do Nate'a on rozumie, o czym Elizabeth mówi.

Ta historia może być zabawna, ale nie ukazuje złośliwości cioci Muriel. Ona jest zarówno purystką, jak i purytanką. Nie uznaje odcieni szarości. Jej jedyny moralny dylemat polega na tym, by związać swoją rodzinę z członkami kościoła Timothy Eaton ze względu na pokrewieństwo z nią; jednakże ze względu na pożądania godne zachowanie rodziny czuje się zmuszoną do umieszczenia jej na poziomie karaluchów.

Jak choćby matka Elizabeth; nawet teraz ciocia nie szczędzi uwag pod jej adresem. Elizabeth nigdy nie wiedziała, dlaczego jej matka zniknęła. Może z poczucia bezradności, może nie potrafiła sobie wyobrazić, co powinna robić. Ale według cioci Muriel matka Elizabeth opuściła rodzinę z wrodzonej deprawacji - uciekła z synem adwokata jej ojca, na szczęście na krótko; dla cioci ten krok to rodzaj kazirodztwa. Ona, ciocia Muriel, uratowała opuszczone dzieci i natychmiast zajęła się ich wychowaniem, faszerując je wartościami.

Elizabeth nawet w dzieciństwie nie zaakceptowała tej wersji. Teraz sądzi, że mogło być całkiem odwrotnie; to ciocia Muriel wykradła ją i jej siostrę z mieszkania podczas nieobecności ich matki, gdy wyruszyła w jedną ze swych ekspedycji w „poszukiwaniu pracy”. Potem, kiedy ciocia zabarykadowała dzieci w swoim domu, prawdopodobnie oświadczyła ich matce, że nie nadaje się do wychowania dzieci i że, jeżeli trzeba, wyda orzeczenie sąd. To by było bardziej w stylu cioci: faryzeuszowski bandytyzm.

Elizabeth pamięta istotne wydarzenie, które nic jej nie mówi. Bawiła się z Caroline wyciętymi zdjęciami gwiazd filmowych; nagle zjawiała się ciocia i powiedziała:

- Wkładajcie płaszcze, dzieci. Elizabeth zapytała, dokąd idą.

- Do doktora - odpowiedziała ciocia, co wydawało się wiarygodne.

Caroline przy oknie na trzecim piętrze. „To mamusia. Gdzie?” Na dole, na chodniku, z twarzą odwróconą w świetle latarni, w niebieskim jak niebo płaszczu, z majowymi muszkami fruującymi dokoła niej. Otwiera okno, dociera zapach świeżych liści. Wołają obie: "Mamusiu, mamusiu". Słychać kroki cioci na schodach. „Co tak wrzeszczycie? To nie jest wasza matka. Teraz zamknijcie okno albo wszyscy sąsiedzi usłyszą". Kobieta odwraca się, od - chodzi, ze smutnie pochyloną głową. Caroline krzyczy przez zamknięte okno, ciocia odrywa jej palce od parapetu, udało się.

Miesiącami Elizabeth zasypiała ze sceną z Czarnoksiężnika z Oz przed oczami. Książki nie miała, należała do dawnego Życia przed ciocią Muriel, ale pamiętała jej treść. W tej scenie Dorota rzuca kubek z wodą na złą czarownicę i zatapia ją. Ciocia była oczywiście czarownicą. Matka Elizabeth była Dobrą Glindą. Pewnego dnia zjawi się i pocałuje Elizabeth w czoło.

Elizabeth przechyliła się do tyłu, zamyka oczy. Suche oczy. Chris chciał, aby przestała pracować, opuściła dom i dzieci. Dla niego. By była zdana na jego łaskę. Jego czułą łaskę. Ona zwariowałaby, on zwariowałby, myśląc, że ona by się na to zdobyła. Niemożliwe. Powinien był nie zmieniać biegu rzeczy.

Siedzi, szybko bierze zawiniątko z listami, czyta ten na samej górze. „Odpieprz się". Jego ostatnie przesłanie. Była wściekła, gdy po raz pierwszy przeczytała te słowa.

Wkłada odcinki czeków i zapłacone rachunki oraz kopie kwitów za komorne lokatorów z góry do koperty, zaznacza: „1976". To koniec roku. Teraz może zacząć nowy. Czas nie

stał w miejscu, gdy jej nie było, jak teraz o tym myśli. Zaledwie udało się jej utrzymać wszystko w porządku w biurze, ale ma mnóstwo zaległości. Wystawa kiltów, na przykład, trzeba ją zaplanować i promować. Dziewczynki muszą mieć nową bieliznę, a Nancy buty na zimę: od wielu dni przychodzi do domu z mokrymi nogami. I coś złego dzieje się z Nate'em; nic jej o tym nie mówił. Może ma nową przyjaciółkę, teraz, gdy Martha już mu się znudziła. Dawniej zawsze jej mówił. Przypomina sobie ostatnie dni, szukając tropów. W zakamarkach czaszki czuje odradzający się chłód, dawny strach przed wydarzeniami, kataklizmami, powstającymi bez jej wiedzy, zbierającymi się jak fale przyływu po drugiej stronie świata. Za jej plecami. Niekontrolowane.

Wstaje, przekręca kluczyk w biurku. Ona ma kręgosłup. Ona ma pieniądze w banku, nie dosyć, ale trochę: Nie musi być od nikogo zależna. Jest samowystarczalna.

LESJE

Środa, 19 stycznia 1977

Organizmy adaptują się do swoich warunków. Przeważnie z konieczności. Przystosowują się również do własnych potrzeb, często z kapryśną, można by powiedzieć, perwersyjnością. Na przykład weźcie pod uwagę zmodyfikowany trzeci pazur na tylnej kończynie jednego z ulubionych dinozaurów Lesje, średniej wielkości, ale szybkim i nieubłaganym deinonychusie. Trzeci pazur, nie dotyka ziemi jak dwa pozostałe; dlatego nie używano go przy chodzeniu czy bieganiu. Ostrom, znany autorytet i odkrywca tego dinozaura, wyciągnął wniosek z pozycji i kształtu trzeciego pazura (sierpowatej krzywizny, ostrej jak brzytwa), że wykorzystywano go jedynie do usuwania wnętrzności. Deinonychusa kończyny przednie, proporcjonalnie dłuższe niż tyranozaura czy gorgozaura, trzymały zdobycz w odpowiedniej odległości; deinonychus stał na jednej nodze i używał trzeciego pazura drugiej nogi do otwierania żołądka zdobyczy. Akt kompensacyjny; również ekscentryczny sposób zmagania się z życiem, to znaczy chwytania i przygotowania pożywienia. Dotąd nie wykopano niczego bliższego temu dinozaurowi. Ta ekscentryczność, ta wyjątkowość, ta akrobatyczna wesołość przemawia do Lesje. To rodzaj tańca.

Ona obserwowała ten niewinny, chociaż krwawy taniec wiele razy z nietykalnego wierzchołka drzewa, które obecnie jest drzewem iglastym. Jednak nic nie widać w tej chwili; jak choćby pterozaura. William przestraszył wszystko. Wędruje pod jej drzewem wśród bulwiastych pni sagowców, niespokojny. Coś jest nie tak; nie do tego przywykł. Słońce jest dziwne i dochodzą dziwne zapachy. On jeszcze sobie nie uświadomił, że znajduje się w innym czasie. Nie uświadomił sobie swej adaptacji. Lesje jest jego środowiskiem i jego środowisko uległo zmianie.

William również siedzi przy stoliku karcianym i je makaron, który Lesje właśnie dla niego przygotowała. Ona nie ma ochoty nic jeść w tej chwili. On bombarduje ją ponurymi informacjami: powietrze jest skażone, przeszło trzysta rodzajów zanieczyszczeń, więcej niż dotychczas zidentyfikowano. Kwas siarkowy i rtęć, kwaśny deszcz wpadają do czystych jezior Muskoka i na północ. Jeżeli natychmiast (natychmiast!) nie zwiększy się dziesięciokrotnie kontroli, Wielkie Jeziora umrą. Ile brudu zawiera świeża woda na świecie. I po co? „Dla wyrobu rajstop”, mówi z wyrzutem, nabierając widelcem kluski. Gumowych pasów, samochodów, guzików z plastiku. Lesje potakuje; ona wie, ale jest bezradna. On to robi naumyślnie.

William nieubłaganie nadal drąży ten temat; ptaki zjadają robaki i stałe, niezniszczalne cząsteczki toksycznych chemikaliów gromadzą się w ich tłustych tkankach. Lesje chyba nie będzie w stanie bezpiecznie urodzić dziecka wskutek dużej ilości DDT zgromadzonych w jej tkankach. Nie mówiąc już o promieniotwórczym bombardowaniu jej jajników, co może oznaczać, że wyda na świat dziecko o dwóch głowach albo bryłkę mięsa, wielkości grejpfruta, mającą włosy i zęby (William podaje przykłady), albo dziecko z oczami po jednej stronie jak płastuga.

Lesje, która nie chce już dłużej słuchać tych ponurych przewidywań, jakkolwiek mogą być prawdziwe, przechodzi do kontrataku, do wygłoszenia najnowszej teorii wymarcia dinozaurów. Skorupki jaj stały się tak cienkie, że małe nie mogły się wykluć, wskutek dramatycznego promieniowania kosmicznego. (Ta teoria nie ma zbyt wielu zwolenników w muzeum, które faworyzuje bardziej stopniową hipotezę; niemniej jednak jest to temat do rozmyślań dla Williama. To może się wydarzyć tutaj. Kto może powiedzieć, kiedy

wybuchnie gwiazda?) Lesje pyta Williama, czy ma ochotę na filiżankę kawy instant.

William posępnie mówi tak. Ta jego posępność, zanik jego zwyczajowego optymizmu świadczy o adaptacji. Jak pies, który węszy, on wyczuwa zmianę w Lesje; William wie, ale nie wie, co wie. Stąd jego przygnębienie. Kiedy Lesje przynosi kawę, on mówi: „Zapomniałaś, że piję z mlekiem”. W jego głosie brzmi nuta skargi. A według Lesje skarżenie się nie jest w jego stylu.

Lesje siedzi w fotelu. Chce wszystko przemyśleć, ale jeżeli pójdzie do sypialni, William odbierze to jako zaproszenie, pójdzie za nią i będzie chciał się kochać. A ona w tej chwili nie ma ochoty. (Problem: kopulacja deinonychusa. Rola trzeciego pazura, o kształcie sierpowatym, ostrym jak brzytwa: jak go utrzymać? W razie wypadków?) Mimo że każda komórka w jej ciele staje się cięższa, jest pełna płynu, masywna, błyszczy energią wody, każde jądro rzuca własne światło. W całości migocze jak robaczek świętojański; ona jest latarnią, wysyła piżmowy sygnał. Nic dziwnego, że William się wierci, niespokojny, gdyż dwa razy zamknęła się w łazience, gdy brała prysznic, i raz powiedziała mu, że ma wielką zgagę. Nieporadny William błądzi po omacku, czerwcowy robak na ekranie.

Ale dlaczego Nate się nie pokazuje? Miał dzwonić siedemnastego; spóźnił się o dwa dni; Lesje szuka wymówki, by zostać w domu na wypadek, gdyby zadzwonił; w końcu wychodzi, gdyż nie może dłużej tego znieść. Powinna była dać mu numer telefonu do pracy; ale on mógł go łatwo dostać w centrali, gdyby chciał. A może już dzwonił, a William, przeczuwając, co się dzieje, powiedział coś złośliwego albo czymś mu zagroził i Nate już nigdy nie zadzwoni. Lesje nie ma odwagi zapytać. Nie ma odwagi zatelefonować do Nate'a. Jeżeli Elizabeth podniesie słuchawkę, on będzie

niezadowolony. Jeżeli któreś z dzieci - będzie równie zły. Jeżeli on odbierze telefon, też będzie nierad, gdyż będzie wiedział, że to równie dobrze mógł być ktoś inny.

Lesje szuka schronienia w pracy. Kiedyś była to doskonała ucieczka. Częściowo do niej należy edukacja publiczności w dziedzinie paleontologii kręgowców. Teraz muzeum przygotowuje zestawy dla szkół; nagrany na taśmy komentarz, broszurki, plakaty i przewodniki po wystawach muzeum. Mają nadzieję, że ten zestaw będzie równie popularny jak sprzedaż modeli diplodoka i stegozaura (z szarego plastiku, zrobionych w Hongkongu), i książka do kolorowania z rysunkami dinozaurów. Ale jak wiele powiedzieć? Co na przykład o życiu rodzinnym dinozaurów? Co o ich metodzie składania jaj i - to delikatny temat, ale zawsze interesujący - o zapłodnieniu? Czy to pominąć? A jeżeli nie, czy różne religijne i moralistyczne rodzicielskie grupy, teraz zyskujące na sile, nie będą protestować i bojkotować te zestawy? Takie pytania normalnie nie przychodzą Lesje do głowy, ale przychodzą doktorowi Van Vleetowi, który ją poprosił, by wzięła je pod uwagę i zaproponowała jakieś rozwiązanie.

Lesje zamyka oczy, widzi przed sobą wyraźne szkielety eksponatów muzeum nanizane na druty, by przypominały prawdziwe gady. Kto mógłby mieć jakieś zastrzeżenia do kopulacji, która miała miejsce dziewięćdziesiąt milionów lat temu? Miłosne życie kamieni, seks skostniałych organizmów. Jednak może sobie wyobrazić, jak takie gargantuiczne namiętności, gdy pojedyncze nozdrze zapełnia ekran, a westchnienia żądy jak gwizd fabryki huczą na cały regulator, mogą niektórych niepokoić. Lesje pamięta, jak w czwartej klasie nauczycielka wyrzuciła jajka ropuchy, które ona przyniosła do szkoły. Lesje miała nadzieję, że opíše klasie, jak widziała moment ich składania; w rowie ogromną ropuchę schwycił samiec tak mały, że wyglądał jak inne zwierzę.

Nauczycielka wysłuchiwała tego monologu i stwierdziła, że klasa nie musi wiedzieć o takich rzeczach. Jak zwykle Lesje przyjęła ten wyrok i obserwowała w milczeniu, jak nauczycielka wzięła słój z cennymi jajkami i wrzuciła je do ubikacji.

Dlaczego nie powinny były wiedzieć o takich rzeczach? Dziś Lesje się dziwi. A co powinni wiedzieć? Prawdopodobnie niewiele. Z pewnością nie to, nad czym ona się zastanawia. Na przykład, czy dinozaury miały penisy? Dobre pytanie. Ich potomkowie, ptaki, mają otwory na odchody, a niektóre węże mają nie tylko jeden penis, ale dwa. Czy dinozaur rodzaju męskiego brał dinozaura rodzaju żeńskiego za kark jak kogut? Czy dinozaury parzyły się jak gęsi? Czy miały harem, czy gady rodzaju męskiego walczyły ze sobą w okresie godowym? Może to pomogłoby wyjaśnić istnienie zmodyfikowanego trzeciego pazura u deinonychusa. Lesje postanawia nie stawiać tych pytań. Dinozaury składały jajka jak żółwie i to wystarczy.

William mówi, że wciąż jest głodny i idzie do kuchni zrobić sobie kanapkę. Jest to wyraz niezadowolenia z Lesje, że nie realizuje jego żądań: Lesje wie o tym, ale się tym nie przejmuje. Na ogół ona przygotowuje mu kanapkę, gdyż William porusza się po kuchni jak nedorajda. Zawsze coś zniszczy lub skaleczy się w palec przy otwieraniu puszki z sardynkami (William nienawidzi puszek, ale od czasu do czasu tęskni za sardynkami). Pozostawia po sobie ruiny i rzeź, rany; słychać pomruki i przekleństwa: William wyłania się z nędzną kanapką, chlebem posmarowanym krwią, olejem po sardynkach na koszuli. Będzie chciał, by go uspokoić, i Lesje, wiedząc o tym, go ukoi. Zamiast Nate'a, który przecież niczego jej nie zaofiarował. Tylko ryzyko.

Dzwoni telefon i William podchodzi, nim Lesje zdołała wstać z fotela.

- To do ciebie - mówi.

Lesje ledwie może oddychać, bierze słuchawkę.

- Halo - mówi kobiecy głos. - Tu Elizabeth Schoenhof.

Lesje czuje ścisnięcie gardła. Ona się dowiedziała. Babcię zbiegają się do niej, to jej wina, to ich smutek.

Ale nie o to chodzi. Elizabeth jedynie zaprasza Lesje na kolację. Ją i Williama oczywiście. „Nate i ja”, mówi Elizabeth, „bardzo się ucieszymy, jeżeli przyjdziecie”.

ELIZABETH

Piątek, 21 stycznia 1977

Elizabeth jest na lunchu z Martha w pomarańczowej kafeterii muzeum. Obie jedzą bardzo skromnie: zupa, jogurt owocowy, herbata. Elizabeth nalega na zapłacenie rachunku. Martha już nie walczy, tak jak kiedyś, że zapłaci połowę. To dowód jej porażki.

Jak zresztą fakt, że tutaj jedzą. Kafeteria w muzeum niczym się nie wyróżnia. Kiedyś, gdy Elizabeth sądziła, że Martha może jej naprawdę zagrażać, spotykały się na lunchach w dobrych restauracjach, gdzie Elizabeth mogła demonstrować swoją wiedzę

o wspaniałych daniach i doprowadzić Marthę koktajlami i winem do lekkiego rauszu. Organizm Marthy nie toleruje dobrze alkoholu

i dla Elizabeth było to korzystne. Ona sama sączyła delikatnie wino, podczas gdy Martha opróżniała karafkę, przygotowując się do strzału, i w końcu wyrzucała z siebie więcej, niż powinna o aktywności Nate'a i jego niedoskonałościach. Za każdym razem gdy Martha mówiła o nim coś niepoehlebnego, Elizabeth przytakiwała i mruczała coś potwierdzającego, chociaż ta krytyka ją irytowała, odzwierciedlała bowiem, co Martha ceni w czyichś mężach; i oczy Marthy wilgotniały z wdzięczności. Nie dlatego, że Martha ją lubi; żadna z nich nie ma co do tego złudzeń. Wkrótce nie będzie musiała zapraszać Marthy na lunch, wystarczy kawa. Wykręci się wizytą u dentysty. Licznymi wizytami.

Elizabeth zdejmuje talerze z tacy i stawia na nierozłożonej serwetce; Martha nie ma dzisiaj czasu na takie subtelności, Je z tacy, siorbie zupę z nachmurzoną miną. Jej ciemne włosy są tłuste, zaczesane do tyłu i przytrzymywane spinką z plastikowego szylkretu. Twarz ma ściągniętą, brązową; już

nie ma tego krzepkiego, chłopskiego wyglądu, napawającego zaufaniem, który zaniepokoił na początku Elizabeth. Dzisiaj ona skarży się na Nate'a, jakby on wybił szybę w oknie piłką bejsbolową, a Elizabeth była jego matką.

- Uderzyłam go - oznajmia Martha - prosto między oczy. Nie powinnam była, ale dobrze mi to zrobiło. To palant. Mimo tej jego wyrozumiałości. Nie wiem, jak ty możesz z nim mieszkać.

Kiedyś Elizabeth zgodziłaby się z tą opinią; obecnie jednak może sobie pozwolić na pewien luksus. „Biedny Nate”, myśli. „Jest takim niewiniątkiem”.

- Jest wspaniałym ojcem - mówi. - Nie można żądać lepszego. Dziewczynki go uwielbiają.

- Nie wiedziałam - mówi Martha. Je zachłannie swoje krakersy; kruche płatki rozpryskują się na tacy. „Nie ma klasy”, myśli Elizabeth; nigdy nie miała. Elizabeth zawsze wiedziała, że prędzej czy później Martha poniesie porażkę. Ona sama próbuje umniejszyć ten fakt. Otwiera jogurt brzoskwiniowy i miesza jego zawartość. - Najpierw nie rozumiałam, dlaczego jesteś dla mnie taka miła - mówi Martha tonem dawnej wojowniczości. - Zabierałaś mnie na lunch itp. Nie rozumiałam tego. Naprawdę, gdybym była tobą, nie robiłabym tego.

- Sądzę, że trzeba zachowywać się cywilizowanie w tych sprawach - oświadcza Elizabeth.

- Ale potem pojęłam. Chciałaś nas nadzorować. Jak jakiś organizator gier i zabaw. Upewnić się, że sprawa nie zaszła za daleko. Prawda? Teraz możesz się przyznać, to już koniec.

Elizabeth lekko marszczy czoło. Nie podoba jej się ta interpretacja, chociaż może być dość dokładna.

- Nie sądzą, Martha, że to jest fair - mówi.

Poza Martha coś bardziej interesującego ma miejsce. Weszła Lesje Green z kustoszem paleontologii kręgowców,

doktorem Van Vleetem. Są teraz przy bufecie, napełniają swoje tace; często razem jedzą lunch; wszyscy wiedzą, że nie ma w tym nic dziwnego, gdyż doktor ma blisko pięćdziesiąt lat, a Lesje żyje z młodym człowiekiem, który pracuje w ministerstwie środowiska. Prawdopodobnie razem jedzą lunch, gdyż nie mogą znaleźć nikogo, z kim mogliby rozmawiać o starych skałach i kościach, którymi się tak pasjonują.

Elizabeth zawsze uważała, że trudno z Lesje wytrzymać: dziwna, czasem pedantyczna, lękliwa. Za wielka specjalistka. Jednak dzisiaj przygląda się jej z zainteresowaniem. Przypomniała sobie wizytę w muzeum w listopadzie. Dzieci powiedziały jej o pani od dinozaurów, która je oprowadzała, ale Nate o tym nie wspomniał. Prosił Elizabeth, by z nimi poszła, ale jej nie pasowało. Nate jest takim niezdarą, że coś takiego by zrobił. Ma taki wygląd nieprzytomnego faceta, który wpada na meble. Elizabeth jest prawie pewna, że ma rację i jutro będzie wiedziała.

- Miałyśmy rozmawiać tak od serca, ale nigdy do tego nie doszło, prawda? - pyta Martha. - Mogłyśmy dużo o nim gadać, ale nigdy ci nie mówiłam, co myślę o tobie, a ty nigdy nie mówiłaś, co myślisz o mnie. Nigdy nie byłyśmy uczciwe wobec siebie, prawda?

Martha domaga się uczciwości już teraz, chciałaby krzyczeć tutaj, w kafeterii. Elizabeth wolałaby, by Nate wybrał sobie przyjaciółkę z większą klasą. Ale po sekretarce z kancelarii adwokackiej czego się można spodziewać? Elizabeth nie ma teraz czasu na rozważania o uczciwości. Nie ma potrzeby zapoznawać Marthy z jej opiniami, to na nic się nie zda, a ona przecież już wie, co Martha o niej myśli.

Elizabeth wie, że ma nad nią przewagę i że zwycięży. Martha ma tylko jedno słownictwo, to, którego używa; ale Elizabeth ma dwa. Dystyngowane, eleganckie, które zdobyła;

świadczące o ogładzie, ale pożyteczne: przymilne, giętkie, łatwo się przystosowujące. I inne słownictwo, starsze, twardsze, pochodzące z ulic i boisk szkolnych, dalekie od manier dobrego towarzystwa; walczyła nim po każdej szybkiej ucieczce swoich rodziców.

Te szybkie ruchy wykonywano w nocy, by uniknąć świadków i gospodarzy. Elizabeth zasypiała na stosie nierozpakowanych strojów matki, pięknych, delikatnych, pozostawionych z dawnych dni, i budziła się, by wyjść na spotkanie obcych twarzy, by dokonać rytualnych testów. Jeżeli ktoś ją popchnął, ona popychała dwa razy mocniej, jeżeli ktoś pchnął Caroline, pochylała głowę i atakowała prosto w brzuch. W ten sposób walczyła z dużymi dziećmiakami oraz chłopcami. Nigdy nie spodziewali się tego po kimś tak niskim. Czasami przegrywała, ale nie często. Przegrywała, gdy miała przeciw sobie więcej niż dwójkę wrogów.

- Stajesz się chuliganem - powiedziała kiedyś jej matka w napadzie litowania się nad sobą, wycierając chusteczką krew. W owych dniach Elizabeth zawsze krwawiła. Nie chodzi o to, że jej matka mogła coś zrobić w tej sprawie; jak i w każdej innej. Dziadek Elizabeth pomagał, dopóki żył, chociaż twierdził, że jej ojciec to palant; natomiast ciocia Muriel nie odstępowała go na krok w ostatnich miesiącach jego życia i on zmienił testament. Tak powiedziała matka Elizabeth po pogrzebie.

Potem znów się przeprowadzili do jeszcze mniejszego mieszkania; jej matka kręciła się bezradnie po zatłoczonym saloniku, z czajniczką do herbaty w rękę, pończochą i innymi rzeczami, nie wiedząc, co z nimi zrobić. „Nie jestem do tego przyzwyczajona”, powtarzała. Kładła się z bólem głowy; tym razem na łóżku. Ojciec Elizabeth przyszedł do domu z dwoma znajomymi i opowiedział jej dowcip: „Co

powiedziały kurczątko, gdy ich matka złożyła pomarańczę? Popatrz na pomarańczową marmoladę".

Nikt nie położył Elizabeth do łóżka, ale to nic nowego. Czasami czynił to ojciec, ale tylko po to, by samemu zasnąć na jej łóżku w ubraniu. Jej matka znów wstała i wszyscy siedzieli w saloniku i pili. Elizabeth była do tego przyzwyczajona. W koszuli nocnej siedziała na kolanach jednego z mężczyzn, mając przy policzku jego pokrytą szczeciną twarz. Mówił do niej „dzieciaczku”. Jej matka wstała, by pójść do pokoju dziewczynek i potknęła się o nogę ojca. On zrobił tak specjalnie, lubił praktyczne dowcipy. „Najpiękniejsza kobieta na świecie”, orzekł ze śmiechem i podniósł ją z podłogi pokrytej linoleum w żółte i kasztanowe kwiaty; ten wzór Elizabeth zapamiętała na zawsze. Lekko ją pocałował w policzek i mrugnął; jego znajomi śmieli się. Matka Elizabeth zaczęła płakać i cienkimi dłońmi zakryła porcelanową twarz.

- Jesteś gówniarzem - powiedziała Elizabeth ojcu. Ci inni faceci jeszcze bardziej się śmiali.

- Nie myślisz tak naprawdę o swoim biednym starym ojcu - stwierdził. I zaczął ją łaskotać pod pachami. Następnego ranka odszedł. Została po nim pustka.

Prawie nikt nie wie o tych przeżyciach Elizabeth. Ona jest uchodźcą i ma pełne rozpaczy zwyczaje uchodźcy. Nate tylko trochę o tym słyszał. Chris w końcu wiedział. Martha nie wie, ani Lesje, i to daje Elizabeth dużą przewagę. Wie, że nie ma w niej niczego, co by zmuszało ją do przyzwoitego postępowania. Może mówić językiem tamtego życia, jeżeli chce. Gdy zostanie popchnięta, zatrzyma się, nie osiągając niczego. Albo mówiąc inaczej: jeżeli nie osiągnie niczego, wtedy się zatrzyma.

W odległości dwóch stolików Lesje zbliża się do nich z trzęsącą się tacą, z nieprzytomnym wyrazem twarzy, co

zapewne oznacza jakieś mroczne myśli, ale Elizabeth kojarzy się z objawami epilepsji. Lesje siada, prawie stukając w filiżankę kawy tymi niezdarnymi łokciami. Elizabeth szybko lustruje jej ubiór - znowu dżinsy. Jest tak szczupła, że jej to pasuje. Poza tym jest asystentką kustosza. Elizabeth musi bardziej odpowiednio dobrać strój.

- Przepraszam, Martha. Jest tu ktoś, z kim muszę porozmawiać. - Martha rozrywa foliową pokrywkę jogurtu.

Elizabeth powoli podchodzi do stolika Lesje i kładzie rękę na jej ramieniu.

- Lesje - mówi.

Lesje opuszcza łyżeczkę na stół, odwraca się i piszczy:

- Och.

- Nie mogę jej w niczym pomóc - odzywa się doktor Van Vleet. - Wiem o tym od dawna. Próba i błąd.

- Bardzo przepraszam - mówi Elizabeth. - Chciałam tylko powiedzieć, że oboje bardzo się cieszymy, że będziesz mogła jutro przyjść.

Lesje potakuje i w końcu mówi:

- Ja też, to znaczy my z Williamem również się cieszymy.

Elizabeth uśmiecha się z wdziękiem do doktora Van Vleeta i zatrzymuje się przy Marcie, by powiedzieć, jak przyjemnie było znów ją widzieć i że ma nadzieję wkrótce ją spotkać; ale teraz musi już iść do biura.

Jest bardzo spokojna. Da sobie radę.

Pracuje całe popołudnie, dyktuje notatki, wypełnia formularze z zamówieniami i przepisuje na maszynie kilka specjalnych listów, wymagających przemyślenia. Muzeum wyraziło w końcu zgodę na zorganizowanie wystawy chińskiej sztuki ludowej i teraz trzeba przygotować jakiś dobry fundament; Chiny mają obecnie dobrą prasę, więc łatwo będzie tę wystawę promować.

Przed zakończeniem pracy przykrywa maszynę do pisania, bierze torebkę i płaszcz. Ale jest jeszcze coś, czym musi się zająć, obiecała to sobie.

Wspina się po schodach, przechodzi przez drewniane drzwi, oddzielające tę część muzeum od publiczności, idzie korytarzem z metalowymi szufladami po obu stronach. Pracownia Chrisa. Teraz jest tu ktoś inny. Spogląda znad stołu na zbliżającą się Elizabeth. Niski, łysy, zupełnie niepodobny do Chrisa.

- Czy mogę w czymś pomóc? - pyta.

- Jestem Elizabeth Schoenhof - przedstawia się. - Pracuję w dziale projektów specjalnych. Zastanawiałam się, czy masz jakieś niepotrzebne skrawki futra. Wszystko jedno jakie. Moje dziewczynki szyją z nich okrycia dla lalek.

Nieznajomy uśmiecha się, wstaje, aby czegoś poszukać. Elizabeth powiedziano, jak się nazywa, ale zapomniała: Czyżby Nagle? Musi to sprawdzić. Do jej obowiązków należy między innymi znajomość techników we wszystkich działach, gdyby nagle ich potrzebowała.

Gdy on szpera wśród panującego na półkach bałaganu, Elizabeth rozgląda się dookoła. Pokój się zmienił, jest inaczej umeblowany. Czas nie stał w miejscu, nic tutaj nie zakrzepło. Chris definitywnie odszedł. Ona nie może go wskrzesić i po raz pierwszy wcale tego nie chce. On ukarze ją za tę myśl później, nie ma wątpliwości, ale w tej chwili ona się od niego uwolniła.

Powoli schodzi po marmurowych schodach, trzymając w garści kawałki futra. Skrawki. Wszystko, co pozostało po Chrisie, którego już dobrze nie pamięta. Przy drzwiach wkłada to zawiniątko do torebki, potem wsiada do metra i jedzie do stacji St. George i zamku Frank. Idzie wiaduktem i przystaje mniej więcej pośrodku, nad pokrytym śniegiem wąwozem i pędzącymi autami. Jak ciocia Muriel, ona też chce spełnić

rytuał pogrzebowy. Otwiera torebkę i wyrzuca skrawki futra,
jeden po drugim.

LESJE

Sobota, 22 stycznia 1977

Lesje siedzi w salonie Elizabeth, starając się utrzymać malutką filiżankę zapewne wspaniałej kawy na lewym kolanie. W prawej ręce ma kieliszek wypełniony do połowy likierem Benedictine i brandy. Nie wie, jak to się skończy, ma dwa naczynka z płynem, ale nie widzi miejsca, gdzie może je postawić. Zapewne za chwilę rozleje przynajmniej zawartość jednego, a może obu na dywan Elizabeth koloru grzybów. Jest zrozpaczona i chciałaby już pójść. Ale inni bawią się, zastępując słowo „łoś” jakimś innym w tytule kanadyjskiej powieści. Musi być kanadyjska. Na tym polega widocznie ten żart.

- Jeśli chodzi o mnie i o mojego łosia - mówi Elizabeth i wszyscy w pokoju chichoczą.

- Kpina z łosia - oświadcza żona faceta, który pracuje w dziale Grecji i Rzymu, a ona sama jest z CBS.

- Łoś Boga - proponuje ktoś imieniem Philip. Nikt nie mówi do niego Phil. Elizabeth śmieje się i pyta Lesje, czy napije się jeszcze trochę Benedictine.

- Dziękuję, jest mi dobrze - mruczy Lesje, obawiając się, że coś wypaple. Chciałaby zapalić papierosa, ale nie ma wolnej ręki. Ona nie czyta powieści i nie rozpoznała żadnego tytułu podawanego z taką łatwością przez innych, nawet Nate'a, nawet czasami przez Williama. Mogłaby powiedzieć Zaginiony łoś, ale to nie odnosi się do Kanady.

Cała kolacja przebiegała w podobnej atmosferze. „Będzie tylko kilku znajomych”, powiedziała Elizabeth. Nic nadzwyczajnego. Tak więc Lesje przyszła w spodniach i długim swetrze, a dwie inne kobiety są w sukienkach. Elizabeth po raz pierwszy nie jest w czerni; ma na sobie luźną, szarą, szyfonową suknię i wygląda w niej młodziej i szczuplej niż w pracy. Ma także naszyjnik, łańcuszek ze srebrną rybką.

Ta druga kobieta jest w fioletach. Lesje w wyraźnych prążkach czuje się jak dwunastolatka.

Udało jej się zobaczyć z Nate'em tylko raz przed tym wieczorem. Zrozpaczona zadzwoniła do niego do domu. Jedna z dziewczynek odebrała telefon.

- Chwileczkę - powiedziała. Nagle Lesje usłyszała uderzenie telefonu o podłogę. Pewnie spadł ze stolika. I krzyk:
- Tatusiu, telefon do ciebie!

Umówili się w sklepie z kawą na dole budynku Lesje. Lekkomyślnie; co się stanie, gdy pojawi się William?

- Dlaczego ona zaprasza nas na kolację? - dopytywała się Lesje, umierając z ciekawości. Już teraz nie mogła odrzucić zaproszenia, wyglądałoby to śmiesznie. Również dla Williama. A gdyby od razu się nie zgodziła, też byłoby śmiesznie.

- Nie wiem - odparł Nate, trzymając ją ostrożnie za rękę.

- Przestałem się zastanawiać nad jej motywami. Nigdy nie wiem, dlaczego coś robi.

- Nie przyjaźnimy się tak bardzo w pracy - powiedziała Lesje. - Czy ona wie?

- Prawdopodobnie. Nie uprzedziła mnie, że zaprasza cię na kolację. Nie mógłbym jej tego zabronić. Ona często zaprasza gości na kolacje; w każdym razie ma taki zwyczaj.

- Powiedziałeś jej? - Nagle wydało jej się, że mógłby tak postąpić.

- Niezupełnie. Chyba wspomniałem o tobie kilka razy. Dużo o tobie myślę. Może to wykorzystała. Jest bardzo bystra.

- Ale nawet, gdyby wiedziała, dlaczego mnie zaprosiła?

- Lesje na pewno by tak nie zrobiła. Jedną z dawnych przyjaciółek Williama, technik dentystyczny, często proponuje, aby we trójkę zjedli razem lunch. Lesje zawsze odmawia.

- Chyba chce ci się przyjrzeć - oznajmia Nate - z bliska. Nie martw się, wszystko pójdzie dobrze. Ona nie uczyni nierozważnego kroku. Kolacja będzie ci smakować, Elizabeth jest świetną kucharką.

Ale o tym Lesje nie mogła się przekonać. Czuła się jak sparaliżowana, była tak przestraszona, że nie mogła jeść. Boeuf bourguignon mógłby być z piasku, jeśli chodzi o nią. Elizabeth z wdziękiem zignorowała dużą porcję mięsa zostawioną na talerzu Lesje. Podczas pierwszego dania zadała Lesje trzy szablonowe pytania dotyczące struktur w paleontologii kręgowców; prawdziwa odpowiedź na jedno z nich mogłaby kosztować Lesje utratę pracy, gdyby powtórzono je w odpowiednim środowisku. Lesje niezręcznie odgrodziła się i Elizabeth zaczęła plotkować o radiu kanadyjskim z żoną faceta od dostaw dla działu Grecji i Rzymu.

Elizabeth przy deserze poświęciła wiele uwagi Williamowi. Uznała jego pracę w ministerstwie środowiska za fascynującą i niesłychanie wartościową. Powinna naprawdę zdobyć się na wysiłek i zawieźć wszystkie stare butelki i gazety do odpowiednich pojemników. William w nagrodę wygłosił wykład o zgubie, która grozi światu, jeżeli ona nie spełni swego obowiązku, i Elizabeth potulnie się zgodziła.

Nate tymczasem działał w cieniu, bez przerwy palił, ciągle pił - bez widocznego efektu - unikał spojrzenia Lesje, pomagał przy uprzątnięciu talerzy i nalewał wino. Elizabeth dyskretnie nim kierowała: „Kochanie, czy mógłbyś mi dać łyżkę stołową? Kochanie, czy mógłbyś włączyć wodę na kawę, jak już jesteś w kuchni?” Lesje delikatnie okrawała rybę, żałując, że nie ma dziewczynek. Przynajmniej z nimi mogłaby porozmawiać bez czerwienienia się i bez mamrotania, nie bojąc się, że popełni gafę. Wyrzuci z siebie na ten lniany obrus jakieś słowa o samobójstwach albo pokojach

hotelowych. Ale dzieci wysłano do przyjaciół, by tam spędziły noc.

- Czasami - oświadczyła Elizabeth - chociaż tak bardzo się kocha własne dzieci, człowiek pragnie побыć trochę w towarzystwie dorosłych. Nate nie zawsze się z tym zgadza - powiedziała wprost do Lesje. - On jest takim zaślepionym ojcem. Chciałby przebywać ze swoimi dziećmi dwadzieścia cztery godziny na dobę. Prawda, kochanie?

„Nie mów do niego »kochanie«", chciała powiedzieć Lesje.

„Nie oszukasz mnie". Przypuszczała, że to siła przyzwyczajenia. Przecież są małżeństwem od dziesięciu lat.

Co oczywiście Elizabeth stale podkreślała. Przez cały wieczór mówiła o szczególnie lubianych przez Nate'a potrawach i ulubionych winach oraz osobliwościach jego ubioru. Elizabeth chciałaby, by częściej się strzygł; ona sama próbowała to czynić nożyczkami do paznokci, ale on nie może usiedzieć spokojnie. Wspomniała również o zachowaniu Nate'a w dniu ślubu, ale nie zdradziła szczegółów. Wszyscy w pokoju już znali tę historię. Oczywiście z wyjątkiem Lesje i Williama, który był wtedy w łazience. I czego w tej chwili pragnęła Lesje.

William zaprezentował swoją fajkę, to poza, którą rezerwował dla towarzystwa.

- Znam lepszą grę - oznajmił. - Czy ktoś grał kiedyś w Star Trek? - Nikt jednak jej nie znał, a gdy William zaczął wyjaśniać reguły, wydała się zbyt skomplikowana.

- A może łódź ratunkowa - zaproponowała znajoma od spraw greckich i rzymskich.

Nate pyta, czy dolać komuś Benedictine i brandy. On sam weźmie sobie szkocką. Czy ktoś dotrzyma mu towarzystwa?

- Sensacyjna gra - stwierdza Elizabeth, wyjaśniając, że jest bardzo prosta. - Wszyscy jesteśmy w łodzi ratunkowej i

kończy nam się żywność. Trzeba przekonać każdego z uczestników, dlaczego ma pozostać w łodzi, a nie zostać wyrzuconym za burtę. - Elizabeth dodaje, że ta gra jest odkrywczą pod względem psychologicznym.

- Ja się poświęcam dla dobra grupy - oświadcza szybko Nate.

- Och, on zawsze tak postępuje - mówi Elizabeth. - To wpływ jego wychowania kwaków. Naprawdę oznacza, że nie należy go niepokoić.

- Unitariańskiego wychowania - poprawia Nate. Uważam, że to przesadnie złośliwa gra.

- Dlatego nazywa się łódź ratunkowa - mówi Elizabeth. - Dobrze, Nate jest za burtą. Zjedzą go rekiny. Kto chce zacząć grę?

Nikt nie chce, więc Elizabeth rozrywa papierową serwetkę i oni ciągną losy.

- Dobrze - oświadcza facet od dostaw greckich i rzymskich. - Ja znam alfabet Morse'a. Zostaniemy uratowani. Poza tym mam zdolności manualne. Jeżeli znajdziemy się na odludnej wyspie, mogę zbudować schronienie itp. Jestem również dobrym hydraulikiem. Taka złota rączka. - Uśmiecha się. - To przyjemnie, gdy ma się w domu kogoś, kto się na wszystkim zna.

Elizabeth i jego żona zgadzają się, że powinien pozostać na łodzi. Następnie zabiera głos Elizabeth.

- Jestem wspaniałą kucharką. A ponadto mam instynkt przetrwania. Jeżeli zechcecie mnie wypchnąć za burtę, pociągnę przynajmniej jedno z was ze sobą. Zresztą nie uważam, że powinniśmy wyrzucać kogokolwiek za burtę. Powinniśmy wszystkich ratować i ich zjeść. Wciągnijmy Nate'a z powrotem.

- Ja już jestem daleko, mile stąd - odzywa się Nate.

- Elizabeth używa gróźb - mówi kobieta z radia kanadyjskiego. - Każdy z nas może wykorzystać taki sam manewr; chyba nie będzie się liczył. Jeżeli jednak myślimy perspektywicznie, proponuję, abyście mnie uratowali zamiast Elizabeth. Ona nie jest już w wieku rozrodczym, a jeżeli chcemy stworzyć kolonię, potrzebujemy dzieci.

Elizabeth błednie.

- Jestem pewna, że jeszcze wycisnę kilka - mówi.

- Niewiele - dodaje kobieta z radia. - Słuchaj, Liz, to tylko gra.

- Lesje? - mówi Elizabeth. - Teraz ty idziesz po trapie.

Lesje otwiera i zamyka usta. Czuje, że się czerwieni. Wie, że to tylko gra, ale w pewnej mierze też jakieś wyzwanie. Jednakże nie może znaleźć żadnej przyczyny, dla której mają pozwolić jej żyć. Nie jest dobrą kucharką, nie umie zbudować żadnego schronienia. Kobieta z radia wspomniała o dzieciach, a Lesje ma wąską miednicę. Do czego się więc nadaje? Zdaje sobie sprawę, że nic z tego, w czym jest dobra, nie jest konieczne do przeżycia.

Wszyscy na nią patrzą, zażenowani jej milczeniem, jej oczywistym zmieszaniem. W końcu Lesje zaczyna mówić:

- Jeżeli znajdziemy jakieś kości, będę mogła wam powiedzieć, czyje są. - Jakby historia kości miała dla nich jakieś znaczenie, nie tak jak dla niej i kilku innych zapaleńców. Według niej miał to być rodzaj żartu, ale nie potrafi dowcipkować. - Przepraszam - szepcze. Ostrożnie stawia filiżankę, potem kieliszek na beżowym dywaniku. Wstaje i odwraca się, przewracając nogą filiżankę, po czym ucieka z pokoju.

- Przyniosę szmatę - słyszy głos Nate'a.

Zamyka się w łazience Elizabeth i myje ręce jej osobliwym brązowym mydłem. Potem siada, zamyka oczy, dłońmi zakrywa twarz. Ten likier i brandy dają o sobie znać.

Czy rzeczywiście jest taką osobą bez wdzięku, bez wartości? Z wierzchołka swego drzewa obserwuje ornitomimusa, o szerokich oczach, przypominającego ptaka, jak biegnie wśród zarośli, ścigając małego protossaka. Ile musi minąć lat, by zaczęły rosnąć włosy, by mieć małe, żywić je? Jak wiele, by wykształcić cztery komory serca? Z pewnością to jest ważne, z pewnością jej wiedza nie powinna zginąć wraz z nią. Powinno się jej pozwolić kontynuować te badania, tutaj w lesie pierwszych drzew iglastych i sagowców o pniu podobnym do ananasa.

„Każdy ma pewną liczbę kości”, myśli Lesje, dążąc do jasności. Nie tylko swoich, ale również czyichś, i kości trzeba nazwać; musisz wiedzieć, jak je nazwać, w przeciwnym razie giną, pozbawione własnego znaczenia, i może nie udać się ich uratować dla ciebie. Nie można nazwać wszystkich, jest ich za dużo, świat jest ich pełen, jest z nich zbudowany, więc musisz dokonać wyboru. Wszystko, co zginęło, zostawiło po sobie kości - dla ciebie, a ty z kolei zostawisz, swoje.

Taka jest jej wiedza, jej pole działania. Przypomina pole, możesz iść nim w poprzek i dookoła i powiedzieć: „To są granice”. Ona wie, dlaczego dinozaury czyniły to, co czyniły, a resztę potrafi wydedukować, naukowo się domyślić. Ale na północy pola zaczyna się historia i rozpościera się mgła. To tak, jakby się było dalekowidzem, widzi się dalekie jezioro i jego plażę, i wylegujące się zauropody w świetle księżyca, a już ręka wydaje się plamą. Na przykład ona nie wie, dlaczego płacze.

ELIZABETH

Sobota, 22 stycznia 1977

Elizabeth leży w łóżku z wyciągniętymi rękami, ze złączonymi nogami. Słabe światło z ulicznych latarni przebija się paskami przez bambusowe rolety, układa się sztabkami na ścianach; łamie je cień pnących roślin, ich zakrzywionych pędów, nie trzymających niczego i nie chcących osiągnąć niczego. Okno na dole jest trochę otwarte, drewniana listewka zakrywająca trzy otwory w skrzydle podniesiona i zimne powietrze się przedziera. Elizabeth otworzyła okno przed pójściem do łóżka, potrzebowała powietrza.

Elizabeth leży z otwartymi oczami. W kuchni na dole krząta się Nate. Ona go dostrzega i cofa go. Może widzieć poprzez ciemny sufit, przez belki i warstwy gipsu, i zniszczone linoleum w niebieskie kwadraty, które ona, niechlujna właścicielka, powinna była już dawno zmienić; poprzez łóżka, gdzie śpią lokatorzy, matka, ojciec, dziecko, rodzina, poprzez różowy sufit ich pokoju i na zewnątrz poprzez krokwie i połatany, ciekący dach, poprzez powietrze, niebo, miejsce, gdzie nie ma niczego pomiędzy nią i pustką. Gwiazdy w swych powłokach z jasnego świecącego gazu palą się. Już nie przeraża jej przestrzeń. Ona wie, że nikt tam nie mieszka.

Gdzie poszedłeś? Wiem, że nie ma cię w tym pudle. Grecy zbierali wszystkie części ciała; w przeciwnym wypadku dusza nie mogłaby odejść z ziemi. Do szczęśliwych wysp. Philip powiedział to dzisiaj przy kolacji, pomiędzy boeuf bourguignon i rybą z czekoladowym imbirowym sosem. Potem zmienił temat, przypomniał sobie i był zażenowany; wiedział, że nie powinien był mówić o zwyczajach pogrzebowych. Ja się uśmiechałam. Ja się uśmiechałam. Naturalnie, to była zamknięta trumna. Popłynęli z nim na północ; leżał w suchym lodzie, sztywny wśród zimnych

kryształów, mgła rozpościerała się nad nim jak w filmie o Draculi. Dzisiejszego wieczoru pomyślałam, że zapomniano o czymś. Część po nim została.

Nie mogła się ruszać; mimo to poprosiła Nate'a, by zabrał ją taksówką na dworzec; siedziała przez całą drogę jak kawał skały w pociągu do Thunder Bay i potem w ohydny autobusie. English River. Uppsala z jednej strony, Bonheur z drugiej, Osaquan przed nimi. On często wymieniał te nazwy i, o ironio, poniżający fakt, urodził się i musiał mieszkać w English River. „Anglicy”, oni wciąż mówili, Szkoci, Francuzi, Indianie itp. Wrogowie, niszczyciele. Ona należała do Anglików.

Siedziała w ostatniej ławce, klęczała z innymi, stała, gdy oni stali, podczas gdy wokół Chrisa obramowanego nędznymi kwiatami odbywała się ceremonia. Na szczęście po angielsku, mogła ją więc rozumieć. Nawet Ojciec nasz brzmiało trochę inaczej. Wybacz nam nasze grzechy. Gdy była mała, myślała, że grzeszyć to przechodzić przez czyjś teren. A tego nigdy nie robiła; dlatego nie trzeba jej wybaczać. Jak my wybaczymy tym, którzy grzeszyli przeciwko nam. „Nie deptajcie trawnika!”, krzyczała ciocia Muriel na biegnące dzieci. Stary ksiądz zwrócił się do wiernych, podniósł kielich, coś wymamrotał z nachmurzoną miną. „Po łacinie brzmiało lepiej”, można było sądzić, że tak myślał.

Nie pochowali go jednak na rozstaju dróg z przygotowanym stosem. Śmierć wskutek nieszczęśliwego wypadku. Pochylone ramiona, pochylone głowy, jego matka w czerni w pierwszej ławce, z prawdziwym welonem. Inne dzieci - Elizabeth tak sądziła - obok niej.

Potem kawa w domu. Sąsiedzi przynieśli ciastka. Odbywało się to w jednym z tych małych północnych bungalów na skale, różowej i niebieskiej jak ciasto, otoczonym ciemnymi świerkami. Płozy leżały w szopie,

meble z katalogu Eaton, zniszczone zasłony o cztery cale za krótkie. Wszystko było takie jak przypuszczała. Skrupulatnie wyuczona angielszczyzna ojca; matka z ciemną twarzą, pełną smutku. Chcieliśmy, żeby miał szansę. Dobrze się uczył. Zawsze był mądrym chłopcem. Skończył szkołę średnią, dostał stałą pracę. Elizabeth myśli: „Brednie. Wyście go wygnali. Biliście go, gdy nie chciał być taki jak wy; właśnie w tej szopie. Dużo wzajemnie wyznaliśmy sobie”.

Matka: „Jesteś jego przyjaciółką? Z miasta, tak?” Potem, Elizabeth tego się obawiała, odrzuciła welon, pokazując brzydkie zęby, zbliżając swoją ciemną twarz ku niej, z włosami zmieniającymi się w węże: „Ty go zabiłaś”.

Ona sama nigdy nie zdobyłaby się na tę podróż, nie dotarłaby do pociągu, nie wzięłaby nawet taksówki. Chris znikł bez jej pomocy, bez jej współudziału. Z tego, co wie, jego rodzice, jeżeli jeszcze żyją, nigdy o niej nie słyszeli. I obrazy w jej wyobraźni są również błędne. Na początku wyznał jej, że jest częściowo Indianinem, częściowo Francuzem, metysem, tą mityczną hybrydą; jest archaiczny, tubylczy, autentyczny, nie tak jak ona. Szydził z niej, z białości jej skóry i prawdopodobnie krwi, odbierał miłość jak wymuszoną zapłatę i ona pozwalała się terroryzować. Aż pewnego popołudnia, gdy leżeli wyczerpani na jego łóżku, przenikniętym dymem papierosowym, przenieśli się do krainy niebezpiecznych zwierzeń; jej skradzione dzieciństwo, głód i zwichrzone włosy za bezradnymi pretensjami matki. „Nigdy nikomu nie Zazdrość”, powiedziała, „dopóki nie wiesz, jak jest. Teraz ty mi opowiedz”.

Zapadł zmrok, zasłony były zaciągnięte, on tarł i tarł rękę o jej nagie ramiona, po raz pierwszy coś jej da, coś zdradzi, z trudem mógł się na to zdobyć. Ona skrzywiła się, nie tego chciała, nie tego wysiłku. Nigdy nie osłabiaj swojej linii obrony; jest po to, by cię chronić.

Był tylko w jednej czwartej Francuzem i wcale nie był Indianinem. Reszta to pochodzenie fińskie i angielskie; jego matka nazywała się Robertson. Nie byli nawet na tyle biedni, by być romantyczni, prowadzili sklep z cygarami, dobry sklep. Nie był traperem. Dostawał lanie, ale nie tak często, jak przedtem mówił.

Czy działo się to wtedy, gdy jej uwaga zaczęła słabnąć, czy była tak okrutna, tak się snobowała? Prawdopodobnie.

Mimo to nie wie, co odpowiedzieć tej matczynej twarzy wyłaniającej się jak księżyc, księżyc oglądany z bliska, zimny i spustoszony. „Nie”, odpowiedziała kilka razy. „Zabiła go złośliwość, duma, to była jego wina. To nie ja”.

Teraz wreszcie zastanawia się. Co by było, gdyby? Co by było, gdyby go zostawiła samego? Przed tą wyrwą energia ją rozpierała. Zastanawiam się, czy pozostało ci trochę skrawków futra; moje dziewczynki szyją z nich sukienki dla lalek. Chris nie miał niczego, żadnych rezerw, z których mógłby czerpać, żadnych prezentów dla innych. Ona wiedziała, co robi. Chciała być kochana, a również znienawidzona, chciała stanowić centrum. Miała, czego chciała, władzę nad pewną częścią świata: wiedziała, jak się zachować, jakiego użyć widelca, co idzie z czym. On chciał tej władzy. Miał dwa krawaty, jeden zielony, drugi fioletowy. Żaden z nich nie był odpowiedni. Wyglądał lepiej w podkoszulku, powiedziała mu to, chociaż nie powinna.

Ona miała tę władzę i ją mu okazywała, i pozwalała jej dotknąć. Pokazała mu, że ma braki, i obiecała, co? Transformację, dotyk ramienia, tytuł rycerski. Potem cofnęła się, pokazując mu, że jest tylko igraszka wakacyjną, pięknym obrazkiem na folderze, człowiekiem z przepaską na biodrach, zrzucającym orzechy kokosowe. Tuzin za dziesięć centów. Zostawiła go nagiego.

Myśli: „Traktowałam go, jak mężczyźni traktują kobiety”. Wielu mężczyzn, wiele kobiet; ale nigdy mnie, nie w ciągu twojego przekłętą życia. Nie mógł tego znieść. Czy czuje wreszcie dla niego litość czy pogardę?

Na dole w kuchni Nate brzęczy srebrnymi sztuczkami, opłukuje je przed wstawieniem do plastikowego koszyka w zmywarce. Słyszała często ten dźwięk. Odwraca wzrok od gwiazd i kieruje na dół, na podłogę. Patrzy w głąb. Nate szura nogami z papierosem w ustach, zagubiony w swym melancholijnym marzeniu. Rozmyśla, tęskni. Obserwowała go dzisiejszego wieczoru podczas kolacji, która nie sprawiła jej przyjemności, te salonowe gry, wszystko widziała, on jest zakochany w tej żyrafie. Kawa na dywanie, drobna irytacja, będzie musiała go oddać do pralni; również satysfakcja. Lesje jest kłownem. Ale jest mimo swej niezdarności i braku równowagi młodszą kobietą, znacznie młodszą od Elizabeth. Według Elizabeth to banalne. Nudne i do przewidzenia. Przecież Nate był już, jak to się mówi, „zakochany” poprzednio. Ona mu da pozwolenie, wyrazi zainteresowanie, będzie pomocna, przeczeka. Przeżyła to już przedtem, zna to na pamięć.

(„Ale dlaczego niepokoić się?”, odzywa się jakiś głos. „Dlaczego nie pozwolić mu odejść? Po co ten wysiłek?”)

Ale jest coś innego, Elizabeth przypomniała sobie, i to jest niebezpieczne. Przedtem, chciał, by go chronić. Chciał, by kobieta była drzwiami, przez które mógłby przejść i je za sobą zamknąć. Wszystko szło dobrze, dopóki ona udawała, że jest klatką, Nate myszą, a jej serce zwykłym serem. On jest beznadziejnie sentymentalny. Matka ziemia, a Nate to kret ryjący w ciemności, gdy ona go kołysała. Chyba nigdy nie zobaczę poematu tak pięknego jak drzewo. Kiedy ona zrezygnowała, on znalazł sobie Marthę, która również nie potrafiła dobrze spełniać tego zadania.

Tym razem jednak to on chce chronić. Gdy patrzy w dół na jego głowę, na kark, w jaki sposób rusza rękami, ona to wie, chociaż on może nawet nie zdawać sobie z tego sprawy.

Elizabeth siedzi na łóżku. Ściany i ich cienie są na swoim miejscu, również podłoga, sufit. Przestrzeń jest sześcianiem dookoła niej, ona jest centrum. Jest coś, czego trzeba bronić.

„Zostań na swoim miejscu, Nate. Nie będę tolerować próżni”.

NATE

Sobota, 22 stycznia 1977

Nate ze smutkiem układa talerze. To reguła, że gdy Elizabeth gotuje, Nate zmywa. Jedna z wielu zasad, przepisów, kodycyli, dodatków, erraty. Kiedy mieszka się z Elizabeth, trzeba przestrzegać tych zasad, całego labiryntu takich praw, niełatwych do zrozumienia, niektórych nie wypowiedzianych. Jak nieostrożny pieszy, Nate dopiero uświadamia sobie, że naruszył jakieś prawo dopiero wtedy, kiedy zostaje uderzony zderzakiem, słyszy gwizdek i dosięga go wielka ręka. Ignorancja prawa nie jest usprawiedliwieniem. Przypuszcza, że Lesje nie przestrzega żadnych zasad.

Widzi siebie, jak pochyla się, by wyszeptać przez dziurkę od klucza w łazience: „Kocham cię”. Nieodwołalne zobowiązanie, chociaż nie jest pewien, czy zabarykadowana w łazience już pół godziny Lesje może go usłyszeć. Nie rozumie, dlaczego była przygnębiona. Widział jej twarz, gdy szła do drzwi. Tę plamę po kawie na dywanie; ale to nie to.

Chciał znaleźć się w łazience, pocieszyć ją, chciał zapukać, ale zrezygnował. Co by było, gdyby otworzyła drzwi? Gdyby to powiedział jej wprost, nie przez ścianę, musiałby przejść do działania. Chociaż o tym myślał. Znalazłby się zawieszony w powietrzu, pędziłby ku przyszłości, której jeszcze sobie nie wyobraża; a Elizabeth pozostałaby na solidnym gruncie za nim, z nogami na ziemi, tam, gdzie zawsze chciała być, ciemny pagórek, twarze dzieci, dwa blade owale obok niej. Cofające się przed nim.

Myśli o nich (niesfornie skaczących w tej chwili na łóżku swojej przyjaciółki Sarah, w ciemności tłumiąc śmiech) i widzi nie ich zwykłe twarze, ale dwa małe portreciki. W srebrnych ramkach, w urodzinowych sukienkach na czarno - białej fotografii. On i Elizabeth nie mają takich portretów. Ich dzieci są unieruchomione, uciszone. Opalone. Próbuje sobie

przypomnieć, jak to było przed urodzeniem dziewczynek. Jednak nie może. Może tylko cofnąć się pamięcią, gdy Elizabeth w ciąży z trudem wydostawała się z auta, które specjalnie kupił kilka miesięcy wcześniej na tę okazję; on sam był troskliwy i przestraszony. Nie wpuszczano wtedy ojców do sali porodowej. Odprowadził Elizabeth do recepcji; pielęgniarka spojrzała na niego z dezaprobatą. Widzisz, co zrobiłeś. Umieścił ją w pokoju na oddziale i usiadł, gdy ona zaciskała zęby i rozwierała szczęki, obserwował, jak zniknęła w głębi korytarza na wózku inwalidzkim. Był to długi poród. On rozparł się w fotelu pokrytym zielonym winylem i czytał stare egzemplarze „Sports Illustrated” i „Parents”, czując, jak zasycha mu w gardle. Bardzo chciało mu się pić, ale mieli tu tylko kawę z automatu. Za tymi drzwiami miało miejsce trzęsienie ziemi, powódź, tornado, które mogły w ciągu kilku minut rozbić mu życie, a on był od tego odseparowany.

Dokoła niego syczały maszyny; on drzemał. Powinien być niespokojny i szczęśliwy, wiedział o tym. Ale rozmyślał: „Co się stanie, jak oboje umrą?” Osierocony młody ojciec stał przy grobie, zmartwiony, że kobieta tak kiedyś pełna życia i zmysłowa, pachnąca ugniecionymi paprociami, zeszła na zawsze do ziemi, tuląc martwe dziecko o barwie wosku. Poszedł drogą, jakąkolwiek drogą, w stronę jakiegoś legendarnego parowca. Załamany człowiek.

Kiedy w końcu pozwolono mu wejść, było po wszystkim. Pojawiło się maleństwo tam, gdzie wcześniej nie było żadnego maleństwa. Elizabeth, wyczerpana, leżała podparta na poduszkach w białej szpitalnej koszuli, a na ręce miała plastikową bransoletkę ze swym nazwiskiem. Popatrzyła na niego tępym wzrokiem, jakby był komiwojażerem albo ankieterem spisu ludności.

- Wszystko w porządku? - zapytał i natychmiast zauważył, że zwrócił się do niej bezosobowo. Nawet nie zapytał: „Jak się czujesz?” Ona tu była, przed nim, nie umarła.

- Nie dali mi zastrzyku w odpowiedniej porze - powiedziała.

Spojrzał na maleństwo, owinięte jak kiełbaska, trzymane przez Elizabeth. Poczł ulgę i wdzięczność. Ona powtarzała mu potem wiele razy, że nie ma pojęcia, jak to było, i miała rację, on nie wiedział. Ale mówiła to z pretensją, jakby to była jego wina.

Sądzi, że byli sobie bliżsi przed narodzinami Janet, ale nie pamięta. Nie pamięta, co oznacza „bliscy”, albo co to znaczyło być blisko z Elizabeth. Ona robiła mu omlety w nocy, gdy kończył się uczyć, i jedli je razem, siedząc na podwójnym łóżku. Zapamiętał, że to były dobre dni. Miłosne jedzenie, tak to nazwała.

Nate zbiera resztki boeuf bourguignon do miski; później wrzuci do śmieci. Te luki w pamięci zaczynają go niepokoić. Nie chodzi tylko o Elizabeth, jaka była (on dedukuje), ten obraz zaciera się. On ją kochał, chciał ją poślubić, pobrali się, przypomina sobie jedynie wycinki. Minął prawie rok studiów prawniczych; jego młodość jest zamglona. Martha, kiedyś taka mocna i wyraźna, jest przezroczysta, jej twarz kiwa się; wkrótce roztopi się kompletnie.

I dzieci. Jak wyglądały, kiedy zaczęły chodzić, co mówiły, jak on się czuł? Wie, że miały miejsce ważne wydarzenia, ale teraz nie pamięta. Co zdarzy się z tym dniem, z katastrofalną kolacją Elizabeth, której resztki miał teraz metalowe zęby pod zlewem.

Nate uruchamia zmywarkę, wyciera ręce o spodnie. Idzie w stronę schodów, cicho, tam przypomina sobie, że tej nocy nie ma dzieci w domu. Lesje również odeszła, uciekając prawie bezpośrednio z łazienki, zatrzymując się tylko, by

zabrać płaszcz, jej chłopak pobiegł za nią. Młodzieniec o twarzy jak bułeczka, którego imienia Nate w tej chwili sobie nie przypomina.

Zamiast pójść do swojej izdebki, swojej celi, zatrzymuje się przy drzwiach dzieci, potem wchodzi do ich pokoju. Teraz wie, że odejdzie; ale wydaje mu się, że to one go opuściły. Są tu lalki, rozrzucone zestawy do malowania, nożyczki, dziwne skarpetki i ranne pantofle z głowami królika, które w pośpiechu zapomniały zapakować. Teraz są już w pociągu, samolocie, jadą do jakiegoś nieznanego miejsca przeznaczenia, są unoszone daleko od niego z szybkością światła.

Wie, że wrócą jutro rano, na czas, przed niedzielnym brunchem, że jutro wszystko będzie się działo tak jak zwykle; on będzie stał przy stole kuchennym, podając jajecznicę na grzance dla siebie, dziewczynek i Elizabeth, która pojawi się otulona w niebieski płaszcz kąpielowy i nie całkiem uczesana. On poda jajecznicę i Elizabeth poprosi o drugą filiżankę kawy, i będzie się wydawało, nawet jemu, że nic się nie wydarzy.

Jednak klęczy; łzy napływają mu do oczu. Powinien wytrzymać, powinien był mocniej się trzymać. Bierze jeden z kapci Nancy z niebieskim królikiem i głaszcze futerko. Kołysze swoją ewentualną śmierć. Jego utracone, porwane dzieci odeszły od niego, zostały zakładnikami. Kto to uczynił? Jak on mógł na to pozwolić?

LESJE

Wtorek, 8 lutego 1977

Szaleje śnieżycą, Lesje dryfuje ulicą. Samochody z łańcuchami na kołach brzęczą koło niej, utykając w koleinach; breja zatyka im zderzaki. W nocy była zadymka. Ona nie przejmując się, że ma zimne nogi, że ich prawie nie czuje. Drzewa, które mijają, uginają się pod ciężarem lodu. Każda gałązka błyszczy w słabym słońcu, oświetlona od wewnątrz; świat płonie. Lesje wyciąga ramiona, czuje, że płynie nimi krew, by eksplodować purpurą w każdej ręce. Wie, że blask światła, który widzi, to tylko rękawiczka. Ale to rękawiczka przeobrażona, jej włókna akrylu świecą swoim własnym atomowym światłem. Oślepią Lesje mruży oczy. Nic nie waży, wreszcie wszechświat ją akceptuje, nic złego się nie stanie. Czy kiedyś przedtem tak się czuła?

Jest dopiero druga. Wyszła z biura wcześniej; powiedziała doktorowi Van Vleetowi, że musi coś załatwić. Naprawdę chodzi o Nate'a; zadzwonił ze swego domu, zagubiony, że musi się z nią zobaczyć. Lesje pędzi na ratunek w swych butach na gumowej podeszwie, pielęgniarka spiesząca przez zamrażniętą Syberię, napędzana miłością. Położyła rękę na jego czole i cudem przywróciła go do życia. Kiedy dociera do frontowych schodków i się na nie wspina, cieknie jej z nosa.

Nate otwiera drzwi, szybko wciąga ją do środka, zamyka drzwi, i dopiero potem obejmuje. Przyciska Lesje do swego brązowego wełnianego szlafroka, pachnącego starym dymem papierosowym i przypaloną grzanką. Jego usta przywierają do jej ust; całują się. On trochę unosi ją w powietrze, po czym stawia na podłodze.

- Z moich butów kapie - mówi i pochyla się, by otworzyć suwak. Ściąga buty i jej oczy znajdują się na poziomie kolan Nate'a. Jest w szarych skarpetkach z czerwonymi paskami na górze i białymi palcami i piętami. Te skarpetki, nie wiadomo

dlaczego, wywołują w niej czułość i podniecenie: czuje znów swoje ciało.

Bez obuwia, na palcach, mijają hol i wspinają się po schodach. Nate prowadzi ją za rękę.

- Tutaj - mówi. Chociaż nikogo nie ma w domu, szepczą. Nate zdejmuje indiańską narzutę. Lesje niewiele widzi: pokój to plama wokół niej, snop światła oświetla tygrysy we fioletowej dżungli. A pod tygrysami prześcieradła w kwiaty. Bez słowa Nate ją rozbiera, podnosząc jej ramiona, zginając łokcie, jakby rozbierał lalkę albo dziecko; Lesje stoi spokojnie. Zdejmuje jej sweter przez głowę, przyciska policzek do jej brzucha, gdy pochyla się, by zdjąć jej dzinsy. Lesje podnosi jedną nogę, potem drugą, posłuszna. Jest chłodno, przeciąg w pokoju. Ma gęsią skórę. Nate delikatnie kładzie ją do łóżka. Ona zapada się w wgłębienie, płatki kwiatów przepływają nad nią.

On przywiera do niej, oboje poruszają się z lękiem, słońce przesuwa się po niebie, nogi nieubłaganie zbliżają się do siebie, drzwi się jeszcze nie otwierają, buty są na schodach.

Lesje leży podparta na dwóch poduszkach. Jego głowa spoczywa na jej brzuchu. Świat jest znów światem, może widzieć szczegóły, oświetlona plama zbladła. Mimo to jest szczęśliwa. Chociaż nie widzi żadnych konsekwencji tego szczęścia.

Nate porusza się, sięga po chusteczki Kleenex na nocnym stoliku.

- Która godzina? - pyta. Rozmawiają normalnym głosem. Lesje patrzy na zegarek.

- Lepiej już sobie pójdę. - Nie chciałaby, by Elizabeth czy też dzieci zobaczyły ją nagą na łóżku Nate'a.

Nate przesuwa się na swoją stronę, oparty na łokciu, podczas gdy Lesje siada i spuszcza nogi na brzeg łóżka. Jedną ręką szuka majtek, zagubionych gdzieś w kwiatkach. Pochyla

się, by spojrzeć na podłogę. Stoją tam dwa czarne pantofle na dywaniku.

- Nate, czyj to jest pokój?

On patrzy na nią i milczy.

- To pokój Elizabeth - mówi Lesje.

Staje i zaczyna się ubierać jak najszybciej. Okropne, to jest pogwałcenie prywatności. Czuje się brudna; jakby popełniła kazirodztwo. Maż Elizabeth to jedna sprawa, a łóżko Elizabeth to druga.

Nate nie rozumie. Wyjaśnia, że jego łóżko jest za wąskie dla obojga. „Nie o to chodzi”, myśli Lesje. „Łóżko nie ma wyboru”.

On pomaga jej rozłożyć narzutę z tygrysami i wygładzić poduszki. Jak ona ma mu powiedzieć? Nie wie, dlaczego jest taka przygnębiona. Może ze względu na sugestię, że wszystko jest bez znaczenia i można wymieniać ją i Elizabeth. Albo on sądzi, że łóżko Elizabeth jest w pewnym sensie również jego i może robić, co chce. Po raz pierwszy Lesje uświadamia sobie, że krzywdzi Elizabeth, że wkroczyła na jej teren.

Lesje siedzi w kuchni z łokciami na stole, z podbródkiem na rękach; Nate zapala jej papierosa. Jest zmieszany. Proponuje szkocką, a potem filiżankę herbaty. Dym osłania jej twarz.

Do lodówki przymocowany jest obrazek dziecięcy; trzyma się dzięki magnetycznemu plastikowemu pomidorowi i kaczanowi kukurydzy. Na obrazku jest dziewczynka z żółtym lokiem, oczami obramowanymi ogromnymi rzęsami i czerwonym obłąkanym uśmiechem. Na górze arkusza niebo jest niebieską kreską, a słońce rozpryskującą się cytryną.

Wszystkie molekularne tworzywa, obecne teraz na ziemi i w atmosferze, istniały przy powstawaniu ziemi, niezależnie od tego, czy świat został stworzony wskutek eksplozji jakiegoś większego ciała czy też wskutek kondensacji gazowych

szczątków. Te molekularne tworzywa po prostu się połączyły, rozdzieliły i znów połączyły. Chociaż kilka molekuł i atomów uciekło w przestrzeń, niczego nie dodano.

Lesje zastanawia się nad tym faktem, który działa na nią kojąco. Ona jest tylko wzorem. Nie jest stałym obiektem. Nie ma stałych obiektów. Pewnego dnia ona się roztopi.

Nate głaszczuje jej rękę. Skonsternowany, ale ona nie może go pocieszyć.

- O czym myślisz, kochanie? - pyta.

NATE

Czwartek, 28 sierpnia 1975

Nate pracuje w piwnicy. Wycina piłą głowy i karki dla zaprzęgu czterech koni. Każdy koń będzie miał z przodu uzdę. Kiedy się za nią pociągnie, koń przesunie się naprzód, a głowa i ogon będą się z wdziękiem rytmicznie poruszać. Taką ma nadzieję.

W trakcie pracy robi przerwę, by otrzeć pot z czoła. Brodę ma wilgotną; czuje się, jakby był spleśniałym materacem. Tu na dole jest znacznie chłodniej niż na górze. Na zewnątrz jest chyba czterdzieści stopni. Rano, dobrze przed ósmą, cykady wydają swoje zgrzytliwe trzaski.

- Straszny upał - zauważa Nate, gdy widzi Elizabeth w kuchni. Jest w lekkiej niebieskiej sukience z plamą z tyłu, na poziomie żeber. - Czy wiesz, że masz plamę na sukience? - pyta. Ona lubi, gdy się jej zwraca uwagę na takie potknięcia: nie zamknięty suwak, nie zapięta haftka, włosy na ramionach, metki wystające przy szyi.

- Naprawdę? - dziwi się. - Przebiorę się. - Poszła jednak do pracy w tej samej sukni.

Nate ma ochotę na zimne piwo. Wyłącza piłę i zmierza ku schodom i dopiero wtedy widzi głowę w kwadratowym piwnicznym okienku gapiącą się na niego, jakby do góry nogami. To Chris Beecham. Pewnie leży na żwirze na zewnątrz z szyją wykrzywioną pod odpowiednim kątem, tak że jego głowa mieści się w okienku. Uśmiecha się. Nate rusza w stronę schodów, mając nadzieję, że Chris go zrozumie i podejdzie do tylnych drzwi.

Kiedy Nate otwiera drzwi, Chris już tam jest. Wciąż się uśmiecha.

- Waliłem w okno - mówi.

- Pracowała piła - tłumaczy się Nate. Chris nie wyjaśnia, dlaczego tu jest. Nate wpuszcza go do środka i proponuje piwo. Chris akceptuje propozycję i wchodzi za nim do kuchni.

- Wzięłem sobie wolne popołudnie - mówi. - Za gorąco, by pracować. Nie mają klimatyzacji.

To czwarty czy piąty raz, gdy Nate widzi Chrisa. Poznał go, gdy Elizabeth zaprosiła go na wigilijną kolację. „On nikogo tu nie zna”, powiedziała. Elizabeth ma taki zwyczaj, że zaprasza na kolację ludzi, którzy prawie nikogo nie znają. Czasami te zabłąkane istoty, dla których Elizabeth odgrywa rolę matki, to kobiety, ale znacznie częściej mężczyźni. Nate'owi to nie przeszkadza. Aprobuje bardziej lub mniej takie postępowanie, chociaż jego matka robiłaby to samo, gdyby o tym pomyślała. Zajmuje się bardziej listami niż kolacjami. Rozbitkowie Elizabeth są zwykle mili, a dziewczynki lubią mieć gości, zwłaszcza przed zbliżającymi się świętami Bożego Narodzenia. Janet twierdzi, że te wizyty przypominają przyjęcia.

Chris trochę się upił, jak pamięta Nate. Mieli sztuczne ognie i Nate znalazł w nich nagrodę, oko, oko z plastiku z czerwoną tęczówką.

- Co to jest? - zapytała Nancy.

- Oko - odparł Nate. Zwykle to były gwizdki albo małe jednobarwne figurki. W tym roku po raz pierwszy ktoś znalazł oko.

- Po co to jest?

- Nie wiem - odpowiedział Nate i położył oko przy talerzu. Trochę później Chris sięgnął po nie i przykleił sobie do czoła. A potem zaczął śpiewać wesołym głosem Ulice Laredo. Dziewczynki uznały, że jest zabawny.

Od tego dnia, gdy Nate wracał z piwnicy przy różnych okazjach, Chris pił drinka w salonie z Elizabeth. Siedzieli po przeciwnych stronach i niewiele mówili. Nate zawsze do nich

dołączał, rzadko omijał szansę wypicia drinka w towarzystwie. Jedna rzecz dziwiła Nate'a: chociaż Elizabeth zaprasza kulawe kaczątka na uroczyste kolacje, rzadko proponuje im drinka, chyba że ich pozycja w muzeum jest na tym samym poziomie co jej albo wyższa. Ale w żadnym razie Chris nie pasuje do tych kategorii. Jak Nate się orientuje, jest on kimś w rodzaju wypychacza zwierząt, chwalebny strażnikiem nieżyjących sów. Jest technikiem, a nie kimś z kierownictwa. Nate nie wyklucza, że Elizabeth i Chris są kochankami - Chris nie byłby pierwszy - ale dawniej ona mu zawsze o tym mówiła. Wcześniej lub później. Poczekaj, nim uwierzy. Sprawy między nimi nie układają się najlepiej, ale wszystko jeszcze można naprawić.

Nate otwiera dwa piwa i siada z Chrisem przy kuchennym stole. Pyta, czy podać mu szklanę; Chris odmawia. Natomiast chce, by Nate pojechał z nim do jego mieszkania na partię szachów. Nate'a trochę zaskakuje ta propozycja. Wyjaśnia, że nie jest dobrym graczem i nie grał od wielu lat.

- Elizabeth twierdzi, że jesteś dobry - oświadcza Chris.

- Dlatego, że Elizabeth w ogóle nie umie grać - mówi skromnie Nate.

Chris jednak nalega. Twierdzi, że to go rozweseli. Ostatnio czuł się podle. Nate samarytanin nie może oprzeć się jego prośbie. Idzie na górę do pokoju po czystą koszulkę. Kiedy wraca, Chris obraca butelką po piwie na stole.

- Kiedyś bawiłeś się w to? - pyta. Ale Nate nie zna tej gry.

Biorą wóz Chrisa, niewłaściwie zaparkowany. To stary Chevrolet kabriolet, model z '67 czy '68 roku. Nate nie ma samochodu, sprzedał swój, by móc kupić piłę i inne konieczne narzędzia.

Wóz nie ma tłumika. Przy światłach silnik grzmi. Przez całą drogę do Davenport ciągną chmury zanieczyszczenia, straszliwie hałasując. Ludzie oglądają się za nimi. Spadł dach

kabrioletu i słońce pali im głowy. Kiedy w końcu docierają do Winchester i do parlamentu, Chris parkuje, znów nielegalnie; Nate'owi kręci się w głowie. Aby zacząć rozmowę, pyta Chrisa, czy w tej okolicy jest dużo prostytutek. Chociaż wie, że jest. Chris obrzuca go spojrzeniem pełnym niechęci i odpowiada twierdząco.

- Jednak mnie to nie przeszkadza. Wiedzą, że nie jestem tym zainteresowany.

Nate chce wysiąść. Chce powiedzieć, że boli go głowa, plecy, wszystko. Nie może grać w szachy przy temperaturze czterdziestu stopni z człowiekiem, którego prawie nie zna. Ale Chris jest teraz żwawy, energiczny. Przechodzi na drugą stronę ulicy i prowadzi do swojego mieszkania. Mijają hol pokryty poplamioną mozaiką, wspinają się na trzecie piętro. Nate dyszy, zostaje w tyle. W obliczu takiej determinacji Chrisa waha się, czy opowiedzieć mu o swoich dolegliwościach.

Chris otwiera drzwi i wchodzi. Nate za nim. W mieszkaniu jest chłodniej; ściany są pokryte boazerią; pewnie miał tu mieszkać ktoś dość zamożny. Chociaż są tu dwa pokoje, szerokie łukowate przejście pomiędzy nimi sprawia, że wydaje się, iż jest tu tylko jeden pokój. Tonący w ciemnościach, pachnący zgnilizną i jakimiś chemikaliami. Stolik do gry w szachy już jest przygotowany w pokoju, w którym stoi łóżko Chrisa. Są tu dwa krzesła postawione po przeciwnych stronach szachownicy. Nate uświadamia sobie, że Chris nie zaprosił go pod wpływem chwili, kaprysu.

- Chcesz się napić? - Chris wyjmuje szkocką z oszklonego kredensu i nalewa trochę do małego kubka, ozdobionego tulipanami. „Słoik po galaretce”, myśli Nate; widział taki dziesięć lat temu. Szkocka nie jest dobra, ale Nate pije; nie chce antagonizować gospodarza. Chris będzie chyba pił z butelki. Stawia ją przy stoliku, daje Nate'owi pokrywkę

od słoika z masłem orzechowym jako popielniczkę, bierze do ręki biały i czarny pionek i rusza nimi za plecami. Wyciąga pięści, ogromne, z grubymi kostkami.

- Lewa - mówi Nate.

- Pech - stwierdza Chris. Siadają do gry. Chris zaczyna. Uśmiecha się i nalewa Nate'owi następnego drinka. Grają z powagą. Nate wie, że Chris wygra, ale unosząc się dumą, chce, by to zwycięstwo nie przyszło łatwo, by zajęło dość dużo czasu. Gra defensywnie, grupuje swoich ludzi blisko siebie.

Chris gra jak Kozak, rzuca się naprzód, sięgając do forpoczty Nate'a i wycofuje się na zagadkowe nowe pozycje. Uderza niecierpliwie nogą o podłogę, gdy Nate zastanawia się nad następnym ruchem. Obaj się pocą. Koszulka Nate'a przykleja mu się do skóry; chciałby otworzyć okno, żeby powstał przeciąg, ale na zewnątrz jest jeszcze goręcej niż tutaj. Nate wie, że pije zbyt dużo, na dodatek kiepskiej szkockiej, ale gra go wciąga.

Wreszcie wykonuje dobry ruch. Chris będzie musiał albo wziąć jego konia, albo stracić swojego, albo zostanie pozbawiony wieży. Teraz z kolei Nate czeka i wpatruje się z onieśmieniem, a Chris martwi się, jakiego dokonać wyboru. Nate przestaje się gapić i zastanawia się, co właściwie tu robi, co może wpłynąć niekorzystnie na grę.

Rozgląda się po pokoju. Jest prawie pusty, ale wydaje się, że panuje tu bałagan. To nie przedmioty sprawiają takie wrażenie, ale ich wzajemne relacje. Nic nie jest na właściwym miejscu. Na przykład stolik przy łóżku jest za bardzo oddalony.

A na tym stoliku leży coś, co on miał zobaczyć, teraz jest tego pewien. To mała rybka ze srebra z niebieskimi łuskami z emalii. Ostatni raz widział ją na łańcuszku na szyi Elizabeth.

Albo bardzo podobną. Nie jest pewien. Patrzy na Chrisa, a Chris patrzy na niego, mięśnie jego twarzy sztywnieją, oczy są spokojne. Strach ogarnia Nate'a, włosy stają mu na ramionach, czuje mrowienie w koniuszkach palców. Zastanawia się, czy Chris ma w sobie naprawdę indiańską krew, jak twierdzi Elizabeth, on nigdy nie potrafił rozpoznać tego lekkiego akcentu; potem przeraża go jego postawa, on też zaczyna myśleć stereotypami. Ponadto Chris prawie nie pije, to on wypił trzy czwarte tej trującej szkockiej.

Jeżeli ma rację, jeżeli Chris sprowadził go tutaj (teraz to widzi jak na dłoni) pod nędznym pretekstem gry w szachy, a chodzi tylko o to, by zobaczyć ten przedmiot, ten zastaw należący lub nie należący do Elizabeth, jego możliwości są ograniczone. Chris wie, że on wie. Chris czeka, by Nate go uderzył. Wtedy Chris mu odda i zaczną się bić. Rozwalą stolik do szachów, będą się tarzać wśród kłębow kurzu zalegających podłogę Chrisa.

Nate boleje nad takim rozwiązaniem. Pytanie brzmi: czy Elizabeth jest suką, czy istotą ludzką? To problem ludzkiej godności. Dlaczego walczyć o Elizabeth, która prawdopodobnie może sama dokonać wyboru? Już dokonuje. Niezależnie od tego, kto wygra, walka nic nie rozstrzygnie.

Nate może udawać, że nie widzi srebrnej rybki, ale to już zaszło za daleko. Albo może ją zignorować. Ale nawet wobec samego siebie będzie to tchórzostwo.

- Zrobiłeś swój ruch? - pyta Nate.

Chris zabiera mu konia i patrzy na Nate'a, napięty, gotowy. W każdej chwili może się rzucić. Nate myśli: „Może to wariat?” Może jest tak szalony, że kupił inną rybkę i tutaj położył. Może jest świrem.

Zamiast zabrać białego konia, Nate wywraca własnego króla.

- Wygrałeś - mówi. Wstaje i zabiera rybkę ze stołu. - Oddam to Elizabeth od ciebie, dobrze? - dodaje uprzejmie.

Idzie do drzwi, spodziewając się, że w każdej chwili poczuje pięści na swoich plecach, kopnięcie w nerki. Wsiada do taksówki i jedzie do domu; kierowca czeka na dworze, nim on ueziera dostateczną sumę monet znajdujących się w pokoju, by mu zapłacić.

Kładzie delikatnie srebrną rybkę na nocnym stoliku, obok swoich rozrzuconych centów. Ona powinna była mu powiedzieć. Nie zachowała się po przyjacielsku. Za pierwszym razem powiedziała mu i oboje płakali, obejmując się, pocieszając się wzajemnie, przepraszając za pewne naruszenie, które odczuli wspólnie. Potem dyskutowali swoje problemy aż do czwartej nad ranem, szepcząc przy kuchennym stole. Obiecali sobie reformy, naprawy, reparacje, zupełnie nowe sekwencje wydarzeń, nowy porządek. Podobnie za drugim i trzecim razem. On nie jest potworem, zawsze tłumi w sobie zniechęcenie, przebaczył jej.

Fakt, że tym razem nic mu nie powiedziała, oznacza tylko jedno: wcale nie chce przebaczenia. Albo mówiąc inaczej, nie zależy jej, czy on jej przebacza, czy nie. Albo, tak przychodzi mu na myśl, może zdecydowała, że on nie ma prawa jej przebaczać.

ELIZABETH

Środa, 16 lutego 1977

Elizabeth siedzi przy czarnym stoliku u Fransa. Naprzeciwko niej jest William. Przed nią gofr z łyżeczką roztopiających się waniliowych lodów, a na lodach zamrożone macki syropu o barwie cynamonu. Elizabeth obserwuje, jak syrop spływa, i ma nadzieję, że kelnerka, gdy przyniesie rachunek, nic nie powie na temat nietkniętego gofra.

William je kanapkę i pije piwo. Elizabeth tylko częściowo przysłuchuje się jego wypowiedziom; dotyczą ostatnich badań rakotwórczych substancji znalezionych w wędzonym mięsie. Teraz jest bardziej na luzie. William chyba nie zauważył, że są u Fransa, a nie w jakimś wyszukany lokalu. W pierwszych dwóch, do których próbowali wejść, było tłoczno, a według Williama tylko te dwa są w tej okolicy. A tej okolicy już Elizabeth nie zna dobrze.

W zwykłych okolicznościach ona zarezerwowałaby stół, ale chciała, by wszystko wyglądało na improwizację. Przypadkiem przechodziła koło ministerstwa środowiska podczas zakupów (nieprawda; nigdy nic nie kupuje u Yonge'a i St. Clair) i pamiętała ich ostatnią rozmowę (również nieprawda). Pomyślała, jakie to będzie fascynujące wpaść do Williama i usłyszeć trochę więcej o jego pracy (całkowita nieprawda), i jeżeli William nie jest zajęty, z przyjemnością zjeść z nim lunch (prawda, ale nie z przyczyn, o jakich myślał William).

Williamowi pochlebiało to zaproszenie bardziej, niż przypuszczała. Nawet teraz pęka z dumy, rozprawiając z zapalem o zwyrodniającej szynce i złowróżbnym tajemniczym życiu bekonu. Ona dźga widelcem gofr i zastanawia się, czy nacisnąć delikatnie jego kolano pod stołem, czy też na to jest jeszcze za wcześnie? Nie wie jeszcze, jak postąpi później. Albo uwiedzie Williama, by stworzyć jakąś równowagę we

wszechświecie, wet za wet, albo opowie mu o romansie Lesje i Nate'a; albo uczyni i to, i to.

Odcina kawałek gofra widelcem i podnosi do ust. Potem kładzie z powrotem na talerzu. Przypomina sobie, dlaczego nie może jeść.

Jest maj; Elizabeth wraca znów do życia. Dwa tygodnie temu zmarła definitywnie jej matka; przestała tlić się na łóżku szpitalnym; trwało to dłużej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Elizabeth siedziała przy niej, obserwując, jak czysty płyn kapie z butelki do nie oparzonej ręki matki, trzymając jej dłoń i patrząc, czy w połowie nie okaleczonej twarzy dojrzy jakiś znak. Przez dwa dni Elizabeth nie jadła i nie spała, mimo nalegań cioci Muriel i lekarza, który powiedział, że matka nie odzyska przytomności, co w tych okolicznościach jest dla niej najlepsze, a Elizabeth powinna oszczędzać siły. Uczestniczyła w pogrzebie, krok za krokiem, słuchała nabożeństwa, widziała, jak jej matka po raz drugi unosi się w płomieniach. Pozwoliła, by witali się z nią przyjaciele cioci Muriel. Ciocia dopracowała całą uroczystość pogrzebową do ostatniego szczegółu, jakby to było ważne przyjęcie. Elizabeth nie mogła stwierdzić, czy ciocia oplakuje jej matkę, czy też się cieszy; jest w niej jakieś fatalistyczne zadowolenie. W domu wszędzie pełno kwiatów w wazonach z pogrzebu - po co mają się zmarnować? - i unosi się zapach śmierci.

Ciocia bez przerwy o tym mówi. Elizabeth chce przestać o tym rozmawiać. Chce przestać o tym słyszeć, a nawet myśleć. Nie chce nigdy więcej myśleć o swojej matce. Za dwa miesiące, nawet krócej, skończy szkołę średnią i opuści ten dom. Ciocia chce, by poszła do Trinity College i nadal mieszkała w tym domu; mówi, że tak będzie lepiej dla Caroline, ale zdaniem Elizabeth to podstęp, by ją zatrzymać.

Elizabeth wcale nie ma takich ambicji. Pragnie tylko jednego: uciec stąd. Jeszcze nie wie, jaką formę przyjmie ta ucieczka. Może coś zaplanuje, znajdzie pracę z ogłoszenia w „Star”, wynajmie umeblowany pokój, spakuje się; widzi też siebie, jak w koszuli nocnej wybiega przez frontowe drzwi i znika na zawsze w wąwozie; oba wyjścia są równie możliwe.

Nie znosi domu cioci Muriel z jego szarawymi chryzantemami i gnijącymi mieczykami. Pokój, który dzieli z Caroline, obity jest tapetą w małe, niebieskie różyczki, a ich łodyżki związane są serwetką; to cioci wersja dziewczęcego wieku; meble są białe. Na swoim łóżku Caroline trzyma niebieski woreczek na pidżamę ze sztucznego futra w kształcie kota.

Elizabeth podrywa chłopaka z drugstoru. Nie pierwszy to raz, ale pierwszy po śmierci matki; i w drugstorze. Przedtem podrywała chłopaków na rogach ulic, przy wejściu do kin. To jest zabronione; ciocia pozwala tylko na formalne tańce w prywatnych szkołach z synami znajomych. Elizabeth nie lubi tych tańców ani krótko ostrzyżonych chłopców o różowych policzkach, którzy tam przychodzą. Woli chłopców takich jak ten. Ma z tyłu warkoczyk i chodzi w czerwonej skórzanej kurtce z podniesionym kołnierzem; jego czarne brwi prawie się stykają, na podbródku widać skaleczenia po goleniu. Jego niższy przyjaciel wysiada z wozu, mruczając coś do niego i śmiejąc się, gdy Elizabeth wsiada.

Wóz jest ozdobiony plastikowymi girlandami i laleczkami z piór. Elizabeth lubi takie auta. Są niebezpieczne, ale ona wie, że potrafi kontrolować swoje zachowanie. Cieszy ją utajona siła jej rak; wie, że zawsze może przestać. Podnieca ją i daje zadowolenie fakt, że jest w stanie to zrobić, iść na całość i prawie wyskoczyć z tego. (Jest jeszcze coś. Chłopcy, wszyscy chłopcy, ich usta i ramiona zawierają w sobie wielkie

możliwości; obietnice, które może tylko odgadywać, nadzieję).

Przez chwilę jeżdżą dookoła, potem idą do Fransa na gofra. Jedzenie jest zawsze częścią tych randek. Elizabeth pożera swojego gofra, jakby nigdy przedtem takiego nie jadła; chłopak pali papierosa i obserwuje ją swymi wąskimi oczami. Ma na imię Fred lub jakoś tak i chodzi do Jarvis. Ona mówi mu, gdzie mieszka, a on stara się nie okazywać, że robi to na nim wrażenie. Elizabeth wie dokładnie, co ciocia Muriel i jej pretensje są warte. Ale mimo to przechwala się nimi. Ciocia ma swoje lęki, dostatecznie realne dla Elizabeth, ale ona coraz częściej je wykorzystuje.

Jeszcze trochę jeżdżą dokoła, potem parkują na bocznej, spokojnej uliczce. Zapach płynu po goleniu Old Spice przenika cały wóz. Elizabeth czeka, by ramię w skórze zbliżyło się do niej na górze, na dole. Teraz nie ma czasu na gry wstępne, na grzebanie przy haftkach, na posuwanie się po klatce piersiowej; nie chce wydzielać kawałka po kawałku. Tryska energią, nie wie, czy to gniew, furia czy odmowa. Myśli raczej o kraksie samochodowej. Zderzeniu metalu.

On jest zaabsorbowany kierownicą. Zniecierpliwiona, bardziej lekkomyślna niż on, otwiera drzwi i popycha go na mokrą ziemię. Na czyjś trawnik. „Hej”, mówi Fred. Jest zdenerwowany, patrzy na okna zasłonięte firankami.

Ona chce krzyczeć, ochryple wrzeszczeć, by wstrząsnąć ciemnością, by zimne oczka podobne do krabów w tych kamiennych domach z pośpiechem ukazały się w oknach; chce, by ten wrzask oswobodził jej gardło. Chce, by znikła ta umarła ręka, którą wciąż trzyma.

Całuje usta istniejące tylko teraz, nie przestaje ani nie odciąga, kiedy ręce przesuwają się po niej, kręci się, by mu pozwolić. On jęczy, waha się. Potem przez minutę ona prawie krzyczy: spodziewała się bólu, ale nie tego rodzaju i nie tak

dużego. Mimo to uśmiecha się z zaciśniętymi zębami; jest w siódmym niebie. Przypuszcza, że krwawi, przynajmniej trochę; wskutek krwi będzie to wydarzenie. Kiedy on mięknie, ona pochyła się, by zobaczyć.

On nie rozumie, klęczy obok niej, zapina spodnie, naciąga jej spódnicę, przeprasza. Niezdarnie; naprawdę jest mu przykro, nic nie mógł poradzić, nie o to mu chodziło. Jakby ona była nogą, na którą przypadkiem nadepnął.

Elizabeth wysiada z wozu przecznicę dalej od domu. Jest później, niż przypuszczała. Mokry z tyłu płaszcz czyści bezskutecznie przed wyciągnięciem klucza. Jest pewna, że ciocia Muriel stoi na ostatnim stopniu klatki schodowej w swoim jasnoniebieskim szlafroku, w pozie oskarżającej, złośliwej, triumfującej.

Elizabeth karmiła ją już kilka razy historyjką o wieczornej próbie chóru, która, co nie do wiary, jak dotąd była skuteczna. Ale nigdy nie wracała tak późno. Jeżeli ciocia tam jest, to Elizabeth nie wie, co robi. Nie może sobie wyobrazić kary - wściekłości, wygnania, wydziedziczenia - która byłaby równa jej uczuciu strachu. Kiedy cioci nie ma, Elizabeth może myśleć o szyderczych, wulgarnych słowach, które jej powie, ale w jej obecności wie, że będzie milczeć. Jeżeli ciocia będzie przywiązana do słupa, ona pierwsza będzie z niej drwić; ale kto ma władzę, by coś takiego uczynić? Ciocia ją przeraża, gdyż nie wie, kiedy przestać. Inni ludzie znają granice, których nie przekraczają, ale dla cioci takie granice nie istnieją. Elizabeth obawia się, że dla niej one też nie istnieją.

Kiedy jednak otwiera drzwi, hol jest pusty. Idzie po dywanie, wspina się po schodach, przechodzi koło inkrustowanego zegara dziadka na podeście, koło waz chińskich na postumentach na górze, ściskając uda, gdyż krew delikatnie cieknie po jej bieliźnie. Będzie musiała sama

wszystko uprać, wysuszyć w tajemnicy. Chce, by ciocia wiedziała, by ujrzała dowód tego gwałtu; jednocześnie zrobi wszystko, by o tym się nie dowiedziała.

Otwiera pokój, który dzieli z Caroline. Górne światło jest zapalone. Caroline leży na podłodze pomiędzy ich łózkami. Rozłożyła moherowy koc z łóżka; leży ze skrzyżowanymi rękami na piersiach, otwartymi oczami utkwionymi w sufit. Nad jej głową i przy nogach stoją srebrne kandelabry z mahoniowego kredensu. Obok niej butelka politory do mebli. Świece w kandelabrach już się wypaliły. Pewnie leży tak od kilku godzin.

Kiedy Elizabeth to widzi, czuje, że tego się spodziewała albo czegoś podobnego. Caroline nie pójdzie do szpitala; powiedziała, że nie chce widzieć swojej matki. Odmówiła pójścia na pogrzeb i ciocia, co dziwne, nie zmuszała jej. Elizabeth obserwowała to, ale tylko kątem oka. Caroline była ostatnio taka milcząca, że łatwo było jej nie zauważyć.

Kiedyś, dawno temu, Elizabeth przechodziła przez dziewczęcą część boiska szkolnego podczas wakacji, trzymając za rękę innej dziewczyny; tworzyły łańcuch. „Nie zatrzymujemy się dla nikogo”. Była to taka gra: nie wolno ci się zatrzymać dla nikogo. Elizabeth trzymała mocno Caroline za rękę; musiała mieć Caroline przy sobie w tym łańcuchu, by nie osłabła. Caroline była młodsza, nie odstępowały jej kłopoty. Elizabeth czuła się za nią odpowiedzialna. Ale Elizabeth koncentrowała całą energię, już od lat, na sobie, by ocalić siebie. Nic nie zostało na uratowanie Caroline.

Kłęczy i głaszcze włosy Caroline od czoła, nad jej nie poruszającymi się oczami. Potem zdejmuje jej jedną zgiętą rękę i kładzie swoją głowę na piersi siostry. Ona jeszcze żyje.

Po tym, jak przyjechała karetka z noszami i odjechała, ale nie wcześniej, Elizabeth uklękła na mozaikowej podłodze łazienki na drugim piętrze, obok wanny, i zwymiotowała

specjał firmy Fransa, lody, cynamonowy syrop, wszystko. To jej pokuta. Tylko na tę jedną mogła się zdobyć. Gdyby była religijna, jedną z katoliczek, tak znienawidzonych przez ciocię Muriel, zapaliłaby świeczkę za spokój duszy Caroline. Ale chyba Caroline już zaopiekowała się sobą.

W szpitalu powiedzieli, że nie wypła polityry do mebli. Ta otwarta butelka to był znak, ostatnie przesłanie Caroline; wskazanie, dokąd poszła, gdyż istniała praktycznie już nie w swoim ciele.

Elizabeth obserwuje, jak William kończy kanapkę i zamawia pierożek z jabłkiem i serem i kawę. Nie podoba jej się jego krawat. Ktoś o twarzy chłopca z chóru nie powinien chodzić w beżowym i kasztanowym krawacie. Jeżeli Lesje żyje z mężczyzną, który ma taki zły gust, nie warto jej pokonać.

William chyba nawet nie zauważa, że Elizabeth nic nie je; wyjaśnia, dlaczego kolorowy papier toaletowy jest znacznie gorszy od białego. Elizabeth wie, że nie zazna wielkiej przyjemności, śpiąc z nim, czy nawet przekazując mu rewelację, którą zamierzała mu dzisiaj wyjawić. Może nie powinna sobie tym zawracać głowy. Dziwi się czasami, do jakiego stopnia ludzie potrafią rozpraszać swą uwagę. Zadziwia siebie.

LESJE

Środa, 16 lutego 1977

Lesje kataloguje gigantyczne żółwie z ery mezozoicznej, kredy górnej. Gady, pisze. Chelonia, Neurankylidae. Rodzaj i gatunek, Neurankylus baueri, Gilmore. Występują: Fruitland, Nowy Meksyk, geologia USA: Kreda górna, łupek ilasty z Fruitlandu. Materia: pancerz skórzasty i plastron.

„Jak haniebnie kopać coś we Fruitlandzie”, myśli Lesje, „po tak wielu milionach lat pokoju”. Nigdy nie była we Fruitlandzie, ale wyobraża sobie kioski z małymi pamiątkami, gdzie sprzedaje się plastikowe owoce: spinki z winogronami do klapy, magesowe pomidory. Albo prawdopodobnie, ponieważ to dzieje się w Stanach Zjednoczonych, studenci college'u ubrani jak olbrzymie brzoskwinie i jabłka spacerują wśród tłumów. Jak w Disneylandzie.

Na skrawku papieru przywiązanym do pancerza widnieje liczba napisana czarnym tuszem i Lesje dodaje tę liczbę do fiszki. Kiedy skończy z większymi okazami, czeka na nią cała taca z fragmentami pancerza. Przewiezie ją z półek magazynu do jej biura, minie piaszczarki i wiertarki dentystyczne, potrzebne do czyszczenia skamielin; kiedy skończy, przewiezie z powrotem do magazynu. Potem zajmie się otolitami ryb z okresu mioceńskiego. Są ich setki, setki fragmentów żółwi, setki wybranych kręgów, kostek, pazurów, setki zębów. Tysiące funtów kamieni zamkniętych w modelach. Czasami się zastanawia, czy świat naprawdę potrzebuje więcej otolitów z okresu mioceńskiego. W dniu takim jak dziś zastanawia się, czy jej praca nie jest naprawdę tylko wychwalaną rejestracją.

*

Kiedy znalazła się w swoim kąciku, małym biurze z fragmentami muszli i czystymi kartkami, zadzwonił telefon. Jakaś grupa szkolna chce umówić się na zwiedzanie. Lesje

zapisuje ją w kalendarzu. Już nie lubi tak bardzo wycieczek szkolnych. Kiedyś myślała, że może ich czegoś nauczyć. Teraz wie, że będzie przynajmniej jedno dziecko, które zechce rzucić czymś w dinozaury

- opakowaniem po gumie do żucia, kapslem z butelki, kamyczkiem - aby pokazać, że się nie boi. Młode ssaki szydzą ze swoich starych wrogów. „Nie chodź po półce”, ona powie. „Jeżeli naciśniesz wszystkie guziki naraz, nic nie usłyszysz”.

Czy ma sobie zrobić kawę w laboratorium, przynieść ją do swojego pokoiku bez okien i zostać tak długo, by dokończyć pracę nad fragmentem pancerza? Czy też choć raz wyjść o czasie?

Zerka przez drzwi dużego biura sąsiadującego z laboratorium. Dr Van Vleet już wyszedł, zostawiając po sobie na podłodze kałuże po lutowej brei. Lesje zawsze bardzo poważnie traktowała swoją pracę - co więcej, chce wykonywać ją dobrze - ale ostatnio ją irytuje. Prawdopodobnie, gdy odstawi tę tacę, nikt znów nie spojrzy na otolity ryb z okresu miocenńskiego. Prócz niej, gdy pewnego dnia, ukradkiem, będzie podziwiał symetrię i wielkość ryby i wyobrazi sobie, jak płynie przez dawne oceany.

Wypełnia jeszcze jedną kartę, potem zamyka pudło z fiskkami i idzie po płaszcz. Wkłada go, zawiązuje kaptur, sprawdza, ile ma pieniędzy w torebce. Wpadnie do Ziggy'ego po drodze do domu i kupi coś dobrego na kolację, coś dobrego dla Williama. Odkąd sądzi, że może w końcu odejść od niego, bardzo się o niego troszczy. Kupuje mu niespodzianki, sardynki, mule, to, co lubi. Kiedy kicha, przynosi mu tabletki, cytryny, pudełka kleenexów. To tak, jakby chciała się upewnić, że jest w dobrej formie, gdy go odda, prehandluje. „Widzisz”, powie mu, „jaki jesteś zdrowy. Nie potrzebujesz mnie”.

Jednak nie wie, jak mu to powie; ani kiedy. Nate nie chce robić żadnych nagłych kroków, ze względu na dzieci. Myśli o wynajęciu mieszkania albo części domu, tak aby miał pomieszczenie na swoje narzędzia, i będzie je prznosił po trochu, stopniowo. Powie dzieciom, że to jest jego warsztat. Jeszcze nie powiedział, kiedy Lesje ma do niego dołączyć. Ewentualnie. Kiedy dzieci się przystosują. Czasami Lesje i Nate przeglądają ogłoszenia o wynajmie mieszkań, próbując zdecydować, gdzie on albo może oni w końcu zamieszkają.

Lesje czeka na to - by być z nim w neutralnym łóżku, nie lękając się, że ktoś otworzy drzwi - ale nie bardzo w to wierzy. Na przykład nie może sobie wyobrazić przeprowadzki. Składać prześcieradła i ręczniki, zabrać swoje plakaty (głównie z muzeum, przyklejone do ścian niewidoczną taśmą), kłaść kilka talerzy i patelnię, którą dała jej matka, gdy opuszczała dom, do tekturowych pudeł. Jeżeli naprawdę ma zamiar się przeprowadzić, powinna sobie to wyobrazić. (A gdzie będzie William? W biurze? Czy też będzie stał obok z założonymi rękami i pilnował, by nie zabrała żadnej z jego książek ani zasłon przy prysznicu, kupionych przez niego, ani książki kucharskiej *Organiczne jedzenie*, z której nigdy nie korzystali).

Nate nie omawia z Elizabeth tych kroków, chociaż dyskutuje o innych sprawach. Elizabeth wie o ich romansie. On i Elizabeth kiedyś o tym rozmawiali w nocy, gdy on się kąpał. Była to normalna rozmowa. Jest zwyczajem Elizabeth od dłuższego czasu, by rozmawiać z nim podczas jego kąpieli. Tak twierdzi Nate. Chociaż Lesje trochę się przejmuje, że mają wspólne zwyczaje, pyta:

- Czy była zła?

- Wcale - odpowiada Nate. - Bardzo dobrze to przyjęła. Jest zadowolona, że znalazłem kogoś sympatycznego.

Z jakiegoś powodu aprobata Elizabeth bardziej irytuje Lesje, niż gdyby była to złość.

- Jednak ona uważa - mówi Nate - że powinnaś powiedzieć Williamowi.

- Sądzi, że tak będzie uczciwie. Ona...

- To nie jej sprawa - mówi ostro Lesje, zdumiona swoją reakcją. - Co ją obchodzi, co ja powiem Williamowi?

- Oni się zaprzyjaźnili - wyjaśnia łagodnie Nate. - Chyba często chodzą razem na lunch. Ona twierdzi, że znajduje się w fałszywej sytuacji wobec niego, gdy ona wie, a on nie.

Lesje nie słyszała o tej przyjaźni, o tych lunchach. Czuje się opuszczona. Dlaczego William o tym nie wspomniał? Co prawda rzadko mówi jej, z kim jada lunch. A to może oznaczać, że on tak jak ona rzadko chodzi na lunch. Lub że za tą wiadomością kryje się groźba; Elizabeth ją wysłała, a Nate nieświadomie tylko dostarczył. Jeżeli Lesje sama nie powie szybko Williamowi, ona to zrobi.

Jednak Lesje nie jest w stanie nic powiedzieć. „Nie ma okazji”, wmawia sobie. Co ma zrobić? Przerwać tę grę? Powiedzieć: „William, mam romans”.

Idzie ulicą z pochyloną głową; w torbie ma sałatkę z kartofli i kurczaka, które kupiła u Ziggy'ego. William kiedyś jej powiedział, że chodzi jak młody chłopiec. Ale on też tak chodzi.

Kiedy wpada do domu, William siedzi przy stoliku do kart. Rozłożył karty przed sobą, ale patrzy przez okno.

- Mam coś dla ciebie od Ziggy'ego - mówi wesoło Lesje. William nie odpowiada, co nie jest niczym nowym. Ona zostawia torbę z zakupami w kuchence i idzie do sypialni.

Siedzi na łóżku i ściąga skórzane buty, gdy w drzwiach pojawia się William. Ma dziwny wyraz twarzy, jakby złapał go jakiś skurcz. Niezdarnie podchodzi do niej.

- William, co się dzieje? - pyta. On jednak popycha ją na łóżko, jedną ręką przytrzymuje jej ramiona, łokciem wbija się w obojczyk, drugą próbuje otworzyć suwak przy jej spodniach.

William zawsze lubił trochę gmerać. Lesje zaczyna się śmiać, potem przestaje. Dzisiaj zachowuje się inaczej. Rękę trzyma na jej gardle.

- William, to boli. William, dość tego.

Zdjął jej dzinsy do połowy ud, gdy uświadamia sobie, że William chce ją zgwałcić.

Zawsze gdy słyszała o gwałcie, przychodzili jej na myśl Rosjanie gwałcący Ukrainki, Niemcy ukradkiem gwałcący Żydówki; czasami tak zachowywali się w ciemnych alejkach Detroit czarni. Ale nie ktoś taki jak William Wasp, pochodzący z dobrej rodziny z Londynu w Ontario. Przecież są przyjaciółmi, rozmawiają o wyginięciu gatunków, o zanieczyszczeniu środowiska, znają się od wielu lat. Mieszkają razem.

Co ona ma teraz zrobić? Jeżeli zacznie walczyć i kopnie go w jaja, William nigdy się do niej nie odezwie. Jest prawie pewna, że mogłaby to zrobić: jej kolana znajdują się w odpowiedniej pozycji, on kuca na niej, gmerając przy jej nylonowych majtkach. Ale jeżeli pozwoli mu na dalsze ruchy, to możliwe, że ona się do niego nie odezwie. To absurd i William dyszący i szarpiący, i zagryzający zęby jest też absurdalny. Ale wie, że gdy się roześmieje, on ją uderzy.

- William, przestań - mówi. William jednak szarpie nieustępliwie, przedziera się przez jej uda. W końcu ona zaczyna się wściekać. Przynajmniej mógłby czekać na jej reakcję. Zaciska nogi, zwiera mięśnie karku i ramion i niech William z nią walczy. On ciągnie ją za włosy, wbija palce w jej ramiona. Wreszcie jęczy, cieknie, rozluźnia się.

- Skończyłeś? - pyta zimno. Z trudem wysuwa się spod niego, zapina guziki koszuli. Ściąga dżinsy i majtki i wyciera nimi uda. William obserwuje ją z łóżka.

- Przepraszam - mówi.

Lesje boi się, że on zacznie płakać. Wtedy będzie musiała mu przebaczyć. Bez słowa idzie do łazienki i wrzuca swoje rzeczy do kosza na brudną bieliznę. Owija się ręcznikiem dokoła bioder. Chce tylko wziąć prysznic.

Przykłada czoło do zimnego lustra. Nie może tu zostać. Dokąd pójdzie, co zrobi? Serce jej wali, na ramionach i piersiach ma zadrapania, dusi się. Zaszokował ją William zmieniony w kogoś innego. Nie wie, czyja to wina.

ELIZABETH

Środa, 16 lutego 1977

Elizabeth ma zły sen. Dzieci zagięły. To tylko maleństwa i wskutek jej zaniedbania i chwili nieuwagi nie może ich teraz odnaleźć. Albo je ukradziono. Kołyski są puste, ona biegnie nieznanymi ulicami, szukając ich. Ulice są puste, okna czarne; nie ma śniegu na ziemi, liści na żywopłotach, niebo nad nią byłoby pełne gwiazd, gdyby mogła na nie spojrzeć. Chciałaby je zawołać, ale wie, że dzieci nie będą w stanie jej odpowiedzieć, nawet gdyby ją usłyszały. Są w jednym z tych domów, opatulone; nawet usta mają zakryte kocami.

Odwraca się, zmusza do przebudzenia. Rozgląda się, widzi biurko, rośliny, paski światła przedostającego się przez rolety, jest na pewno u siebie. Serce się uspokaja, oczy są suche. To stary sen, dobrze znany. Po urodzeniu Nancy zaczęła tak śnić. Wówczas budziła się z konwulsyjnym płaczem i Nate ją pocieszał. Prowadził do pokoju dziewczynek, by mogła słyszeć ich oddechy i widzieć, że wszystko jest w porządku. On myślał, że śniła o ich dzieciach, ale nawet wtedy wiedziała, chociaż mu nic nie mówiła, że te zaginione maleństwa to jej matka i Caroline. Ona usunęła je, obie, ale one i tak wracają, przybierając formy najbardziej ją dręczące.

Nie chce już zasnąć; wie bowiem, że prawdopodobnie będzie miała ten sam sen. Wstaje z łóżka, znajduje kapcie i szlafrok i schodzi do kuchni, by zrobić sobie gorące mleko z miodem. Kiedy przechodzi obok pokoju dzieci, nasłuchuje, popycha drzwi, by się upewnić. Takie przyzwyczajenie. Prawdopodobnie będzie tak czyniła do końca życia, nawet potem jak one naprawdę odejdą. I znów będzie miała ten sam sen. Nic się nigdy nie kończy.

CZĘŚĆ CZWARTA

LESJE

Środa, 9 marca 1977

Nóż Lesje zgrzyta na talerzu. Jedzą befsztyk, który jest trochę twardy. Jej matka nigdy nie umie przygotować dobrego befsztyka. Lesje kroi i żuje; nikt nic nie mówi, co nie jest czymś niezwykłym. Wokół niej rozbrzmiewa dźwięk znany z dzieciństwa, pusty, jak w jaskini, gdzie jest echo.

Nie wiedzieli do ostatniej chwili, że Lesje przyjdzie. Mimo to jej matka wyjęła dobre talerze, te z różami i ze złotymi brzegami, które należały do babci Lesje. Inne dobre talerze mają niebieskie szlaczki ze srebrnymi brzegami i sceny ze szkockimi zamkami; te należały do drugiej babci. Talerze do mięsa. Rodzice Lesje dostali je, gdyż mimo swojego przewinienia, jej ojciec był jedynym synem. Jej ciotka dostała talerze do mlecznych potraw i zawsze była z tego niezadowolona. Jest jeszcze trzeci zestaw talerzy na co dzień; ten rodzice sami kupili: z ogniotrwałej kamionki. Lesje woli właśnie ten, o neutralnym odcieniu brązu.

Matka proponuje jeszcze trochę pieczeni. Lesje zgadza się i matka łagodnie się uśmiecha. Na starych fotografiach miała warkocze upięte dokoła głowy; Lesje nie przypomina sobie, by w rzeczywistości ją taką widziała, ale wygląda tak, jakby wciąż miała warkocze połyskujące poprzez trwałą, którą odnawia co dwa miesiące. Okrągła twarz, regularne rysy. Ojciec Lesje też jest okrągłutki, dlatego dziwi wzrost Lesje i jej szczupłość. Kiedy była nastolatką, matka powtarzała jej, że przybierze na wadze, kiedy będzie starsza, i pocieszała ją, że urosną jej piersi. Ale ona nie utyla.

Matka Lesje jest zadowolona, że ona niespodziewanie przyszła na kolację; ostatnio nie zdarza się to często. Ale jest również zakłopotana: rzuca szybkie pytające spojrzenia przez stół, gdy Lesje je łapczywie pieczeń, mając nadzieję, że dowie się czegoś później w kuchni. Ale Lesje nie może nic wyjaśnić.

Nigdy bowiem nie mówiła rodzicom, że mieszka z Williamem (choć matka to przeczuwała); dlatego musi przemilczeć, że się wyprowadziła i teraz mieszka z kimś innym. Małżeństwo jest wydarzeniem, faktem, można o nim dyskutować przy stole. Tak samo o rozwodzie. Tworzą ramę, początek, koniec. Bez tego wszystko jest bezkształtne, bezkresne; rozpościera się jak preria każdego dnia. Choć fizycznie przeprowadziła się z jednego miejsca do drugiego, nie czuje, że coś się skończyło, a coś zaczęło.

Powiedziała matce, że się przeprowadziła. Powiedziała również, że nie wypakowała naczyń, co jest prawdą, i dlatego wprosiła się w ostatniej chwili na kolację. Z jej słów wynikało, że przeprowadzka miała miejsce tego samego dnia, kiedy w istocie przed trzema tygodniami wynajęła wóz do przewozów i zapakowała rzeczy do kartonowych pudeł. Zrobiła to, gdy Williama nie było w domu, i nie powiadomiła go o swoich zamiarach. Gdyby powiedziała, że się wyprowadza, musiałaby dodać wyjaśnienie, a tego nie chciała.

Zadziwiające, jak szybko jej życie z Williamem zostało wygnane z szuflad i zerwane ze ścian i jak mało zajęło miejsca. Zniosła pudła do windy, nie były ciężkie, i wpakowała do wozu firmy U - Haul, co wcale nie było konieczne i wystarczyłby kombi. Potem zabrała je i wniosła po chwiejnych stopniach schodów wynajętego domu. To chylący się ku upadkowi budynek przy Beverly Street; nie bardzo dobry, ale ona tylko dzień szukała jakiegoś mieszkania i wzięła pierwsze lokum, które było dość tanie i dostatecznie duże, by Nate mógł pomieścić swoje narzędzia. Należy do developera, który chce przemienić go na rezydencję, więc wynajmuje je tanio, dopóki ona nie chce go wydzierżawić.

Lesje uważała, że musi się wyprowadzić, nim William zacznie przeproszać. Gdyby przeproszał - a była tego pewna - znalazłaby się w potrzasku.

Po tym, jak to się stało - nie wie, jak to nazwać, w końcu postanowiła myśleć o tym jak o „incydencie” - następnego dnia William wyszedł wcześniej rano. Lesje spędziła noc w łazience przy zamkniętych drzwiach; leżała na macie, przykryta ręcznikami, ale nie było to potrzebne, gdyż nie próbował wejść.

Odczuła satysfakcję, że przyszedł do pracy nie wykąpany, nie ogolony; rzucająca się w oczy czystość to jeden z jego fetyszy. Kiedy usłyszała, że zamykają się drzwi od mieszkania, wyszła z łazienki, przebrała się i sama poszła do pracy. Nie wiedziała, co ma robić ani co myśleć. Czy on jeszcze raz spróbuje? Odrzuciła myśl, by zadzwonić do Nate'a i opisać mu „incydent”. Przecież nie było tak źle, nie wyrządził jej krzywdy, naprawdę jej nie zgwałcił, nie technicznie. Poza tym jeżeli powie Nate'owi, wyrze na niego presję, by coś zrobił; na przykład by się natychmiast przeprowadził wraz z nią. Nie chciała tego. Chciała, by Nate przeprowadził się wtedy, gdy będzie gotów, gdy będzie pragnął być z nią, a nie dlatego, że William tak się zachował.

Po pracy spacerowała trochę, siedziała u Murraya, pijąc kawę i paląc papierosa, chodziła Bloor Street i oglądała wystawy. Wreszcie wróciła do domu; William siedział w saloniku, różowiutki, wesoły, jakby nic się nie stało. Przyjemnie ją powitał i zaczął omawiać kaloryczne wartości kontrolowanej fermentacji płynnych nieczystości.

To zachowanie Williama było bardziej przerażające niż gburowatość czy wściekłość. Czy o wszystkim zapomniał? Co spowodowało ten wybuch czystej nienawiści? Nie mogła go o to zapytać, bojąc się, że go znów sprowokuje. Siedziała długo i czytała książkę o ichtiozaurach, dopóki William nie położył się spać. Potem usnęła na dywanie w saloniku.

- Masz ochotę na jeszcze trochę kartofli, Lesje? - pyta ją matka. Lesje je łapczywie. To. pierwszy prawdziwy posiłek od

trzech tygodni. Obozowała w prawie pustym domu; spała na rozłożonych na podłodze kocach, jadła potrawy na wynos, bułeczki z otrębów, hamburgery, pieczonego kurczaka. Wrzucała kości i skórki do zielonej torby na śmieci; jeszcze nie ma pojemnika. Nie ma również Kuchenki ani lodówki, jeszcze nawet nie rozejrzała się, by je kupić; częściowo dlatego, że zostawiła Williamowi w kopercie miesięczny czynsz, a to uszczupliło jej konto. Podświadomie Czuje, że przy zakupie domowych urządzeń takich jak te, nawet używanych, powinien partycypować Nate. Kuchenka to poważny wydatek.

Lesje je pierożek z jabłkiem i zastanawia się, co robi Nate. Kiedy ojciec ją pyta: „Jak tam kości twoich dinozaurów?”, uśmiecha się blado. „Jeżeli odkryjesz nowego dinozaura, możesz go nazwać swoim imieniem”. Alicjozaurus, pisała, podając angielski odpowiednik. W wieku czternastu lat miała ambicję, żeby odkryć nowy rodzaj dinozaura i nazwać go Alicjozaurus. Popełniła błąd, że o tym opowiedziała ojcu; on uważał, że to bardzo zabawne i potem jej dokuczał. Teraz nie bardzo wie, jakie ma ambicje.

Lesje pomaga matce zebrać talerze i zanieść do kuchni.

- Czy wszystko w porządku, Lesje? - pyta matka, gdy tylko znalazły się poza zasięgiem słuchu ojca. - Jesteś taka chuda.

- Tak. Jestem tylko zmęczona przeprowadzką - odpowiada Lesje.

Wydaje się, że jej matkę zadowala ta odpowiedź. Ale nie wszystko jest w porządku. Nate przychodzi do jej nowego domu wieczorami i kochają się na rozłożonych kocach, czując twardość desek na plecach. No dobrze, ale on jeszcze nie powiedział, kiedy się przeprowadzi. Już zaczyna się zastanawiać, czy w ogóle to nastąpi. Dlaczego miałby się przeprowadzić? Po co ma dezorganizować sobie życie? Mówi,

że musi stopniowo wyjaśnić to dzieciom; w przeciwnym wypadku będą się niepokoić. Lesje czuje, że ona sama już jest zaniepokojona, ale nie może tego powiedzieć Nate'owi.

Zresztą nie jest w stanie tego powiedzieć nikomu. Z pewnością nie Trish czy Marianne. Siedzi z nimi w kawiarni muzeum, pali papierosy, spięta i jak zwykle omal nie wyjawia swojej tajemnicy. Ale nie może. Zdaje sobie sprawę, że na zewnątrz zachowanie Williama, ten incydent (który można uważać za haniebny wybryk), jej ucieczka i bezwarunkowy układ z Nate'em może się wydawać naiwny, niezręczny, może nawet śmieszny.

Nietaktowny, jak pomyślałaby Marianne, chociaż by tego nie powiedziała; albo użyłaby nowego angielskiego określenia, usłyszanego ostatnio: kretyński. Dałaby Lesje radę, jakby planowała dla niej garderobę. Poradziłaby targowanie się, wywieranie nacisku, fortele, wszystko, czego Lesje nie umie. Chcesz, by mieszkał z tobą? Spróbuj nie wpuszczać go do mieszkania. Po co mieć krowę, kiedy mleko jest za darmo? Lesje nie chce być przedmiotem takiej zabawnej, chwilowej troski. Dochodzi do wniosku, że nie ma bliskich przyjaciół.

Zastanawia się, czy może powiedzieć matce, zwierzyć się jej. Wątpi. Jej matka ma pogodne usposobienie; zawsze musiała mieć. Julia w wieku pięćdziesięciu pięciu lat, chociaż jej matka nigdy nie była Julią; nie była dzierlatką, jakby powiedziały ciotki. Nie było balkonu dla ojca Lesje, nie było ucieczki; jechali autobusem do urzędu stanu cywilnego. Lesje czytała Romea i Julię w szkole średniej; nauczycielka sądziła, że im się spodoba, gdyż jest to opowieść o nastolatkach, a one były młodymi dziewczętami. Ale Lesje tak się nie czuła. Chciała studiować aluwialne równiny i złoża marglu, i anatomie kręgowców i nie poświęcała wiele uwagi sztuce; tylko rysowała na jej marginesach ogromne paprocie. Ale jak zachowałyby się radę Montekich i Kapuletich, gdyby Romeo i

Julia żyli? Podejrzewa, że tak jak wielu jej krewnych. Robiliby afronty podczas rodzinnych spotkań, nie ukrywaliby oburzenia, pewnych tematów by nie dyskutowano, a babcia płakałaby w kącie. Julia jak jej matka stałaby się nieprzenikniona, pulchniutka.

Matka Lesje chce, by jej córka była szczęśliwa, a jeżeli nie jest, to chciałaby, by wyglądała na szczęśliwą. Szczęście Lesje to jej matki usprawiedliwienie. Lesje zawsze to wiedziała i ćwiczy stwarzanie pozorów; jeżeli nie jest szczęśliwa, to przynajmniej jest zadowolona. Zajęta, zatrudniona na korzystnych warunkach. Ale gdy stoi obok swojej matki i wyciera naczynia starą jak świat ścierką z niebieskim napisem na dole „szkło”, nie ma siły, by nadrabiać miną. Chce płakać, chce, by matka ją objęła i pocieszyła.

Chce, by pocieszył ją William. Strata Williama, dobrze znanego Williama boli mimo wszystko. Nie chodzi tylko o niego, ale o ufność, którą w nim pokładała, szczerą, nieograniczoną. Ufała mu, że jest taki, jaki jest, i nigdy nie będzie mogła tak ufać nikomu innemu. Nie chodzi o jego gwałtowność, ale o zdradę jego niewinności, i to jest takie bolesne; chociaż może nie było niewinności, tylko ona ją wymyśliła.

Niestety, jej matka zamknięta w sobie nigdy nie potrafi Lesje współczuć. Czekaliby, aż Lesje przestanie płakać, wytrze oczy ściereczką do naczyń, a potem zwróci uwagę na to, co Lesje już sama wie: „Nic się naprawdę nie stało. Lepiej, że z tym skończyłaś. To był jedyny sposób. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”.

Jej babcie postąpiłyby inaczej. Lamentowałyby z nią, obie; miały do tego talent. Płakałyby, zawodziłyby. Objęłyby ją, kołysały, gładziły jej włosy, płakałyby ekstrawagancko, śmiesznie, jakby poniosła niepowetowaną stratę. Może tak jest.

NATE

Środa, 9 marca 1977

Nate pochyla się nad warsztatem, dotyka trzonków pędzli, które się moczą w puszcze po kawie w Varsolu. Zawsze chciał zainstalować tutaj lepsze światło. Teraz nie ma już sensu. W bladym, zamglonym, żółtawym świetle czuje się jak jakiś, ogromny biały insekt poruszający się po omacku dzięki dotykowi i węchowi. Opary farby i mokry beton to jego codzienne środowisko. Zakręca śrubę na małym czerwonym zacisku, uszczelnia na przyklejonej i suszącej się głowie owcy; to część zabawki - Mary miała małą owieczkę. Bez trudu zaprojektował owieczkę, ale Mary sprawiła mu kłopot. Nie umie robić twarzy. „Wyszedł czepeczek”, myśli.

Powinien się pakować. Myśli o pakowaniu, nie przestaje myśleć. Na rowerze przywiózł z supermarketu do domu kilka tekturowych pudeł i kupił rolkę mocnego sznurka. Zgromadził stos gazet do pakowania; od dwóch tygodni leżą przy schodach do piwnicy. Zabrał nawet trochę papieru ściernego i pudełko gwoździ i śrub do Lesje i zostawił we frontowym pokoju jako obietnicę jego dobrych zamiarów. Wyjaśnił, że chce działać stopniowo. Najpierw powie Elizabeth, że postanowił przenieść swój warsztat do większego i jaśniejszego pomieszczenia. Będzie zdumiona tym, że go na to stać, ale jakoś sobie z tym poradzi. Potem powie dzieciom. Ponieważ już się odzwyczaiły od tego, że jest stale z nimi, powoli, stopniowo przestanie spać w jednym domu i zacznie sypiać w innym. Chce, by to odejście przeszło niepostrzeżenie.

Zamierza w całości wykonać ten plan, ale jednocześnie nie uważa, że powinien dyskutować go z Lesje; chce poczekać, aż Elizabeth poprosi go albo nawet każe mu odejść. Zaoszczędzi to wiele kłopotów, jeżeli ona dojdzie do wniosku, że to była jej decyzja. Jeszcze nie jest pewny, jak to rozegra.

Jednocześnie musi się zmagać z oczywistą i wzrastającą depresją Lesje. Nie naciskała na niego, nie wywierała na niego żadnej presji. Mimo to on ledwie dyszy. Od trzech tygodni pędzi po schodach piwnicy na górę, kiedy słyszy, że dzieci wróciły ze szkoły; wesóły i beztroski przygotowuje im gorące mleko i kanapki z masłem orzechowym. Opowiada im dowcipy, przygotowuje kolację, czyta im bardzo długo opowieści na dobranoc. Zeszłego wieczoru powiedziały, że są zmęczone i poprosiły, żeby zgasił światło. Zraniony Nate chciał wyrzucić ręce do góry i krzyknąć: „Nie będę z wami już dłużej!” Zgasił światło, pocałował, poszedł do łazienki, by położyć gorącą myjkę na oczy. Jego wizerunek w lustrze zaczyna słabnąć, dom zaczyna go zapominać, coraz mniej się liczy. Otarł oczy i poszedł poszukać Elizabeth.

Jest to też część planu. Wdaje się z nią przynajmniej co dwa dni w pogawędkę pozbawioną konsekwencji, dając jej tym samym szansę. Może podczas takiej pogawędki ona go odprawi. Siedzą w kuchni i rozmawiają o tym i owym; ona pije herbatę, on szkocką. Kiedyś, nie tak dawno, unikała go wieczorami; wychodziła albo czytała w swoim pokoju. Stała na stanowisku, że nie mają sobie nic wartościowego do powiedzenia. Teraz, dla własnych celów, z zadowoleniem przyjmuje możliwość zasięgnięcia u niego rady w sprawach napraw czy też postępów dzieci w szkole. Z tego też powodu on się poci. Kilka razy pytała go obojętnie, jak tam mu się układa z jego przyjaciółką, a on dawał wymijające odpowiedzi.

Po tych pogawędkach, podczas których musi zaciskać zęby, by nie patrzeć na zegarek, wskakuje na rower i gorączkowo pedałuje przez Ossington i Dundas; zależy mu, by być u Lesje, nim ona położy się spać. Dwa razy omal nie został potrącony przez samochód; raz wpadł na słup i przyjechał z zadrapaniami. Lesje przedzierała się przez jeszcze

zapakowane pudła, szukając plastrów, a z niego ciekła krew na linoleum. Nate wie, że te jazdy są niebezpieczne, ale również wie, że gdyby nie przyjechał, Lesje czułaby się porzucona i biedna. Kilka razy zbyt wyczerpany, by móc pojechać, dzwonił do niej. Wtedy jej głos był słaby, odległy. Nie może znieść, gdy słyszy, jak zanika.

Niezależnie od tego, jak bardzo jest zmęczony, musi się z nią kochać albo przynajmniej próbować; inaczej ona pomyślałaby, że się wycofuje. Ma posiniaczone kolana; wskutek leżenia na podłodze, dał o sobie znać bolący kręgosłup. Chce ją prosić, by kupiła łóżko albo przynajmniej materac, ale nie może, gdyż w tej chwili nie ma pieniędzy, by zapłacić swoją część.

Gdy ukoił Lesje, pedałuje z powrotem do domu. Tutaj stuka naczyniami w kuchni, gdy przygotowuje późny nocny posiłek, smażąc wątróbkę z cebulą. Śpiewa żeglarskie piosenki albo nastawia płytę z Travelersami lub Harrym Belafonte'em z początku lat sześćdziesiątych. Zatrzymał te płyty nie dlatego, że je tak bardzo lubi, ale dlatego że przypominają mu czasy, gdy je lubił. Czasy przed małżeństwem, przed wszystkim; kiedy wydawało się, że wszystko jeszcze można osiągnąć.

Elizabeth - Nate zdaje sobie z tego sprawę - słyszy wszystko, co dzieje się w kuchni. Nie znosi Travelersów czy Belafonte'a, albo w ogóle hałasów w nocy, a od zapachu wątróbki robi jej się niedobrze. Zauważył to na początku ich małżeństwa i poszedł na ustępstwa; zawarli kompromis. Elizabeth bardzo ceni kompromisy. Teraz Nate ma nadzieję, że ten rażący brak kompromisu przekona ją, że ma go dość.

Naprawdę wcale nie ma ochoty śpiewać ani jeść. O północy ma zwykle rozdzierający ból głowy. Ale zmusza się, uderzając nożem o talerz i wyjąc razem z Harrym, z ustami pełnymi nie przeżutego mięsa. „Widzę wielką, czarną

tarantulę", wydziera się. Potem zawodzi: „Wróc, Lizo, wróc, dziewczyno. Otrzyj z oka łzę...” Kiedyś podczas ery Chrisa śpiewał tę piosenkę z zabawnym sentymentalizmem. Liza to była Elizabeth i on chciał, by wróciła.

Zostawia naczynia w zlewie, a w przypiływie odwagi na kuchennym stole, nie zwracając uwagi na polecenie Elizabeth, wypisane przez nią drukowanymi literami: „Sprzątnij po sobie”.

Potem słaniając się ze zmęczenia, wspina się po schodach, połyka cztery aspiryny z kodeiną i wali się na łóżko.

Zwykle takie zachowanie szybko odniosłoby skutek. Żądanie wypowiedziane lodowatym tonem, które gdyby nie zostało spełnione, doprowadziłoby do frontalnego ataku; wtedy zostałby oskarżony o wszystko, od szowinizmu po aroganckie zarozumialstwo, aż do sadyzmu. W pierwszych latach małżeństwa te argumenty go przekonywały. Ponieważ nie umiał się skarżyć, zrećnie i z uczuciem narzekać, znajdował się na straconej pozycji: kiedy ona rzuciła mu wyzwanie, by podał przykład jej równie nieprzyjemnego zachowania w stosunku do niego - z którego ona oczywiście była gotowa natychmiast zrezygnować - nie znajdował niczego. Zwykle sądził, że czyjaś wściekłość i poczucie pogwałcenia jest usprawiedliwione; wszystkich tylko nie jego. Przecież jego nikt nie gnębił. Na przyjęciach, w latach sześćdziesiątych, mówiono o nim biała świnia, męska świnia, a nawet ze względu na jego nazwisko faszystowsko - niemiecka świnia. Zamiast powołać się na swoją przeszłość członka kościoła unitarian, swojego dawno zmarłego dziadka menonitę, któremu ze względu na nazwisko rozbito okna w jego fabryce serów w 1914 roku, swego ojca, który zmarł w czasie wojny, uznał za rzecz dużo mniej skomplikowaną pójść do kuchni po piwo. Tak więc nigdy nie powiedział Elizabeth, że dom jest w równej mierze jej, jak i jego; tak naprawdę

nigdy w to nie wierzył. Przestał jeść wątróbkę w domu i puszczał płyty Belafonte'a tylko wtedy, gdy Elizabeth nie było. Dzieci lubiły tę muzykę.

Tym razem Elizabeth nie zareagowała na jego przemianę. Jak zwykle następnego ranka była spokojna i uśmiechnięta. Nawet zapytała go, czy dobrze spał.

Nate wie, że nie może już dłużej prowadzić takiego podwójnego życia. Będzie miał wrzody, wybuchnie. Narasta w nim bezradna złość, nie tylko wobec Elizabeth, ale wobec dzieci: jakie one mają prawo go trzymać, powstrzymywać? Również wobec Lesje, która zmusza go do powzięcia bolesnych decyzji. Wie, że jego złość jest niesprawiedliwa. Nie lubi postępować niesprawiedliwie. Dzisiaj zrobi pierwszy krok.

Kłęcz przy stosie starych gazet. Zapakuje najpierw małe ręczne narzędzia i przewiezie pudła, jedno po drugim w siatce roweru. Na większe narzędzia i nie dokończone zabawki będzie musiał wynająć furgonetkę. Odpycha od siebie myśl, jak za nią zapłaci.

Bierze dłuto i głaszcze jego rączkę. We wczesnych dniach euforii, po odejściu z posady, kiedy jeszcze wciąż wierzył, że powróci do pełnego godności, mądrości i prostoty zawodu rzemieślnika, dużo czasu poświęcał rzeźbieniu specjalnych rączek do drobnych narzędzi. Na jednych wyrzeźbił swoje inicjały; na innych dekoracyjne paski, kwiaty, liście albo motywy geometryczne, trochę indiańskie. Do tego dłuta zrobił rączkę z wyrzeźbionymi palcami, tak że gdy brał ją do ręki, trzymał inną dłoń w swojej. Z zadowoleniem używał tych narzędzi, czuł, że są bezpieczne, jakby dlatego że sam je wyrzeźbił. Nate kłęcz i trzymając małą drewnianą rączkę, stara się sobie przypomnieć tę radość. Trzymać, wytrzymać. Ale narzędzia odpływają od niego, pomniejszone jak zabawki,

którymi kiedyś się bawił. Plastikowy karabin, męski kapelusz z opuszczonym rondem, jakby to był hełm tropikalny.

Układa dłuto na kawałku gazety i zawija je. Potem metodycznie, czytając nagłówki, zawija śrubokręty, nożyki do skrobania i umieszcza te opakowane narzędzia obok siebie na dnie pierwszego pudła. Dawne wydarzenia z przeszłości przemykają mu przed oczami, czernią palce: Pakistańczyk popchnięty na tory metra, pamięta to. Złamana noga. Dziecko, które się udusiło, zmuszone przez matkę do stania na jednej nodze ze sznurem owiniętym dokoła szyi, to była taka kara. Plotka o Margaret Trudeau drukowana tygodniami. Eksplozja w sklepie rzeźnika w Irlandii Północnej. Rozszerzająca się rysa pomiędzy angielską i francuską Kanadą. Zamordowany portugalski czyściciel butów; ustawy językowe w Quebecu: greckim kupcom we wszystkich greckich dzielnicach nie wolno reklamować coca - coli po grecku. Przerzuca gazety, przypominając sobie swoje reakcje, gdy po raz pierwszy je czytał.

Nate przestaje pakować. Kuca na podłodze piwnicy, zaabsorbowany dawnymi historiami, przychodzącymi do niego po upływie czasu jako stępiony ryk złości i bólu. I własnego uznania: Cóż innego można oczekiwać? Gazety destylują to, co błahe. Kiedy jego matka jest zbyt irytująca, nastawiona nazbyt optymistycznie, on chce jej powiedzieć: „Czytaj gazety”. To czysta iluzja, wiara, że wszystko można zrobić, zawsze. Ona oczywiście czyta gazety. Nawet ma teczkę z wycinkami.

Studiuje artykuł wstępny, ostrzegający przed powolną bałkanizacją Kanady, kiedy otwierają się drzwi piwnicy. Podnosi wzrok: Elizabeth stoi na szczycie schodów, z twarzą ocienioną światłem padającym za nią. Nate wstaje. Dłuto, które miał opakować, spada na podłogę.

- Tak wcześnie wróciłaś? - mówi. Czuje się tak, jakby kogoś zakopał w piwnicy.

Elizabeth jest w sweterku narzuconym na ramiona; powoli, nic nie mówiąc, schodzi ze schodów. Nate opiera się o warsztat.

- Widzę, że się pakujesz - mówi Elizabeth z uśmiechem.

- No tak, właśnie sortuję niektóre narzędzia. - Teraz Nate chciałby irracjonalnie wszystkiemu zaprzeczyć. - By je odłożyć.

Elizabeth stoi na dole schodów i rozgląda się po pomieszczeniu; widzi obskurne okna, szmaty, stosy trocin i wiórków nie zamiecionych przez niego.

- Jak interesy? - pyta Elizabeth. Nie zadawała takiego pytania już bardzo dawno. Nie interesuje się tym; prawie nigdy tu nie przychodzi. Chce tylko połowy komornego.

- Świetnie - kłamie. - Po prostu wspaniale.

- Czy już nie czas, byśmy przestali się w to bawić?

ELIZABETH

Środa, 9 marca 1977

Elizabeth naciąga sweterek na ramiona, na plecy. Ręce ma skrzyżowane, rękawami osłoniła pięści. Kaftan bezpieczeństwa. Stoi w holu, obserwując frontowe drzwi, jakby czekała na kogoś. Ale na nikogo nie czeka. Przez drzwi ludzie wchodzą i wychodzą w swoich celach. Drzwi zamykają się za nimi i Elizabeth przestała patrzeć na nie, na miejsce, które właśnie opuścili. Świadomie, półświadomie, z częściową świadomością. Mniejsza z tym.

Nate właśnie pojawił się, niosąc tekturowe pudło. Postawił je na ganku, by móc zamknąć za sobą drzwi; starannie, jak zawsze starannie. Popedałuje, by kochać się ze swoją żylastą przyjaciółką, co czyni od tygodni, udając, że tak nie jest. Tym razem zabiera ze sobą nożyki i dłuta. Elizabeth ma nadzieję, że dobrze je wykorzysta.

W zwykłej sytuacji nie obchodziłby jej ten związek. Nie zachowuje się jak pies na sianie: sam nie zje i drugiemu nie da. Dopóki Nate interesuje się domem i pomaga jej w opiece nad dziećmi, co wcześniej uzgodnili, może korzystać z wszelkich rozrywek, które wybiera. Kręgle, budowanie modeli samolotów, cudzołóstwo, dla niej to bez znaczenia. Ale czuje się dotknięta, że bierze ją za idiotkę. Każdy kretyń zauważyłby, że on się pakuje; dlaczego jemu zależało, by zaprzeczać? A to przedstawienie ze smażeniem wątróbki o północy i puszczeniem płyt Harry'ego Belafonte'a, nawet dwuletnie dziecko zrozumiałoby, o co chodzi.

Oddała się od drzwi i idzie do kuchni, właściwie wlecze się, nagle czując ciężar swego ciała. Była spokojna, jest zadowolona ze swego opanowania, ale teraz czuje się tak, jakby połknęła całą butelkę aspiryny. Małe dziurki płoną w jej żołądku, zjadają jego ścianki. Butelka gwiazd. Chciała tylko szczerego wyznania i zrobiła pierwszy krok. Nate przyznał, że

zamierza przenieść swój warsztat z piwnicy do jakiegoś nieokreślonego miejsca. Oboje wiedzą, gdzie ono jest, ale na razie nie miała ochoty nalegać.

Postanawia zrobić sobie kawę, ale zmienia zamiar. Nie chce więcej kwasu tego wieczoru. Zalewa więc gotującą się wodą kostkę rosółu z kurczaka i systematycznie miesza, aż się rozpuści.

Analizuje przyszłość, krok po kroku. Są dwie drogi wyjścia. On odejdzie, stopniowo, bez dalszego ponaglania. Albo ona przyspieszy proces, mówiąc mu, aby odszedł. Nie ma trzeciego wyjścia. On i tak tu nie zostanie, nawet gdyby go błagała.

A więc ona musi zażądać, musi mu powiedzieć, by sobie poszedł. Jeżeli nie może niczego ocalić z ruiny, może ocalić twarz. Będą mieli cywilizowaną dyskusję i oboje uzgodnią, że tak będzie najlepiej dla dzieci. Potem ona powtórzy tę rozmowę przyjaciółom; przekaże im swoją radość z rozwiązania wszystkich problemów, promieniując spokojną ufnością i samoopanowaniem.

Oczywiście są dzieci, prawdziwe dzieci, nie ze świata fantazji, która by ciągnęli po sądach podczas targów. Prawdziwe dzieci nie będą uważać, że to jest dla nich najlepsze wyjście. Będą ich nienawidzić i Nate będzie miał nad nią przewagę, powie bowiem: „Wasza matka kazała mi odejść”. Ona jednak nie zostanie porzucona, nie chce być porzucona wbrew swojej woli. Nie chce być patetyczna. Jej matka, męczennica, biadoliła na fotelu. Elizabeth wie, że została wplątana w tę sytuację przez Nate'a - przez Nate'a - i bardzo jej się to nie podoba. To tak jakby podczas skomplikowanej i subtelnej gry w szachy pobił cię światowej sławy czempion pchełek. Ale ona nie ma innego wyboru.

Zacznie stosować dietę, potem, jak on odejdzie na dobre. To część rytuału. Zrobi się na bóstwo, może zmieni fryzurę i

wszyscy powiedzą, że teraz lepiej wygląda. Uważa tę taktykę za nędną i nie aprobeuje jej u innych. Ale co innego może zrobić? Pojechać do Europy? Na to nie może sobie pozwolić; religijnie się nawrócić? Już miała młodszego kochanka; teraz nie ma pośpiechu, by tym się ponownie zająć.

Kołysze się lekko w fotelu, ściskając łokcie. Drży. Chce, by wrócił Chris. Chce, by jakieś ramiona ją objęły. Szpary pomiędzy deskami stołu poszerzają się; szare zimne światło odbija się od nich. Suchy lód, gaz, słyszy to, stłumiony dźwięk biegnący ku jej twarzy. Zjada barwę. Zdejmuje ręce ze stołu i kładzie na kolanach. Czuje zacisk żył na szyi. Palcami dotyka opadających włosów.

Siedzi zamurowana na tym fotelu, nie może się ruszyć, chłód przebiega jej po plecach. Oczy mrugają, szukając czegoś w tym pomieszczeniu, co ją uratuje. Czegoś bliskiego. Kuchenka, garnek na niej, nie umyta patelnia, deska do krojenia chleba przy zlewozmywaku. Wytarta i poczerniała rękawica do pieca. To nie to. „Sprzątnij po sobie”. Lodówka. Przyklejony do niej rysunek Nancy ze szkoły; uśmiechnięta dziewczynka, niebo, słońce. „Radosny”, pomyślała, kiedy go przyklejała.

Przygląda się rysunkowi, ściskając ręce, i przez chwilę świeci słońce. Ale nie ma przyjaznego uśmiechu, złośliwość jest w tej żółci, we włosach. Błękit nieba jest też iluzją, słońce czernieje, jego macki zwijają się jak palący się papier. Za niebieskim niebem nie ma bieli emalii, ale czerń zewnętrznej przestrzeni, czerń wystrzału z gorejącymi błyskami. Gdzieś tam płynie ciało, które runęło, nie większe niż pięść, przyciągające ją ogromną siłą ciężenia. Nie do odparcia. Ona spada tam, przestrzeń wypełnia jej uszy.

Po chwili jest w kuchni. Dom znów tętni życiem dokoła niej, piec szumi, gorące powietrze wzdycha w kaloryferach. Z góry dociera chichot telewizji; słyszy śpiew wody w rurach,

któraś z dziewczynek biegnie z łazienki. Jak dotąd ona zawsze może wrócić. „Pobłażanie samej sobie”, powiedziałyby ciocia Muriel. Staraj się być pożyteczna. Elizabeth koncentruje się na, żółtym krążku na górze filiżanki, chce go poruszyć. Podnosi filiżankę i ogrzewa nią swoje zmarznięte ręce. Trochę płynu rozlewa się na kolanach. Pije małymi łydkami, zabijając czas. Potem przygotowuje grzanekę i smaruje ją masłem fistaszkowym. Będzie stawiać krok za krokiem. Blisko ziemi.

Szuka pióra; notuje, co ma kupić w sklepie spożywczym, i zaczyna zapisywać liczby. W jednej kolumnie spłaty za nieruchomości, ubezpieczenie, prąd i ogrzewanie, miesięczne rachunki za żywność. Ubranie dla dzieci i pomoce szkolne. Rachunki za dentystę: Janet musi iść do ortodonta. Jedzenie dla kota. Nie mają kota, ale chce mieć i jego koszt zrzuci na Nate'a. To będzie zastępstwo. Naprawy. Trzeba wreszcie zająć się dachem i stopniem na ganek.

W drugiej kolumnie zapisuje czynsz od lokatorów. Nie chce być nieuczciwa, tylko dokładna, ale pragnęłaby, by ten czynsz wyrównał spłaty za nieruchomości.

Już czuje się lepiej. Oto, co jej trzeba: małe cele, projekty, coś, czym może się zająć. Inne kobiety robią na drutach. Ona może nawet wyczuć przeblysłk tej lekkości ducha, który mogłaby opisać, taką ma nadzieję, znajomym. I naprawdę może nie być tak źle. Wolność od tego innego zestawu zasad, tego stale bolesnego spojrzenia, gorszego od gderania. Życie z Nate'em było jak przeglądanie się w ogromnym lustrze; a ono powiększało i zniekształcało jej wady. Rozbiegane oczy. Miała wrażenie, że stale się ją ocenia za pomocą jego domowych standardów z East Yorku; wartości jego pobożnej matki o twarzy zakonniczki, z jej okropnymi naczyniami i lekkim zapachem starej wełny i tranu. Teraz będzie wolna. To

oznacza, że będzie musiała sama wynosić torby ze śmieciami w dniu wywozu śmieci, ale to nie takie straszne.

LESJE

Czwartek, 7 kwietnia 1977

Lesje ma trudności ze wstawaniem rano, W tej prehistorycznej erze, kiedy mieszkała z Williamem, mogła na nim polegać. On lubił przychodzić punktualnie do pracy. Lubiał też wczesnie wstawać. Brał szybki prysznic, szorował się jakimś średniowiecznym narzędziem do biczowania i różowy jak gumowa kaczka pojawiał się w kuchni, by zjeść płatki z mlekiem, wycierał ręcznikiem włosy, wpadał do sypialni, by szturchnąć Lesje i zrzucić koc z jej nóg.

Ale teraz, sama w małym zimnym domu, zmusza się, by wstać, wyciąga jedną nogę spod kocy, potem drugą, jak ryba płucodyszna ze stojącej wody w kałuży. Dom, bez mebli, z gołymi ścianami, pochłania resztki jej energii. Czuje, że chudnie, a dom przybiera na wadze.

Czasami połyka kawę instant z mlekiem w proszku, gryzie starą bułkę i idzie do salonu, by obejrzeć stosiki trocin zostawionych przez Nate'a. Według niego salon to jedyny pokój w tym domu dostatecznie duży dla jego maszyn. Jeszcze żadna z tych maszyn tu się nie pojawiła; przyniósł jedynie ręczne narzędzia i kilka nie skończonych koni i nawet spędził parę godzin, szlifując je. Stosy trocin pocieszają ją. Oznaczają, że Nate, przynajmniej w teorii, przeprowadza się tutaj. Obejmuje w posiadanie dom.

Wyjaśniał bardzo dokładnie, dlaczego jeszcze sypia, jak Lesje myśli, w domu Elizabeth. Lesje słuchała, próbowała słuchać, ale tego nie rozumie. Czuje, że wplątała się w coś zawilego, skomplikowanego, beznadziejnie pogmatwanego. Nie jest w swoim żywiole. Gdyby mogła to kontrolować, posunięcia byłyby konkretne, proste. Ona sama jest prosta. Kocha Nate'a; dlatego odeszła od Williama i chce żyć z Nate'em. Dlaczego więc Nate jeszcze z nią nie mieszka?

On twierdzi, że już mieszka. Nawet spał tu kilka nocy; a gdy Lesje zauważyła, że rano kuśtyka w kuchni, krzywi się z bólu przy prostowaniu, uległa, naruszyła swój budżet i kupiła używany materac. To trochę tak, jakbyś zawiesił domek dla ptaszków, a nie mógł sprawić, by ptaszek się tam wprowadził.

- To jest mój prawdziwy dom - mówi Nate. A kiedyś opierając głowę na jej brzuchu, powiedział: - Chcę mieć dziecko od ciebie. - I szybko się poprawił - z tobą. A potem dodał: - Chcę, żebyśmy mieli dziecko. - Lesje była tak zaskoczona tymi słowami, że nie zwróciła uwagi na te różnorodne wypowiedzi. Niespecjalnie chce mieć maleństwo, nie w tej chwili; nie wie, czy dojrzała do tego; ale Nate wzruszył ją tym życzeniem. Nie tylko jej pragnie, ale akceptuje. Usiadła, uniosła jego głowę i przyjemnie tuliła.

Nie rozumie jednak przepaści pomiędzy tym, co on mówi i czuje, a tym co robi. Nie może pogodzić jego oświadczyn miłości - w co wierzy - z prostym faktem jego nieobecności. Ta nieobecność jest dowodem, jest empiryczna. Stwardniała teraz na kamień, mała grudka, która tkwi w jej żołądku.

Wspina się po szarych stopniach muzeum, przechodzi obok bileterów, biegnie schodami do sali ewolucji kręgowców, idzie swoją codzienną ścieżką: ludzka czaszka, szablozębny kot w swoim smolistym szybie, oświetlone sceny z życia podmorskiego z głodnymi mozazaurami i przeklętymi amonitami. Aby dotrzeć do drzwi jej pokoju, trzeba przejść przez dawne morze. Większość biur w muzeum ma zwykłe drzwi; ona jest zadowolona, że jej są zakamuflowane i wyglądają jak mała skała. Jeżeli nie może żyć w jaskini, co wolałaby w tej chwili (medytacje, chleb i woda, brak komplikacji), to to jest najlepsza rzecz.

Chociaż przychodzi późno, także dłużej zostaje, czasem do siódmej trzydzieści albo do ósmej; kataloguje, pochylona nad nalepkami i kartami, koncentrując się nad piszczelami,

śródstopiem, skorupami z prawdziwego świata. Uspokaja ją ta kontemplacja detali; hamuje ten nikły hałas w głowie, trapiące ją zmartwienia. I odwleka powrót do pustego domu.

Jeżeli jest sama wieczorami, krąży po nim. Otwiera szafę w maleńkiej dodatkowej sypialni i patrzy na porzucone cztery wieszaki na płaszcze; myśli, że powinna coś zrobić ze strzępkami tapety i odchodami myszy na podłodze. Próbuje zająć się czymś pożytecznym, zeszkrobać żółty kamień w sedesie, ale po półgodzinie siedzi na tym samym miejscu, bez żadnych dokonań i wpatruje się przed siebie. Uświadamia sobie, że jej życie z Williamem, wydawałoby się przypadkowe, charakteryzowała codzienna rutyna. Rutyna trzyma cię w ryzach. Bez niej płyniesz, pozbawiona ciężaru. Nie może się spodziewać Nate'a wcześniej niż po dziesiątej.

Przez otwarte drzwi kiwa głową doktorowi Van Vleetowi, który się odklania. Dotąd nie powiedział słowa o jej spóźnieniu się. Lesje ma nadzieję, że po jego przejściu na emeryturę, jego następcą będzie równie tolerancyjny, w innych sprawach także.

Kiedy wkracza do swojej izdebki, jest tam Elizabeth Schoenhof. Lesje nie jest na to przygotowana. Unika kafeterii, ubikacji, z której prawdopodobnie korzysta Elizabeth, każdej możliwości spotkania i zakładała, że Elizabeth też stroni od jej towarzystwa. Nie czuje się winna i nie ma nic do ukrycia. Nie przypuszcza jednak, że mają sobie coś do powiedzenia.

A tu jest Elizabeth; siedzi na krześle Lesje i uśmiecha się wdzięcznie, jakby to był jej gabinet, a Lesje przyszła ją odwiedzić. Jej torebka jest na biurku, na tacy z fragmentami węgorka. Jej sweter na oparciu krzesła. Patrzy tak, jakby chciała powiedzieć: „Czy mogę coś dla ciebie zrobić?”

Mówi natomiast:

- Przyniosłam kartki z zapotrzebowaniem. Wewnętrzna poczta działa tak powoli.

W tym pokoju nie ma drugiego krzesła; nie ma miejsca dla drugiej osoby. Lesje opiera się o mapę ukazującą okresy geologiczne, zaznaczone kolorami. Dinozaury, sto dwadzieścia milionów lat, w kolorze żółto-brązowym; człowiek to czerwony punkcik. Ona jest plamką, molekułą, jonem zagubionym w czasie. Ale to samo można powiedzieć o Elizabeth.

Lesje patrzy na arkusz papieru od Elizabeth. Potrzebuje czegoś do gabloty w kolejce podziemnej, najlepiej nogę ze stopą. Musi to przedyskutować z doktorem Van Vleetem, wybrać eksponat, podpisać.

- Dobrze - mówi. Elizabeth pewnie odkręciła kaloryfer. Lesje jest bardzo gorąco; rozpaczliwie chce zdjąć płaszcz, ale czuje, że gdyby się odwróciła w tej chwili, straciłaby coś. Ponadto potrzebuje osłony, izolacji pomiędzy sobą i Elizabeth.

- Chyba powinniśmy porozmawiać - odzywa się Elizabeth, wciąż uśmiechnięta. - Chyba powinniśmy współpracować. Dla dobra wszystkich, prawda?

Lesje wie, że ona mówi o Nacie, nie o skamieniałościach nogi. Ale ton jej głosu sugeruje jakąś akcję charytatywną, koncert, wyprzedaż na cele dobroczynne. Nate nie jest dla Lesje projektem charytatywnym, nie myśli o nim w ten sposób i nie ma ochoty dyskutować na jego temat.

- Oczywiście - odpowiada.

- Nate i ja zawsze próbowaliśmy współpracować - wyznaje Elizabeth. - Udało nam się pozostać dobrymi przyjaciółmi. Zawsze jest lepiej postępować w ten sposób, prawda? Często omawiamy różne sprawy, kiedy on się kąpie. - Przyjemnie się śmieje. Naturalnie chce, by Lesje myślała, że jest głównym tematem tych dyskusji w łazience.

Lesje wie, że Elizabeth i Nate od miesięcy nie rozmawiali w takiej intymności. Chyba że on kłamie. Czy Nate może

kłamać? Uświadamia sobie, że nie zna go na tyle dobrze, by odpowiedzieć na to pytanie.

Kiedy Elizabeth wychodzi po piętnastu minutach, wciąż uśmiechnięta, Lesje nie pamięta, o czym była mowa. Zdejmuje płaszcz i zawiesza go, potem idzie do laboratorium i robi sobie kawę. Nie jest pewna, czy Elizabeth w ogóle coś mówiła, jasno, bezpośrednio. Ale zostały jej dwa wrażenia. Pierwsze, że Nate został wyrzucony albo ma zostać wyrzucony za niekompetencję i dlatego ona może go sobie wziąć. Jeżeli chce. Drugie, że właśnie dostała nową pracę, o którą nie prosiła. Ma być kimś w rodzaju guwernantki. Wydaje się, że Elizabeth potrzebuje trochę czasu dla siebie.

- To będzie z korzyścią dla dzieci - powiedziała Elizabeth - nauczyć się przebywania z kimś o niezwykłych zainteresowaniach.

Lesje sądzi, że należy się jej zajęcie bardziej skomplikowane, mniej neutralne. Traktuje się ją jak cudzoziemkę. Niedokładnie jak brudną cudzoziemkę; przypomina to sytuację, kiedy była w czwartej klasie; grupa starszych dziewcząt, Irlandek, zebrała się koło niej na dziedzińcu szkolnym i wyśmiewała z niej, trzymając się za nos; Lesje uśmiechała się słabo, pojednawczo. „Zetrzyj ten głupawy uśmiech z twarzy albo my ci zetrzemy”, zdawały się mówić.

Elizabeth jest zbyt wielką przedstawicielką WASP - ów, by tak się zachować. Traktuje ją jak „obcą”, kogoś z obcego kraju. Nawet interesującą; jakby miała grać na skrzypcach albo brać udział w czarujących tańcach ludowych jak na Skrzypku na dachu. By zabawiać dzieci.

Lesje widzi, że studiowała nie to, co trzeba. Współczesne ssaki, to by się przydało. Zachowanie naczelnych. Kiedyś czytała coś o powiekach małp. Dominująca małpa patrzy

przed siebie, inne spuszczają wzrok, błyskając kolorowymi powiekami. To zapobiega morderstwom.

Jutro, kiedy będzie mniej przygnębiona, zapyta o to Marianne; Marianne dobrze się zna na zachowaniu naczelnych. Albo doktora Van Vleeta, albo kogokolwiek. Z pewnością każdy będzie wiedział na ten temat więcej niż ona.

ELIZABETH

Środa, 13 kwietnia 1977

Elizabeth leży w łóżku z podciągniętą pod brodą indiańską narzutą. Okno jest trochę otwarte na dole; zostawiła je tak dziś rano, kiedy szła do pracy, i pokój jest chłodny i wilgotny. Patrzy na zegar przy łóżku, zastanawiając się, czy warto wstać, ubrać się i wrócić na godzinę do biura. Prawdopodobnie nie.

Na jej lewym ramieniu spoczywa głowa. Głowa Williama. Jest na jej ramieniu, ponieważ właśnie się kochali. Przedtem zjedli lunch, kosztowny lunch w Courtyard Café; zupa ogórkowa, cielęcina, ściszone rozmowa. I dwie butelki białego wina, które przyczyniły się może do nastroju tej rozmowy. William często wzdychał i kilka razy wzruszał ramionami, jakby ćwiczył stłamszoną melancholię. Opowiedział jej o ostatniej pracy na temat skutków spożywania nie gotowanego mięsa, ale nie włożył w to serca. Chociaż mimochodem wracali w dyskusji do ich wspólnego problemu, nie mówili o nim wprost. Dezercja jest bolesna.

Elizabeth napomknęła (ale tylko raz), że Nate w końcu chyba rozwiązał swoje konflikty, i to ją cieszy; ona nie czuje napięcia wynikającego z tego, że on jest pod pantoflem. Ta uwaga nie ożywiła Williama. Podczas jedzenia czekoladowego musu z armaniakiem Elizabeth głaskała mu rękę. Patrzeli sobie w oczy, z przymusem: każdy z nich był dla drugiego nagrodą pocieszenia. Było to logiczne; poza tym zdaniem Elizabeth należy mu się dobre bzykanko. Częściowo z jej powodu Lesje tak nagle go opuściła. Ona tego nie przewidziała. Chciała doprowadzić do konfrontacji, a potem do pojednania; po pojednaniu Lesje oczywiście mogłaby zrezygnować z Nate'a. Wtedy Elizabeth Spędzałaby czas, pocieszając Nate'a zamiast Williama.

Na początku ta niepisana umowa pomiędzy Nate'em a nią sprawdzała się doskonale i ona nigdy nie wyjawiała swoich kochanków, nim była gotowa się ich wyrzec. W teorii tak było. Ale ani William, ani Lesje nie zachowali się zgodnie z jej oczekiwaniem. Ona dokładnie nie wie, co się stało. Poszła na lunch z Williamem, by między innymi znaleźć odpowiedź na to pytanie, ale William nie chciał o tym mówić.

Kopulowanie z Williamem było przyjemne, ale nie godne zapamiętania. To było tak jak spanie z dużym, aktywnym kawałkiem białego sera. Emulgującym. Nie dlatego że William nie kryje w sobie żadnej tajemnicy. Prawdopodobnie jest równie tajemniczy jak każdy inny przedmiot we wszechświecie: butelka czy jabłko. Jednakże jego tajemniczość nie intryguje Elizabeth. Po namyśle sądzi, że nie jest całkiem łagodny. Pamiętając, jak zaciska zęby, jest pewna, że ma mnóstwo energii, nawet jest skory do gwałtowności, ukrytej w nim jak meksykańskie skaczące groszki w pudełku z watą.

Ale ona nie lubi pudełek, których zawartości nie zna. Po co otwierać Williama? Według niej nie zawiera żadnych niespodzianek. Chris był niczym niebezpieczna kraina, pełna zasadzek i partyzantek, centrum wiru, demoniczny kochanek. Może dla kogoś innego William też byłby taki: Elizabeth ma już swoje lata, by wiedzieć, że demoniczny kochanek dla jednej kobiety, jest zniszczonym kapciem dla drugiej. Ona nie zazdrości Lesje fascynacji Nate'em, gdyż ona nigdy tego nie doświadczyła. Czego żałuje, to nie uwikłanych ludzi, ale przeżycia faktów. Chciałaby znów to odczuwać z kimkolwiek.

William rusza się i Elizabeth wyciąga rękę spod jego głowy.

- To było fantastyczne - mówi. Elizabeth lekko się krzywi. „Fantastyczne”.

- Dla ciebie też? - pyta z niepokojem.

- Oczywiście - odpowiada. - Czy nie było to jasne? William uśmiecha się uspokojony.

- Och, Lesje nie ma tej samej klasy, co ty.

Według Elizabeth to uwaga w bardzo złym guście. Nie porównuje się swoich kochanków, nie w ich obecności. Mimo to się uśmiecha.

- Muszę się pospieszyć. Muszę się jeszcze pokazać w biurze, chyba ty również. - Zresztą za godzinę wracają dzieci. Ale tego nie mówi głośno.

Nie bardzo chce, by William oglądał ją od tyłu, ale nie może mu zabronić. Wstaje z łóżka, zapina stanik i wciąga karmazynowe figi przez głowę. Wybrała je rano, sądząc, że coś takiego może się wydarzyć.

- Ale jesteś seksowna - mówi William trochę zbyt szczerze; taki ton mógłby zapoczątkować klaps na pupie. - Dobrze sklepiona.

Elizabeth trzęsie się z irytacji. Głupia; czasami jest bardzo głupia. „Zabieraj swoje szorty i won z mego łóżka”. Ale uśmiecha się do niego z wdziękiem; wtem słychać dzwonek.

Zwykle Elizabeth nie pokazałaby się w drzwiach tylko częściowo ubrana w środku dnia. Sąsiedzi gadają, gadają do swych dzieci; ktoś mógł zauważyć, jak szła razem z Williamem. Ale teraz nie chce być w pokoju.

- To pewnie inkasent - mówi. Nie wie, czy to prawda. Odkąd Nate zaczął pracować w domu, on się zajmował takimi sprawami. - Chwileczkę, już idę. - Nakłada niebieski szlafrok, wiąże pasek i na bosaka schodzi na dół. Dzwonek znów się odzywa, gdy ona zdejmuje łańcuch przy drzwiach.

Ciocia Muriel stoi na frontowym ganku i patrzy z obrzydzeniem na biały bujający się fotel z odpadającą farbą, złamany stopień, małe trawniki sąsiadów z więdnącymi resztkami letnich roślin. Ma na sobie biały welurowy kapelusz w kształcie odwróconego garnka, na rękach białe rękawiczki,

jakby wstąpiła tutaj po drodze do kościoła, i etolę z norek, którą Elizabeth pamięta od dwudziestu pięciu lat. Ciocia nie wyrzuca rzeczy ani ich nie oddaje.

Ciocia nigdy przedtem nie odwiedzała Elizabeth. Postanowiła ignorować istnienie mającego złą opinię adresu Elizabeth, jakby Elizabeth w ogóle nie mieszkała w domu, tylko materializowała się we frontowym holu cioci Muriel przy każdej wizycie i dematerializowała się znów, gdy odchodziła. Ale fakt, że ciocia nigdy czegoś nie robiła, nie powinien oznaczać, że tego nie robi. Elizabeth wie, że nie powinna być zaskoczona - kto jeszcze? - ale jednak jest. Czuje się tak, jakby ktoś uderzył ją w splot słoneczny.

- Przyszłam tu - mówi ciocia z maleńką pauzą przed „tu” - ponieważ powinnam ci powiedzieć, co sądzę o twoim zachowaniu. Chociaż i tak nie sprawi ci to żadnej różnicy. - Rusza naprzód i Elizabeth z konieczności cofa się. Ciocia pachnąca kulkami na mole i talkiem wkracza do salonu. - Jesteś chora - oświadcza, nie patrząc na Elizabeth, ale na jej doskonale urządzonej pokój, który kurczy się, blednie, emituje kurz pod jej spojrzeniem. Choroba jest jedynym wytłumaczeniem, by chodzić w szlafroku w środku dnia. - Nie wyglądasz dobrze. Co mnie nie dziwi. Ciocia też nie wygląda zbyt promiennie. Elizabeth zastanawia się przez chwilę, czy z nią jest wszystko w porządku, ale szybko oddala tę myśl. Zawsze jest wszystko w porządku z ciocią Muriel. Krąży po pokoju, dokonując przeglądu krzeseł i sof.

- Nie usiądziesz? - pyta Elizabeth. Już wie, jak potraktować tę wizytę. Słodycz i lekkość niczego nie ujawniają. „Nie pozwól się zirytować”. Niczego bardziej ciocia nie pragnie jak ją sprowokować.

Ciocia siada na sofie, ale nie zdejmuje ani etoli, ani rękawiczek. Sapie albo może wzdycha, jakby samo przebywanie w domu Elizabeth było dla niej zbyt dużym

wysiłkiem. Elizabeth nadał stoi. „Zdominować ją wysokością”. Ale na to nie ma nadziei.

- Według mnie matki młodych dziewczynek nie rozbijają rodziny dla swoich własnych egoistycznych celów. Wiem, że wielu ludzi tak obecnie postępuje. Ale istnieje coś takiego jak niemoralne zachowanie i coś takiego jak zwykła przyzwoitość.

Elizabeth nie może i nie wyzna cioci, że odejście Nate'a to nie był wyłącznie jej wybór. Zresztą gdyby powiedziała: „Nate mnie opuścił”, usłyszałyby, że to jej wina. Mężowie nie odchodzą od żon, które zachowują się właściwie.

- Jak się dowiedziałas? - pyta.

- Siostrzeniec Janie Burroughs pracuje w muzeum - wyjaśnia ciocia. - Janie to moja przyjaciółka od lat. Razem chodziłyśmy do szkoły. Muszę myśleć o moich wnuczkach; chcę, by miały przyzwoity dom.

O pokrewieństwie Philipa z Janie Burroughs Elizabeth zapomniała podczas lunchu w zeszłym tygodniu, gdy opisała dowcipnie i lekkomyślnie sytuację domową. Kazirodzkie miasto.

- Nate spotyka się z dziećmi w weekendy - mówi słabym głosem i od razu zdaje sobie sprawę, że popełniła poważny błąd taktyczny: przyznała, że jest coś, jeżeli nie złego, to przynajmniej niewłaściwego w tym, że ojcowie nie mieszkają w domu. - Mają przyzwoity dom - dodaje szybko.

- Wątpię - mówi ciocia Muriel. - Bardzo w to wątpię. Elizabeth czuje, że grunt usuwa jej się spod nóg. Gdyby tylko była ubrana, a w jej sypialni nie byłoby kochanka, znajdowałyby się w znacznie lepszej strategicznej sytuacji. Ma nadzieję, że William rozumie, iż nie powinien się ruszać, ale biorąc pod uwagę jego ogólną głupotę nie może na to liczyć. Tym bardziej, że słyszy dochodzące z łazienki pluski.

- Naprawdę uważam - mówi Elizabeth z godnością - że decyzje Nate'a i moje są wyłącznie naszymi sprawami.

Ciocia ignoruje tę uwagę.

- Nigdy go nie apróbowałam. Wiesz o tym. Ale każdy ojciec jest lepszy od żadnego. Ty powinnaś najlepiej to rozumieć.

- Przecież Nate nie umarł - odpowiada Elizabeth. Czuje przyływ gorąca w piersiach. - Żyje i uwielbia dziewczynki. Ale mieszka z inną kobietą.

- Ludzie twojego pokolenia nie rozumieją znaczenia poświęcenia - oświadcza ciocia, ale bez wigoru, jakby powtórzenie tej myśli w końcu ją zmęczyło. - Ja się poświęcałam całe lata. - Nie wyjaśnia po co. Oczywiście nie słyszała ani słowa z tego, co powiedziała Elizabeth.

Elizabeth opiera ręce na kredensie z sosny, by się uspokoić. Na krótko zamyka oczy; dostrzega sieć elastycznych pasków. W rozmowie z każdym innym czuje różnicę pomiędzy tym, co jest na zewnątrz a wewnątrz. Wielu ludzi naśladuje innych; ona sama robiła to od lat. Jeżeli trzeba, potrafi naśladować żonę, matkę, jakiegoś pracownika, sumiennego krewnego. Tajemnica polega na tym, by odkryć, co inni próbują naśladować, i potem utwierdzić ich w przekonaniu, że robią to dobrze. Albo coś przeciwnego: „Mogę cię przejrzeć na wylot”. Ale ciocia nie imituje; albo ona sama jest taką kompletną imitacją, że stała się prawdziwa. Ona ma tylko wygląd zewnętrzny. Elizabeth nie może jej przejrzeć na wylot, gdyż nie ma nic do zobaczenia. Jest nieprzejrzysta jak skała.

- Pójdę zobaczyć się z Nathanaelem - oznajmia ciocia. Tylko ona i matka Nate'a mówią o nim Nathanael.

Nagle Elizabeth zaczyna rozumieć, jakie zamiary ma ciocia. Zamierza pójść do Nate'a i zaofiarować mu pieniądze. Chce zapłacić za podtrzymanie pozorów prowadzenia

typowego życia rodzinnego, nawet gdyby to oznaczało nieszczęście. Tym dla niej jest normalne życie rodzinne. Ona nigdy nie miała ambicji, by być szczęśliwa. Ona chce mu zapłacić, by wrócił, i Nate pomyśli, że przysłała ją Elizabeth.

Ciocia Muriel w szarej wełnianej sukni stoi w salonie obok pianina. Elizabeth, dwunastolatka, właśnie skończyła lekcję grania. Nauczycielka od muzyki, beznadziejna, o kurzej klatce piersiowej, panna MacTavish mocuje się we frontowym holu ze swym granatowym trenczem, jak to czyniła w każdy wtorek od czterech lat. Według cioci dzięki pannie MacTavish Elizabeth wiele korzysta. Ciocia czeka, aż zamkną się za nauczycielką drzwi i uśmiecha się niepokojąco do Elizabeth.

- Wujek Teddy i ja sądzymy, że w obecnej sytuacji ty i Caroline powinnyście się do nas zwracać inaczej niż ciocia Muriel i wujek Teddy. - Pochyliła się i palcem wskazuje na nuty. Obrazki z wystawy.

Elizabeth wciąż siedzi przy pianinie. Powinna ćwiczyć pół godziny po każdej lekcji. Składa ręce na kolanach i przygląda się cioci obojętnym wzrokiem. Nie wie, co się wydarzy, ale już się nauczyła, że najlepszą bronią przeciw cioci jest milczenie. To milczenie spowija jej szyję jak sznurek czosnku noszony przeciw wampirom. „Ponurak”, woła na nią ciocia.

- Legalnie zaadoptowaliśmy was - oświadcza ciocia - i dlatego powinnyście nas nazywać matką i ojcem.

Elizabeth nie ma obiekcji, by tak się zwracać do wujka Teddy'ego. Prawie nie pamięta swego ojca i nie bardzo podoba jej się to, co mogła zapamiętać. On czasami opowiadał dowcipy, to sobie przypomina. Caroline zbiera karty przysyłane przez niego sporadycznie na Boże Narodzenie; Elizabeth je wyrzuca, nawet nie ogląda znaczków pocztowych, by się dowiedzieć, gdzie go poniosło. Ale ciocia Muriel? Matka? Wzdryga się.

- Ja już mam matkę - oznajmia grzecznie Elizabeth.

- Ona podpisała papiery adopcyjne - oświadcza ciocia, nie ukrywając triumfu. - Chyba jest zadowolona, że pozbyła się odpowiedzialności. Oczywiście zapłaciliśmy jej trochę.

Elizabeth nie pamięta, jak zareagowała na wiadomość, że jej prawdziwa matka sprzedała ją cioci Muriel. Chyba próbowała zatrzaskać wieko pianina na ręce cioci; nie pamięta, czy jej się to udało. To ostatni raz, gdy pozwoliła sobie na coś takiego.

- Wynoś się z mego domu - krzyczy Elizabeth. Nie wracaj, nie wracaj! - Wraz z krzykiem krew pulsuje jej w głowie. - Ty stara wiedźmo! - Chciałaby powiedzieć „kurwo”, bo tak wielokrotnie myślała, ale przesąd jej nie pozwala. Jeżeli wymówi to ostateczne magiczne słowo, z pewnością ciocia zamieni się w coś innego; spuchnie, szernieje, zbulgocze jak spalony cukier, wydzielając śmiertelne opary.

Ciocia Muriel z opanowanym wyrazem twarzy wstaje wyprostowana i Elizabeth sięga po przedmiot znajdujący się w zasięgu jej ręki i rzuca go w ohydny biały kapelusz. Nie trafia i jedna z jej pięknych porcelanowych miseczek rozpryskuje się o ścianę. Ale wreszcie, wreszcie przestraszyła ciocię Muriel, która ucieka do holu. Drzwi otwierają się, zamykają: satysfakcjonujący huk jak strzał.

Elizabeth drepcze na bosych stopach, nie posiadając się z radości. Rewolucja. Ciocia już nie istnieje; nigdy nie będzie musiała jej widzieć. Elizabeth wykonuje mały zwycięski taniec wokół sosnowego krzesła, obejmując siebie. Czuje się dziko, mogłaby zjeść serce.

Ale kiedy William zjawia się całkowicie ubrany i z wyszczotkowanymi włosami, znajduje ją skuloną bez ruchu na sofie.

- Kto to był? Pomyślałem, że lepiej bym został na górze.

- Właściwie nikt. Moja ciotka.

Nate by ją pocieszył, nawet teraz. Natomiast William śmieje się, jakby ciotki były istotnie śmieszne.

- Dochodziły do mnie jakieś odgłosy walki. Tak mi się wydawało.

- Rzuciłam w nią miseczką. To była wartościowa miseczka.

- Możesz spróbować skleić - radzi praktycznie William. Według Elizabeth na tę uwagę nie warto odpowiedzieć. To miseczka Kayo, która nigdy nie ma duplikatu. Miseczka pełna pustki.

LESJE

Piątek, 29 kwietnia 1977

Lesje w bardziej niechlujnym niż zwykle laboratoryjnym fartuchu siedzi na dole w laboratorium obok korytarza z drewnianymi półkami. Pije z kubka kawę instant, która zastąpi jej lunch. Ostentacyjnie sortuje i przylepia naklejki na tacy z zębami, małymi zębami ssaków z okresu kredowego. Używa szkła powiększającego i mapy, chociaż dobrze zna historię tych zębów: muzeum opublikowało monografię o nich, a ona pomagała w redagowaniu. Ale z trudem się koncentruje. Siedzi tutaj, a nie w swoim biurze, gdyż chce, by ktoś z nią rozmawiał.

W pokoju jest dwóch techników. Theo skończył z piaszczarką i pracuje przy dobrze osadzonej szczęce, grzebiąc w niej za pomocą dłuta dentystycznego. W dziale ssaków, gdzie kości są prawdziwe, nie używają dłuć dentystycznych. Mają zamrażarkę pełną martwych ciał, wielbłądów, łosi, nietoperzy i kiedy są gotowi do ułożenia szkieletu, zdejmują większość mięsa i wkładają kości do pokoju insektów, gdzie mięsożerne insekty zjadają resztki mięsa. Pokój insektów śmierdzi gnijącym mięsem. Za drzwiami wisi kilka obrazków nagich kobiet przyklejonych scotchem. Technicy w tym dziale pracują przy radiowym akompaniamencie muzyki rockowej i country. Lesje się zastanawia, czy samotnik Theo nie wołałby raczej być tam.

Gregor, artysta działu, łączy glinę z kością, pewnego rodzaju kością udową, tak się wydaje. Chociaż prawdopodobnie jemu jest wszystko jedno, co to jest. On ma zrobić jej formę, potem odlew gipsowy. I tak powoli, część za częścią, powstają szkielety. W dziewiętnastym wieku, Lesje o tym wie, Andrew Carnegie zrobił odlew będącego jego własnością dinozaura, *Diplodocus carnegiei* i zaprezentował kopię koronowanym głowom w Europie. Nikt już nie może

sobie na to pozwolić; nawet gdyby zostały jakieś koronowane głowy.

Lesje zastanawia się, co by powiedzieć technikom. Nie o Diplodocus carnegiei, to by nic nie dało; chce zacząć jakąś rozmowę. Ale nie wie, co by ich zainteresowało. Oni wykonują swoją pracę i wychodzą codziennie o piątej do swojego innego życia, życia dla niej niezgłębionego. Natomiast wie, że muzeum nie znaczy dla nich tyle, co dla niej. Gregor mógłby z łatwością pracować w galerii sztuki, Theo mógłby oczyszczać beton z cegieł albo malować stare mosiężne rączki do szuflad. Może interesują ich również przyklejone zdjęcia nagich kobiet.

Mimo to bardzo by chciała, żeby któryś z nich powiedział: „Chodźmy na piwo”. Oglądałaby z nimi w telewizji grę w bejsbol, jedząc chipsy ziemniaczane i pijąc z butelki. Trzymałaby ich za ręce, turlałaby się z nimi po dywanie, kochałaby się po namyśle, nie przywiązując do tego faktu większego znaczenia, ot inne zdrowe ćwiczenie jak pływanie czy bieg. Wszystko odbywałoby się w przyjaźni, bez żadnych konsekwencji w przyszłości. Ona pragnie akcji, działań bez znaczenia i bez ukrytych kar.

Z nostalgią myśli o swoim życiu z Williamem, które, jak teraz widzi, było proste i radośnie młodzieńcze. Piękno Williama polegało na tym, że ona nie przejmowała się, tym co on o niej myśli. Kiedyś chciała czegoś mniej dwuwymiarowego. Teraz to ma. Jest prawdą, że nie kochała Williama, chociaż dawniej tego sobie nie uświadamiała. Kocha Nate'a. Nie jest już pewna, czy jest stworzona do miłości.

Na początku to może nie Nate przyciągnął jej uwagę, ale Elizabeth i Chris. Patrzyła na Elizabeth i widziała świat dorosłych, gdzie dokonanie wyboru pociąga za sobą konsekwencje, znaczące, nieodwracalne.

William nigdy nie oznaczał takiego wyboru, William nie miał uprzedzeń. Ona pewnie przypuszczała, że może żyć z Williamem milion lat i nic w niej naprawdę się nie zmieni. Oczywiście William nie był tego samego zdania. Jak skąpiec ze skarpetą, lokował w coś, gdy ona nie patrzyła, więc jego wybuch przemocy zaskoczył ją. Ale ona jest teraz ponad Williamem, nawet ponad jego wściekłością. William tylko przez chwilę zadał ból.

Nate natomiast zadaje ból prawie cały czas. Trzymając jej rękę, mówi: „Wiesz, ile dla mnie znaczysz”. A ona chce, by po - wiedział, że się dla niej zabije, umrze dla niej. Gdyby tylko to powiedział, zrobiłaby dla niego wszystko. Ale powiedzenie „ile znaczysz” oznacza miarę, odpowiedź na pytanie: „Ile?” Dla niej Nate jest absolutem, ale ona dla niego istnieje na skali względnie ważnych wartości. Nie wie dokładnie, jakie zajmuje miejsce na tej skali, gdyż to się zmienia.

Wieczorami siedzi przy ich nowo nabytym stole, przy kuchence i ledwo zapięcej lodówce, za którą zapłaciła o wiele za dużo, i rozmyśla. Gdy mieszkała z Williamem, to on głównie rozmyślał.

- O co chodzi, kochanie? - pyta Nate. Ona nie wie, co odpowiedzieć.

Przedłuża picie kawy, jak tylko się da, ale technicy nic nie mówią. Gregor pogwizduje pod nosem, Theo tylko dłubie. Pokonana, zanoszą tacę z zębami do swego pokoju. O czwartej przychodzi wycieczka szkolna; znów będzie chodziła dookoła wielkich paproci z tysiącem dzieci, naciskała zakurzony guzik okresu kredowego. Potem wróci do domu.

Musi być wcześniej, gdyż po raz pierwszy ten weekend dzieci Nate'a spędzą z nimi. Cały tydzień się tego bała.

- Ale nie ma tu dla nich miejsca do spania - powiedziała.

- Pożyczą śpiwory od koleżanek - zapewnił Nate. Lesje powiedziała, że nie mają dość talerzy. Nate stwierdził, że

dzieci nie oczekują prawdziwej kolacji. On się zajmie gotowaniem, a dzieci zmyją naczynia. Ona nie będzie miała żadnej dodatkowej roboty. Lesje poczuła wtedy, że została wyłączona, ale nie dała tego po sobie poznać. Natomiast policzyła sztucce i cierpiała katusze, patrząc na brudną podłogę. Kiedy mieszkała z Williamem, z pogardą odrzuciłaby takie skrupuły. Chodzi o to, że nie chce, by dzieci po powrocie do domu powiedziały Elizabeth, że nie ma srebrnych sztucców i że podłogi są brudne. Jej nie obchodziło, co sobie o niej pomyśli William, ale rozpaczliwie jej zależy, jak wypadnie w oczach dwóch małych dziewczynek, których nawet nie zna i nie ma specjalnego powodu, by je lubić. Zresztą one też nie mają żadnego powodu, by ją lubić. Prawdopodobnie myślą, że ukradła Nate'a. Prawdopodobnie nienawidzą jej. Czuje się potępiona już z góry, nie za to, co zrobiła, ale za jej dwuznaczną pozycję we wszechświecie.

W czwartek poszła do Ziggy'ego i kupiła torbę delikatesów: dwa rodzaje sera, wątróbkę, ciasteczka z owocami, czekoladę. Ona prawie nigdy nie jada ciasteczek ani czekolady, ale chwyciła je z półek w rozpaczy; z pewnością dzieci to lubią. Uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, co dzieci lubią. Większość z nich lubi dinozaury, tylko tyle wie.

- To nie jest potrzebne, kochanie - rzekł Nate, gdy ona wyrzuciła zawartość torby od Ziggy'ego na kuchenny stół. - One się zadowolą kanapkami z masłem orzechowym.

Lesje biegnie na górę, rzuca się na materac i cicho płacze, wdychając zapach starego materiału, starego włosia, myszy. I to jest jeszcze jedna rzecz: dziewczynki zobaczą ten materac.

Po chwili wchodzi Nate. Siada i pociera jej plecy.

- Wiesz, jakie to dla mnie ważne, żeby wam razem było dobrze. Gdybyś miała dzieci, rozumiałabyś.

Żołądek Lesje kurczy się: czuje to, mur mięśni dokoła środkowego wgłębienia. Umieścił siebie i dzieci, i również

Elizabeth w zielonej małej oazie, gdzie coś takiego jak zrozumienie jest możliwe. Na pustyni izolowana, sama, bez dzieci, karygodnie młoda ma odprawiać pokutę, obserwując pantomimę, której nie potrafi odgadnąć.

Nate nie miał pojęcia, że zachował się okrutnie. Myślał, że jej pomaga. Pogłaskał ją po plecach; wyobraziła sobie, że spoglądał na zegarek, by sprawdzić, czy czynił to odpowiednio długo.

*

Multituberculata, mruczy Lesje. Kojące słowo; chce, by ją ukojono; nie jest ukojona. Boi się tego wieczoru. Boi się tej sceny, gdy będzie siedziała przy kiwającym się stole, z niedostateczną liczbą sreber i tanimi talerzami, czując, jak poruszają się jej szczęki, prowadząc niezręczną rozmowę albo gapiąc się na swoje ręce, a dwie pary oczu będą ją obserwować, by wydać ocenę. Trzy pary.

ELIZABETH

Sobota, 14 maja 1977

Elizabeth siedzi w mroku tawerny, wdychając zapach lekko nieświeżych frytek, obserwując cienie. Spędziła tu kilka wieczorów z Chrisem, przychodziła raz na jakiś czas. Było to dobre miejsce, gdyż nie mogli tu nikogo spotkać, Elizabeth o tym wiedziała. Z tej samej przyczyny wybrała je teraz.

Kelner podszedł po zamówienie, ale powiedziała, że czeka na kogoś. Co jest prawdą. Pocałowała dzieci na dobranoc, zostawiła pączki i coca - colę dla opiekunki, zamówiła taksówkę, wsiadła do niej i teraz może siedzieć w tawernie i czekać. Już zaczyna tego żałować. Zachowała tę wizytówkę, wizytówkę z biura, wetkniętą do przegródki torebki, tam gdzie trzyma drobne i folder z jej wizytówkami. Na ogół nie zachowuje takich rzeczy, chyba że zamierza kiedyś z nich skorzystać. Coś zakodowanego w zakamarku jej mózgu.

Może jeszcze odejść, ale co wtedy? Musiałaby wrócić, zapłacić opiekunce i położyć się sama w domu, który jest pusty i nie jest pusty, słuchając ledwo uchwytnych dla ucha oddechów dzieci. Kiedy nie śpią, może wytrzymać. Chociaż nie są wielkim towarzystwem. Nancy leży nieruchomo na łóżku, słuchając płyt albo czytając w kółko te same książki: Hobbita czy Księcia kaspijskiego. Janet krąży wokół Elizabeth, ofiarując swoją pomoc: obierze marchewki, sprzątnie ze stołu. Skarży się na bóle brzucha i czeka, aż Elizabeth da jej mleczko z magnezją albo gelusil z zostawionych butelek Nate'a. Nancy natomiast wyślizguje się z objęć Elizabeth, unikając przytulania i pocałunków na dobranoc. Czasami Elizabeth sądzi, że dzieci sprawiają wrażenie bardziej winnych niż smutnych.

Co ona powinna powiedzieć? Tatuś tak naprawdę nie odszedł, tylko na trochę. Mamusia i tatuś was kochają. Nie ma w tym waszej winy. Przecież telefonuje każdego wieczoru,

jeżeli pamięta. I widzicie go w weekendy, kilka razy. Ale ona i Nate uzgodnili, że nie będzie omawiać z dziećmi sprawy separacji, dopóki on sam z nimi nie porozmawia, co tak długo odkładał. Zresztą to bez znaczenia. Dzieci nie są głupie, wiedzą, co się dzieje. Wiedzą tak dobrze, że nie zadają pytań.

Facet w brązowym ubraniu pochyła się nad stolikiem; jest wyższy, niż zapamiętała, i już nie chodzi w brązowym ubraniu. Ubranie jest jasnoszare, a duże białe romby na krawacie jakby płonęły w ciemności. Chyba lepiej mu się powodzi.

- A więc dotarłaś tutaj - mówi. Siada obok niej, wzdycha, szuka wzrokiem kelnera.

Kiedy zadzwoniła, nie pamiętał, kto to mówi. Musiała mu przypomnieć o ich spotkaniu na stacji metra, ich rozmowie o nieruchomościach. Potem stał się zbyt wylewny: „Oczywiście! Oczywiście!” Ona uznała ten fakt za poniżający. A potem ten śmiech, ciężki jak sos, jakby on wiedział, czego ona chce.

On nie może naprawdę wiedzieć. Ona chce tylko zapomnienia. Tymczasowego, ale kompletnego: nocy bez gwiazd, drogi biegnącej wprost na skraj przepaści. Ostateczności. „Terminalu”. Nim do niego zatelefonowała, była pewna, że mógłby to zaofiarować. Może istotnie jest w stanie. Jego ręce na stoliku są bez wyrazu, owłosione, praktyczne.

- Byłem w drodze - odzywa się. - Wróciłem właśnie przedwczoraj. - Podchodzi kelner i on zamawia dla siebie rum z coca - colą, potem pyta Elizabeth, czego sobie życzy. - Szkocka z wodą sodową dla pani. - Wyjaśnia, jaki jest wyczerpany. Jedyne co zabija monotonię długich jazd, to CB - Radio, które sobie sprawił. Można złapać kilka dobrych rozmów. Figlarnie prosi Elizabeth, by zgadła, jakie ma przydomko. Elizabeth waha się. - Czołg - śmieje się nieśmiało.

Elizabeth przypomina sobie, że dawniej podróżował raczej - samolotem niż autem. W każdym razie jest komiwojażerem. Ktoś przecież musi sprzedawać to i owo; mimo to ona może się stać częścią starego żartu. Z pewnością stać ją na kogoś lepszego. Ale nie chce. Ktoś lepszy to Philip Burroughs, przyjaciele przyjaciół, mężowie przyjaciółek, dobrze ubrani, niczym nie zaskakujący. Ten facet ma walizeczkę pełną majteczek bez kroczy, zapowiadających kiepską zabawę. „Karnawał”. Nie cechuje go przezorność, nie zdejmie najpierw zegarka i nie położy na nocnym stoliku, złoży koszulę i będzie pachniał miętą oraz tabletkami, których używa przeciw wrzodom. On jest pełen ufności, odchyła się na krześle, tchnie nie wypowiedzianą obietnicą. Dla kogoś innego nie ma w nim niczego nieprzewidywalnego, ale nie dla niej; jeszcze nie.

Podano do stołu drinki i Elizabeth wypija swój jak lekarstwo; ma nadzieję, że żądza zakwitnie jak kwiat pomiędzy jej udami. Facet w szarym ubraniu przy stoliku mówi jej konfidencjonalnym tonem, że zamierza sprzedać swój dom. Jego żona już ma na oku nowy, dalej na północ, trochę większy. Może ona zna kogoś, kto zainteresowałby się tym starym domem. Ma całkowicie nową instalację elektryczną z miedzi i podłogi od ściany do ściany. On może sobie pozwolić na przeprowadzkę; dodał nową linię produktów do sprzedaży. Galanterię.

- Galanterię? - dziwi się Elizabeth. Siedzi na plastikowej poduszce jak na worku z piaskiem; ciężkiej, suchej, bezdusznej.

- Na urodziny - wyjaśnia. - Miniaturowe helikoptery, gwizdki, miękkie plastikowe czaszki, potwory, zegarki zabawkowe. Tego rodzaju rzeczy. - Pyta ją, jak tam dzieci.

- Właśnie mój mąż i ja żyjemy w separacji. - Może ta wiadomość obudzi w nim drapieżną reakcję; podobno słowa „separacja” i „rozwód” działają na żonatych mężczyzn. Ale

wydaje się, że on się zdenerwował. Rozgląda się, ostentacyjnie szukając kelnera. Elizabeth zauważa, że on tak samo jak ona nie ma ochoty, by ktoś go tutaj widział. Czy myśli, że ona na niego poluje? Chce go do użytku domowego? Niedorzeczne. Ale byłoby zniewagą powiedzenie mu o tym.

Zastanawia się, czy może być z nim uczciwa. „Interesuje mnie tylko szybki numer. Jedna godzina, jeżeli to możliwe, i nie musisz ze mną rozmawiać. Żadnych zobowiązań, pułapek. Nie chcę dodawać niczego do ogólnego bałaganu. Nie chcę cię w moim życiu; dlatego do ciebie dzwoniłam”.

Ale on zaczyna jej opowiadać o swojej operacji sprzed dwóch miesięcy, wycięciu kurzajki na stopie. Znacznie bardziej bolesnej, niż myślisz. Nie ma potrzeby, ona może równie dobrze ograniczyć swoje straty. Minał już czas podrywania w parku czy pieszczot w kinie. Już nie ma tego drygu, tego triku. Jak pragnąć.

- Na mnie już czas - mówi grzecznie. - Dziękuję za drinka. To była przyjemność znów cię widzieć. - Narzuca płaszcz, wstaje, wydobywa się zza stolika.

On jest skonsternowany.

- Jeszcze jest wcześnie. Napijmy się. - Kiedy Elizabeth odmawia, wstaje. - Podwiozę cię do domu.

Elizabeth waha się, potem akceptuje. Po co płacić za taksówkę? Idą na parking, jest ciepło. On trzyma ją za łokieć, dziwnie staroświecki gest. Może mogliby zatańczyć fokstrota przy światłach parkingu. Oto jej noc w mieście.

W jego wozie Elizabeth nie wysiła się na prowadzenie rozmowy. Mówi mu, gdzie mieszka, i coś tam mruczy, gdy on skarży się na hotelowe jedzenie, zwłaszcza w Thunder Bay. Jest całkowicie trzeźwa, zupełnie zimna. Zupełnie zimna. Jest w tym trochę kompensacji: wychodzi z tej randki czysta, nikogo nie skrzywdziła. On musi zrozumieć, że ją to nie interesuje. Nieznajomy przestaje rozmawiać i włącza swoje

CB - Radio, manipulując przy skali. Staccato głosy trzaskają i znikają.

Ale nim dociera do jej ulicy, skręca wozem w jakiś zaułek i nagle staje. Światła spoczywają na kratce wlotu do kanału; za nią wysokie ogrodzenie. Jakaś fabryka.

- To nie jest moja ulica - mówi Elizabeth. Na początku wieczoru powitałaby z radością ten ruch.

- Nie wygłupiaj się. Oboje wiemy, po co tu jesteś. - Odłącza mikrofon od radia. - Damy im coś mocnego. Dziesięć - cztery, dziesięć - cztery, robimy przerwę.

Elizabeth szuka po omacku guzika na siedzeniu przy pasie, ale zanim go znajduje, on się na nią wali. Elizabeth z głową odchyłoną pod ciężarem jego ust z trudem łapie powietrze. Jedno kolano wciska się pomiędzy jej uda, podnosząc spódnicę; jego tyłek opiera się o przegródkę na rękawiczki. Coś zimnego i metalowego uciska jej gardło i ona uświadamia sobie, że to mikrofon.

On jęczy; łokciem dotyka okna. Elizabeth boi się, że się udusi. „On ma atak serca”. Ona będzie ta tkwić pod jego ciałem, dopóki nie usłyszą jej krzyków przez mikrofon i jej nie wyciągną.

Ale po minucie jego twarz ląduje na jej szyi i on leży bez ruchu. Elizabeth wyciąga swoje lewe ramię i wyswobadza się.

- Och - odzywa się nieznajomy - dobrze było. Elizabeth obciąga spódniczkę.

- Przespaceruję się do domu - oznajmia. Słyszy, jak drży jej głos, chociaż nie boi się. Była idiotką, że oczekiwała czegoś więcej.

- Hej, teraz przecież twoja kolej - mówi i jego ręka pędzi jak pająk po jej udzie. - Jestem dobry. Zrób sobie przerwę i zabaw się. - W lewej ręce trzyma mikrofon, jakby spodziewał się, że ona coś zaśpiewa.

- Zdejmij rękę ze mnie - mówi Elizabeth. Czuje się tak, jakby otworzyła poważnie wyglądającą paczkę i wyskoczyła z niej żmija. Ona nigdy nie ceniła praktycznych żartów.

- Hej, próbowałem zachować się przyjaźnie - mówi, zabierając rękę. - Każdy lubi trochę się zabawić.

- Zejdź z kanału, Mac - mówi głos w radiu. - Odpieprz się.

- Idę do domu - powtarza Elizabeth.

- Nie mogę cię samej puścić. Nie w tej okolicy. - Siedzi z rękami na kolanach, z pochyloną głową; patrzy na kierownicę.

- Mam alkohol w przegródce na rękawiczki. Odpręż się, napij się ze mną - mówi apatycznym głosem.

- Nie, dziękuję, naprawdę - odzywa się grzecznie Elizabeth. Otwiera zatrask przy pasie; tym razem on nie próbuje jej zatrzymać. Smutek promieniuje z jego twarzy jak ciepło, teraz Elizabeth to widzi. Kiedy ona odejdzie, on prawdopodobnie się rozplacze. W jakiś dziwny ograniczony sposób on chciał sprawić jej przyjemność. Czyj to błąd, że nie jest zadowolona?

Na zewnątrz są drzewa, wiatr, potem domy. Idzie do pierwszego skrzyżowania, by zobaczyć, jaka to ulica. Za sobą słyszy szum motoru, ale on nie skręca, nie przejeżdża obok. Kto się śmieje? Coś dławi ją w gardle. Naprawdę nikt.

NATE

Czwartek, 7 października 1976

Nate na frontowym ganku lekko kołysze się na bujaku; Elizabeth kupiła to krzesło pięć lat temu za piętnaście dolarów na aukcji na farmie blisko Lloydtown. Nim on sprzedał wóz. Kazała mu pomalować je na biało, by zakryć pęknięte oparcie, połączyć je razem drutem nanizanym przez małe dziurki, wydrążone nieprofesjonalnie w obu częściach. „Wystarczy na ganek”, stwierdziła. „Taki sam bujak, nie uszkodzony, kosztowałby przynajmniej pięćdziesiąt dolarów”, powiedziała. Teraz po pięciu latach używania trzeba krzesło wyszlifować i pomalować. Ale jeżeli on to zrobi, Elizabeth zignoruje to. Już przecież nie interesuje się meblami.

Nie roztrząsa tej sprawy i unika spoglądania na ulicę, gdzie Elizabeth zaraz się pojawi w tym późnym popołudniowym słońcu, idąc po opadłych liściach w drodze od przystanku do domu. On na nią czeka, chce ją zobaczyć. Tak dawno zapomniane uczucie, że prawie nowe. Ciało na krześle jest jakieś kanciaste, kręgosłup ściśnięty. Coś ma się zdarzyć, zacząć, sprawy mają się zmienić, a on nie jest pewny, czy jest na to przygotowany.

Przed sześcioma dniami powiedziała, że chce z nim trochę porozmawiać. Oczekiwał wykładu na temat swojego postępowania: naczynia, pranie, kto, co zmywa, kto, co składa, jak przedmioty z podłogi mają się znaleźć na właściwej półce. Do tego się sprowadzały jej małe rozmowy. „Równy podział pracy”. On już przygotował swoją linię obrony: kiedy on posprząta, ona nie zauważa tego, co zrobił, a więc jak może wiedzieć, czy wykonuje swoje zadanie, czy nie? Spóźnił się, nalewa sobie drinka, szuka papierosów, zanim usiądzie naprzeciwko niej przy kuchennym stole.

Ale ona oznajmiła mu bez ogródek, że przestała się widywać z Chrisem. Zgodnie z porozumieniem, jakie zawarli,

jego nie obchodzi, z kim ona się widuje. On chciał jej o tym przypomnieć. „Rób, co chcesz”, chciał powiedzieć. Po co ona mu o tym mówi?

- Chciałabym cię prosić o przysługę - powiedziała, nim on zabrał głos. Chociaż trzeba zaznaczyć, że Elizabeth rzadko prosiła o przysługę, i nie jego, i nie ostatnio. - Jeżeli Chris się tu pojawi, nie wpuszczaj go do domu.

Nate popatrzył na nią. Nigdy przedtem nie powiedziała czegoś takiego, chyba dlatego, że nie było potrzeby. Jej sposób dysponowania kochankami był zawsze ostateczny. Nie wiedział, co ona im mówiła, ale gdy miała ich dość, znikali z pola widzenia tak gwałtownie, tak kompletnie, jakby przywiązywała blok betonu do ich nóg i zrzucała ich z przystani do wody. Podejrzewał, że zamierza to samo zrobić z nim - z pewnością ma go dosyć - ale dzieci zapobiegły temu.

Chciał zapytać, co się stało: Czy Chris ma przyjść do domu? Dlaczego? Ale ona zapewne odpowiedziałaby, że jej życie to jej życie. Kiedyś było ich.

Tego on chce, powrotu. Obraz harmonijnego wspólnego życia, istniejący jedynie na karcie bożonarodzeniowej, palące się kłody drewna na kominku, koszyk z robótką, ten obraz oboje wymazali z pamięci tak dawno, że on o nim zapomniał. Teraz znów może wrócić do terażniejszości. Może Elizabeth też tego chciała, może chciała znów spróbować. Poczł, że powinien podjąć stanowczą decyzję. Ona często mu zarzucała, że nie umie działać stanowczo. A więc zaprosił Marthę na lunch.

Martha była zachwycona. Przy stoliku w café Jurgens, to jej wybór, trzymała jego rękę i powiedziała mu, jak to cudownie widzieć go tak niespodziewanie, poza ustalonymi godzinami. On obserwował ją, nieszczęśliwy, jak jadła kanapkę z homarem z grilla i piła dwie czyste whisky. Za nią wisiało powiększone zdjęcie, czyżby Wenecji?

- Jesteś taki milczący dzisiaj - stwierdziła Martha. - Masz pypcia na języku czy co?

Nate z trudem uśmiechnął się. Właśnie miał zamiar zaraz jej powiedzieć, że nie może więcej się z nią spotykać, i chciał to uczynić z wdziękiem i spokojem. Nawet nie miał ochoty tego zrobić, chociaż ostatnio ich sprawy znalazły się w impasie. Ale gdy Chris odchodzi, nie ma równowagi. Marthę też trzeba usunąć; w przeciwnym razie on mógłby zamieszkać z nią, czego nie chciał. Byłoby dużo lepiej, gdyby mógł zaaranżować wszystko z Elizabeth; lepiej dla dzieci. Przygłębił go ten fakt, ale wytłumaczył sobie, że to dla dobra sprawy. Będzie się starał doprowadzić do nie zakłóconego niczym rozstania. Miał nadzieję, że Martha nie zacznie na niego wrzeszczeć. Żywotność, kiedyś tak to nazwał.

Ona jednak nie wrzeszczała. Przestała trzymać go za rękę, pochyliła głowę, gapiąc się na skórki od chleba. Wydawało mu się, że łza spłynęła do majonezu.

- Zaslugujesz na kogoś innego - z pośpiechem oświadczył Nate, ponizając siebie. - Kogoś, kto może...

- Ta dziwka. Ona w końcu dopięła swego, prawda? Pracowała nad tym długo - stwierdziła Martha.

- O czym ty mówisz? Naprawdę to nie ma nic wspólnego z Elizabeth, po prostu myślę...

- Kiedy wreszcie staniesz się mężczyzną, Nate? - wyszeptała Martha. Podniosła wzrok i patrzyła mu prosto w oczy. - Mogę się założyć, że ona nawet zawiązuje ci sznurowadła.

Z lewej strony usłyszał nagle huk, zdawało mu się, eksplozji. Przed nim, nie widziany przeszło rok, stoi stary biały kabriolet Chrisa, tym razem z podniesionym dachem. Nate spodziewa się, że zaraz zobaczy wysiadającą z niego Elizabeth, która ochłodzi się krótkim spacerem. Będzie niesłychanie przyjemna, taka jak zawsze, gdy dostaje coś,

czego chciała, a czego po nim nie mogła się spodziewać. Nate naprawdę nie wierzy, że Chris został porzucony, nie na zawsze; za długo to już trwało i jej za bardzo na nim zależało.

Chris jednak wysiada sam. Wspina się po frontowych schodkach, potykając się trochę na tym stopniu, który Nate miał zreperować, i Nate jest przerażony jego wyglądem. Ma pionowe sińce pod oczami, jakby ktoś uderzył go pasem po twarzy. Rozwichrzone włosy, ręce zwisają mu ciężko z rękawów zmiętej sztruksowej marynarki. Obdarza Nate'a beznadziejnym spojrzeniem pijaka, bliskiego prośby o jałmużnę.

- Cześć - mówi słabym głosem Nate. Stara się wstać, by chociaż wzrokiem znaleźli się na tym samym poziomie, ale Chris kuca na stopach. Pachnie whisky, starymi skarpetkami, trochę gnijącym mięsem.

- Musisz mi pomóc - odzywa się.

- Straciłeś posadę? - pyta Nate. Może to głupie pytanie, ale co on ma powiedzieć porzuconemu kochankowi swojej żony? Z pewnością nie może mu kazać obłudnie odejść z ganku, teraz gdy już tu jest. Wygląda tak okropnie; chyba nawet Elizabeth nie spodziewała się takiej ruiny człowieka.

Chris trochę się śmieje.

- Rzuciłem pracę - mówi. - Nie mogłem tego znieść. Być razem z nią w tym samym budynku. Nie spałem. Ona nawet nie chce mnie widzieć.

- Co ja mogę zrobić? - pyta Nate, myśląc: „Czego ty ode mnie oczekujesz?” On istotnie chce pomóc każdemu cierpiętnikowi, chociaż jego własne współczucie go zadziwia. Znowu przeklęty unitarianin. Powinien oddać Chrisa pod opiekę swojej matki; ona nauczyłaby go, że w życiu trzeba myśleć pozytywnie, a nie o ponurych sprawach. Potem wpisałaby jego nazwisko na swoją listę i kilka tygodni później dostałby pocztą paczkę - mydełka zdobyte w motelach, tuzin

par skarpet dla dzieci, szydełkową kamizelkę dla ochrony klatki piersiowej.

- Niech ona mnie wysłucha - mówi Chris. - Odkłada słuchawkę. Nie chce nawet słuchać.

Nate przypomina sobie teraz jak przez mgłę dzwonek telefonu, w środku nocy, o drugiej czy trzeciej, błędne spojrzenie Elizabeth rano. Przynajmniej tak to trwało przez miesiąc.

- Nie mogę wpłynąć na Elizabeth - mówi Nate.

- Ona cię szanuje. Ciebie wysłucha. - Patrzy na podłogę, ganku, potem na Nate'a z nagłą nienawiścią. - Ona mnie nie szanuje.

Dla Nate'a to rewelacja, że Elizabeth go szanuje. I tak w to nie wierzy; to manewr Elizabeth wobec Chrisa, który jest zbyt nieprzytomny, by to dostrzec.

- Powiedz jej - mówi Chris wojowniczo. - Ona musi żyć ze mną. Chcę ją poślubić. Powiedz jej, że musi.

„Stuknięty”, myśli Nate. Bardzo rozkojarzony. Czy Chris naprawdę oczekuje, że on rozkaże swojej żonie, by uciekła z innym mężczyzną?

- Chyba potrzebujesz drinka - mówi. On sam też ma ochotę. - Proszę, wejdź.

W holu, gdy Chris idzie za nim, przypomina sobie prośbę Elizabeth: „Nie wpuszczaj go do domu”. Teraz widzi, że to była istotnie prośba, a nie żądanie. Ona nie zrezygnowała z Chrisa, ona uciekła, gdyż się go boi. Nie jest tak łatwo przestraszyć Elizabeth, to pewnie już długo trwa. Ona pewnie przypuszcza, że ją zaatakuje, pobije. Obraz Elizabeth w takiej matni, białe ciało odchylające się pod tymi pięściami, bezbronne, kwilące, tylko przez chwilę działa erotycznie.

Nate czuje mrowienie na karku. Szedł do kuchni z nożami i szpikulcami, ale zawraca, może zbyt gwałtownie, i idzie do salonu.

- Szkocka? - pyta.

Chris nic nie mówi. Pochyla się w drzwiach, uśmiechnięty: uśmiech szczura, wargę podniesioną nad żółtymi zębami. Nate nie ma ochoty odwrócić się do niego tyłem, by pójść do kuchni po szklanki. Scenariusze filmów pokazywanych późno w nocy stają mu przed oczami: on zostaje uderzony mosiężnym lichtarzem albo jedną z ciężkich misek Elizabeth i leży nieprzytomny w holu; dzieci porwane, trzymane jako zakładnicy, zabarykadowane i terroryzowane w dwupokojowej kryjówce Chrisa, podczas gdy Chris pochyla się nad szachownicą jak Upiór z opery i policja przy wejściu wzywa go przez megafon; Elizabeth, posiniaczona, naga, zakneblowana prześcieradłem. Wszystkiego można było uniknąć, to jego wina; gdyby on tylko nie...

Chociaż Nate zdaje sobie sprawę ze swojej winy, chce coś dać Chrisowi, trochę jedzenia, coś innego. Bilet autobusowy do Meksyku, Wenezueli, tego on często pragnął. Chce dotrzeć do Chrisa, dotknąć jego ramienia; szuka jakiejś maksymy, banalnej, ale magicznej, przypowieści o nadziei, która by go natychmiast uzdrowiła, pomogłaby mu żyć. Jednocześnie wie, że jeżeli Chris wykona jakiś ruch, ruszy na schody, prowadzące do zamkniętych drzwi, za którymi dzieci przed godziną się bawiły, intensywnie grały w bitwę morską, rzuci się na niego i rozwali mu głowę o poręcz. Zabije go. Zabije bez żalu.

Słysząc kroki na ganku, stanowcze; klik przy frontowych drzwiach. Elizabeth. Teraz nastąpi wybuch, Chris zaatakuje ją, a Nate będzie musiał jej bronić. W przeciwnym razie ona zniknie na ścieżce, najpierw jej pupa. Uczepiona ramienia Chrisa, a z jej torebki wypadną ołówki i klucze. „Może by jej się to podobało”, myśli Nate. Ona zwykle twierdziła, że jest za mało bojowy.

„Wynoś się”, mówi Elizabeth. Stoi za Chrisem w holu; z salonu Nate jej nie widzi. Kiedy Nate wchodzi do holu, Chrisa już nie ma. Jest jedynie Elizabeth; z oburzoną miną zdejmuje skórzane rękawiczki, palec po palcu.

Kiedy ją obserwuje i myśli o Chrisie idącym chyłkiem ulicą jak maruder z pobitej armii, wie, że kiedyś w przyszłości on też będzie musiał ją opuścić.

LESJE

Środa, 22 czerwca 1977

Lesje balansując tacą, kieruje się ku pustemu stolikowi, otoczonemu innymi pustymi stolikami. Niełatwo jest jej pójść na kawę z Marianne czy Trish albo dołączyć do nich podczas lunchu. Jeszcze się przyjaźnią, ale są ostrożne. Ona pamięta to uczucie i im współczuje: te, które przeżywają kryzys, przynoszą pecha. Stanowią ciekawy temat i mówi się o nich, kiedy ich nie ma, a jeżeli są, to się milczy. Dla Marianne i Trish ona jest jakby statyczną elektrycznością.

Doktor Van Vleet wyjechał; każdego roku cierpi na alergię; bierze leki ziołowe, przygotowywane przez jego żonę. Lesje zastanawia się, czy będzie żyła z Nate'em dostatecznie długo, by zgłębić tajniki ziołolecznictwa i mu w ten sposób dopomóc. Albo komuś innemu. Próbuje wyobrazić sobie Nate'a jako starego człowieka w swetrze wyciętym w serek, drzemiącego na słońcu, ale nie udaje się to. Doktor Van Vleet często mówi „w moich czasach”. Lesje zastanawia się, czy wiedział wówczas, że to jest jego czas. Sama nie czuje, by czas, w którym teraz żyje, był w jakiś szczególny sposób jej.

Chciałaby, by doktor Van Vleet był tutaj. On nigdy nie słucha plotek, niczego nie słyszał o jej tak zwanym życiu prywatnym. Jest jedyną osobą, jaką zna, która traktuje ją z ojcowskim pobłażaniem, a tego właśnie teraz bardzo potrzebuje. On poprawia jej wymowę, ona śmieje się z jego epigramatów. Gdyby był tu teraz, naprzeciwno niej przy stoliku, mogłaby go o coś zapytać, o jakieś techniczne sprawy i potem nie musiałaby myśleć o niczym innym. O zwyczajach żywieniowych i rozmnażaniu pteranodona, na przykład. Czy szybował, czy raczej ślizgał się, jak się poruszał w powietrzu? Czy czekał na lekki wietrzyk, aby się unieść na swoich skrzydłach mających dwanaście stóp? Niektórzy spekulują, że wskutek tak niewiarygodnie delikatnej struktury kostnej nie

byłby w stanie osiąść gdziekolwiek, na wodzie czy na lądzie. Jeżeli tak, to jak następowała reprodukcja? Przez chwilę Lesje widzi gorące, spokojne morza, czuje łagodne wiatry; ogromne, pokryte futrem pteranodony wzbijają się jak wstęgi białej bawełny wysoko nad głowami. Nieuchronnie widzi późniejsze stadium: odór martwych mórz, śnięte ryby na brzegach pełnych błota, wielkie stada osłabione, opuszczone, ich czas minął. Nagle.

Lesje siedzi nadal i rozgląda się. Jest tu Elizabeth; Lesje wypatrzyła ją, jak tylko się zjawiała. Przed kilkoma miesiącami by odeszła, ale teraz nie ma potrzeby. Elizabeth jak promienie gamma będzie istnieć, niezależnie od tego, czy Lesje widzi ją, czy nie widzi. Z nią jest ciemna, silna kobieta. Obie patrzą na Lesje, gdy przechodzi obok, bez uśmiechu, ale też bez wrogiego spojrzenia. Jakby one oglądały jakiś widok i ona była tym widokiem.

Lesje wie, że gdy Nate wyprowadził się całkowicie - albo możliwie całkowicie, jak zamierzał - Elizabeth poczuła się opuszczona i zdradzona i ona, Lesje, powinna cieszyć się, że odniosła zwycięstwo albo przynajmniej być konwencjonalnie zadowolona. Ale chyba sytuacja jest odwrotna. Lesje chciałaby, żeby Elizabeth znikła, znalazła się w odległej przeszłości i została tam na zawsze, jednak wie, że jej życzenia nie będą miały wielkiego wpływu na Elizabeth.

Zdejmuje wieczko jogurtu i wkłada słomkę do kartonika mleka. Przynajmniej teraz lepiej jada; od przeprowadzki Nate'a. Nate sprawił, że odżywia się racjonalniej. Przyniósł ze sobą garnki i zwykle gotuje kolację; wtedy kontroluje, jak ona je. Niepokoi go, gdy nie kończy posiłku. To, co on gotuje, jest prawdopodobnie całkiem dobre, z pewnością lepsze niż to, co ona potrafi ugotować, i ona wstydzi się przyznać, że zjadłaby raz na pewien czas kluski, Romanoffa. Tak długo korzystała z wygodnego sposobu odżywiania, zabierania gotowego

jedzenia do domu, odgrzewania potraw u siebie, że jej ocena stępiła się. W ten sposób, jak i w wiele innych, nie może uniknąć niestosownego zachowania.

Na przykład jej reakcje. „Reakcje” to słowo Nate'a. On uważa jej reakcje nie całkiem za rozczarowujące, ale za zaskakujące, jakby jedynie barbarzyńca albo analfabeta mógł mieć takie jak ona, Nawet się nie złości. Po prostu wyjaśnia i wyjaśnia; zakłada, że jeżeli zrozumie, co on mówi, z konieczności z nim się zgodzi.

Na przykład. Elizabeth, kiedy dzwoni, co czyni często, by zapytać, czy dzieci zostawiły skarpetki, gumowe botki, szczoteczki do zębów, majteczki w domu Lesje, jest zawsze grzeczna. A więc dlaczego Lesje się skarży? Chodzi o to, że ona nie chce, by Elizabeth w ogóle do niej dzwoniła. Zwłaszcza do biura. Nie chce, by Elizabeth przeszkadzała jej w trakcie badań, pytając o czerwoną i białą rękawiczkę. To ją wyprowadza z równowagi i w końcu niezręcznie poruszyła ten temat.

„Ale dzieci zapominają rzeczy”, powiedział Nate. Tłumaczył, że Elizabeth musi wiedzieć, gdzie one są. Nie ma nieograniczonych ilości tych przedmiotów. „Może”, Lesje odważyła się powiedzieć, „dzieci przestałyby zapominać?” Ale Nate stwierdził, że to przecież dzieci.

- Może ty byś do niej zadzwonił albo ona dzwoniłaby do ciebie? - zaproponowała Lesje. - Zamiast do mnie.

Nate wyznał, że nigdy dobrze nie pamiętał, co dziewczynki przyniosły, jakie szczoteczki do zębów czy boty; on swoich rzeczy też nie pamiętał, nie ma do tego daru.

- Ja też nie - oświadczyła Lesje. A czy on nie zauważył? W niedzielne wieczory, gdy dzieci się pakowały przed powrotem do domu, pokój wyglądał jak dworzec kolejowy po wybuchu bomby. Lesje próbowała coś na to poradzić, ale

ponieważ nie wiedziała, co dzieci przyniosły, jak może być pewna, że wszystko zabrały.

Nate oświadczył, że nikt z nich nie jest ekspertem w tych sprawach, a Elizabeth jest, ma bowiem długą praktykę, a więc to rozsądne, że Elizabeth telefonuje, gdy coś z tych rzeczy znika. Lesje się z tym zgodziła.

Czasami dzieci miały przyjść w piątek na kolację, ale gdy Lesje wracała z muzeum do domu, nie znajdowała nikogo prócz Nate'a.

- Czy mógłbyś poprosić ją, by nas nie zaskakiwała? - spytała Lesje, gdy zdarzyło się to po raz czwarty.

- O czym ty mówisz? - zapytał Nate ze smutkiem.

- Czy to nie za późno zawiadamiać ciebie o tym właśnie w piątek?

- Powiedziała mi we wtorek.

- Ale nikt nie powiedział mnie - oznajmiła Lesje. Nate przyznał, że wypadło mu z pamięci; mimo to można w inny sposób określić te sprawy; to słowo „zaskoczyć” zabrzmiało według niego niegrzecznie.

- I ja ugotowałem kolację. Nie sprawiło ci to kłopotu prawda?

- Nie sprawiło - odparła Lesje. Poczwała, że znajduje się na straconej pozycji: nie miała praktyki w prowadzeniu takiego dialogu. Jej rodzice nigdy, przynajmniej w jej obecności, nie dyskutowali ich zachowania i motywów postępowania, a jej babcie nigdy o niczym nie dyskutowały. Ograniczały się do monologów, pełnych zadumy babci Ukrainki i ochrypłych komentarzy babci Żydówki. Jej rozmowy z Williamem koncentrowały się na wymianie faktów, a nawet ich rzadkie dysputy przypominały bardziej sprzeczki dzieci: „Ja chcę”. „Ty to zrobiłaś”. Lesje nie była przyzwyczajona do omawiania tego, co czuje albo dlaczego czuje, albo dlaczego ktoś powinien się zachować inaczej. Wiedziała, że nie jest

subtelna, że często sprawiała wrażenie niegrzecznej, gdy tymczasem chciała tylko być dokładna. Oczywiście dawała się poznać podczas tych rozmów jako ktoś podły. „Nie dlatego, że nie lubię dzieci albo czuję się urażona”, chciała powiedzieć. „Chcę tylko, by mnie pytano o zdanie”.

Ale nie mogła tego powiedzieć; gdyby to uczyniła, on mógłby powrócić do innej rozmowy.

- Chcę czuć, że żyję z tobą - oznajmiła. - A nie z tobą, z twoją żoną i dziećmi.

- Będę się starał, by nie wchodziły ci w drogę jak tylko to możliwe - powiedział Nate tak przygnębiony, że ona się natychmiast wycofała.

- Nie mówię, że nie mogą tu przychodzić - oświadcza wspaniałomyślnie.

- Chcę, aby czuły, że to jest również ich dom. Lesje już nie jest pewna, czyj to dom. Nie zdziwiłaby się gdyby Elizabeth zadzwoniła i z wdziękiem oznajmiła, że jutro wprowadza się z dziećmi i żeby ona przygotowała dodatkowy pokój i zatroszczyła się, by wszystkie rozrzucone skarpety i boty znalazły się w jednym miejscu. Nate by nie protestował.

Według niego oni oboje powinni starać się ułatwiać życie Elizabeth; a według Lesje to oznacza godzenie się na wszystko, czego ona zażąda. Nate często mówi, że Elizabeth jest bardzo ucywilizowana. To samo sądzi o sobie. Ale chyba nie myśli, że Lesje powinna zdobyć się na wysiłek, by też stać się ucywilizowaną. Nie jest w to bezpośrednio uwikłana.

- Mamy siebie - mówi. Lesje musi przyznać, że to prawda. Oni mają siebie, cokolwiek to „mamy” znaczy.

Lesje wysącza ostatni łyk mleka i kładzie pusty kartonik na tacy. Gasi papierosa i pochyla się, by wziąć torebkę, gdy ostry głos mówi:

- Bardzo przepraszam.

Lesje podnosi wzrok. Kobieta o ciemnych włosach, która jadła lunch z Elizabeth, stoi obok niej.

- Ty mieszkasz z Nate'em Schoenhofem, prawda? - Lesje jest za bardzo zaskoczona, by coś powiedzieć. - Pozwolisz, że usiądę? - mówi nieznajoma. Jest w czerwonej wełnianej sukience i w tym samym odcieniu ma umalowane usta.

- Ja omal też z nim nie zamieszkałam - wyjaśnia obojętnym tonem, jakby opowiadała o pracy, której nie dostała. - Ja jestem ta przed tobą. Ale on stale powtarzał, że nigdy nie opuści rodziny. - Śmieje się, jakby podobał się jej głupi dowcip.

Lesje nie ma pojęcia, co powinna powiedzieć. To pewnie jest Martha, o której mimochodem wspomniał Nate. Wydawało się, że nie potrafi działać skutecznie. Lesje wyobrażała sobie, że ma pięć stóp wzrostu i jest nieśmiała. Prawdziwa Martha nie wydaje się taka i Lesje teraz zastanawia się, czy ona w przyszłości nie zostanie zredukowana do równie bladego cienia. Oczywiście Nate nie wspomniał o dużym biuście Marthy i wydatnych ustach, nie przy Lesje.

- Masz kłopoty z „nią”? - pyta Martha, odrzucając głowę.

- Z kim?

- Nie martw się, ona właśnie wyszła. Królowa Elizabeth.

Lesje nie chce, by ją wciągano w konspirację. Mówienie czegokolwiek przeciwko Elizabeth do tej właśnie osoby byłoby nielojalne wobec Nate'a.

- Ona jest bardzo ucywilizowana - oznajmia Lesje. Nikt nie może zaprzeczyć.

- Widzę, że Nate zrobił ci pranie mózgu - stwierdza Martha, znów się śmiejąc. - Boże, oni oboje uwielbiają to słowo - Mówi to z szerokim, czerwonym uśmiechem Cyganki. Nagle Lesje czuje, że ogromnie ją lubi. Odpowiada jej słabym uśmiechem. - Nie pozwól im grać sobie na nosie. Gdy tylko

zaczną zrobić ci wodę z mózgu. Walcz. Zrób im piekło. -
Wstaje.

- Dziękuję - mówi Lesje. Jest wdzięczna, że ktoś,
wszystko jedno kto, poświęcił jej tyle współczującej myśli.

- W każdej chwili jestem do twojej dyspozycji - mówi
Martha. - Nie znam się na wielu rzeczach, ale wierz mi, jestem
światowym ekspertem na ich temat.

Przez jakieś piętnaście minut Lesje jest w siódmym niebie
Ktoś ją obroni: jej własne spostrzeżenia, do których nie miała
przekonania, a nawet je dezawuowała, okazują się słuszne.
Ale gdy znalazła się w swoim biurze i odtworzyła całą
rozmowę przyszło jej na myśl, że Martha mogła mieć jeden
lub dwa ukryte motywy. Poza tym Martha nie powiedziała, jak
Lesje ma walczyć. Martha oczywiście zwalczała ciosy sama.
Ale trzeba zaznaczyć - to ważny fakt - że Martha nie mieszka
obecnie z Nate'em.

NATE

Piątek, 8 lipca 1977

Nate idzie do swojego domu: swojego poprzedniego domu. Nie może uwierzyć, że już tam nie mieszka. Idzie w górę Shaw Street, mija Yarmouth, mija Dupont, szyny kolejowe, fabrykę, w której coś produkują, ale nigdy go nie obchodziło co. Stalowe belki, coś takiego, coś, czego nie może wykorzystać. Jest gorący, parny dzień, jak to się mówi, powietrze jak gorąca owsianka.

Rano chodził od sklepu do sklepu, tam gdzie umieścił swoje zabawki, Yorkville, Cumberland, Bayview Avenue, dzielnice butików; miał nadzieję, że coś sprzedano i on zbierze forszę, która pozwoli mu na dalszą egzystencję. Jedną zabawkę, Mary miała małą owieczkę. Jego wynagrodzenie, dziesięć dolców. Zastanawia się, czy któryś z właścicieli wyciągnie do niego rękę; pewnie orientują się, że jest w rozpaczliwej sytuacji, a rozpacz, on wie, wywołuje pogardę. Gdy czeka w eleganckich sklepach z ich fartuszkami w kratkę, krzesłami pokrytymi patchworkami, z osłonami na czajniczki do herbaty w kształcie kur, osłonkami na jajka w kształcie kurczaków, z jagodowym mydłem ze Stanów, ze wszystkimi pretensjami, jest trochę skonsternowany jak jego matka. Ludzie wydają pieniądze na tego rodzaju rzeczy, mnóstwo pieniędzy. Ludzie wydają pieniądze na jego zabawki. Czy nie można robić czegoś lepszego? „W ten sposób zarabiam na życie”, myśli. Znowu popełnia błąd. Zrezygnował z obiecującej kariery, wszyscy mówili, że jest obiecująca, chociaż nie mówili, co obiecuje. Chciał robić coś uczciwego, chciał, by jego życie było uczciwe, a teraz ma tylko w ustach smak trocin.

Ale jest zadowolony, że dostał dziesięć dolców. Ma spotkać się z dziewczynkami w domu, Przespacerują się trzema długimi przecznicami do St. Clair; Nancy będzie szła

przed nimi, jakby nie była z nimi; Janet będzie blisko, ale nie pozwoli się trzymać za rękę; ostatnio postanowiła, że jest za duża, by ją trzymać za rękę. W ten sposób demonstrują, że się gniewają na niego, poza tym ukrywają to uczucie. On kupi każdej z nich lody, a potem pójdą do włoskiej piekarni, by wybrać tort dla Elizabeth. On za to zapłaci i tak oto wyda ten banknot. Chociaż jeszcze ma resztę z piątki pożyczonej od Lesje.

Nie umie połączyć czynności wyrzeźbienia owieczki, malowania i polakierowania z ich konsekwencjami: zakupieniem urodzinowego tortu dla Elizabeth. Nie potrafi powiązać żadnej czynności, o jakiej myśli, z żadną konsekwencją, jaką może sobie wyobrazić. Drzewa, które mija, liście miękkie w tym skwarze, domy z ich małymi trawnikami albo ogródkami pełnymi krzaków pomidorów, wydają się rozczłonkowane, stanowią zespół jednostek nie powiązanych z sobą. Liście nie są przyczepione do drzew, dachy nie są przyczepione do domów; w razie jakiejś katastrofy wszystko się rozpadnie, miasto z klocków lego. Jego ciało czuje to samo Kiedyś zrobił zabawkę, przed kilkoma laty, na tokarce, był to drewniany człowiek, skonstruowany z kół, przesuwających się po centralnym słupku. Głowa, przyśrubowana, trzymała całość. Obdarzył tego człowieka uśmiechem klauna. Takie jest jego ciało sztywne fragmenty łączy jego kręgosłup i przyśrubowana głowa Człowiek w segmentach. Może powinien wziąć tabletkę soli.

Myślał, że gdy przeprowadzi się do Lesje, nie będzie musiał być jednocześnie w dwóch miejscach. Ale spędza prawie tyle samo czasu w starym domu co w nowym. Lesje nie powinna o tym wiedzieć, ale zachowuje się tak, jakby i tak wiedziała. Powinien mieć dwa komplety ubrań, dwie tożsamości, każdą dla jednego domu; ten brak dodatkowego

ubioru albo ciała powoduje pęknięcie. Wiedział zawczasu, w teorii, że separacja jest bolesna; nie wiedział, że będzie taka dosłowna. Został odseparowany jest odseparowany. Rozczłonkowany. Już nie jest członkiem rodziny. Jego własny dom gani go, napełnia przeświadczeniem „Nigdy więcej”. Właśnie ten jego ból, sentymentalny, nie do zniesienia złości Lesje, a Elizabeth go ignoruje.

Elizabeth jest bardzo cywilizowana, do pewnego stopnia. Rozmyślnie, niezdarnie grzeczna. Kiedy tylko on przychodzi, by zabrać dzieci, ona zaprasza go do środka, proponuje herbatę albo, w zależności od pory dnia, aperitif: Cinzano, Dubonnet. Ona wie, że on nigdy nie pije tych trunków, ale uciera mu nosa, traktując go jak gościa w jego własnym domu. Który nie jest jego własnym domem. Nate może się założyć, że są jeszcze butelki lub resztki ich zawartości w kuchennym kredensie albo na dole sosnowego kredensu - Elizabeth niewiele pije, nie skończyła ich - ale on nie może naruszyć reguł tej gry, prosząc o ten alkohol. A więc siedzi na brzegu jednego z jego dawnych krzeseł, sącząc drink, którego nie lubi, ale którego nie może odmówić, podczas gdy Elizabeth opowiada mu o dzieciach - ich stopniach, ich ostatnich zainteresowaniach - jakby nie rozmawiał z nimi rok. Jakby on był wujkiem, dyrektorem nowej szkoły. „Jestem ich ojcem!”, ma ochotę krzyknąć. „Nie zapomniałam o tym”, odpowiedziałyby. „Ale czasami ty zapominasz”. To jedno z jej przypuszczeń, tak głęboko zakorzenionych, że nigdy nawet nie chce skierować rozmowy na ten temat, że on zaniedbuje dzieci.

On wie, że powinien kupić Elizabeth prezent na urodziny, zawsze tak czynił. Nawet jeżeli ona nie oczekuje prezentu, dzieci oczekują. Ale Lesje by odgadła, częściowo dlatego że musiałby pożyczyć od niej pieniądze i wtedy zaczęłyby się kłopoty. Nie chce kłopotów, nie potrzebuje więcej kłopotów

tego rodzaju. Lesje nie potrafi zrozumieć, że Elizabeth jest niczym pewien czynnik, warunek, coś, co trzeba wytrzymać jak burzę śniegową: jest kimś moralnie neutralnym. A właśnie Nate uważa, że tak należy patrzeć na Elizabeth. Natomiast Lesje nalega, by patrzeć na nią jak - co? - jak na jej prywatnego trolla, połączenie smoka i elektroluksa. Nate stara się być obiektywny. W tym przypadku bardziej usprawiedliwia swoje błędy niż Lesje.

Chce jej powiedzieć, że wszystko traktuje zbyt poważnie; ale jak może to powiedzieć, kiedy dotyczy to również jego. Elizabeth przestała go tak traktować już dawno. Ale Lesje nie potrafi zachowywać się inaczej. Nie pamięta, by ktoś słuchał go z taką uwagą, nawet jego banałów, jego przypadkowych komentarzy.

Prawie tak, jakby mówił w obcym języku, który ona tylko słabo zna. Lesje myśli, że on dużo wie i ona wiele skorzysta z tej nauki; myśli o nim jak o kimś bardziej doświadczonym. To mu pochlebia, ale również niepokoi: nie może ryzykować całkowitego obnażenia się, odsłonięcia swojego zamętu albo troskliwie chronionej rozpacz. Nigdy nie powiedział jej, jak co noc denerwował się w budkach telefonicznych, wykręcając jej numer, i odkładał słuchawkę, gdy ona odpowiadała. Tchórzostwo, brak opanowania.

W sypialni, o której zaczyna myśleć jak o ich sypialni, ona błyszczy jak cienki biały księżyc świecący tylko dla niego. Widząc, jak jest piękna, przyczynił się do tego piękna. Ale co będzie, gdy ona odkryje prawdę? To, co według niego jest prawdą. Że on jest patchworkiem, człowiekiem z cyny, z sercem pełnym trocin.

Myśli o niej, jak czeka na niego gdzieś indziej, na wyspie, podzwrotnikowej, nie parnej, ze swymi długimi włosami rozwianymi w bryzie morskiej, z czerwoną różą zatknietą za

uchem. Jeżeli ma szczęście, ona będzie czekała, aż to się stanie, aż on przyjdzie tam, by z nią być.

(Chociaż nad brzegiem, w dyskretnej odległości i mimo jego starań, zawsze jest jakaś chatka. On próbuje ją odgrodzić, ale ona również należy do tego krajobrazu. To chatka dla dzieci i oczywiście dla Elizabeth. Kto inny by się nimi opiekował?)

ELIZABETH

Sobota, 9 lipca 1977

Elizabeth zdjęła pantofle i szczotkuje włosy, stojąc przed komodą z lustrem w dębowej oprawie. Powietrze jest wilgotne i nie rusza się, chociaż okno jest szeroko otwarte. Stopy ma wrażliwe i opuchnięte. Ma nadzieję, że nigdy nie będzie miała żyłaków.

W tym owalnym szkle, za jej twarzą, surową i, jak się jej wydaje, obrzękłą w tym świetle, może ujrzeć ślad swej twarzy za dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat temu miała dziewiętnaście lat. Za dwadzieścia będzie miała pięćdziesiąt dziewięć.

Dzisiaj są jej urodziny. Jest spod znaku Raka. Jak jakiś mały pretensjonalny oszust powiedział jej podczas ostatniego przyjęcia z okazji Bożego Narodzenia w muzeum. Ktoś z działu tkanin, kwiecistych wzorów i ziołowych herbat. Od wczoraj ziemia obróciła się raz wokół swojej osi i teraz ona ma trzydzieści dziewięć lat. Wiek Jacka Benny'ego, wiek żartów. Jeśli ktoś ją pyta, ile ma lat, i ona odpowiada, automatycznie zakłada, że jest zabawna i że kłamie. Jack Benny oczywiście nie żyje. Nie tylko to, jej dzieci nawet nie wiedzą, kim on był. Przed tymi urodzinami nie przejmowała się swoim wiekiem.

Do połowy opróżnia szklanekę. Pije sherry, pije już od pewnego czasu. To głupie, głupio jest pić; ale odkąd Nate odszedł, barek z alkoholem nigdy nie jest dobrze zaopatrzony. Ona nie pije stałe tak jak Nate i zapomina uzupełniać trunki. Wykończyła szkocką wcześniej tego dnia. Pozostawione przez niego resztki.

Dzieci nalegały, by urządzić dla niej przyjęcie urodzinowe, chociaż próbowała je od tego odwieść. Kiedy Nate tu mieszkał, obchodzili jej urodziny rano, skromnie, tylko z prezentami. „Przyjęcia są dla dzieci”, powiedziała dziewczynkom i Nate ją poparł.

Ale w tym roku one chcą prawdziwej uroczystości. Myślą, że ją to pocieszy. Ma to być niespodzianka, ale Elizabeth wie, na co się zanosi, jak tylko Nancy zasugerowała po lunchu, aby się zdrzemnęła.

- Nie jestem zmęczona, kochanie - powiedziała.

- Ależ tak. Jesteś, masz wielkie wory pod oczami.

- Proszę, mamó - powiedziała Janet. Janet ostatnio mówi do niej mamó, a nie mamusiu. Elizabeth zastanawia się, czy ten ton rozdrażnienia wzięła od niej.

Elizabeth wspina się po schodach do swojego pokoju; tam leży na łóżku i pijąc szkocką, czyta Angielskie gobeliny poprzez wieki. Jeżeli one przygotowują niespodziankę, ona musi być zaskoczona.

O piątej Janet przyniosła jej filiżankę gorzkiej nie nadającej się do picia herbaty i poprosiła, by zeszła na dół, kiedy usłyszy trzy gwizdki. Elizabeth na paluszkach pobiegła do łazienki, by wylać herbatę; gdy wracała, usłyszała, jak one się kłócą w kuchni. Nasmarowała kremem twarz, włożyła czarną bawełnianą bluzkę i wpięła spinkę z perłą, którą Janet uważa za elegancką. Kiedy usłyszała słabe gwizdki Nancy, otworzyła szeroko oczy, zacisnęła usta i powoli zaczęła schodzić ze schodów, trzymając się poręczy. Naprawdę nie była pijana. Trochę wstawiona, jak mówił wujek Teddy.

Dziewczynki zapaliły świece w kuchni i zawiesiły na ścianach chorągiewki, różowe i niebieskie, z misiami.

- Wszystkiego najlepszego, mamusiu - krzyknęła Nancy. - To jest niespodzianka.

Janet stała przy torcie, który był na stole. Miał trzy świece w jednym rogu i dziewięć po przeciwnej stronie. „Trzydzieści dziewięć nie zmieściłoby się w jednym miejscu”, wyjaśniła Nancy. Napis na torcie otoczony wianuszkiem różowych róż głosił: „Najlepsze życzenia, mamó”.

Elizabeth, która nie przypuszczała, że się wzruszy, usiadła na krześle w kuchni i uśmiechnęła się zagadkowo. Szczękościsk. Był to cień wszystkich przyjęć urodzinowych, których nigdy nie miała. Jej własna matka albo nie pamiętała, albo uważała, że nie ma potrzeby obchodzić jej urodzin, chociaż dostawała prezenty w dniach po tym wydarzeniu. Ciocia Muriel, z drugiej strony, zawsze pamiętała, ale wykorzystywała ten fakt, by olśnić jakimś dużym i kosztownym przedmiotem, czymś, co pachniało już z góry przestępstwem, co krzyczało, że jest zgubione czy skradzione. Rower, zegarek. Nie opakowane.

- Dziękuję, kochanie - powiedziała, przytulając po kolei dziewczynki. - To moje najcudowniejsze urodziny. - Zdmuchnęła świece i otworzyła prezenty, zachwycając się talkiem o zapachu konwaliowym od Janet i puzzlami od Nancy; trzeba trzy białe piłeczki i trzy czarne wrzucić do ich odpowiednich otworów. Nancy jest dobra w takich grach.

- A gdzie masz prezent od tatusia? - zapytała Nancy. - Powiedział, że ma dla ciebie.

- Chyba zapomniał tym razem, kochanie - odparła Elizabeth. - Jestem pewna, że przypomni sobie później.

- Nie rozumiem - oznajmiła Janet po namyśle. - Dał nam pieniądze na tort.

- Miałyśmy o tym nie mówić. - Nancy wybuchnęła płaczem i wybiegła z pokoju; Elizabeth słyszała jej łkanie na schodach.

- Ostatnio żyła w stresie - powiedziała Janet tonem osoby dorosłej, który Elizabeth z trudem znosiła. Wyszła spokojnie, zostawiając Elizabeth z nie zjedzonym tortem i stosikiem zmiętego papieru do opakowania.

Pokroiła tort i położyła kawałki na dwa talerze, potem zaniósła je na górę, przygotowana na to, by głaszczyć i pocieszać. Weszła do pokoju dziewczynek i usiadła, głaszcząc

wilgotne plecy Nancy, gdy leżała na łóżku z twarzą ukrytą w poduszce. Było za gorąco. Czuła, jak pot zbiera się na jej górnej wardze i pod kolanami.

- Ona się po prostu popisuje - stwierdziła Janet. Siedziała na drugim łóżku i obgryzała różę z cukru. - Naprawdę nic jej nie jest.

Elizabeth położyła głowę obok Nancy, która przestała szlochać.

- O co chodzi, kochanie?

- Ty i tatuś już się nie kochacie.

„Do diabła”, pomyślała Elizabeth. „On to urządził. Powinam mu była powiedzieć: Wpakuj je do taksówki i prześlij tutaj”.

- Wiem, że martwisz się, że tatuś już z nami nie mieszka - powiedziała z troską, poprawnie. - Pomyśleliśmy, że będzie dla nas wszystkich lepiej, jeżeli będziemy mieszkać przez pewien czas osobno. Tatuś was bardzo kocha. Wasz tata i ja zawsze będziemy was kochać, ponieważ jesteście waszymi rodzicami. A teraz usiądź i zjedz kawałek cudownego tortu, jak grzeczna dziewczynka.

- Mamusiu - odezwała się Nancy - czy ty umrzesz?

- Kiedyś tak, kochanie - powiedziała Elizabeth. - Ale nie od razu.

Janet usiadła po drugiej stronie Elizabeth. Chciała, by Elizabeth ją również przytuliła.

„Mumia” (Mummy (ang.) - mumia, mamusia.), wysuszone zwłoki w złotej trumnie. „Mum” (Mum (ang.) - milczek, mamusia.), milczek. „Mama”, skrót nazwy gruczołu mlecznego. Drzewo, które naciskają głodne usta. Jeżeli nie chciałaś, by drzewa ssaly twoją pierś ze słodko płynącą wydzieliną, po co miałaś dzieci? Już się przygotowują do ucieczki, zdrady, zostawiają ją, stanie się ich przeszłością. Będą mówiły o niej, leżąc w łóżku ze swymi kochankami,

wykorzystają ją dla wytłumaczenia wszystkiego, co uważają za swoją alergię lub coś bolesnego dla nich samych. Jeżeli kiedyś, za jej sprawą, poczują się winne, odwiedzą ją podczas weekendu. Jej ramiona zaczną zwisać, z trudnością będzie nosić torby z zakupami, stanie się „moją matką”, wymawianą z westchnieniem. Ona poczęstuje je herbatą i chociaż tego nie chce, będzie wścibiać nos w ich życie.

Nie chce teraz; ale to czyni teraz. Te staranne pytania o ten drugi dom: Co jadły na kolację? Kiedy położyły się spać? Czy było przyjemnie? I równie staranne odpowiedzi. Może wyczuły, że to pułapka. Jeżeli powiedzą, że lubią tamten dom, tamto gospodarstwo, będzie dotknięta; jeżeli nie, będzie rozgniewana. „Było w porządku” mówią, unikając jej wzroku, a ona pogardza sobą, że je do tego miesza, zmusza do wymykania się. Ona chce, by były szczęśliwe. Ale jednocześnie pragnie słyszeć o krzywdach, okrucieństwach, aby naprawdę wpaść we wściekłość.

Szczotkuje włosy, jej twarz w lustrze przypomina płaską płytkę. Ołowianą. Ona za bardzo mu ułatwia, za łatwo mu to idzie. Nie jest tym, który musi wycierać nosy i wstawać w nocy, ponieważ dzieci krzyczą. Gdyby nawet mu o tym powiedziała, uznałby, że stosuje emocjonalny szantaż. Podnosi szklanke; czerwonobrazowy płyn ześlizguje się do gardła.

To nie Lesje ją denerwuje. Niech on pieprzy kogo tylko chce, dlaczego ma się tym przejmować? To jego wolności nie może znieść. Wolny jak ptak, gdy ona jest zamknięta w domu, zamknięta w tym domu, gdy dach cieknie i fundamenty rozpadają się, i ziemia obraca się, i kartki spadają z kalendarzy jak śnieg. W środku jej, kości tli się czarny metal.

Siedzi na brzegu łóżka i patrzy na swoje skrzyżowane nadgarstki, na niebieskie żyły, na ich rozgałęzienia. W każdej sekundzie bicie pulsu. Mogłaby się położyć ze świeczkami

przy głowie i nogach. Trzydziestoma dziewięcioma. Mogłaby zatrzymać czas. „Zegarek na rękę”. Z trudem obraca rękę. Jest jedenasta trzydzieści. Sprawdza pokój dziewczynek. Obie śpią. Schodzi do holu, mając zamiar się położyć, ale wkłada pantofle. Nie wie, co zrobi.

Elizabeth podczas gorącej nocy stoi przed nowym domem Nate'a, Nate'a starym domem, którego nigdy przedtem nie widziała. Chociaż oczywiście miała adres i numer telefonu. Na wszelki wypadek. Może dziś jest ten wypadek. Dom tonie w ciemnościach, z wyjątkiem zamglonego światła w górnym oknie. Sypialni.

Chciała to zobaczyć, nic więcej. Zobaczyć, że istnieje. (Rudera; śmietnik, prawdopodobnie są karaluchy. Ta nędza jej się podoba; ten dom jest znacznie gorszy od jej). Ale spokojnie idzie frontowymi stopniami i próbuje wejść. Nie wie, co robi, gdy drzwi będą otwarte. Wkradnie się na schody, gwałtownie otworzy drzwi sypialni jak w starym melodramacie? Ale frontowe drzwi są dobrze zamknięte.

Odgrodzili się od niej. Ignorują ją, chichocząc w sypialni, gdy ona stoi tu na dole, w nocy, niepotrzebna, niewidzialna. Zostawi znak: wrzuci cegłę przez okno, napisze swoje inicjały na drzwiach? Ale nie ma nic do pisania. Czy ma kopnąć pojemnik na śmieci, rozrzucić śmieci na ganku, krzyczeć? Spójrz na mnie, jestem tutaj, nie możesz tak łatwo mnie się pozbyć.

Ale nie może krzyczeć; głos uwiązł jej w gardle. Ma tylko negatywną siłę.

Nagle myśli: „A co się stanie, jeżeli wyjrzą przez okno i zobaczą mnie?” Czerwieni się, skóra pod bluzką staje się wilgotna i kłująca; włosy przyklejają się do karku. Wyświechtane, wyświechtane komunały. Będą się śmiać. Szybko robi w tył zwrot i zaczyna iść na północ, teraz już

trzeźwa, zła na siebie, że zdecydowała się przyjść tutaj, na tę haniebną, pustą ulicę.

A co gorsza: gdzie są dzieci? Zamknięte w domu, same. „Biedronko, biedronko”. Nigdy przedtem nie zostawiła ich samych. Myśli o pożarze, o mordercach wspinających się po murze i widocznych przez otwarte okno. Wielkie niedbalstwo. Ale gdyby dzieci umarły, to będzie częściowo wina Nate'a. Na jej urodziny, mroczna zemsta.

Sama myśl o tym przeraża ją. Zaczyna więc myśleć o torcie o świeczkach. „W białej spódnicy Nancy miała, czerwony nosek miała”. A Nancy patrząc na obrazek kobiety we mgle w Little Riddle Book, spytała: „Czy to jestem ja?” Zadowolona, że jest w książeczce. Wtedy była dużo młodsza.

- Jeżeli zdmuchniesz od razu wszystkie świeczki, spełni się twoje życzenie - powiedziała Nancy. Nancy jeszcze nie wie co się dzieje z życzeniami, o ich niebezpieczeństwie. „Im dłużej ona żyje, tym mniej jest dorosła”.

CZEŚĆ PIĄTA

NATE

Sobota, 3 września 1977

Tak to jest. Nate przez kilka miesięcy tego unikał. Raczej by robił coś innego. Oczami wyobraźni widział siebie na tratwie z balsy, płynącej po Amazonce, z jej malarycznym parnym powietrzem. Krokodyl, aligator podnosi głowę z mrocznej zielonej wody, śmierdząc jak zdechły wąż, sycząc, czyhając na niego. Zręcznie umieszcza kij w jego otwartych szczękach; zwierzę skręca się, jest bezbronne, pada naprzód i do tyłu, a on płynie radośnie, opalony, wycieńczony, ale jeszcze nie gotowy, nie trafiony. Żałuje, że zgubił w tej potyczce swój hełm tropikalny. Ma coś odkryć albo może już coś odkrył. Zaginioną cywilizację. W tylnej kieszeni jest zmięta i poplamiona wodą mapa, która stanie się jedynym tropem, jeżeli zatrute strzały go osiągną. Będzie majaczył. Gdyby tylko mógł dotrzeć do Limy. Na próżno stara się sobie przypomnieć, po której stronie Ameryki Południowej leży naprawdę Lima. Cud wytrwałości, powiedzą.

Ale ciśnienie, nieunikniony wir w końcu dopadły go i zostanie porwany, bez możliwości kontroli, ku otchłani, którą ledwie spostrzega. Próbuje nie panikować, chociaż czuje, że oczy mu drgają, tak że pokój migoce jak w starym filmie. Koncentruje się na swoim jabłku Adama. Nie chce przełknąć, ona widzi to w okamgnieniu. On krzyżuje i prostuje nogi, lewą na prawej, pierwszy krok do zdobycia skautowskiego węzła refowego. Nie ma niczego do picia prócz przeklętej herbaty, nie ma nawet piwa i on wie, jest absolutnie pewien, że Elizabeth specjalnie tak zrobiła. Wiedziała, że to go zdenerwuje, i ma rację, ma rację.

Wzmianka o prawnikach wprowadziła go w zakłopotanie. Przy pierwszych jej słowach, "mój adwokat" i „twój adwokat”, z trudem łapał oddech. Sam miał być prawnikiem. Kto

powinien wiedzieć lepiej od niego, że w tej nauce nie ma tajemnicy, żadnej okultystycznej siły?

To tylko papier i gadulstwo. Ale chociaż struktura jest fałszywa, może zniszczyć jego życie.

- Czy nie możemy obyć się bez adwokatów? - pyta, a Elizabeth się uśmiecha.

Ulokowała się na sofie, zwinęła w kłębek, pokazując, jak jej wygodnie. Natomiast on siedzi na składanym krześle, z którego wyjęto poduszkę od ostatniego razu, gdy był tutaj. Pośladki go bolą, kości dotykają drewna, kręgosłup dokucza, to krzesło zawsze było dla niego za niskie.

- Nie można mieć rozwodu bez adwokatów - oświadcza Elizabeth. Nate zaczyna wyjaśniać, że jest na to sposób, ale ona mu przerywa: - To nie byłoby całkiem uczciwe. Przecież ty znasz prawo, a ja nie. Czuję, że potrzebna mi jest ochrona.

Nate jest zraniony. Ochrona przed nim? To problem wsparcia dla dzieci. Ona powinna wiedzieć, że on zrobi wszystko, co w jego mocy.

Ona ma kawałek papieru, który mu daje. Ma nadzieję, że on sobie uświadomi, że chciała być jak najbardziej uczciwa. Mówi o rachunkach od dentysty, a Nate z trudem koncentruje się na czarnych znakach przed sobą. Dziewczynki na górze oglądają telewizję w swoim pokoju; tam je posłała Elizabeth. Od kilku tygodni nie pozwalała mu wejść do domu, gdy on przychodził, by je zabrać na weekend. Musiał czaić się na zewnątrz, raz nawet podczas deszczu, jak jakiś zboczeniec albo sprzedawca magazynów, czekając, aż się pojawią w drzwiach frontowych ze swymi małymi nocnymi walizeczkami. Była to część jej kampanii, by zapędzić go w kozi róg, gdzie teraz się przyczaił. Kiedy dzisiaj wszedł do środka, Nancy myślała w pierwszej chwili, że znów się wprowadza. Do „domu”.

Musi jasno powiedzieć Elizabeth, że nie będzie tolerował wykorzystywania dzieci przeciwko sobie. (Powiedzieć jasno, to żart. Jaką on ma władzę, czy wie, co ona im mówi, gdy go tutaj nie ma?)

- Mamusia mówi, że rodziny bez ojca muszą pracować ciężiej i dawać sobie radę - powiedziała mu Nancy w zeszłym tygodniu.

- Ale wy nie jesteście rodziną bez ojca - Stwierdził Nate. Elizabeth zachowywała się, jakby on umarł. Ale on jeszcze żyje i nie ma zamiaru umrzeć, by sprawić jej przyjemność, Nie tak jak Chris. W ostatnich kilku tygodniach czuł wzrastające pokrewieństwo z Chrisem, z tą fatalną desperacją.

- Masz, oboje rodziców i zawsze będziesz miała.

- Ale nie, gdy mamusia umrze - oznajmiła Nancy. Nate chce o tym porozmawiać z Elizabeth; ten temat pojawia się wiele razy. Czy ona bierze tabletki, tnie sobie nadgarstki wtedy, gdy dzieci mogą to zobaczyć? Nate nie sądzi, że mogłaby się posunąć tak daleko, by mu zrobić na złość. Nie wygląda dobrze, ma opuchniętą i bladą twarz, ale jest ładnie ubrana i on nie dostrzega żadnych bandaży czy blizn.

Nate wie, co się stanie, gdy spróbuje pomówić o stanie psychicznym dzieci. Może przewidzieć pogardę: Jakie on ma prawo komentować? Jest wyłączony. Elizabeth działa tak, jakby on turlał się na dywanie z nagimi kobietami, kiedy on większość czasu poświęca zarabianiu pieniędzy. Recesja się nie skończyła. „Może”, on myśli, patrząc na listę Elizabeth ładnie napisaną na maszynie, „powinienem o tym powiedzieć”. Po pierwszych kilku latach ludzie tak myśleli, ale nie teraz. Już nie chcą dłużej płacić osiemdziesięciu dolarów za żyrafę Jerome i za konia Horacego, niezależnie od tego, jak ładnie były wykonane. A jeśli chodzi o nagą kobietę, to Lesje prawie z nim nie rozmawia. Uważa, że specjalnie próbuje odłożyć sprawę rozwodową.

- To tylko formalność - powiedział jej. - Nic nie znaczy.
- Może nic nie znaczyć dla ciebie, ale Elizabeth wciąż myśli, że jest twoją żoną. Bo jest.

- Tylko na papierze.

- Jeżeli dla ciebie nic nie znaczy, dlaczego nie przeprowadzić rozwodu i mieć to z głowy? - zapytała Lesje. Według Nate'a ona ma niezdrową obsesję na ten temat. To drugorzędny problem, tłumaczy jej. Próbował jej wyjaśnić wiele razy, że związku trwającego dziesięć (jedenaście? dwanaście?) lat nie można kompletnie zakończyć. Elizabeth jest matką jego dzieci. To prawda, że poprosiła go, by pomógł zawiesić nowe zasłony w pokoju dzieci, i jest również prawdą, że poszedł tam; może nie powinien. Ale to było półtora miesiąca temu; nie rozumie, dlaczego Lesje do tego powraca. My się kochamy, mówi jej; kogo obchodzi, co jest w aktach urzędu stanu cywilnego? Ale Lesje odwraca się od niego w łóżku i kuli po swojej stronie. Albo zostaje długo w muzeum, albo przynosi do domu grube książki z wykresami skamielin zębów i czyta je przy stole w kuchni, dopóki, jak sądzi, on nie zaśnie.

- Dinozaury wymarły - powiedział jej pewnego dnia, próbując zmniejszyć napięcie. - Ale ja wciąż żyję.

- Jesteś pewien? - zapytała z drwiącym spojrzeniem. Jakby był kupką małego pieska.

To właśnie ta pustynia, to nieuchronne fiasko, zaprowadziły go w końcu do salonu Elizabeth w kolorze grzybów. Do jej sieci.

Pragnie wstać, pochylić się nad nią, położyć ręce na jej szyi i dusić ją. Miałyby trochę satysfakcji. Jego matka lubiła powtarzać, że mężczyźni powinni chronić prawa kobiet; Nate traktuje to abstrakcyjnie. On wie o szwaczkach, o tych, co pieką ciastka, o nauczycielkach uniwersyteckich, o gwałcie. Ale w konkretnych przypadkach, jak ten choćby, nie widzi

potrzeby. On sam, z pewnością to oczywiste, potrzebuje opieki.

Przypomina sobie zabawę z czasów szkoły średniej, kiedy dokonywał cichej metamorfozy na swych nauczycielach. „Hokus pokus” i Elizabeth staje się gigantyczną białą gąbką. „Presto” i jest wielkim waniliowym puddingiem. „Abrakadabra”, zestawem fałszywych zębów mamuta. „Kapow” i ona ma dżumę. Matka jego dzieci dyszy, pokrywa się plamami, purpurowieje, puchnie i pęka. Będzie musiał dać do czyszczenia dywan, jej dywan i tak to się skończy.

- Zgadzasz się? - pyta Elizabeth.

Odwraca wzrok od kartki; zmusza się, by na nią spojrzeć. Kontakt wzrokowy z ławą przysięgłych, uczono ich, zawsze jest dobry. Wie, że niebezpiecznie jest odpowiedzieć: „Oczywiście”, wtedy by przyznał, że nie słuchał.

- Na rachunki od dentysty? - pyta z nadzieją w głosie. Elizabeth znów uśmiecha się z tolerancją.

- Nie - mówi - na świadków. Powiedziałam, że było by lepiej, gdybym to ja się z tobą rozwiodła niż odwrotnie, ponieważ nie byłoby dobrze włączać do tego Chrisa.

Nate chce zapytać, dlaczego nie, przecież Chrisa nie może to już obchodzić. Natomiast może przewidzieć pewne trudności z Lesje. Ale wie, że to byłoby nietaktowne pytanie. Również wątpliwe pod względem prawnym. Chociaż Elizabeth może przysiąc, że popełniła cudzołóstwo, nic nie może poprzeć jej oświadczenia. Będzie to tylko pogłoska.

Ona mówi, że to niedobrze dla dzieci ciągnąć tę całą sprawę. Ma rację, oczywiście ma rację; wszystko w tych dniach chyba jest niedobre dla dzieci.

- Nie wiem - mówi powoli Nate. - Może nie powinniśmy w ogóle wykorzystywać tych przyczyn. Może powinniśmy mówić o rozkładzie pożycia małżeńskiego, nie sądzisz?

- No cóż, jeżeli chcesz czekać trzy lata... - Elizabeth wzrusza ramionami. „Mnie to wszystko jedno, dopóki będę dostawać pieniądze na utrzymanie”. Mówi coś o czekach z późniejszą datą i Nate kiwa głową. Został schwytany na rozpuście, rączka się obraca powoli, nieubłaganie. Co z niego wytryśnie? Sok z indyka, pięć i dziesięć centów. Wszystko jedno, co zrobi, jest skończony. Gdy zdecyduje się wziąć winę na siebie, Lesje będzie zła, że ją w to wciąga.

- Ja nie doprowadziłam do rozkładu twojego małżeństwa, pamiętasz? - powiedziała przynajmniej o jeden raz za dużo. Ale poczekaj trzy lata i ona też będzie urażona.

Nate bardzo chciałby żyć w Kalifornii, w Newadzie, wszędzie, tylko nie w tym ograniczonym świętoszkowatym kraju. To wszystko wina Quebecu. Małżeństwo, które powinno być rzeszotem, jest pułapką na homary z przynętą na mięso. Jak on się tu dostał? Nie pamięta. Na próżno szuka po omacku drogi wyjścia.

Czy może, czy mógłby zapytać Elizabeth, czy z kimś ostatnio spała? Z kimś wciąż żywym? Jak to wyrazić? On nie może, nie śmie.

ELIZABETH

Sobota, 3 września 1977

Elizabeth siedzi z podwiniętymi nogami, jej kwiecista spódnica (nowa, w odcieniu lilaróż, kupiona pod impulsem chwili, w dniu złego samopoczucia) rozpościera się dokoła niej. Uważa, że ta pozycja stworzy swobodną atmosferę. Pragnie wywołać wrażenie spokoju, pogody, upodobnić się do jej ukochanego kamiennego Buddy ze wschodniej kolekcji. W ten sposób zyska przewagę.

Nie tylko chce sprawiać wrażenie pogodnej, chce być pogodna. Czasami myśli, że to osiągnęła; innym razem myśli, że to może być tylko znieruchomienie. Czy ta figura to Budda czy też kamienny klocek? Na przykład: nie wydaje jej się, że obecnie interesują ją mężczyźni. Wciąż próbuje oceniać nieznanym w metrze, wyobrażać sobie różnych członków personelu muzeum w niecodziennych pozycjach, ale nic nie iskrzy. Przestała przyjmować zaproszenia na kolacje: nie ma ochoty nudzić się tylko po to, by coś zjeść. Jeżeli ma chęć na wątróbki gęsie czy trzustki młodych cieląt, może sobie sama kupić.

Nie umie się nudzić. Nie jest do tego przyzwyczajona. Zwykle odgaduje, jaki będzie następny ruch, i potem próbuje nim manipulować. Ale teraz zna ruchy i nie obchodzą jej pochlebstwa bez osłonek, mające doprowadzić ją do tego, czego, zgodnie z popularnym przyzwoleniem, pragnie. Do tanga trzeba dwojga i nikt już nie tańczy walca. Bardziej niż parodii, ściskania kolana w Courtyard Cafe, wołałaby jakiegoś Latynosa, kogoś bez wyszukanego słownictwa, cienia w skórze, stawiającego bezpośrednie pytanie w bocznej alejce. Tak lub nie.

(Jak Chris. Tak lub nie. Tak, powiedziała, a potem po długim czasie, nie. To ta pauza wzięła go. Nie chce wymieniania Chrisa w procedurze rozwodowej nie ze

względów prawnych, nie ma to nic wspólnego z Nate'em czy nawet z dziećmi. Nie chce go do tego mieszać. Wypowiedzenie jego imienia w ten rytualny sposób może sprawić, że on się zmaterializuje w miejscu dla świadków, błądy i oskarżający - a co gorsza - niekompletny, z głową obserwującą ją z uśmiechem kota z Cheshire, z ciałem wciąż wykrzywionym w agonii. Ona go bezpiecznie pochowała i nie chce żadnego wskrzeszenia).

Chciałaby siedzieć tu, nie niepokoiona, w tym spokojnym pokoju, gryząc herbatnik, który nietknięty leży na talerzyku; mieć pogodne myśli i pozwolić wypadkom samym się rozwijać. Co nie jest łatwe. Elizabeth wie, że biegowi wypadków trzeba pomóc. Również jej wygodna poza źle wpływa na krążenie krwi w nogach. Ale nie chce zmienić pozycji, nie chce się ruszyć. Mogłoby to zasugerować Nate'owi, że on też może się poruszyć, że może wstać i wyjść w każdej chwili. Ona wie - kto wie lepiej? - że zawsze istnieje taka możliwość, takie wyjście. W tę lub w tamtą stronę. Nate, przeciwnie, nigdy tego nie odkrył.

Zaczynają mówić o pieniądzach, dyskutować szczegóły z jej listy. Punkt po punkcie, ona prowadzi go aż do końca strony. Zostawiła to na koniec; teraz on widzi jasno, że jej karty są na stole. Jej asy. Jeżeli chce szybkiego rozwodu, ona podyktuje warunki. Jeżeli chce czekać trzy lata, ona zyska czas na manipulację i zawsze może zmienić zdanie i postąpić tak, by czekał pięć lat. Najważniejsze, by zrozumiał, że nie obchodzi jej jego decyzja. W pewien sposób rzeczywiście nie obchodzi. Ona się nie spieszy, by wszystko załatwić błyskawicznie i wyjść za mąż za kogoś innego.

Nate mówi, o czym ona wie, że nie ma dużo pieniędzy, właściwie prawie w ogóle nie ma, ale że robi wszystko, co możliwe. Ona zwraca uwagę, że jego brak pieniędzy to nie jej sprawa. Czy on ma milion dolarów, czy dziesięć, dzieci muszą

jeść, być ubrane, chodzić do dentysty, bawić się zabawkami. Muszą dostawać kieszonkowe i brać dodatkowe lekcje. Janet chce uczyć się tańca, Nancy od roku chodzi na ślizgawkę i Elizabeth nie rozumie, dlaczego miałyby zrezygnować.

- Oczywiście mogę je utrzymywać tylko z mojej pensji - mówi. - W istocie mogłabym, chociaż musiałybyśmy się ograniczać. - Zastanawia się, czy nie powiedzieć: „Musiałybyśmy oddać kota do towarzystwa opieki nad zwierzętami”, ale uznaje, że posunęłaby się za daleko. Dlatego że kot, chociaż go obiecała, jeszcze nie został kupiony, a kot na gałęzi nie może być zakładnikiem. A gdyby już go miały, dziewczynki nigdy by jej nie wybaczyły, gdyby oddała go do schroniska. Bez względu na to, czy Nate jest, czy go nie ma. Ona jednak prześle mu rachunek, kiedy załatwi tę sprawę. Przecież uzgodniliśmy, że ty będziesz partycypował, jak tylko to możliwe. Dzieci muszą wiedzieć, że rodzice je kochają.

Nate jest zły.

- Ty naprawdę myślisz, że ponieważ nie mam tych przeklętych pieniędzy, to nie kocham moich dzieci? To bezdennie głupie.

- Dzieci cię usłyszą - mówi łagodnie Elizabeth. - Może ja jestem bezdennie głupia. Sądzę, że jeżeli się kogoś naprawdę kocha, jest się gotowym do poświęceń. - „Poświęceń”. To zdanie pochodzi prosto z doktryny cioci Muriel. Przesuwa nogi. Nie podoba jej się, że używa języka cioci, chociaż wierzy w to, co mówi. Ciocia Muriel jednak opuściłaby słowo „kocha”.

Uświadamia sobie, że to zdanie jest dwuznaczne: mogłoby dotyczyć dzieci albo jej. Czy ona pragnie, by Nate ją kochał i dla niej się poświęcał? Prawdopodobnie tak. Trudno zrezygnować z hołdu tych, którzy kiedyś z ochotą go składali; trudno, to niedokładne określenie. Ona leży na łóżku, wtedy nie jej własnym, a Nate głaszcze jej ramiona, piersi, brzuch,

rozciągniętą skórę po porodzie; lubił wskazywać te miejsca, ślady okaleczenia, uda, znów i znów. On zawsze jest uważający, czeka na nią. Czy tego chce? Ale ona wtedy myślała tylko: „Skończmy z tym”.

Próbuje sobie przypomnieć, czy kiedyś go kochała i dochodzi do wniosku, że tak, chociaż nie zawsze dostatecznie. Nate był dobrym człowiekiem i ona doceniała dobroć, choć nie mogła się powstrzymać od lekkiej pogardy. Co czuła w dniu ślubu? Bezpieczeństwo, ulgę: wreszcie nic jej nie zagrażało. Będzie miała dom, zajmie się jego urządzaniem. To wydawało się jej wprost nieprawdopodobne, nawet wtedy. Co jeszcze się wydarzyło, poza zwykłą erozją, tarciami, śmiercią komórek? Urządziła dom, ale nie mogła w niego całkiem uwierzyć, sprawić, by był solidny. A nie tylko chciała bezpieczeństwa. „Nędzarz”, powiedziała ciocia Muriel, kiedy Elizabeth poślubiła Nate'a, ale to była błędna opinia. Nędzarz jest niebezpieczny, a Nate taki nie był. Albo nie w zwykły sposób.

Ostatnio nie słyszała o cioci Muriel; spodziewa się, że już nigdy o niej nie usłyszy. Z tego powodu powinna czuć się zwycięzcą. „Szczęśliwą i godną chwały”. Ciocia albo musi się od niej całkowicie odciąć, albo udawać, że ostatnia niewiarygodna scena, gdy o włos uniknęła nieszczęścia, nigdy nie miała miejsca. Jest całkiem możliwe, że zadzwoni do Elizabeth w grudniu, jak zwykle, by ustalić datę noworocznych odwiedzin. Nie może sobie wyobrazić, że tam pójdzie. Nie może sobie również wyobrazić, że tam nie pójdzie. Usiądzie jeszcze raz na różowej kanapie, otoczona wypolerowanymi przedmiotami, wielkim pianinem dla dzieci, srebrną paterą, a ciocia będzie siedziała naprzeciwko, ze swoimi oczami jak kamyki; i przeszłość będzie zionąć dokoła, otchłań pełna groźnych ech.

- Jakich poświęceń domagasz się ode mnie? - pyta Nate, wciąż rozgniewany. A ma to oznaczać: „Kamień nie może ci dać krwi”.

- Nate - odzywa się Elizabeth. - Wiem, jakie to dla ciebie trudne. Wierz mi, dla mnie też. Ale postarajmy się zachowywać spokojnie. Nie próbuję cię torturować. Musisz w to uwierzyć.

To w większym lub mniejszym stopniu prawda. Ona nie próbuje torturować Nate'a: tortury to produkt uboczny. Ona po prostu próbuje wygrać. Patrząc na niego, obserwując, jak się zagłębia w fotel, wie, że wygra, nie może nie wygrać. Wygra i ma nadzieję, że poczuje się lepiej.

LESJE

Sobota, 3 września 1977

Lesje jest w salonie; i we wczesnym okresie kredowym; biegnie drogą, którą chodzą iguanodony. Jest w adidasach i ma na sobie niebieską koszulkę z czerwonym napisem: „Małe jest piękne”. To pomysł Williama, by dać jej coś dobrego na urodziny; nie przyszło mu jednak na myśl, że napis będzie biegł na jej biuście. Nieczęsto w niej chodzi. Niesie lornetkę w skórzanej torbie przewieszanej przez ramię, która obija się nieprzyjemnie o biodro.

Nie ma niczego za nią, nie ma niczego przed nią, tylko błotnista droga. Po każdej stronie bez przerwy poszycie; wilgoć kapie z liści, jest gorąco jak w łaźni, jej ciało gotuje się. Jezioro jest o mile stąd. Przestaje biec, zaczyna iść. W dali, gdzie wie, że jest otwarta przestrzeń, są zarośla i gorące słońce; słyszy chrapliwe krzyki krążących pterodaktyli, szukających padliny.

Nigdzie indziej nie chciałyby być, ale tym razem nie przeprowadza eksploracji; zna teren bardzo dobrze. Jest to po prostu ucieczka.

Wyłącza się, wstaje z krzesła, idzie do kuchni z pustą filiżanką, tropiąc trociny. On powinien je sprzątnąć. Zapala gaz pod czajnikiem, wsypuje brązowy proszek do filiżanki.

Jest sobota i ona jest sama. Nate jest w domu Elizabeth i wreszcie omawiają sprawę rozwodu. Lesje już dawno tego chciała, a więc nie powinna być dotknięta, że ją pominięto. Zostawiono samą jak dziecko, przed którym rodzice zamknęli drzwi, gdy dyskutowali sprawy tylko dla dorosłych. Chciałyby stanąć na paluszkach, przyłożyć ucho do dziurki od klucza. Chciałyby pospieszować. Chce usłyszeć, co o niej mówią. Jeżeli mówią.

Ale to nie jej sprawa. Teraz się zaczęło i będzie się ciągnąć, Elizabeth ma go na swojej wędce. Będzie żądała

coraz więcej konfrontacji tego rodzaju, więcej negocjacji. To może się ciągnąć latami.

Wlewa wrzącą wodę do filiżanki, dodaje mleka w proszku ze słoika. Tak naprawdę wcale nie ma ochoty tego pić, ale musi coś robić. By zabić czas, zaczyna klasyfikować Elizabeth; to znane ćwiczenie. Gdyby miała Elizabeth na półce, ładnie skostniała, napis by głosił: klasa Chondrichthyes, rząd Selachii, rodzaj Squalidae, gatunek Elizabetha. Dzisiaj określa Elizabeth jako rekina; w innych dniach jest to ogromna ropucha z okresu kredy, prymitywna, krępa, jadowita; jeszcze innego dnia to głowonóg, ogromna kałamarnica, miękka, z mackami i ukrytym dziobem.

Lesje wie, że naukowy obiektywizm to oszustwo. Czyta historie o grabieży i odwecie, dowodach skradzionych przez jednego naukowca drugiemu, o wielkich myśliwych dinozaurów, którzy przekupywali wzajemnie swoich pracowników i podważali swoją reputację. Lesje wie, że pasja do nauki jest taka sama jak każda inna pasja. Mimo to chciałaby, by naukowy obiektywizm naprawdę istniał i by ona sama trochę go miała. Wtedy mogłaby go wykorzystać w swoim własnym życiu. Podchodziłaby do życia filozoficznie i mądrze i byłaby w stanie zmagać się z Elizabeth w bardziej dorosły sposób, bardziej godny niż ta potajemna gra, zresztą trochę lepsza niż młodzieńcza zabawa w określanie kogoś właściwą nazwą.

W obecnej sytuacji nie może walczyć. Tak zresztą jak Nate. Chociaż pozwala sobie na prywatne ataki wściekłości, stanowiące ulgę; to postęp w stosunku do wcześniejszej fazy, gdy nie pozwalał w ogóle krytykować Elizabeth; ale gdy musi obecnie stanąć z nią twarzą w twarz, targować się o pieniądze albo odwiedziny dzieci, mięknie jak wosk. On usprawiedliwia tę postawę, mówiąc, że robi to dla Lesje, że nie chce zaszkodzić sprawie rozwodowej. Wiecznie jest bez grosza, ale

Elizabeth dostaje swój czek punktualnie każdego miesiąca. Pożycza małe sumy od Lesje, pięć, dziesięć dolarów. Jak ona może mu odmówić? Odmówić mu papierosów, piwa, kiedy on oczywiście powoli traci głowę. Żal jej Nate'a. Nie chce odczuwać żalu. On tego również nie chce. A więc nic nie mówi i pożycza pieniądze.

Przed tygodniem Lesje znów podniosła kwestię dziecka, jej dziecka, ich dziecka. Mówiła nieobowiązuco; ale może nim będzie za stara, może teraz jest właściwa pora?

Nate przyjął niechętnie te słowa. Wyznał, że teraz nie może Sobie pozwolić na dziecko.

- Przecież to był twój pomysł - powiedziała Lesje. Czowała się tak, jakby się jemu oświadczyła i dostała kosza. Czy ona nie jest atrakcyjna? Czy ma wady genetyczne?

Nate wyjaśnił, że kiedy oznajmił, iż chce mieć z nią dziecko, to wyraził życzenie, pragnienie, nie czynił praktycznej sugestii; nie oznaczało to, że ma nastąpić natychmiast.

Lesje, która rzadko czyniła takie rozróżnienia, starała się go zrozumieć. Chyba on ma rację. Nate łoży na utrzymanie dzieci Elizabeth, a ona i Nate żyją z jej dochodów. Ona nie może sabotować tych ustaleń, mając dziecko. Nie jest absolutnie przekonana, czy naprawdę chce je mieć, ale nie podoba jej się to, że właściwie Elizabeth pozbawia ją maleństwa.

Lesje myśli, że może powinna przyłączyć się do grup dyskusyjnych. Słyszała o takich grupach, czyta o nich w dziale rodzinnym, w gazetach przynoszonych przez Nate'a co wieczór. Uczestnicy spotykają się w piwnicach i ofiarują bandaże tym, których zraniły szrapnele eksplodujących rodzin. Może powinna tam pójść, pić herbatę, jeść ciasteczka i psioczyć na Elizabeth. Ale wie, że nie może. Jest beznadziejna w grupach, bałaby się tego, co mogłaby powiedzieć. W każdej

grupie niepełnosprawnych ona zawsze będzie najmniej niepełnosprawna albo będzie udawać, że jest taką. Są również grupy jak choćby „Druga runda”, przeznaczone dla małżeństw, ale ona nie jest mężatką.

Gdyby była niezależna i miała silny charakter, to by jej nie przeszkadzało, w istocie podeszłaby do tego z zadowoleniem. Wiele kobiet nie używa już nazwisk mężów, sprzeciwiają się, gdy mówi się „mój ten” albo „mój tamten”; a Nate, kiedy musi ją komuś przedstawić, co nie zdarza się często, nie używa zaimka dzierzawczego. Po prostu podaje jej imię, nie dodając nawet miss i to mu się podoba. Jest zadowolony, twierdzi, że Lesje nie jest panią Schoenhof. Niech Bóg broni, by ona była w jakimś stopniu podobna do jego matki czy żony. Jednakże zamiast czuć się dobrze po takim oświadczeniu, czuje się nikim. Chociaż jej własny konserwatyzm, nie podejrzewany dotąd, przeraża ją, ona chce gdzieś należeć, chce, aby widziano, że należy; chce być sklasyfikowana, chce być członkiem grupy. Już jest grupa pani Schoenhof: jedna matki Nate'a, druga matki jego dzieci. Lesje nie jest niczyją matką; oficjalnie jest nikim.

Z pewnością nie znała takiego statusu, nie zwykła hamować tego stałego wewnętrznego jęku, krytycznego, pełnego żalu. Może za dużo myśli o Elizabeth. „Jeżeli często będziesz robiła taką minę”, mówiono w szkole, „będziesz tak wyglądała, gdy dorośniesz”. Jeżeli nie będzie uważać, przeobrazi się w Elizabeth. Czasami myśli, że Nate to niewyraźny praktyczny żart Elizabeth, która bawi się jej kosztem z niezgłębionej dla niej przyczyny. „A więc śmieję się”, mówi do siebie. Ale nie może.

„To niedobrze”, powinna mu powiedzieć. Bez sensu. Ale to nieprawda: jest dobrze i ma sens. W pewnych dniach, w pewnych minutach. Od czasu do czasu.

Chodzi o to, że ona podporządkowała się wersji Nate'a o niej. Czasami kiedy jej dotyka, czuje, że jest ubrana, a nie naga; jest w jakimś nieokreślonym ubraniu, które rozpościera się dokoła niej jak błyszcząca chmura. Uświadamia sobie prawie z paniką, że obraz, jaki on wymyślił o niej, jest nieprawdziwy. On spodziewa się, że będzie pogodna, będzie azylem; wierzy, że jest dobra. Naprawdę tak myśli i że jeżeli będzie kopał dostatecznie głęboko, właśnie to znajdzie. Powinien wiedzieć już teraz, że ona nie jest taka. Mimo to taką chce być; chce być pięknym duchem, tym pozbawionym kości widmem, które on wywołał. Czasami naprawdę tego by chciała.

Lesje patrzy na podłogę w kuchni; trzeba by ją umyć. Nie dlatego, że gdy jest czysta, wygląda lepiej. Widzi białe grudki w kawie, zlew pełen filiżanek i łyżek jest równie grudkowaty. Powinna się wykapać. Ale stawia filiżankę do zlewu, do innych filiżanek, i wychodzi, zamykając drzwi.

Idzie na południe rozgrzanym chodnikiem, potem na zachód ulicami z rozsypującymi się budynkami z cegieł, zapadającymi się werandami, starymi przeludnionymi domami. To miejsce jest coraz bardziej znajome; to prawie kraina jej babć. Dom niskiej babci stał przy tej ulicy albo może nie przy tej, ale przy następnej; jej okrągłutka babcia mieszkała kilka przecznic dalej na zachód, bliżej złotej kopuły kościoła, ale w prawie takim samym domu.

Lesje nie myślała wiele o tych ulicach od śmierci obu babć, gdy przestała je odwiedzać. Pamięta babcie, jak wyglądały, niektóre pokoje w ich domach, ale nie same domy. Wydaje się, jakby ta dzielnica przestała istnieć na mapie. Ale teraz chce odnaleźć te budynki. Będą jakby świadectwem, gdyż babcie stanowiące prawdziwe świadectwo odeszły.

Stoi bez ruchu. Jest na małej uliczce dławiącej się drzewami zaparkowanymi autami, pomiędzy którymi bawią

się dzieci, wybiegając na chodnik. Domy wydają się mniejsze, niż przypuszczała; niektóre są pomalowane na ostry niebieski, żółty; beton pomiędzy ceglami na inny kolor. Nic nie pamięta; jeżeli chce znaleźć swoje babcie, musi szukać gdzie indziej. Mieszkają tu teraz inni ludzie, z innych krajów. Oni z kolei zarobią pieniądze i przeniosą się na północ. To nie jest ustabilizowana okolica, stąd do wieczności, jak myślała, gdy była dzieckiem, to tylko przystanek kolejowy, obóz przejściowy. W dalekiej przyszłości archeolodzy będą kopać wśród gruzów i wydobywać kolejne warstwy. „Teraz należy do czarnych”, powiedziała babcia, mówiąc o swoim sklepie.

Gdyby babcie żyły, też by się przeniosły na północ. W każdym razie zrzuciłyby swoje czarne suknie, pojechały na wycieczkę do Niagary, zrobiłyby sobie trwałą, kupiły spodniemy z krempliny. Zasympilowane. Ale one wryły się w jej pamięć inaczej, odcięte od swojej zniszczonej przeszłości i osiadłe tutaj. Anachroniczne, ostatnie tego rodzaju.

„Miałyśmy wtedy tylko błogosławieństwo matki. Było to ważne. Gdy młody człowiek idzie na wojnę, musi dostać błogosławieństwo matki. Ja pierwsza zaczęłam pracować w Eaton, reszta to chorujący Anglicy. Nie podobało im się to. Ja nic nie mówiłam, kiedy zapytali, co to za nazwisko. Trzymałam buzię na kłódkę i całkiem dobrze na tym wychodziłam. Wtedy miałyśmy kwiaty we włosach i tańczyłyśmy. Teraz też próbują, ale to nie to samo”.

Wtedy Lesje nie mogła sobie wyobrazić, że jej babcia była chuda, znacznie młodsza. Wydawało się, że zawsze była taka jak teraz, z nieatrakcyjną twarzą, melancholijna, pachnąca potem i politurą do mebli. Druga babcia też tańczyła albo tak tylko mówiła. Wspominała o chusteczkach; Lesje nie rozumiała, o co chodzi; więc wyciągnęła chusteczkę kleenexa i pomachała nią. Lesje mogła jedynie wyobrazić sobie babcie

w jej obecnym wieku, jak śmiesznie podskakuje w malutkich czarnych butach i macha chusteczkami.

Jakiś facet o oliwkowej cerze, niski, mówi coś do Lesje, ale ona nie rozumie, tylko czuje, że to nic przyjaznego. Lesje nie wie, gdzie jest, słońce zachodzi, więc pewnie to zachód; kierunek na złotą kopułę kościoła, który widziała z zewnątrz, ale nigdy nie wolno jej było tam wejść. W synagodze też nigdy nie była do czasu pogrzebu. Odwraca się, starając się znaleźć drogę powrotu.

Nie słuchała uważnie ich historii, nudziły ją; myślała, że babcie chcą ją nawrócić na jedną lub drugą wiarę. Nie miała do nich cierpliwości, do ich skarg i kłótni; ich nie kończące się historie były jej zupełnie obce, opowieści o wojnach, cierpieniu i horrorze, o dzieciach przebitych szpadami, nie miały z nią nic wspólnego. Stary kraj, archaiczny i okropny; nie taki jak ten. Teraz chciałyby usłyszeć te głosy; nawet sprzeczki, nawet ataki furii. Chce tańczyć z kwiatami we włosach, chce być uświęcona, wszystko jedno przez kogo. Chce błogosławieństwa matki. Chociaż nie przypuszcza, by matka mogła tak postąpić.

To jest problem. Ona już teraz wie, że ludzie nie zachowują się tak, jakby ona sobie życzyła. Co więc powinna zrobić, zmienić swoje życzenia?

Kiedy miała dziesięć lat, chciała pójść do muzeum, nie z jedną babcią w sobotę rano, jak zwykle, ale z obiema. Jedna trzymałaby ją za prawą rękę, druga za lewą. Mogłyby nie rozmawiać ze sobą, przecież słyszała, jak mówiły, że prędzej umrą, niż to uczynią. Ale nie było żadnych zakazów chodzenia. Cała ich trójka chodziłaby razem, powoli ze względu na grubą babcię, kamiennymi stopniami do muzeum, z Lesje pośrodku, i pod złotą kopułę. W przeciwieństwie do dinozaurów to mogło się naprawdę wydarzyć; kiedy jednak w końcu zrozumiała, że nigdy nie nastąpi, zapomniała o tym.

Jeśli chodzi o Nate'a, to sprawa jest prosta. Ona tylko chce, by oboje się zmienili. Nie za bardzo, wystarczy trochę. Niektóre molekuły, inny układ. Ona chce tylko cudu, inaczej wszystko jest beznadziejne.

NATE

Piątek, 25 listopada 1977

Nate siedzi w barze hotelu Selby, pije piwo z beczki i ogląda telewizję. Jest piątkowy wieczór, ludzie paplają i z trudem dochodzi dźwięk. W ciągu ostatnich kilku miesięcy więcej informacji o występkach policji konnej przedostało się do publicznej wiadomości. I teraz trójka mędrców bezlitośnie bada sprawę. Policjanci konni udając, że są separatystowskimi terrorystami, wysyłali wszędzie gwałtowne listy, spalili stodołę i ukradli pocztę. Sugeruje się również, że facet, ongiś szef wywiadu, był podwójnym agentem, pracował dla CIA. Premier twierdzi, że nic nie wiedział i, co więcej, że jego urząd nie powinien o tym wiedzieć. To stara wiadomość, której nie traktuje się z nową mądrością. Nate pali papierosa, obserwując, jak widmowe głowy marszczą się i głupio uśmiechają, sceptyczne.

Jego matka zbiera podpisy w liście protestacyjnym, jak zwykle. Będzie dużo gadania i nic się nie stanie. Nate nie cierpi mędrców za to, że udają, iż jednak coś będzie się działo, oraz za ich powagę i wymuszone oburzenie. Teraz raczej interesują go wyniki hokeja, chociaż Leafs źle grają, jak zawsze. Dookoła niego chmura dymu powiększa się, szklanki klikają, głosy rutynowo się mieszają, pustka rozprzestrzenia się jak okiem sięgnąć.

Przychodzi Martha i stoi niepewnie w końcu baru. Nate podnosi rękę, by zwrócić jej uwagę. Zauważa go i zmierza ku niemu, uśmiechnięta.

- Długo nie widziany - mówi Martha. To wielka ironia, gdyż Nate spotyka teraz Marthę codziennie w biurze. Dzisiaj jednak zaprosił ją na kolację. Coś jej zawdzięcza. Gdy tylko Martha siada, Nate uświadamia sobie, że popełnił błąd, nie powinien był zaproponować baru Selby'ego. Zwykle dużo tu pili. Ma nadzieję, że Martha nie stanie się sentymentalna.

Jak dotąd nie wyjawia swoich uczuć. Uderzyła łokciem o stół.

- Jezu, ale bolą mnie nogi.

Nate interpretuje to wyznanie, tak jak zawsze interpretował jej otwartość; upieranie się na wyrażeniach potocznych: to tylko przykrywka dla innych bardziej delikatnych rzeczy. Wydaje mu się, że zrobiła coś ze swymi włosami, chociaż nie bardzo pamięta, jak wyglądały poprzednio. Jest szczuplejsza niż dawniej. Jej piersi spoczywają na skrzyżowanych ramionach, uśmiecha się do niego, on odczuwa skurcz napiętości. Wbrew sobie. To nie z powodu wysokich butów. Martha zawsze chodziła w takich butach.

Zamawia jeszcze dwa piwa z beczki i przypomina sobie, że ta kolacja to zwykła rutyna. Bez Marthy albo z Martha występującą przeciwko niemu nigdy nie dostałby nawet czarnej roboty, którą teraz wykonuje. Młodych prawników, prawników znacznie młodszych od niego - nagle ze zdumieniem stwierdza o ile młodszych - jest teraz dużo i po co firma miałaby go znów angażować po jego dezercji? Zresztą on zardzewiał również, zapomniał mnóstwo rzeczy, o których myślał, że nigdy mu się nie przydadzą. Ale rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy i nie wiedział, dokąd pójść.

Jest wdzięczny Marcie, że się z niego nie śmiała, nie szydziła. Nawet nie powiedziała: „Wiedziałam, że wrócisz”. Słuchała go, jakby była pielęgniarką albo referentką opieki społecznej; a potem powiedziała, że zobaczy, co będzie mogła zrobić.

Praca, którą dostał, to nie to, co by wybrał. Udziela opieki prawnej. Ponieważ firma ma opinię radykalnej, uważa, że powinna przyjmować więcej spraw do obrony; teraz wpływa więcej spraw niż kancelaria Adams i Stein i młodzi prawnicy mogą załatwić. Nate pomaga rozładować to przeciążenie.

Otrzymuje pensję za kilka godzin, a okazało się, że to praca na cały dzień; pilotuje nieważne sprawy, takie, których nikt inny nie chce wziąć, ponieważ są skazane na przegraną; sprawy zbirów, włamywaczy i narkomanów; pilotuje w sądach i w więzieniu, znów w sądach i w więzieniu. Wie, że to określony proces.

Wskrzesał swoją teczkę i dwa ubrania, zastanawiając się podczas szperania w kuftrze stojącym w szafie w jego dawnym pokoju, dlaczego ich nie wyrzucił. Czyści teraz buty i paznokcie, czarna obwódka po farbie na naskórku prawie znikła. Rano wdycha aseptyczny zapach więzień, zapach gliniarzy, ciał w zamknięciu, kwaśnego powietrza wdychanego i wydychanego zbyt wiele razy; zapach nudy i pogardy. Słucha kłamstw swych klientów, obserwuje, jak ich wzrok natychmiast kurczy się pod jego spojrzeniem, wie, że gardzą nim, jego wyczyszczonymi butami i jego wiarą w nich.

Nie wiedzą, że on nie wierzy w nich. Idzie z nimi do sądu, robi, co może, doprowadza do ugody, zawiera tandetne układy z prokuratorami Korony. Przysłuchuje się rozmówkom w żargonie, dowcipom innych adwokatów, które kiedyś uważał za obraźliwe; a ostatnio w nich uczestniczy. Czasami wygrywa sprawę i jego klient jest wolny, ale nie zdarza się to często. Jednak to nie triumf. Małoduszność drobnych przestępstw, absurdalna pedanteria drażnią go. Wydaje się, że nie ma związku między tym, co spotyka tych ludzi, a tym, co zrobili: dwa radia i stereo, strzelanie w alei, zawartość szuflad w biurku jakiejś starszej pani.

Matka powiedziałaaby, że jego klienci to wytwory środowiska, co bez wątpienia jest prawdą. Cierpią na szok kulturowy; punkt, w którym zestaw jednych przepisów zderza się z innymi. Jego matka potrafi połączyć ten pogląd z wiarą w ludzką godność i wolną wolą, przynajmniej gdy to jej dotyczy. Nate nie umie sprostać tej logicznej sprzeczności. On

nie sądzi tych ludzi ani nie uważa, że jest instrumentem sprawiedliwości. Po prostu wykonuje pracę. Równie dobrze mógłby pracować dla SPCA. Chciałby zajmować się sprawą policji konnej: firma działa dla szalonej, peryferyjnej gazety kiedyś w wandalski sposób zniszczonej. Ale tę sprawę bierze oczywiście Stein.

Kelner stawia dwa piwa; Martha posypuje swoje solą.

- Jak idzie? - pyta. Pije, zostawiając na górnej wardze wąsy z piany. Jemu się to zawsze bardzo podobało, sposób, w jaki łąpczywie piła piwo. Czułość krąży w nim.

Na ekranie telewizora, który on widzi, a ona nie, René Levesque gestykuluje, wzrusza ramionami, wyjaśnia; smutek wyziera z jego oczu, z pomarszczonej twarzy mima. Z tego co Nate zdołał zrozumieć, mówi coś o ekonomii. Teraz zaś, że nigdy nie myśleli o separacji. Ten facet rozczarował Nate'a, cała sprawa to gorzki zawód. Stracone szanse, kompromis, jak w reszcie kraju. To świat bez wolności. Tylko głupiec mógłby uwierzyć w coś innego, a Levesque nie jest głupcem. (Jak Nate: już nie jest). Wygląda coraz mniej jak klaun. Raczej jak żółw: mądrość poorwała go zmarszczkami, zamknęła w pożytecznej skorupie.

- Hej, marzycielu - odzywa się Martha. To pierwsza oznaka, że kiedyś byli kochankami: to jej stare słowa. Nate spuszcza wzrok.

- Świetnie - mówi. - Tak mi się wydaje. - Chciałby wyrazić jak najwięcej entuzjazmu. Martha chce wierzyć, że jej działanie go uszczęśliwiło. On wie, że dała z siebie wszystko dla niego; ale nie wie, dlaczego.

Martha nie daje mu wskazówek.

- W starej szcurzej norze.

W jadalni u Selby'ego, mniej niż by chciał, bardziej niż go na to stać, jedzą wątróbkę z frytkami i Martha opowiada o biurze: kto odszedł, kto przyszedł, czyje małżeństwo się

rozpada, kto chodzi z kim. Jak zwykle Martha jest doskonale zorientowana; jowialnie relacjonuje: „Lepiej że z nią niż ze mną”, mówi albo: „Niech mu będzie”. Nate czuje się z nią dobrze, jakby słuchał oddechu dużego gorącego zwierzęcia. Chciałby wsunąć się w nią, położyć głowę pod jej ramieniem i zamknąć oczy, ale Martha traktuje go jak przyjaciela, starego przyjaciela, godnego zaufania i neutralnego. Zachowuje się tak, jakby nie pamiętała, że kiedyś płakała, uderzyła go czy wrzeszczała, i Nate rozmyśla znów o bezwstydzie kobiet. O ich braku wstydu. Wierzą, że cokolwiek robią, jest usprawiedliwione w danym czasie, więc po co czuć się winną. Nate zazdrości im tej postawy. Sam wie, że nie traktował Marthy tak, jak zamierzał, ale ona chyba o wszystkim zapomniała, o tym też.

Gdy je ciastko z wiśniami, Martha opowiada o swoich ostatnich zainteresowaniach: ochotniczo zbiera pieniądze na budowę domu Nellie's Halfway, a we wtorki i czwartki chodzi na naukę jogi. Nate nie może sobie wyobrazić Marthy, pulchnej, w czarnym trykocie, jak zgina się jak precel ani nie może utożsamiać jej z maltretowanymi kobietami, które znalazły schronienie u Nellie. Ona nigdy nie wykonywała ćwiczeń, a teorie, „problemy”, jak je nazywała, nigdy jej nie interesowały. On wie: kiedyś próbował przekonać ją, by kupiła sobie rower, a kiedy zaczynał wyjaśniać, o co chodzi w Quebecu, w Izraelu, w Kambodży, mówiła, że dosyć się tego nasłuchiwała w telewizji. Ale to, co nieprawdopodobne, zmaterializowało się, ona siedzi naprzeciwko niego, je widelczykiem ciasto i mówi o reformie ustaw dotyczących gwałtu.

Nate mówi sobie, że trzeba postępować jak Martha, zając się jakąś sprawą czy też jakimś hobby po zdobyciu szczytu, podczas powolnego schodzenia do niemodnej doliny, zamieszkałej przez ludzi takich jak jego matka: z sekty

kristadelfianów, wegetarianinów ze szkoły samozatrucia, esperantystów, wykładowców na temat pojazdów kosmicznych, unitarian. Taką zawsze miała opinię o niej Elizabeth, opartą, według Nate'a, na podstawie Marthy garderoby. Elizabeth uważa, że ruch wyzwolenia kobiet zanika; a zainteresowanie kultami Wschodu nie jest tym, co dawniej. Ale Marthy to nie obchodzi. Komentuje jego wygląd: „Brak mu tlenu”, stawia diagnozę. Bardzo niewiele osób oddycha prawidłowo. Powinien spróbować pełny oddech i prostą wersję salutu do słońca. Martha gwarantuje, że to zadziała cuda.

Potem znów powraca do prawa. Wygłasza opinie o systemie sądów rodzinnych; w istocie jeżeli uda się jej zaoszczędzić dostatecznie dużo pieniędzy, pójdzie do szkoły prawniczej i zostanie prawnikiem, więc może specjalizować się trochę w tej dziedzinie. W trakcie studiowania to będzie łatwe, gdyż już wie sporo na ten temat; Bóg wie, ile napisała tekstów na maszynie. Nate mruży oczy. Widzi teraz, że Martha nie jest taka głupia, ale z pewnością nie supermądra. Chociaż jest całkiem możliwe, że lepiej zna prawo dotyczące tej problematyki niż on. Może być całkiem dobra, może nawet być bardzo dobra. W sądach rodzinnych.

Ale Nate czuje się poniżony. Dniami, tygodniami, miesiącami nie myślał ani razu o Marcie. Jego ręce tylko słabo pamiętają, jakie jest wnętrze jej ud, jej smak znikł z jego języka, nie pamięta jej sypialni: Jakiego koloru były zasłony? Jednak smuci go to, że tak łatwo, tak szybko został zapomniany. Czy był tak mało ważny? Przekonuje siebie, że Martha nie może mieć nowego faceta w zanadrzu, kogoś, kto ma dla niej takie samo znaczenie, jak on miał; w przeciwnym razie nie interesowałaby się tak szkołą prawniczą.

Płaci rachunek i idą w stronę drzwi, Martha przed nim. Trzyma płaszcz na ręku i on obserwuje jej biodra i pośladki

pod tweedową spódnicą. Może ona go znów zaprosi? Mogliby siedzieć w jej saloniku i wypić kilka drinków. Nic więcej nie będzie, tylko to. Nate rozważa tę możliwość: oczywiście nie powinien przyjąć tego zaproszenia. Jest piątkowy wieczór, przyjdą dzieci, Lesje czeka na niego. Nie powiedział jej, gdzie idzie; powiedział, że ma jakąś robotę prawniczą do wykonania. Zabranie Marthy na kolację to w pewnym stopniu też praca prawnicza, ale byłoby to trudne do wyjaśnienia.

Na ulicy, jednak, Martha mu dziękuje, żegna go.

- Zobaczymy się w poniedziałek - mówi. - Harując z powrotem w starej budzie. - Idzie do rogu, w swoich butach, machając na taksówkę. Nate widzi, jak zatrzymuje się jedna, ona otwiera drzwi i do niej wsiada.

Chciałby wiedzieć, dokąd jedzie, ale ona tam się uda niezależnie od tego, czy on o tym wie, czy też nie. Świat istnieje poza nim. On to przerabiał wiele razy w teorii; nigdy nie wiedział o tym z całą pewnością. Jego ciało jest przedmiotem w przestrzeni i pewnego dnia on umrze.

Teraz sobie przypomina, że myślał o tym wiele razy. Stoi tam, gdzie ona go opuściła. Nie chce wracać do domu.

ELIZABETH

Piątek, 14 kwietnia 1973

Ciocia Muriel jest w szpitalu. To samo przez się jest niewiarygodne. Po pierwsze dlatego, że nigdy jej nic nie było. Elizabeth nigdy nie myślała o cioci jako o istocie mającej śmiertelne ciało jak inni ludzie; raczej jak o kimś, kto od szyi do kolan jest z gumy, nieprzemakalny i nie do zderzenia. Po drugie, jeżeli coś z nią było nie tak, w co Elizabeth wątpi, ciocia sama by o tym powiedziała. A jednak jest w szpitalu, dokładnie w szpitalu księżnej Margaret, i Elizabeth została wezwana. Mimo swojej przysięgi, że nigdy więcej nie zobaczy cioci, nie śmiała odmówić.

Siedzi na krześle dla odwiedzających obok podnoszonego łóżka, a ciocia w szpitalnym niebieskim szlafroku, podparta, narzeka. Oni tu dodają dużo chloru do wody, ona to czuje po smaku. Ciocia pamięta, kiedy woda była wodą, ale nie przypuszcza, że Elizabeth dostrzega różnicę. Na początku nie mogła dostać oddzielnego pokoju. Czy Elizabeth może to sobie wyobrazić? Musiała dzielić pokój z okropną starą babą, która charczała całą noc. Ciocia jest pewna, że kobieta umierała. Ciocia nie mogła w ogóle spać. A teraz, kiedy dostała wreszcie separatkę, nikt nie zwraca na nią uwagi. Musi dzwonić i dzwonić, i dzwonić, nawet trzy razy, by przyszła do niej siostra. One wszystkie czytają kryminały, ciocia to widziała. Pielęgniarka pracująca na nocnej zmianie jest z Indii Zachodnich. Jedzenie jest okropne. Ona nie może znieść buraków, zawsze prosi o inne jarzyny, ale oni przynoszą jej buraki. Czasami myśli, że robią to specjalnie. Porozmawia z doktorem MacFaddenem jutro. Jeżeli musi tu zostać, by trochę odpocząć i przeprowadzić różne badania, jak on twierdzi, przynajmniej powinien zadbać o jej wygodę. Ona nigdy w życiu nie chorowała, tak naprawdę nic jej nie jest, nie jest przyzwyczajona do szpitali.

Elizabeth myśli, że to może być prawda. Kojarzy swoje pobyty w szpitalu z narodzinami swych dzieci, ale oczywiście ciocia nigdy tego nie przeżyła. Elizabeth nie może sobie wyobrazić, by ciocia mogła urodzić dziecko, będąc znacznie mniej zaangażowana we wstępne czynności tego aktu. Trudno wyobrazić sobie wuja Teddy'ego, jak szturmuje te osłonięte barykady, uchyla te uda o barwie kartofla; trudno wyobrazić sobie ciocię pozwalającą na to. Chociaż mogłaby na to się zgodzić z poczucia obowiązku.

Ciocia przyniosła do szpitala swoją poszewkę, którą haftowała od lat: ten wzór to bratki w koszyku. Dawniej robótka leżała na różnych krzesłach i sofach w jej domu, świadcząc o tym, że nie jest leniwą kobietą. Na kapie szpitalnej wydaje się nie na miejscu. Ciocia, gdy mówi, podnosi ją i robótka spada.

Elizabeth siedzi na krześle dla odwiedzających. Przyniosła chryzantemy, w doniczce, nie cięte; myślała, że cioci spodobałyby się kwiaty, które jeszcze rosną, ale ciocia od razu stwierdziła, że za bardzo pachną. Czy Elizabeth nie pamięta, że ona nie może znieść zapachu chryzantem?

Może pamięta; może specjalnie zapomniała. Czowała, że powinna coś przynieść, jakąś ofiarę, gdyż ciocia umiera; umiera w tej właśnie chwili. Elizabeth jako najbliższa krewna pierwsza się o tym dowiedziała.

- To jest w niej wszędzie - powiedział doktor MacFadden półszepem. - Zaczęło się od raka odbytu. Od jelita grubego. Chyba odczuwała znaczny ból, nim do mnie przyszła. Zawsze mówiła, że jest silna jak koń. To krew ją przestraszyła.

Znaczny ból, oczywiście. Zagryzała zęby tygodniami, nim zmusiła się do przyznania, że ma jelito grube i że ta jej część ją zdradziła. I ciocia Muriel była pewnie równie zaskoczona jak Elizabeth, że może krwawić. Ale przestraszona? Słowo z pewnością obce w słowniku cioci. Elizabeth patrzy na nią, bez

litości, z niedowierzaniem. Taka wroga żywotność nie może umrzeć. Hitler żył dalej po odkryciu, że tłą mu się zęby, i ciocia Muriel też należy do nieśmiertelnych.

Ale skurczyła się. Ciało kiedyś solidne i zwarte obwisło; puder, który stale stosowała, zalega w małych wąwozach zrujnowanej skóry. Jej gardło to jama nad szlafrokiem, jej dumne łono zwiędło. Jej kolor, kiedyś zdecydowany beż, zbladł do barwy brudnych zębów. Jej oczy kiedyś lekko wypukłe jak u pekińczyka, zostały wessane do głębin głowy. Ona zapada się w sobie, topnieje jak czarownica w Czarnoksiężniku z Oz; widząc to, Elizabeth pamięta: Dorothy nie triumfowała, kiedy czarownica przeobraziła się w kałużę brązowego cukru. Przestraszyła się.

Ciocia Muriel jeszcze o niczym nie wie. Doktor MacFadden uważa, że ona nie należy do tych osób, które zyskałyby na wcześnie postawionej diagnozie. Elizabeth delikatnie nalega na otrzymanie prawdopodobnej daty. Jak długo ciocia wytrzyma? Ale doktor nie daje precyzyjnej odpowiedzi. To zależy od wielu czynników. Czasem zdarzają się zdumiewające zwroty sytuacji. Będą jej podawać środki przeciwbólowe i, jeżeli to konieczne, środki uspokajające i oczywiście liczą, że otrzyma trochę moralnego wsparcia od rodziny.

Mając na myśli Elizabeth, która teraz nawet zastanawia się, po co tu jest. Powinna była powiedzieć tej starej zdzirze, dawno temu, żeby się pocałowała...

Nie ma nawet praktycznego usprawiedliwienia jej obecności: ona zna testament cioci, który się przecież nie zmieni. Kilka tysięcy dla dzieci, gdy staną się pełnoletnie, a resztę dla opasłej afrykańskiej świni Timothy'ego Eatona z kościoła. Elizabeth to nie obchodzi. Nauczyła się nie przejmować.

Czy napawa się tym stanem rzeczy? Może. Zemsta opanowuje jej myśli. Powie cioci, że umrze. Ciocia w to nie uwierzy, ale sama sugestia wywoła wściekłość. Albo zagrozi, że pochowa ją w innym miejscu niż na jej cmentarnej działce. Przeprowadzi kremację i rozrzuci prochy nad Center Island, gdzie Włosi grają w piłkę nożną. Włoży ją do słoja na dżem i zakopie w Regent's Park; czarne nogi będą po niej chodzić. To ją załatwi.

Elizabeth nie aprobejuje tych pomysłów, tej pielęgnowanej zemsty; mimo to ona istnieje. Patrzy na ręce cioci, jak zaciskają się na niebieskim szlafroku; którego ona nie śmie dotknąć.

*

Kobieta schwyciła ją za ramię tego dnia przy Eaton's College Street, kiedy właśnie wyszły z przedstawienia odegranego przez dzieci z Toronto z okazji Bożego Narodzenia; było to specjalne ustępstwo ze strony cioci. Obok sekstet Sally Ann śpiewał i dźwięczał dzwoneczkami. Była w nędznym płaszczu i jej oddech pachniał słodyczą i kwasem. I miała tylko jedną rękawiczkę; obnażoną ręką ścisnęła ramię Elizabeth. Elizabeth miała wtedy jedenaście lat. Caroline była z nią. Obie były w niebieskich, tweedowych płaszczkach z aksamitnymi kołnierzami i w aksamitnych czapkach harmonizujących z nimi; ciocia uważała, że to odpowiedni strój na wycieczki do śródmieścia.

Kobieta płakała. Elizabeth nie rozumiała, co ona mówi; głos był niewyraźny. Na jej niebieskim, tweedowym ramieniu ręka spazmatycznie drgała, potem osłabła, jak skurcz nieżyjącego kota. Elizabeth wzięła Caroline za rękę i odepchnęła kobietę. Potem zaczęła biec.

- To mama - powiedziała Caroline.

- Nie, to nie była mama. - Za Maple Leaf Gardens brakowało już jej tchu. - Nie mów, że to mama.

- To była mama - upierała się Caroline. Elizabeth uderzyła ją w brzuch i Caroline przykucnęła na chodniku, krzycząc z bólu.

- Wstawaj - powiedziała Elizabeth. - Umiesz chodzić, idziemy do domu. - Caroline siedziała po turecku na chodniku, rycząc; wierna matce.

Tego wydarzenia Elizabeth nie może zapomnieć. Nie może zapomnieć swojej własnej zdrady. Cioci Muriel nie wolno odejść na tamten świat bez wyjaśnień. Musi dla dobra Elizabeth cierpieć. Wreszcie.

- Nigdy nie słuchasz tego, co mówię - stwierdza ciocia.

- Co takiego? - Elizabeth otrząsnęła się z zamyślenia. Nawet głos cioci jest inny. To głos, który już nie oskarża, tylko jęczy.

- Nigdy mnie nie słuchałaś - mówi ciocia. - Stworzyłam ci najlepsze warunki.

„Nie wszystkie”, myśli Elizabeth, ale nie może się kłócić.

- Nic nie wiedziałaś. Myślisz, że zachowałam się okropnie wobec niej, ale to ja dawałam jej pieniądze przez te wszystkie lata. Nie twój wujek Teddy.

Elizabeth rozumie, że ciocia mówi o jej matce. Nie chce tego słuchać, nie chce słuchać o innym źródle swojej własnej winy.

- Nie opuściłam żadnego tygodnia. Nikt mnie za to nie pochwalił - kontynuuje ciocia. - Oczywiście ona wszystko wydawała na alkohol. Ale ja jej i tak płaciłam; nie chciałam jej mieć na sumieniu. Nie przypuszczam, że rozumiesz, co to znaczy.

Elizabeth może się obejść bez tych informacji. Woli myśleć o swojej matce jako całkowitej nędzarce, świętej pod ulicznymi latarniami. Nawet kiedy była starsza i mogła się dowiedzieć, gdzie jest matka, nie uczyniła tego. Jej matka jak chmury czy anioły żyła w powietrzu albo może - gdy myślała

o bardziej materialnych aspektach - na wujku Teddym. Obraz dwóch sióstr, jak się spotykają, dotykają, wstrząsa nią.

- Widziałaś ją? - pyta Elizabeth. - Rozmawiałaś z nią?

- Zostawiłam wskazówki w banku - odpowiada ciocia.

- Ona mnie nienawidziła. Nie chciała mnie widzieć, telefonowała do mnie, gdy była pijana i mówiła... ale ja spełniałam swój obowiązek. Tego chciał Ojciec w niebie. Twoja matka zawsze była ulubienicą.

Ku przerażeniu Elizabeth ciocia Muriel zaczyna płakać. Łzy leją się z jej wypukłych oczu; zwrot natury, krwawiąca statua, cud. Elizabeth obserwuje to z dystansem. Powinna się cieszyć. Ciocia wreszcie czuje smak popiołów swego życia. Ale Elizabeth się nie cieszy.

- Myślisz, że ja nie wiem - mówi ciocia. - Wiem, że umieram. Wszyscy tu umierają. - Bierze swoją robótkę na tamborku, kłuje ją grubą igłą, zasłaniając obraz łez, których nawet nie ociera. - Ty wiedziałaś - mówi oskarżającym tonem.

- I mi nie powiedziałaś. Nie jestem małym dzieckiem. Elizabeth nienawidzi cioci. Zawsze jej nienawidziła i zawsze będzie nienawidzić. Nie wybaczy jej. To stara przysięga, aksjomat. Mimo to.

Mimo to to nie jest ciocia Muriel. Ciocia z dzieciństwa Elizabeth roztopiła się, zostawiając na swoim miejscu tę łupinę; tę starą kobietę, która upuszcza haftowaną robótkę i z zamkniętymi oczami, płacząc, szuka po omacku szpitalnej narzuty.

Elizabeth chce wstać z krzesła dla odwiedzających i pójść sobie, uciec z pokoju, zostawić ją samą. Zasługuje na to.

Mimo to pochyła się ku niej i bierze za ręce. Rozpaczliwie grube palce chwytają ją. Elizabeth nie jest księdzem: nie może dać rozgrzeszenia. Co może zaoferować? Nic szczerego. Siedziała przy swojej poparzonej matce, nie mówiąc słowa, trzymając ją za zdrową rękę. Nienaruszoną ładną rękę.

Zniszczona dłoń, wciąż była ładna, nie taka jak ta, pokryta żyłami i plamami, z grubymi palcami, którą teraz kołysze w swojej, uspokajając kciukiem jak podczas choroby dzieci.

Jest jej niedobrze. Mimo to, mimo to, szepcze: „Wszystko w porządku. W porządku”.

NATE

Sobota, 15 kwietnia 1978

Nate w metrze pędzi na wschód znanym tunelem; jego trupia twarz ukazuje się w czarnym oknie naprzeciwko, a nad nią plakat reklamujący stanik, zmieniający się w ptaka. Jedzie do swojej matki, by zabrać dzieci. Spały tam; spędził poranek sam z Lesje, która wspomniała wielokrotnie, gdy wrócił z tak zwanej pracy, że ostatnio rzadko się widują. To znaczy, że ona jest sama.

Tego ranka byli sami, ale nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło. Jedli gotowane jajka, a potem on czytał piątkowe gazety wieczorne, siedząc we frontowym pokoju w słońcu, wśród bezczynnych maszyn i nie wykończonych koni na biegunach. Myślał, że będzie mógł pracować nad zabawkami wieczorami, ale jest zbyt zmęczony. Ale nie tylko to. Nie może połączyć tych dwóch zajęć w swojej głowie; odczuwa naruszenie nietykalności osobistej w magazynie przy Front Street East, gdy patrzy na Jer - ry'ego Żyrafę ze swoim niepokojącym uśmiechem. Rzeczywistość jest taka lub inna i z każdym dniem zabawki blakną, tracą krew. Już teraz patrzy na nie jak na eksponaty muzealne, osobliwe, ręcznie robione, mające sto lat. Wkrótce znikną i ten pokój zapełnią papiery.

Lesje chciała spędzić z nim cały weekend, ale on nie mógł odmówić Elizabeth, która twardo domaga się czasu dla siebie. Nate zastanawia się, co Elizabeth wtedy robi. Ma nadzieję, że spotyka się z jakimś facetem, co ułatwiłoby życie. Jemu. W każdym razie to nie Elizabeth by odmówił, ale dzieciom. To Lesje nie całkiem rozumie. Jej tępota, jej odmowa zrozumienia, że ich kłopoty są ich, nie jego czy jej, wścieka go. To prosty i oczywisty fakt, że wiele z tego, co robi, robi dla niej, albo wyrażając to inaczej, gdyby nie ona, on by tego nie robił. Próbował to wyjaśnić, ale ona pomyślała, że ją o coś

oskarża. Lesje wygląda przez okno, patrzy na ścianę, na cokolwiek, tylko nie na niego.

Na szczęście jest matka. Ona zawsze chętnie przyjmuje dzieci, zawsze czeka na taką szansę. Przecież jest ich babcią.

Nate wysiada na Woodbine, wspina się po schodach i wynurza w słabym kwietniowym słońcu. Idzie na północ, na ulicę tandetnych domów, w których spędził dzieciństwo. Dom matki to takie samo pudełko jak inne, pokryte obdrapanym beżowym stiukiem, które zawsze przypomina mu pewne radiowe programy: The Green Hornet i Our Miss Brooks. Kobieta w sąsiednim domu ma na trawniku figurkę czarnego chłopca, ubranego jak dżokej i trzymającego lampę z dyliżansu. Ta figurka stale denerwuje jego matkę. Nate czasem dokucza jej, porównując figurkę z sentymentalnym obrazem czarnego chłopca na frontowej fasadzie kościoła unitarian. „Katolicy z niższej klasy”, mówi, „zagipsowali Marie i Jezusów na swoich trawnikach; może ta kobieta obok należy do unitarian niskiej klasy”. Matka Nate'a nigdy nie uważała tego stwierdzenia za zabawne, ale Nate byłby zdziwiony, gdyby to ją rozśmieszyło.

Naciska dzwonek, zapala papierosa i czeka. Jego matka w niebieskich, wystrzępionych kapciach, które ma przynajmniej od dziesięciu lat, wreszcie otwiera drzwi. „Dziewczynki są na dole, w piwnicy, bawią się w przebierankę”, mówi, gdy on zdejmuje marynarkę koloru zielonego groszku. Trzyma tam dla nich kartonowe pudło; są w nim stroje, nieodpowiednie według niej, by je oddać organizacjom społecznym: wieczorowe suknie z późnych lat trzydziestych, aksamitny płaszcz, długa fioletowa halka. Za każdym razem, gdy to widzi, Nate jest na nowo zdumiony, że jego matka chodziła na przyjęcia, tańczyła i była podrywana.

Matka zaparzyła herbatę i podaje filiżankę Nate'owi. On wolałby piwo, ale nie ma w lodówce. Kupuje piwo tylko dla

niego, a tym razem zapowiedział swoją wizytę w ostatniej chwili. On się nie skarży ani nie rozwija tego tematu; matka jest chyba bardziej zmęczona niż zwykle. Siedzi z nią przy stole kuchennym, pije herbatę i stara się nie patrzeć na jej mapę okrucieństw na świecie, na której gwiazdki rozmnażają się jak myszy. Niedługo dziewczynki skończą zabawę z kostiumami i przyjdą na górę, by się pokazać.

- Elizabeth powiedziała mi, że wróciłeś do kancelarii Adamsa, Prewitta i Steina - odzywa się matka.

Nate czuje, że dokoła niego zaciska się sznur konspiracji. Skąd Elizabeth wie? On jej nie powiedział, nie chciał się przyznać do swojej porażki. Czy to robota Marthy, czy ta sieć nadal działa? Elizabeth nigdy nie dzwoni do jego matki; ale może - to zdrada - jego matka zadzwoniła do Elizabeth. Coś takiego zrobiłaby dla zasady. Chociaż nigdy nie były sobie bliskie. Z trudem przyjęła do wiadomości fakt o jego separacji z Elizabeth. Nie mówiła o tym, ale z pewnością uważa to rozwiązanie za złe dla dzieci. Na przykład nigdy nie wymienia imienia Lesje. Wolałby, by protestowała, krytykowała, wtedy mógłby się bronić; powiedziałby, jakie życie termitów zgotowała mu Elizabeth.

- Tak się cieszę - mówi matka; jej porcelanowoniebieskie oczy błyszczą, jakby coś wygrał: nie na loterii, ale zdobył nagrodę. - Zawsze uważałam, że to jest naprawdę zajęcie dla ciebie. Musisz być teraz szczęśliwszy.

Nate czuje ucisk w gardle ze złości. Czy ona nie rozumie, przecież każdy idiota by zrozumiał, że był do tego zmuszony, że nie miał innego wyjścia? Ugina się pod ciężarem idealnego syna, gipsowy manekin grozi, że wejdzie w niego i go zadusi. Anioł pogwałconych. Ona wciąż rozgrzesza każdego ze wszystkiego, z przestępstwa, odpowiedzialności, z wyjątkiem siebie, z wyjątkiem jego.

- Nie jestem szczęśliwy - oznajmia. - Naprawdę nie nadaję się do tej pracy. Robię to tylko dlatego, że potrzebuję pieniędzy.

- Ale to jest słuszne. - Jej uśmiech nie blaknie. - Przynajmniej robisz coś ze swoim życiem.

- Robiłem coś ze swoim życiem poprzednio.

- Nie podnoś głosu, kochanie - mówi jego matka z pobłażaniem. Nienawidzi tego tonu; czuje się tak, jakby skakał jak mała w górę i w dół, wymachując maczetą i uderzając się w piersi. Lata jej moralnego zadowolenia z siebie grzebały go jak śnieg, jak warstwy wełny. Nieznośne zadowolenie z siebie ich wszystkich, Elizabeth, jego matki, nawet Lesje. Ona się skarży, ale jej skargi są pełne zadowolenia z siebie. On zna to ciche równanie, dobrze się tego nauczył: „Cierpię, dlatego mam rację”, ale on też cierpi, czy one tego nie widzą? Co ma zrobić, palnąć sobie w łeb, zanim potraktują go poważnie? Myśli o Chrisie, jak leży pogruchotany na marach, na swoim materacu, opłakiwany przez dwóch policjantów. „To poważne”. Nie, aby mógł to zrobić.

- Jeżeli chcesz wiedzieć - Nate zniża głos - nienawidzę każdej minuty tej pracy. - Zastanawia się, czy rzeczywiście tak jest; jest w tym dobry, równie dobry jak każdy w jego sytuacji.

- Ale przecież pomagasz ludziom - oznajmia skonfundowana matka, jakby nie udało mu się zrozumieć elementarnego geometrycznego aksjomatu. - Czyż nie jest to pomoc prawna? Czy oni nie są biedni?

- Mamo, każdy, kto sądzi, że może naprawdę pomóc ludziom, zwłaszcza robiąc to, co ja, jest dupkiem.

- Ty zawsze bałeś się, że zostaniesz dupkiem, nawet w dzieciństwie - wzdycha matka.

Nate jest zdumiony. Naprawdę? Próbuje sobie przypomnieć oznaki zdradzające tę postawę.

- Pewnie myślisz, że ja też jestem głupia. - Ciągłe się uśmiecha. - Chyba istotnie jestem. Ale chyba każdy jest.

Nate nie jest przygotowany na ten stopień cynizmu jego matki. Ona przecież wierzyła w nieskończoną możliwość doskonalenia się człowieka; czy już nie wierzy?

- A więc po co to wszystko robisz?

- Co wszystko, kochanie? - Matka pyta trochę nieuważnie, jakby prowadziła z nim taką rozmowę wiele razy.

- Dla koreańskich poetów, weteranów kalek, dla nich wszystkich. - Wyciąga rękę, wskazuje na mapę z czerwonymi gwiazdkami, z chmurą jak grzyb.

- No cóż - wyjaśnia, pijąc herbatę. - Musiałam czymś się zająć, by pozostać przy zdrowych zmysłach. Podczas wojny. Zaraz po twoim urodzeniu.

Co ona ma na myśli? Z pewnością to jakaś metafora, mówi tylko o nudzie żony prowadzącej gospodarstwo lub o czymś takim. Ale ona nie pozostawia mu wątpliwości.

- Myślałam o różnych sposobach - kontynuuje - a potem zastanawiałam się, co będzie, jak się nie uda? Mogłoby się wszystko skończyć kalectwem. Potem myślisz, kto mógłby cię znaleźć. To się stało zaraz po tym, jak otrzymałam depezę o twoim ojcu, ale nie tylko to wpłynęło na moje zachowanie. Chyba po prostu nie chciałam żyć na tym padole.

Nate jest przerażony. Nie może, nie może pogodzić się z tym, że jego matka jest potencjalną samobójczynią. To bez sensu. Nigdy mu o tym nie wspomniała. Czy mogłaby go tak łatwo opuścić, zostawić w koszyku i zejść do niebytu? Już ojciec postępował niewybaczalnie, ale przynajmniej umarł przypadkiem. Nieodpowiedzialną, złą matką nie mogła być. Jest potencjalnym sierotą, stoi nad brzegiem przepaści, która się nagle przed nim otworzyła.

- Najpierw szydełkowałam - mówi matka, lekko się śmiejąc. - Szydełkowałam skarpetki. Wiesz, dla wysiłku

wojennego. Ale to mi nie wystarczało. Pomyślałam, że powinnam robić coś bardziej pożytecznego niż szydełkowanie. Kiedy już podrosłeś, zaczęłam się zajmować weteranami i jedna rzecz prowadzi do drugiej.

Nate patrzy na matkę, która jednak wygląda tak samo jak dawniej. Nie tylko ta rewelacja, ale niespotykane podobieństwo do niego, przeraża go. Nie przypuszczał, że ona może popaść w taką rozpacz; i teraz widzi, że ta postawa zawsze wywierała wpływ na niego, ta jej niemożność. Co teraz, co będzie?

Rozważania przerywają dzieci. Wspinają się po schodach piwnicy na wysokich obcasach, owinięte w welwet i satynę, z ustami pomalowanymi na czerwono długo nie używaną szminką jego matki, z poczernionymi brwiami. On im głośno klaszcze, uradowany ich obecnością, ich nieskomplikowanym zachwytem.

Jednocześnie myśli: „Niedługo staną się kobietami” i to przeświadczenie boli, kłuje jak, igła. Będą potrzebowały staników, potem je odrzuca, winiąc jego. Będą krytykować jego ubiór, jego pracę, sposób mówienia. Opuszczą dom, by żyć z gburowatymi, skrofulicznymi młodymi ludźmi; albo wyjdą za mąż za dentystów i będą się zajmować białymi dywanami i wiszącymi rzeźbami z wełny. W każdym przypadku będą go oceniać. Bez matki, bez dzieci siedzi przy stole kuchennym, samotny wędrowiec, pod zimnymi czerwonymi gwiazdkami.

Przy drzwiach całuje matkę jak zwykle, obowiązkowy pocałunek. Ona zachowuje się, jakby nic się nie stało, jakby rozmawiali o czymś, o czym on dobrze wiedział.

Ona zaczyna zamykać drzwi i nagle on nie może tego znieść, tego zamykania drzwi. Przeskakuje przez niskie żelazne ogrodzenie werandy, przez krótki żywopłot, wpada na trawnik sąsiadów. Teraz przeskakuje przez czarnego dżokeja i

pokonuje jeden żywopłot za drugim; wreszcie ląduje na trawie żółtej po zimie, błotnistej po topniejącym śniegu; buty grzęzną, błoto opryskuje nogi. Za sobą słyszy chór, armię zmęczonych kobiecych głosów: „Dziecinny wybryk”. Do diabła z nimi. Unosi się nad psimi odchodami, mokrymi klombami czyichś krokusów i znów płynie. Dziewczynki biegną po chodniku, śmieją się i krzyczą: „Tatusiu! Poczekaj na nas!”

Wie, że niedługo wyląduje; serce już mu wali. Ale znów dąży do tego, do jakiegoś nie istniejącego miejsca, gdzie chciałby być. Pomiedzy ziemią i niebem.

LESJE

Wtorek, 30 maja 1978

Lesje trzyma kawałek papieru. Próbowwała go przeczytać cztery czy pięć razy, ale nie może się skupić. Co jest głupie, ponieważ takie kawałki papieru otrzymuje w swojej poczcie prawie codziennie. To list, pisany niebieskim długopisem na liniowanej kartce papieru, zaadresowany do „Dinozaurów” w muzeum.

Droży Państwo!

Jestem uczennicą szóstej klasy. Nasza nauczycielka poleciła nam przygotować projekt o dinozaurach i zastanawiam się, czy mogłabym dostać odpowiedzi z przykładami na poniższe pytania.

1. Co to znaczy dinozaur?
2. Dlaczego ma nazwę mezozoiczny?
3. Proszę nakreślić ewolucję geologiczną, która miała miejsce w tej erze w Ameryce Północnej, proszę załączyć mapy.
4. Co to jest skamieniałość?
5. Dlaczego nie znaleziono skamieniałości dinozaurów w Ontario?

Proszę o szybkie przysłanie odpowiedzi, gdyż mój projekt musi być gotowy na piętnastego czerwca.

Z poważaniem Lindy Lucas

Wszystko w tym liście jest znane Lesje. Wie, że przysłała go chytra dziewczynka, idąca na skróty, która raczej przepisze gotowe odpowiedzi, niż streści materiał z książki. Lesje nawet poznaje pytania, lekko zmienione, najpierw przez nauczycielkę, potem bardziej drastycznie przez uczennicę; ale są one prawie identyczne z zamieszczonymi w broszurce muzeum o dinozaurach, którą pomagała przygotować i zredagować. Nauczycielka też idzie na skróty.

Zwykle Lesje zebrałyby kilka powielonych kartek i załączyła oficjalny liścik:

„Cieszy mnie twoje zainteresowanie. Mam nadzieję, że te kartki pomogą ci znaleźć odpowiednie informacje”. Dzisiaj jednak patrząc na to okrągłe naiwne pismo, wpada w złość. Nie podobają jej się fakty wynikające z listu dziewczynki: że dinozaury są zbyt nudne, by tracić na nie czas, a Lesje jest po to, by ją wyzyskiwać. Złości ją brak znaczka pocztowego i koperty zwrotnej. Chciałaby napisać: „Zrób sama swoje zadanie”, czerwonym ołówkiem w poprzek czystego niebieskiego pisma. Ale nie może tego uczynić. Odpowiedź na takie listy to część jej pracy.

Znów czyta list i powracają słowa. Dlaczego nosi nazwę mezozoiczny? Poprawna odpowiedź, którą nauczycielka chce otrzymać, jest w broszurce. „Mezo”, środkowy, „zoo”, życie. Era ta istniała po paleozoicznej i przed kenozoiczną. Dinozaury nie wiedziały, że są mezozoiczne. Nie wiedziały, że są tylko w środku. Nie zamierzały wyginąć; myślały, że będą żyć wiecznie. Może ona powinna napisać prawdę: „Ta nazwa mezozoiczna nie jest prawdziwa. To tylko słowo określające miejsce, do którego nie można pójść, gdyż już nie istnieje. To myśmy dali taką nazwę”. Ale taka odpowiedź wywołałaby oburzenie wojowniczej nauczycielki.

Lesje drżą ręce, musi zapalić. Nie może zająć się tym listem, teraz nie zna odpowiedzi, nic nie wie. Chciałaby zmiąć ten list i wrzucić do kosza na śmieci, ale zamiast tego składa go tak, by nie widzieć charakteru pisma, i zostawia przy maszynie do pisania. Bierze płaszcz przeciwdeszczowy, zapina guziki i zaciąga pasek.

Ma w szufladzie biurka trochę chleba i sera, które zamierzała zjeść na lunch, ale idzie do Murraya. Znajdzie jakiś stolik dla siebie i będzie obserwować urzędników i kelnerkę z plamami po zupie. Musi wyjść z muzeum, choćby na godzinę.

Wczorajszej nocy walczyła z Nate'em, tak zdecydowanie po raz pierwszy, gdy dzieci spały na górze, albo może nie spały. Chodzi o to, że dzieci tam były podczas zwykłego dnia. A przecież oni uzgodnili, że dziewczynki będą przychodzić tylko w weekendy. Jednakże w ostatniej chwili Elizabeth zadzwoniła do Nate'a. Ostatnio zawsze dzwoniła w ostatniej chwili.

- Umarła jej ciotka - wyjaśnił Nate, kiedy przyszła do domu i dzieci jadły makaron z serem i grały w scrabble na stole kuchennym. - Elizabeth sądzi, że będzie lepiej dla dzieci, jak spędzą noc tutaj. Nie chce martwić dzieci swoją reakcją.

Dziewczynki nie wyglądały na przygnębione i Lesje przypuszcza, że Elizabeth również. Był to z jej strony inny atak z flanki. Lesje nic nie powiedziała, dopóki dziewczynki nie zmyły naczyń i Nate nie poczytał im przed spaniem, i otulił. Według Lesje są na tyle duże, że mogą same sobie czytać, ale Nate uważa ten zwyczaj za tradycję.

Kiedy wrócił z góry, ogłosił, że powinien pójść na pogrzeb.

- Dlaczego? - zapytała Lesje. To była ciotka Elizabeth, nie Nate'a; ten pogrzeb to nie jego sprawa.

Zdaniem Nate'a on powinien wesprzeć Elizabeth. Pogrzeb ją przytłoczy.

- Na podstawie tego, co mi powiedziałaś - odezwała się Lesje - Elizabeth nienawidziła tej ciotki.

„Chociaż to prawda”, stwierdził Nate, „ciotka była kimś ważnym w jej życiu”. Według niego czyjeś znaczenie dla kogoś nie ma nic wspólnego z jego pozytywnymi cechami, ale ważny jest tylko jego wpływ, jego siła, a ciotka stanowiła taką siłę.

- Mam dla ciebie wiadomość - rzekła Lesje. - Elizabeth nie potrzebuje żadnego wsparcia. Elizabeth tak potrzebuje

wsparcia jak zakonnica cycuszków. Nigdy nie spotkałam nikogo, kto by mniej potrzebował wsparcia niż Elizabeth.

Nate oznajmił, że pozory mylą; on po dwunastu latach małżeństwa może chyba lepiej ocenić niż Lesje, ile wsparcia potrzebuje Elizabeth. Elizabeth miała nieszczęśliwe dzieciństwo.

- A kto nie miał? - zapytała Lesje. - Kto nie miał nieszczęśliwego dzieciństwa? Co w tym jest takiego szczególnego?

- Ona też może mu opowiedzieć o nieszczęśliwym dzieciństwie. Po namyśle pewnie by tego nie zrobiła, gdyż to nieszczęście nie miało dramatycznych następstw. Nie mogła, wiedziała o tym, dorównać kwiecistemu melodramatowi Elizabeth, z którym Nate zapoznał ją fragment po fragmencie. W każdej konkurencji na nieszczęśliwe dzieciństwo ona przegra.

Nate zwrócił również uwagę, że powinni opanować swoje emocje, gdyż muszą myśleć o dzieciach.

Lesje myślała o nich, ale widziała tylko plamę. Chociaż dziewczynki były w jej domu prawie w każdy weekend, z trudem odróżniała jedną od drugiej, tak rzadko na nie patrzyła. Nie można powiedzieć, że ich nie lubiła; ona się ich bała. A one ze swej strony miały swoje metody. Pożyczały paski i koszule Lesje bez pytania; „Znaczy, że cię zaakceptowały”, stwierdził Nate. Mieszały mleko z kakao i lodami i zostawiały nie umyte szklanki po całym domu; i Lesje w poniedziałki czy wtorki po ich wyjściu znajdowała te naczynia z twardą brązową skorupą na dnie. Nate uważał, że powinna z nimi porozmawiać o wszystkim, co jej się nie podoba, ale ona nie jest taka głupia. Gdyby kiedyś rzeczywiście im to wypomniała, Nate by ją znienawidził. Co prawda, dziewczynki były zawsze bardzo grzeczne wobec niej, tak im kazano. Bez wątplenia oboje rodzice. Dzieci to nie jednostki,

dzieci to rzeczownik zbiorowy. „Dzieci”. Nate myślał, że wystarczy powiedzieć „dzieci”, a ona zamilknie, stanie się cud.

- Do diabła z dziećmi - powiedziała nieopatrznie.

- Wiem, że tak czujesz - oznajmił Nate z protekcyjną rezygnacją w głosie.

Powinna była się wycofać, wyjaśnić, że nie to naprawdę miała na myśli. Tak postępowała poprzednio. Ale tym razem nic nie powiedziała. Była za bardzo zła. Gdyby próbowała coś powiedzieć, te słowa przyjęłyby formę przekleństw jej babci: „Oby ci odpadł tyłek. Mam nadzieję, że zdechniesz”.

Pobiegła do łazienki; jej buty dudniły na schodach nie pokrytych dywanem; nie obchodziło jej, czy dzieci to słyszą, i zamknęła się w łazience. Pod wpływem chwili postanowiła się zabić; nigdy o czymś takim nie myślała. Ludzie tacy jak Chris tylko ją intrygowali. Ale wreszcie zrozumiała, dlaczego Chris tak postąpił: to ze złości i, co gorsza, ze strachu, że jest nikim. Ludzie tacy jak Elizabeth mogą ci to zrobić, wykreślić cię; ludzie tacy jak Nate krążą tylko wokół swoich spraw. Zwyczaje innych ludzi mogą cię zabić. Chris nie umarł z powodu miłości. Chciał, by jego śmierć stała się wydarzeniem, i stała się.

Uklękła przy wannie, trzymając kurczowo nóż zabrany z kredensu w kuchni. Niestety był to nóż do grejpfruta. Musiałaby raczej piłować niż ciąć, a nie o takim efekcie myślała, choć wynik końcowy byłby taki sam. Nate wyłamałby drzwi i znalazłby ją w morzu czerwieni. Gorąca woda, wiedziała o tym, przyspieszyłaby proces. Poczulby smak soli, smak zdechłego ptaka. Jakby wtedy postąpił? Z jej wizerunkiem, woskowym i utkwionym gdzieś spojrzeniem.

Ale naprawdę nie to Lesje chciała zrobić. Po namyśle ukryła nóż do grejpfruta w szafce z lekarstwami. Nate nawet nie widział, jak go brała; w przeciwnym razie byłby już tutaj i

walił w drzwi. (Czyż nie?) Jednak wciąż się wściekała. Z całą świadomością wyrzuciła pigułki z fiolki do ubikacji. Kiedy Nate położył się do łóżka, odwróciła się do niego i objęła go, jakby mu wybaczyła. Jeżeli dzieci są kluczem, jeżeli wszystko zależy od nich, jeżeli to jedyny sposób, by przestała być niewidoczna, to ona, do diabła, będzie miała swoje.

Rano nie czuła skruchy. Wiedziała, że popełniła szkodliwy i mściwy akt, akt tak mściwy, że przed rokiem nie wyobrażała sobie, iż jest do tego zdolna. Z pewnością dziecko poczęte w takiej furii nie zapowiada nic dobrego. Wyda na świat stworzenie z cechami pierwotnymi, gada, pewnego rodzaju mutanta z łuskami, małym rogiem na pysku. Ona już od dawna uważała, że człowiek stanowi niebezpieczeństwo dla wszechświata, jest złośliwą małpą, zawziętą, wrogą. Ale tak myślała tylko w teorii. W rzeczywistości sądziła, że gdyby ludzie wiedzieli, jak działają, działaliby inaczej. Teraz wie, że to nie jest prawda.

Ona nie cofnie się. Nate o niczym nie wiedząc, jadł owsiankę i rozmawiał. Lesje gryzła bułeczkę z otrębów; z włosami opadającymi na twarz patrzyła na niego jak ponure fatum. Kiedy jej ciało da o sobie znać?

- Chciałabym tylko, abyś sobie uświadomił - odezwała się, dając mu do zrozumienia, że wciąż panuje nad sytuacją - że jeżeli umrzesz, Elizabeth dostanie twoje ciało. Będę musiała przesłać je w skrzyni. Przecież ona wciąż jest twoją żoną.

Nate przyjął te słowa jak żart.

Schodząc ze schodów, z rękami w kieszeniach płaszcza przeciwdeszczowego, waha się. Ma wąską miednicę, umrze podczas porodu, nic nie wie o dzieciach, a co z jej pracą? Nawet jeżeli Nate będzie pracował pół dnia, nie mogą sobie pozwolić na dziecko. Jeszcze nie jest za późno, nic nie mogło

się wydarzyć tak szybko. Otworzy inną fiolkę, weźmie dwie pigułki i gorącą kąpiel i wszystko będzie po staremu.

Ale potem myśli: „Nie tym razem”. Nie chce więcej pojedynków, symulowanych lub nie z nożem do grejpfruta.

Pod złotą kopułą, z pochyloną głową, zmierzając do drzwi, czuje dotknięcie na ramieniu. Ma nadzieję, że to Nate, przynosząc ze sobą pojednanie, kapitulację, rozwiązanie pełne wdzięku. Ale to William.

- Przypadkiem jestem w muzeum - mówi - i chciałem cię zobaczyć.

Lesje wie doskonale, że William nigdzie nie jest przypadkiem, a zwłaszcza w muzeum. Cudowny, transparentny William; można z łatwością czytać z jego twarzy, wszystko w alfabetycznym porządku jak w książce telefonicznej. On chce jej coś powiedzieć, dlatego przyszedł. Nie zadzwonił przedtem, gdyż wiedział, że nie zechce go widzieć. Zupełnie słusznie. Ale teraz uśmiecha się.

- Właśnie idę do Murraya na lunch - mówi. Dla Williama nie zmienia swoich planów.

Chociaż William uważa, że u Murraya jest brudno i od tamtejszego jedzenia można dostać raka jelita grubego, chce jej towarzyszyć, jeśli jej to odpowiada. Lesje to nie przeszkadza. William bezpiecznie należy teraz do przeszłości. Idzie obok niego, zadowolona. To czysta przyjemność być z kimś, kto nie może wywierać na nią wpływu.

Lesje ma kanapkę z jajkiem i papierosa. William omlet z szynką. Zbierając maślane okruszki, oznajmia, że dostatecznie dużo czasu upłynęło, by jej powiedzieć, że wtedy nie zachował się dobrze. Swoimi niebieskimi oczami patrzy na nią niewinnie, różowe policzki płoną.

Lesje nie przyjmuje tej werbalistycznej deklaracji Williama za prawdziwą skruchę. Jest to raczej wprowadzenie do jego zestawienia bilansowego; tego zestawienia

wymaganego przez Londyn, Ontario; to ta mała kartka, którą William ma w głowie, na której wszystko w końcu musi się zsumować. Jedna próba gwałtu, jedno przeprosiny. Jednakże teraz Lesje jest gotowa przyjąć konwencję przyzwoitości. Kiedyś domagałaby się szczerości.

- Chyba nikt nie zachowuje się bardzo dobrze - mówi.

William odczuwa ulgę i patrzy na zegarek. „Zostanie jeszcze dziesięć minut”, przypuszcza Lesje, „aby wszystko odbyło się właściwie”. Tak naprawdę on wcale nie chciał jej widzieć. Teraz myśli o czymś innym i Lesje, choć stara się odgadnąć, jednak nie wie o czym.

Zakrywa twarz dłońmi i patrzy na niego poprzez dym. Jest skonsternowana tym, że nie potrafi już tak łatwo oceniać Williama jak dawniej. Chciałaby go zapytać: „Zmieniłeś się? Nauczyłeś się czegoś?” Ona sama czuje, że nauczyła się więcej, niż kiedykolwiek zamierzała, więcej niż chciała. Czy według niego zmieniła się?

Obserwuje jego twarz: może jest szczuplejsza. Nie pamięta. A te niebieskie oczy nie są oczami kaukaskiej lalki, manekina na kapelusze, jak kiedyś myślała.

William siedzi naprzeciwko niej i pije wodę ze szklanki ze śladem szminki na brzegu. Palcami trzyma szkło, druga ręka leży na stole, szyja wyłania się z kołnierza jasnozielonej koszuli, a na górze jest jego głowa. Jego oczy są niebieskie i ma ich dwoje. To jest całkowita suma Williama w teraźniejszości.

ELIZABETH

Sobota, 3 czerwca 1978

Elizabeth bez kapelusza, ale w rękawiczkach, stoi na jednej z bardziej cenionych działek, na cmentarzu Mount Pleasant. Niedaleko starych rodzinnych mauzoleów, właściciele firmy Eatona czy herbatników Westona; nie znajduje się, broń Boże, w nowszych częściach z ich młodymi drzewami albo w dziwnych podmiejskich okolicach z kwadratowymi płaskimi nagrobkami z chińskimi nazwiskami albo z ozdobionymi pomnikami zawierającymi w plastikowym pudełku fotografię obok nazwiska.

Dwóch mężczyzn zrzuca ziemię na ciało cioci Muriel, która, chociaż spopieliała wszystkich członków najbliższej rodziny, wybrała dla siebie miejsce w ziemi. Zielona pseudodarń leży obok, by pokryć nieprzyjemnie wyeksponowaną brązową ziemię, gdy ciocia znajdzie się bezpiecznie na dole.

Włosy Elizabeth fruwią w gorącym wietrze. Jest śliczny wiosenny dzień; to źle; ciocia Muriel z pewnością wołałaby deszcz. Ale nawet ciocia nie może zamówić pogody zza grobu.

Chociaż udało się jej zaaranżować prawie każdy szczegół pogrzebu i pochówku. Jej testament zawierał wszystkie instrukcje, zapisane przed śmiercią, kiedy ostatecznie i nieodwołalnie umierała. Trumna i miejsce na cmentarzu zakupiła i za nie zapłaciła. Garderoba, łącznie z bielizną, była drobiazgowo preselekcjonowana i odłożona na bok. („To stara suknia”, Elizabeth wyobrażała sobie, jak ciocia mówiła. „Nie ma sensu chować mnie w dobrej”). Nie zgodziła się na upiększanie ciała. Uznała to za stratę pieniędzy i chciała mieć zamkniętą trumnę. Nawet wybrała hymny i fragmenty z Biblii na uroczystość pogrzebową. Znajdowały się w osobnej, zapieczętowanej kopercie, zaadresowanej do kościoła. Gdy

Elizabeth się o tym dowiedziała, jakby słyszała cioci głos, nieprzejednany jak zwykle, wydawany ustami zebranych żałobników.

Timothy Eaton był zażenowany decyzjami cioci. „W czasie śmierci jak i bez wątpienia w czasie życia”, pomyślała Elizabeth, słuchając nieśmiałego głosu młodego człowieka, który zatelefonował do niej w sprawie nabożeństwa.

- Chodzi o nabożeństwo - powiedział. - Zastanawiam się, czy mogłaby pani wprowadzić pewne zmiany. Wybór jest trochę niestosowny.

- Oczywiście - odparła Elizabeth.

- Dobrze - zgodził się młody człowiek. - Może moglibyśmy się spotkać i przejrzeć...

- Chodzi o to, że ten wybór jest oczywiście niestosowny - wyjaśniła Elizabeth. - Nie znał pan jej? Czego pan się po niej spodziewał? Niech ta stara ropucha ma to, czego chce. Tak zawsze postępowała w życiu. - Oni odziedziczyli łup; przynajmniej muszą dobrnąć z nim do końca, cokolwiek by to było.

Elizabeth myślała, że on się obrazi - zamierzała obrazić - ale prawie na pewno usłyszała parsknięcie po drugiej stronie kabla.

- Doskonale, pani Schoenhof. Policzymy z góry.

Mimo to Elizabeth była nieprzygotowana, gdy organy zagrzmiały na początku hymn: Jezus Chrystus dziś zmartwychwstał. Czy ta stara bestia chciała pokazać wszystkim, że jest nieśmiertelna, czy też wybrała to, dlatego że lubiła? Elizabeth rozejrzała się dookoła; było zadziwiająco dużo osób, starych parafian, dalekich krewnych: śpiewali ochoczo, chociaż z niepokojem. Po zakończeniu hymnu pastor odchrząknął, poruszył ramionami jak nurek chcący się ogrzać i zaczął czytać ustęp z Biblii. „Ile się wślawiła i osiągnęła przepychu, tyle jej zadajcie katuszy i smutku! Ponieważ mówi

w swym sercu: »Zasiadam jak królowa, a nie jestem wdową, i z pewnością nie zaznam żałoby« [...]

I będą płakać, i lamentować nad nią królowie ziemi, którzy nierządu z nią się dopuścili i żyli w przepychu, kiedy zobaczą dym jej pożaru" (Apokalipsa św. Jana 18, 7,9.).

Robił wszystko, co możliwe, wymawiał głoskę „r” końcem języka, zachowywał się tak, jakby wiedział, co się dzieje, ale kłopotliwy szept dotarł z kongregacji. Ciocia Muriel wykazała zły smak. Powinna była wybrać coś bardziej konwencjonalnego, odejść w spokoju, licząc na wieczne zmiłowanie. Ale mówić o nierządzie na pogrzebie? Elizabeth pamiętała młodego pastora, którego wyrzucono; miał żarzące się czarne oczy i lubił słońce o barwie krwi, i z przyjemnością zrywać zasłony. Może podejrzewali, że ciocia należy do ludzi tego samego rodzaju i przez te wszystkie lata ukrywała się wśród nich. Możliwe, że nie była całkiem przy zdrowych zmysłach: popatrz na siostrę, na siostrzenicę.

Elizabeth nie miała wątpliwości, że to było osobiste przesłanie skierowane bezpośrednio do niej: ostatnie słowo cioci na temat jej matki, śmierci w ogniu i prawdopodobnie również jej śmierci. Mogła sobie wyobrazić ciocię ślęczącą nad Biblią, z lornetką przy oczach, szukającą odpowiednich wersów: obrażających, karzących, obłudnych. Żart polegał na tym, że zebrani nie uświadomili sobie tego. Znając ich mentalność, prawdopodobnie przypuszczali, iż ciocia wyraża skruchę, nawet spowiada się w jakiś dziwaczny sposób. „Dlatego w jednym dniu nadejdą jej plagi: śmierć i smutek i głód; i będzie ogniem spalona, bo mocny jest Pan Bóg, który ją osądził”.

Pastor zamknął Biblię, popatrzył przepaszająco i wszyscy odetchnęli.

Ciocia Muriel nie ułożyła swojej mowy pochwalnej, w której akcent byłby położony na słowach: „poświęcenie” i

„wspaniałomyślność”. Każdy wiedział, co to znaczy. Spojrzenie Elizabeth wędrowało po brązowej tablicy poświęconej zmarłym podczas pierwszej wojny światowej, potem zatrzymało się na drugiej ścianie. „Gotowi do każdej dobrej pracy”.

Jednakże przy ostatnim hymnie Elizabeth zaczęła prawie głośno się śmiać. Co za złe zachowanie. Ciocia wybrała Z dała od żłobka i twarze dokoła Elizabeth wyrażały zdumienie i panikę. Głosy zadrżały i umilkły, a Elizabeth zakryła twarz rękami w rękawiczkach i prychnęła. Miała nadzieję, że to prychanie będzie oznaką żalu.

- Mamo, przestań się śmiać - zasyczała Janet. Ale chociaż Elizabeth miała zamknięte usta, nie mogła przestać. Kiedy hymn się skończył i mogła unieść głowę, ze zdumieniem zauważyła, że wiele osób płakało. Zastanawiała się, co opłakiwały: z pewnością nie ciocię Muriel.

Dziewczynki są przy jej boku; Janet po prawej, Nancy po lewej stronie. Są w białych podkolanówkach i w sukienkach Mary Janes: to był pomysł Janet, ponieważ tak ubrane przychodziły do cioci Muriel. Janet płacze na pokaz; wie, że tak ludzie zachowują się na pogrzebie. Nancy rozgląda się, kręci głową nie zbita z tropu.

- Co to jest, mamusiu? Dlaczego on to robi?

Elizabeth ma suche oczy i trochę kręci jej się w głowie. Śmiech uwiązał jej w gardle. Czy to nabożeństwo to wynik przedwczesnego starczego niedołęstwa, czy też w końcu ciocia postanowiła zażartować? Może planowała to latami, ten moment bezbronno zdumienia; w myślach widziała twarze dawnych znajomych, gdy uświadomili sobie, że ona jest inna, niż się wydawało. Elizabeth w to wątpi, ale ma taką nadzieję. Teraz gdy ciocia Muriel naprawdę nie żyje, może zbliżyć jej osobowość do własnych wymagań i znaleźć w niej coś, co warto aprobować.

Nate jest po drugiej stronie grobu. Podczas nabożeństwa stał z dala od nich; może nie chciał niepokoić. Patrzy teraz na Elizabeth i ona się uśmiecha do niego. To ładnie, że przyszedł; ona go nie prosiła. Ładnie, ale nie było to konieczne. Przychodzi jej na myśl, że Nate w ogóle nie jest konieczny. Może tu być albo może nie być. Elizabeth mruży oczy i Nate znika; znów mruży i on się pojawia. Czuje, że potrafi mu być wdzięczna za jego obecność. Wie dostatecznie dobrze, że ta chwilowa wdzięczność niczego nie zmienia i że zniknie następnym razem, gdy się spóźni, by zabrać dzieci. Mimo to wojna się skończyła. „Oddalona”.

- Idę do tatusia - szepcze Nancy, puszczając rękę Elizabeth. Nancy potrzebny jest pretekst, by przejść koło grobu i zobaczyć z bliska, jak grabarze przerzucają ziemię; ale również chce być z tatą. Elizabeth kiwa głową i się uśmiecha.

Wesołość opuszcza ją, trochę się trzęsie. Trudno jej uwierzyć, że ciocia, teraz wyschnięta, zamknięta w trumnie, obrzucona ziemią, wyrządziła tyle szkód, dokonała tylu zniszczeń, o których Elizabeth pamięta. Może Elizabeth przesadzała, zmyślała; ale dlaczego wymyśliła ciocię Muriel? W każdym razie ciocia naprawdę taka była; Elizabeth powinna wiedzieć, ma blizny.

Dlaczego więc nie może znieść widoku cioci, jak łączy się z ziemią, zrównuje, jakby rosła na grządce kwiatów? Upiększona. „Była okropna”, chce powiedzieć Elizabeth, dawać świadectwo. „Była okropna”. Ciocia Muriel była fenomenem, jak dwugłowe ciele z wodospadów Niagary. Elizabeth chciałaby dawać świadectwo w tej sprawie. Chce, by to podziwiano; nie chce, by poniżano lub pokrywano blichtrzem.

Cioci Muriel już nie widać i starsi żałobnicy zaczynają się przesuwać do swoich aut. Trzepoczą ich wstęgi i wieńce.

Elizabeth chciałaby również odejść, ale nie może; dla niej śmierć cioci jeszcze się nie skończyła. Nie śpiewała na pogrzebie ani nie uczestniczyła w modlitwach. Gdyby otworzyła usta, coś haniebnego wydobyłoby się z nich. Ale musi coś powiedzieć, jakieś słowo pożegnania, nim zielona darń zostanie w końcu ułożona. „Odpoczywaj w pokoju”, te słowa wydają się nieodpowiednie. Ciocia nie знаła ani odpoczynku ani spokoju.

„Głosy przodków prorokujące wojnę”, mruży.

Janet patrzy na nią nachmurzona. Elizabeth uśmiecha się w roztargnieniu. Szuka w myślach, skąd pochodzi ten cytat. Dziewczynki będą musiały się tego wszystkiego nauczyć w jedenastej klasie. Gdzie płynie Alph, święta rzeka, coś o jaskiniach wiodących do morza bez słońca. Pamięta nauczycielkę, pannę Macleod, która miała siwe kręcone włosy i opowiadała o bajkach z zamkniętymi oczami. „O tych grotach z lodu”.

Słysząc tylko przierzucanie ziemi, jest bardzo cicho. Zieleń drzew rozprzestrzenia się, gąbczasta, miękka jak gaza, nie ma niczego do odepchnięcia, niczego do oparcia. Czarna pustka zaczyna ją wsysać, czuje wiatr, cichy huk. Wciąż trzymając rękę Janet, Elizabeth spada w otchłań. To Nate ją podnosi.

- Wszystko w porządku? - pyta. Niezręcznie oczyszcza błoto z jej płaszcza.

- Nic nie rób. Oddam go do pralni - mówi Elizabeth. Teraz, gdy już jest jasne, że żyje, Nancy postanawia płakać.

Janet, zmartwiona, pyta ojca, czy ma przy sobie trochę alkoholu; „Żeby mamusia ożyła”, przypuszcza Elizabeth. Jednak nie ma i dla Janet to ostatnia kropla goryczy. Rodzice są bez wdzięku i niekompetentni. Odwraca się plecami.

- Czuję się doskonale - oświadcza Elizabeth. Denerwuje ją, że trzeba każdemu o tym mówić. Ale nie czuje się dobrze i to ją przeraża. Różne rzeczy się z nią działy, ale nigdy nie

mdlała. Przewiduje, że czekają ją nagłe stany utraty przytomności; upadek w kolejce podziemnej, na skrzyżowaniu, gdzie nikt nie będzie mógł jej podać ręki, na schodach. Musi zbadać krew na zawartość cukru. Starsze panie, które jeszcze zostały, przyglądają się jej z przyjaznym zainteresowaniem. Jeśli chodzi o nie, ona by zrobiła dokładnie to samo.

Grabarze podnoszą dywan z plastikowej darni. To koniec pogrzebu, może zabrać dzieci do domu.

Zamiast jechać w wozie przedsiębiorcy pogrzebowego do kościoła, gdzie będą serwować kawę i ciasto, one pójdą do metra. W domu się przebiorą i ona coś dla nich przygotuje. Kanapki z masłem orzechowym.

Nagle zadziwia ją fakt, że jest w stanie to zrobić, coś tak prostego. Jak blisko była tego, jak wiele razy myślała o tym, co uczynił Chris? A co ważniejsze: co ją powstrzymało? Czy to jego władza nad nią, ten kawałek zewnętrznej przestrzeni, zamknięty w jego ciele, dopóki nie nastąpiła ostateczna eksplozja? Elizabeth pamięta grę ćwiczącą odwagę w szkole średniej; słyszała o niej, ale nigdy w niej nie uczestniczyła. Jazda do urwiska, ściganie się samochodami w stronę jeziora; chodziło o to, aby nie być pierwszym, który zahamuje. Gdy tak stoi w słońcu, czuje wspaniałą ulgę kogoś, kto zatrzymał się w ostatniej chwili. Ona wciąż żyje, jest ubrana, chodzi, nawet pracuje. Ma dwoje dzieci. Mimo gwałtownego wiatru słyszy głosy z wnętrza ziemi, rozkładających się drzew, otchłani otwierającej się u jej stóp; która zawsze będzie się otwierać od czasu do czasu. Bez trudu widzi świat jako przezroczystą zasłonę albo wir powietrza. Cud polega na tym, by stał się solidny.

Myśli o swoim domu, swoim spokojnym salonie z miseczkami pełnymi czystego wdzięku, o stole kuchennym. Jej dom nie jest doskonały; niektóre części rozpadają się,

zwłaszcza frontowy ganek. Ale to cud, że w ogóle ma dom, że udało jej się go wykończyć. Mimo rujnacji. Zbudowała dom nad przepaścią, ale gdzie indziej miała go zbudować? Jak dotąd stoi.

NATE

Piątek, 18 sierpnia 1978

Nate siedzi na składanym, drewnianym krześle przy małym stoliku, po wschodniej stronie Yonge Street, na południe od przecznicy Shuter Street. Popołudniowe słońce pali mu głowę. Osłania oczy ręką; powinien nosić okulary przeciwsłoneczne. Żałuje, że nie może napić się piwa, choćby jednej puszki Molsona, trzymanej pomiędzy nogami i szybko uniesionej do ust. Ale nie wyglądałoby to dobrze.

Naprzeciwko ulicy system rur Eaton's Center ozdobiony girlandami na murach i klatkach schodowych. Klienci wchodzą i wychodzą dziarskim krokiem, z twarzami wysuniętymi, skoncentrowani na małych namiętnościach, małych spełnieniach. Ci po jego stronie ulicy nie mają tyle nadziei. Starzy ludzie powłóczący nogami jak wieczni pijacy, młodzi w czarnych koszulkach bez rękawów, wetkniętych w dżinsy z paskami nabitymi gwoździami, z tatuażem na ramionach; urzędnicy o ziemistych twarzach w letnich ubiorach, których zaróżowione oczy unikają jego spojrzenia; niezadowolone kobiety o grubych kostkach u nóg i w zdartych butach, z zaciśniętymi palcami na torbach z zakupami. Mało uśmiechów. Niektóre mają nachmurzoną minę, ale większość ma twarze bez wyrazu, chowając swoje napady złości czy radości na bezpieczniejsze, bardziej prywatne chwile.

Nate przygważdża każdego zbliżającego się przechodnia nieodpartym, taką ma nadzieję, spojrzeniem: „Twój kraj cię potrzebuje”. Wielu patrzy na napis oparty o stół i przyspiesza kroku, starając się przejść, nim on wciągnie ich w coś nieprzyjemnego, zmusi do jakiegoś zobowiązania. „Policja konna popełnia wykroczenia”, głosi napis, lekko uderzając policjantów po knykcjach. „Korupcja” albo nawet „Grzech” przyniosłyby więcej pieniędzy.

Niektórzy zatrzymują się i Nate daje im ulotki. Czasami okazuje trochę zainteresowania i wdaje się w rozmowę. Zbiera podpisy pod petycją, wyjaśnia; z pewnością są przeciw wykroczeniom policji konnej; wymienia otwieranie poczty, ale przemilcza palenie stodół i niszczenie urzędów w Quebecu. Większość ludzi nie ma stodół ani urzędów i zajmują stanowisko obojętne albo wrogie wobec Quebecu, ale mają pocztę. Każdego z podpisujących prosi się o wpłacenie jednego dolara na fundusz umożliwiający prowadzenie dalszej kampanii.

Nate mówi spokojnie, bez niepotrzebnych emocji. On ma reprezentować przeciętnego, przyzwoitego obywatela. Ale wie, że tak nie jest. Odczuwa gorzką satysfakcję, że większość tych, którzy odpowiedzieli na jego prośbę bez entuzjazmu, należy do kręgu młodzieży w czarnych koszulach; to narkomani, paserzy i drobni złodzieje. W każdej chwili może zobaczyć klienta albo dawnego klienta pośród nich.

- Wsadzić drani - mówi ktoś. - Napadli na mnie w zeszły weekend i przeczesali wszystko. Jednak nic nie znaleźli.

Nate zastanawia się, co jego matka by uczyniła z tym fenomenem; przypuszcza, że nie byłaby urażona ani nawet zaskoczona. „Podpis to podpis”, powiedziałyby. Powie w następny weekend, kiedy jej pośladki spoczną na tym samym krześle, a nogi w butach na gumowych podszewkach dotkną tego chodnika.

Powinna tu być dzisiaj, ale skręciła nogę w kostce w szpitalu.

- Skręciłam, nie nadwerżyłam - powiedziała przez telefon. - Mają bardzo mało wolontariuszy, w przeciwnym wypadku nie prosiłabym ciebie. Nigdy przedtem cię nie prosiłam.

Nie jest to prawda, prosiła go poprzednio. Wałka o pokój, ratowanie poety koreańskiego, zakaz używania bomby

atomowej. On nigdy przedtem nie godził się, by coś robić. Zastanawia się, dlaczego tym razem się zgodził. Nie dlatego, że to przedsięwzięcie prawdopodobnie odniesie większy sukces niż inne. Ale zbieranie podpisów przeciwko wykroczeniom policji konnej nie wydaje się bardziej daremne niż większość innych rzeczy w jego życiu.

Człowiek w średnim wieku uważnie przygląda się ulotce, potem rzuca ją w stronę Nate'a, jakby była gorąca.

- Dam ci dolara - szepcze - ale nie mogę złożyć podpisu. - Mówi z akcentem, nie z francuskim i nie z włoskim.

Nate mu dziękuje i wkłada banknot do puszki na pieniądze. Więcej ludzi, nie tylko ten, myśli, że znajdzie się w wielkim kłopotcie, jeżeli podpiszą. Policjanci zatrzymają ich, wychłostają, podłączą elektryczne aparaty do kręcenia włosów do ich genitaliów; a przynajmniej otworzą ich pocztę.

Nate wątpi; wątpi, by policjanci konni w ogóle się tym przejmowali. Nic takiego tu się nie wydarzy, jeszcze nie. To pewnie dlatego on nigdy tym się nie zajmował. Było to zbyt bezpieczne przedsięwzięcie. Przygotowywał się na niebezpieczeństwo, na zagrożenie życia; lekkomyślny śmiech, płonące oczy, jeden fałszywy krok i spotkanie ze śmiercią. Tymczasem gotuje się w sierpniowym słońcu, przymila do nieznanomych, zapala następnego papierosa, by zwalczyć spaliny z ulicy.

Kiedy udał się do biura po partię ulotek, powitano go jak syna marnotrawnego. Trzy kobiety w wymiętych letnich sukniach wychyliły się ze swych miejsc, by uścisnąć mu rękę. „Jego matka jest wspaniała, ma tyle energii, on musi być z niej dumny”, powiedziały. Dyrektor zaprosił go do swojego brązowego gabinetu; na biurku piętrzyły się stosy brudnych papierów: listy, formularze, stare wycinki z gazet. Nate wyjaśnił sprawę skręconej kostki i przedstawił jak najjaśniej i jak najuprzejmiej, że tylko tymczasowo tym się zajmuje, że

jest zastępcą. Wydawało się, że nie ma potrzeby dodawać, iż traktuje tę petycję jak żart. Mają zamiar przesłać ją do premiera, który bez wątpienia zrobi z niej papierowe samolociki. Dlaczego nie? Nate czytał listy do redakcji, wie, że większość ludzi raczej pozwoli, aby sześciu milionom mieszkańców Quebecu, Pakistanu, działaczom związkowym, transwestytom wyrywano paznokcie, niż przyzna, że łuszczy się farba na czerwonym mundurze policjanta konnego z ich marzeń.

Możliwe, że sam dyrektor wie, że to żart. Szczyrzył zęby do czegoś. Uśmiechał się jak klaun, pokazując białe zęby, okazując zwodniczą uprzejmość. Oczy nad policzkami o kształcie jabłka były przebiegłe i pod ich spojrzeniem Nate nie mógł sobie znaleźć miejsca. Oni wszyscy zachowywali się tak, jakby on był tym, kim nie chciał się stać, w co włożył tyle wysiłku: synem swojej matki. Którym może jest.

Ale nie tylko to, nie tylko to. Nie chce być definiowany. Czas go niesie, coś innego może się wydarzyć. Przy jego ręce leży poranny „Globe”, który przeczyta później, gdy strumień ulotek zmaleje. Może wreszcie będzie tam jakaś wiadomość, Mała częśćka w nim wciąż czeka, wciąż oczekuje, tęskni za przesłaniem, za posłańcem; jak on siedzi w swojej budce, ogłaszając innym przesłanie, które według niego jest żartem.

O czwartej ma przyjść jego następca, niemiecki katolicki teolog i poważnie uściśnie mu rękę, jakby był pokrewną duszą. Nate, zażenowany, opuści swoje stanowisko i dołączy do pieszych, tych idących do domu i tych spacerujących; zgubi się w tym gronie apatycznych, fatalistycznych, niezaangażowanych, cynicznych ludzi; i wśród nich chciałby się czuć jak w domu.

LESJE

Piątek, 18 sierpnia 1978

W fartuchu laboratoryjnym Lesje schodzi ze schodów, mijając słup totemiczny w drodze do piwnicy, Nie pracuje dzisiaj w laboratorium, ale nosi fartuch. W ten sposób czuje, że tutaj należy. I ona tutaj naprawdę należy.

Pamięta, jak kiedyś podczas sobotnich wycieczek do muzeum obserwowała mężczyzn i kobiety, a zwłaszcza kobiety, jak poruszały się zdecydowanie po korytarzach albo wchodziły przez drzwi z napisem: „Tylko dla personelu”. Wtedy widziała ich fartuchy i oznaki narodowości, pewnego rodzaju członkostwa. Bardzo pragnęła móc przejść przez te drzwi: z ich sekretami, z cudami znajdującymi się za nimi. Teraz ma klucze, może iść prawie wszędzie, zna kawałki skał przeznaczone na sprzedaż, fragmenty, zakurzone pakuneczki nie posortowanych papierów. Może są tu sekrety, ale cuda? A jednak to jedyne miejsce, w którym chce pracować. Kiedyś nie było dla niej nic równie ważnego i nadal tak jest. To jedyne członkostwo, które ceni.

Nie zrezygnuje. Z pięściami zaciśniętymi w kieszeniach fartucha laboratoryjnego idzie w piwnicy pomiędzy gablotami z manekinami Indian w ich skradzionych ceremonialnych strojach, z wyrzeźbionymi maskami, wesołymi i strasznymi. Idzie żwawo, jakby wiedziała, dokąd; w istocie uspokaja siebie, przemierzając znów w myślach muzeum, salę po sali, grupę eksponatów. Kiedy, jak szybko tak się zdarzy, że ona nigdy ich już nie zobaczy?

Czasem myśli o muzeum jako składnicy wiedzy, schronieniu naukowców, pałacu zbudowanym po to, by dążyć do prawdy, z niewystarczającą klimatyzacją, ale jednak pałacu. W innych okolicznościach to jaskinia bandytów: przeszłość uległa wandalizacji i tutaj zmagazynowano łupy. Całe okresy spoczywają tutaj, złote i zamrożone; ona jest

jednym ze strażników, jedynym strażnikiem; bez niej cała budowla stopi się jak meduza na plaży i zniknie przeszłość. Ona wie, że jest akurat odwrotnie, że bez przeszłości ona nie będzie istnieć. Jednak musi myśleć o swoim znaczeniu; coś jej grozi, a jest zachłanna. Gdyby musiała, to by się zamknęła w jednej z gablot, z owłosioną maską na twarzy i oni nigdy by jej nie wyciągnęli.

Czy poproszą, by odeszła? Zrezygnowała? Nie wie. Kobieta paleontolog w ciąży to z pewnością sprzeczność sama w sobie. Ona ma oznaczać kości, a nie tworzyć ciało. Chodzi o to, że nie ma periodu od dwóch miesięcy. Co może świadczyć, jak to mówią, o stresie. Nie przeprowadziła żadnych testów dla upewnienia się, nie myślała o tym. Będzie matką bez męża. Samotną. Oczywiście to teraz zdarza się częściej, ale co robi doktor Van Vleet, dżentelmen ze starej szkoły, który, co można wykazać, nie żyje w roku 1978?

I co robi Nate, co ona robi? Trudno uwierzyć, że taki niedbały akt z jej strony może mieć wymierne konsekwencje dla innych ludzi, nawet dla tak małego grona. Chociaż przeszłość składa się z takich aktów, z miliardów, trylionów.

Nie jest przyzwyczajona, by być sprawcą czegokolwiek. Na ścianie w jej biurze drzewo ewolucji rozgałęzia się jak koral, aż do sufitu: ryby, amfibia, archozaury, pterozaurowe, ptaki, ssaki i człowiek, zwykła kropka. I ona sama to też kropka, a w niej jeszcze inna. I ta odpadnie w swoim czasie.

Albo nie; ona o tym myślała. Może zdecydować się na aborcję, może zatrzymać czas. Wie, że to teraz łatwiejsze niż dawniej. Jeszcze nie powiedziała Nate'owi, nie musi mu mówić. Wszystko może się toczyć jak dawniej. Jednak tego nie chce.

Nie wie, czy on będzie zachwycony, czy zły, czy zrozpaczony; biorąc pod uwagę, jak kocha swoje dzieci, będzie odczuwał wszystko naraz. Ale niezależnie od jego

reakcji ona wie, jaka będzie jej ostateczna decyzja. Nate już nie zajmuje miejsca w środku wszechświata; został z niego delikatnie usunięty.

*

Wspina się po tylnych schodach i kroczy naprzód przez dział europejskich strojów; omija wystawę chińskiej sztuki ludowej, która nie bardzo ją interesuje. Kiedy okrąża róg przy głównej klatce schodowej, widzi niewielką ciemną postać na piętrze ponad nią. To Elizabeth. Elizabeth jej nie widzi. Patrzy ponad balustradą na rotundę. Lesje chyba nigdy nie widziała takiej Elizabeth, nieprzytomnej. Jakby patrzyła na nią w ostatnim dniu jej życia. Lesje nie przywykła do tego; przywykła myśleć o wiecznej Elizabeth, o ikonie Elizabeth. Ale Elizabeth stojąca samotnie, nie związana z nikim, jest niższa, zwyczajna; śmiertelna. Linie twarzy i ciało wiotczeją. Chociaż wie, że jej ciąża nie przełamie lodów między nią a Elizabeth, może nawet spowoduje zwłokę w rozwodzie, by coś dowieść - ale co? Że ona jest pierwszą żoną? - Lesje nie rozumie, dlaczego się jej bała.

Czy tak samo będą się zachowywać za dwadzieścia lat? Starsze kobiety, stare kobiety, chodzące w czerni i nie rozmawiające ze sobą; nieżyczliwe; nigdy nie odwiedzające się, ale mające głowę zajętą tą drugą; to tajemniczy obszar ciemności jak guz albo czarny wir. Kiedyś mogą stać się babkami. Przychodzi jej na myśl nowa idea, że to napięcie pomiędzy nimi będzie trudne do zniesienia dla dzieci. Powinny przestać.

A jednak nie ma ochoty kiwać głową i uśmiechać się; nie teraz. Przemyka do otwartej windy i jedzie na górę.

Wchodzi do galerii ewolucji kręgowców ze złej strony, mija znak „Wyjście”. Trochę kręci jej się w głowie, pewnie dlatego że nic nie jadła cały dzień. Za dużo kawy. Siada na wyściełanej półce oddzielającej gości od dinozaurów. Marzy o

zapaleniu papierosa, nim znajdzie się w hutniczym piecu popołudnia, ale wie, że istnieje niebezpieczeństwo pożaru. A więc tylko tu odpocznie. Tu też jest gorąco, ale przynajmniej jest ciemno.

Tu są jej starzy znajomi, dobrze jej znane jak ulubione króliki: allozaurus, mięsożerny, z dziobem jak papuga chasmozaurus, parazaurolofus ze swoim grzebieniem jak róg jelenia. To są tylko kości, kości i drut w scenerii zakurzonego plastiku, a ona jest dorosła; dlaczego myśli o nich jak o żywych?

Kiedy była znacznie młodsza, wierzyła albo bardzo próbowała uwierzyć, że w nocy, gdy muzeum jest zamknięte, prowadzą ukryte życie; gdyby tylko znalazła drogę, by tam się znaleźć, mogłaby obserwować. Później porzuciła to marzenie na rzecz mniej ekstrawaganckiego: przedmioty nie poruszają się, to prawda, ale gdzieś istnieje jakiś czynnik, jakaś siła (tajemniczy promień, energia atomowa), które zwrócą im życie. Dziecięca fabuła, wywołana bez wątpienia dziwnymi komiksami science fiction albo porankiem z okazji Bożego Narodzenia, na spektaklu Dziadka do orzechów, zaciągnięto ją tam, gdy rodzice zdecydowali, tak fatalnie, że powinna chodzić na balet.

Teraz jednak, patrząc na ogromne czaszki wznoszące się nad nią w przyćmionym świetle, na gigantyczne pazury i kręgosłupy, prawie liczy na to, że te stworzenia przyjaźnie ją pozdrowią. Chociaż gdyby naprawdę żyły, uciekłyby albo ją rozdarły. Jednak niedźwiedzie tańczą do muzyki, tak samo jak węże. Co by było, gdyby nacisnęła guziki uruchamiające projekcję filmu i zamiast zwykłych przemówień czy też krzyków wielorybów i fok symulujących podwodne głosy morskich gadów, rozbrzmiałaby jakaś nieznaną pieśń? Indiańska muzyka, brzęcząca, hipnotyczna. „Spróbuj sobie

wyobrazić", głosi broszura, napisana przez Lesje dla rodziców i nauczycieli, „jakby to było, gdyby dinozaury nagle ożyły”.

Ona by chciała. Chciałaby siedzieć tutaj godzinę i nic innego nie robić. Zamknie oczy i skamieniałości, jedna po drugiej, podniosą swoje ciężkie nogi, ruszając się po lasku wskrzeszonych drzew, z ciałem przylegającym do nich jak lód czy mgła. Będą tańczyć hałaśliwie na schodach muzeum i przed frontowymi drzwiami. Skrzypy o wysokości ośmiu stóp wyrosną w Queen's Park, słońce stanie się pomarańczowe. Ona dorzuci jakieś ogromne ważki, białe i żółte kwiaty, jezioro. Będzie szła wśród listowia do domu, w ekspedycji jednoosobowej.

Ale nie może tego zrobić. Albo straciła wiarę, albo jest zbyt zmęczona; w każdym razie nie może się dłużej skupić. Fragmenty nowych obrazów niepokoją. Spogląda na kamyki, na zestruganą korę, zakurzone drzewa po drugiej stronie półki, odległe o tysiąc mil.

Na pierwszym planie, czy tego chce, czy nie, jest, jak to mówi Marianne, jej życie. Możliwe, że je zrujnowała. To ma się na myśli, gdy mówi się o dojrzałości: dochodzisz do punktu, w którym zdajesz sobie sprawę, że zrujnowałaś sobie życie. Ona powinna była więcej się nauczyć, wcześniej powinna była więcej studiować, nim skoczyła; ale nie żałuje.

To prawda, że zrobiła coś głupiego. Kilka rzeczy głupich, wiele. Albo zrobiła coś mądrego z głupiej przyczyny. Dzisiaj powie Nate'owi, dzisiaj wieczorem. Czy jej wybaczy?

(Ale nie przebaczenia potrzebuje; w każdym razie nie od Nate'a. Natomiast wolałaby przebaczyć komuś, jakoś, za coś; ale nie wie, od czego zacząć).

NATE

Piątek, 18 sierpnia 1978

Nate biegnie. Biegnie koło uniwersytetu, nie zwracając uwagi na ruch pojazdów, słońce błyszczy na dachach i na przednich szybach nadjeżdżających samochodów, praży głowę. Krew huczy w uszach, jest rozgrzany jak metal, chodnik uderza w podeszwy jego butów. Szarpie swoją koszulę w paski, schludna koszula obywatela do zbierania podpisów, wyciąga ze spodni i puszcza luźno, niech powiewa. Jest parny wiatr, unoszący zapach garaży i rozlanej benzyny.

Przy budynku parlamentu czeka na przerwę w ruchu, przeskakuje na drugą stronę, biegnie dalej pod bramą wjazdową obok różowawego kamienia, który był obdrapany, nim go nie oczyszczono strumieniem piasku. Pewnego dnia wkroczy w świat polityki, myślał o tym. Polityki prowincji, nie komunalnej. Nie federalnej, nie ma ochoty na wygnanie. Ale jeszcze nie, jeszcze nie.

Jego cień idzie z nim, cienki, o głowie jak szpilka, rozszerza się po jego prawej stronie, czerń migocząca w trawie. To ostrzeżenie, zawsze z nim; jego ewentualna śmierć. Ale o tym pomyśli innym razem.

Powinien jednak bardziej uważać, a przynajmniej spróbować. Regularny tryb życia dobrze mu robi. Wstawanie o szóstej, bieg przez pół godziny w porannej mgle, dopóki nie ma dużo spalin. Potem skromne śniadanie, trzeba zwracać uwagę na jajka i masło, ograniczyć palenie do paczki dziennie. Z każdym drinkiem umiera komórka mózgu. Na szczęście są ich miliardy; trochę potrwa, nim zniedołężnieje. Gdyby mógł biegać, czułby się lepiej, wie o tym. W tym samym czasie, każdego dnia i zawsze.

Teraz nie robi okrążeń. Pot zalewa go, oddech charczy w gardle, tlen ostrzy krawędzie. Nic nie będzie robił wiecznie. Zmierza do pomnika wojny, to połowa drogi, ale rzuca się na

trawę, nim tam dotrze, turla się na plecach. Małe plamki pływają w amniotycznym błękitnie, pręty i stożki; czarne gwiazdy wirują mu w głowie. Pod nim pręży się trawa.

Chciałby gdzieś zabrać Lesje, poza miasto, na wieś, chociaż nie pamięta, kiedy był tam ostatni raz. Ale jak oni tam się dostaną? Autobusem, a potem pójdą zakurzoną, żwirowatą drogą? Nic nie szkodzi. Mogliby się kochać powoli i delikatnie pod drzewami albo w polu, złote zboża kołysałyby się nad nimi i czułoby się zapach miazdzonej trawy. Perspektywa takiego dnia migocze w jego wyobraźni, w owalu światła; w tym świetle Lesje jest niewyraźna, jej rysy świecą się i zamazują, czarne włosy topią się w jego dłoniach, jej ciało rozciągnięte na trawie, białe i szczupłe przesuwają się, jarzy i blaknie. Jest tak, jakby był zbyt blisko niej, i dlatego nie może jej zobaczyć, umocować jej w swojej głowie. Kiedy jest daleko od niej, z trudem pamięta, jak wygląda.

Chociaż wyraźnie widzi Elizabeth, każdą linię i cień. Zabierał Elizabeth na wieś przed narodzinami Janet, nim sprzedał samochód. Ale ona nie chciała wspinać się po ogrodzeniach i czołgać pod krzewami, a on nie umiał jej przekonać. Zamiast tych wycieczek chodzili na aukcje, sprzedaże na farmach, gdzie rodziny rezygnowały z niektórych rzeczy lub były bardzo stare i wysprzedawały swoje mienie. Elizabeth uczestniczyła w licytacjach, kupowała kuchenne krzesła, łyżki, a on stał przy kiosku z parówkami i napojami, z rękami w kieszeniach, dotykając pensów, kluczy, czując się obco jak zamiatacz.

Myśli o Elizabeth krótko, obojętnie. Przez chwilę to ktoś, kogo kiedyś znał. Zastanawia się, co się z nią stało. Żałuje teraz tych dróg, którymi nigdy nie szli, pól, do których nigdy nie mógł jej przekonać.

Nate siedzi, zdejmując mokrą od potu koszulę i wyciera nią głowę i piersi, potem rozkłada ją obok siebie, by wyschła.

Teraz odczuwa chłód, mimo upału. Za kilka minut, kiedy odpocznie, zapali papierosa. Może połowę wyrzuci. Potem wstanie, nałoży znów koszulę i pobiegnie lekko na poduszeczkach stóp.

Pójdzie na północ, minie planetarium i jego parkan, który widzi stąd. Planetarium jeszcze jest otwarte. Dobudowują skrzydło do muzeum; Lesje twierdzi, że nie nastąpi to tak szybko. „Rzymu nie zbudowano w jeden dzień”, głosi napis na ścianie ze sklejki, prosząc o datki. Inna wartościowa akcja. Wyssają go, chociaż ma serce z trocin.

Wejdzie na schodki i pochyli się w tym samym miejscu, kiedy przychodził po Elizabeth, opierając jedną rękę o kamień. Zapali następnego papierosa, będzie się przyglądał, jak wchodzi i wychodzi zwiedzający, przypominając klientów sklepów, i poczeka na Lesje. Ona nie będzie go oczekiwać. Może będzie zaskoczona i zadowolona, gdy go zobaczy; kiedyś mógł na to liczyć. Może będzie tylko zaskoczona, a może i to nie. On wyprzedza ten moment, którego nie może przewidzieć, zostawia miejsce na nadzieję i również na klęskę. Albo pójda na drinka, albo nie pójda. W każdym razie pójda do domu.

ELIZABETH

Piątek, 18 sierpnia 1978

Elizabeth stoi i patrzy na obraz. Oprawiony i pod szkłem. Za szkłem jasne zielone liście rozpościerają się w harmonijnej asymetrii chińskiego kwiatowego dywanu; wśród nich płoną purpurowe owoce. Trzy kobiety, dwie z koszami, zbierają je. W uśmiechu błyszczą im zęby, mają pulchne i różowe policzki jak u lalki. „Dobry zbiór oberżyny”, głosi napis w języku chińskim, angielskim i francuskim. Elizabeth przypomina sobie, że powinna kupić kilka parówek w drodze do domu na prośbę dzieci, a dla siebie piezzonego kurczaka. Zjedzą kolację na frontowym ganku, to pomysł Nancy, piknik w domu. Może wtedy będzie chłodniej.

Facet w dresie z dużą maszyną do froterowania podłóg dociera do miejsca, gdzie stoi Elizabeth i każe jej odejść. Idzie wzdłuż ściany. Muzeum już zamknięto i większość zwiedzających już wyszła. Elizabeth czekała na tę względną pustkę, aby się lepiej przyjrzeć wystawie, którą otworzono przed czterema dniami, ale ona nie miała czasu, by tu przyjść. Jednak jest zadowolona z recenzji w prasie. Chiny teraz wzbudzają zainteresowanie w przeciwieństwie na przykład do Indii, o których wiele się mówiło kilka lat temu, podczas tamtej wojny. Jest dużo zwiedzających, chociaż oczywiście nie ma takich kolejek jak na wystawie Sztuka starożytnych Chin przed kilkoma laty. Ludzie będą stać w kolejce nawet długo, by obejrzyć złoto, a zwłaszcza złoto wydobyte z grobowców. Elizabeth wciąż pamięta konie, te konie o ostrych zębach z grobu jakiegoś cesarza. Nie były ze złota; nie pamięta, z czego je zrobiono, ale przywodziły wrażenie mroku. Zwiastuny jakiegoś znaku, katastrofy, stając dęba i zrzucając z siodła.

Na tych obrazach nie widać jednak katastrofy. „Nowy wygląd naszej trzody chlewnej”, czyta Elizabeth. Nie bardzo

interesują ją świnki. Te świnki przypominają zabawki, plastikowe świnki z zestawu zwierząt na farmie dla dzieci. Pokazane są dyskretnie; czyste, nie ryją ziemi i nie srają. Dynie rosną jak dekoracyjne szlaczki pomiędzy rzędami w chlewie.

Facet z maszyną do froterowania podłóg idzie za nią. Ona omija narożnik i przechodzi do drugiego skrzydła. Obrazy są zawieszane na ruchomych ekranach, dzielących galerię. „Wykonali dobrą robotę”, myśli; wielkie czarno - białe zdjęcia są dobrze wkomponowane. Pamięta, kiedy w tym dziale eksponowano średniowieczną zbroję i broń: kusze, maczugi, halabardy, rusznice, muszkiety. Tylko parkiet jest taki sam.

„Nie pozwólcie Lin Piao i Konfucjuszowi obrażać kobiet”, czyta i uśmiecha się. „Każdy pomaga drugiemu w budowaniu domu”.

Nagle Elizabeth czuje się samotnie, żyje w pojedynkę, sama. Nie pamięta, kiedy ostatnio ktoś, prócz jej dzieci, pomógł jej w jakiejś robocie. Wie, że w Chinach pada, chociaż nie ma deszczu na obrazach. Wie, że ludzie tam nie uśmiechają się ciągle, nie mają takich białych zębów i różowych policzków. Pod plakatowymi barwami, jak na obrazku dziecięcym, jest zawiść, złość, rozpacz, nienawiść, śmierć. Dlaczego o tym nie wie? Chiny nie są rajem; raj nie istnieje. Nawet Chińczycy o tym wiedzą, muszą wiedzieć, przecież tam żyją. Jak ludzie z jaskiń nie malują tego, co widzą, ale to, co chcą widzieć?

„Śliwy daktylowe są dojrzałe u podnóża góry Czungman”, czyta. Pomarańczowożółte kule zapełniają papier; wśród splecionych gałęzi dziewczyny o szczęśliwych twarzach, jasnych i jednakowych jak ptaki. Elizabeth mruga, by ukryć łzy: to szaleństwo tym się wzruszać. To jest propaganda. Nie chce ustawiać się w szeregu i uczyć się, jak rzucać granaty, nie chce pracować przy młockarni, nie pragnie zostać poddana

grupowej krytyce, by wielu innych ludzi mówiło jej, jak ma myśleć. Nie te fakty tak ją wzruszają, że szuka w torebce chusteczki, kawałka papieru, by osuszyć twarz. To zwykle rzędy rzep, oświetlone od wewnątrz, zwykle pomidory, kiście winogron, malowane we wszelkich przezroczystych barwach. Jakby były tego warte.

Elizabeth przykłada chusteczkę do nosa. Jeżeli chce zobaczyć winogrona, może pójść do supermarketu. I tak musi tam pójść, gdyż nie ma nic na kolację.

Chiny nie istnieją. Mimo to tęskni, by tam być.

*